

MARCIN FALIŃSKI

OSTATNI AZYL

Służby wywiadowcze na tropie artefaktów
i tajnych dokumentów

CZARNA OWCA

MARCIN FALIŃSKI

**OSTATNI
AZYL**

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Copyright © 2023 Marcin Faliński
Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca
All rights reserved
Printed in Poland

Redakcja: Wojciech Adamski
Korekta: Bartosz Szpojda, Maciej Korbasiński
Projekt okładki i zdjęcia: Daniel Rusiłowicz
Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska
Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie pierwsze
Warszawa 2024
ISBN: 978-83-8252-746-9

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czar-naowca.pl
Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Epilog](#)

Przypisy końcowe

Rozdział 1

Wyspa Praslin, Seszele – jesień 2010

Zakotwiczony w zatoce Sainte Anne biało-brązowy pełnomorski jacht kołysał się lekko na falach. Około godziny drugiej, kiedy zgodnie z prognozami pogody niebo zaciągnęło się chmurami i przyszedł deszcz, na dolnym pokładzie zaczęli krzątać się ludzie. Nie zwracali uwagi na spadające z nieba duże krople wody, które zamieniły się po chwili w siąpiawicę. W tej części Oceanu Indyjskiego kończyła się powoli pora ciepła, a zbliżał się czas monsunów. Sam opad nie był jeszcze tak silny i rześisty jak w listopadzie, grudniu czy styczniu, zwiastował jednak nieubłagłą zmianę pogody.

Po parunastu minutach, kiedy wyłączono oświetlenie wszystkich pokładów i pozostały jedynie światła nawigacyjne: białe masztowe i rufowe oraz czerwone i zielone burtowe, na niewielkiej platformie na rufie służącej schodzeniu do wody stanęło dwóch mężczyzn. Kilka następnych osób zaczęło ściągać ze środkowego pokładu grafitowy ponton z dużym silnikiem zaburtowym. Ekipa była bardzo sprawna. Każdy znał swoje miejsce i wiedział, co ma zrobić. Pracowali w milczeniu. Po kwadransie ponton kołysał się na cumie za burtą jachtu. Po kolejnych piętnastu minutach pięciu mężczyzn w czarnych ubraniach weszło wraz z bagażem na jej pokład i ruszyło w kierunku wyspy La Digue. Mieli do pokonania kilka mil morskich.

* * *

Dudniący warkot silnika Mercury o mocy ponad stu koni mechanicznych wprawiał pasażerów pontonu w swoisty trans. Jedynie silne uderzenia większych fal o tnący je owalny dziób wyrwały ich z tego morskiego letargu. Wzrok wszystkich utkwiony był w zbliżającej się powoli wyspie – celu ich nocnej wyprawy. Deszcz wprawdzie przestał siąpić, ale chmury wciąż zakrywały niebo. Noc była wyjątkowo ciemna. Właśnie taka, na jaką czekali od trzech dni. Sternik przesunął manetkę w dół i ponton zwolnił, kiedy znaleźli się na wysokości

cypla. Rufa lekko się uniosła, dziób zaś opadł. Na moment zza chmur wyszedł księżyc, który oświetlił lśniące od morskiej wody pękate burty. Sternik szukał w ciemności niewielkiego pomostu prowadzącego na dziką plażę. Dźwięk silnika był teraz ledwie słyszalny. Wszyscy pasażerowie jakby na komendę zaczęli lustrować brzeg, każdy z nich jednak inną jego część. Prawie się zatrzymali. Mercury pracował na wolnych obrotach. Sternik wyjął z plecaka solidną lornetkę i zaczął powtórnie metr po metrze sprawdzać brzeg, poczynając od cypla zakończonego grupą owalnych skał. Potem skierował ją na zieloną, parującą ścianę tropikalnego lasu. Jego oczy cierpliwie i zimno spoglądały przez silne szkła. W końcu skinął na jednego z mężczyzn. Ten bez słowa wyjął z plecaka noktowizor. Przeszedł na dziób pontonu i założył urządzenie na głowę. Przez kilka minut powtarzał ruch, który przed chwilą wykonywał sternik. Po kilkudziesięciu sekundach kiwnął głową na znak, że wszystko w porządku. Ponton powoli ruszył do przodu.

W miarę zbliżania się do brzegu coraz bardziej słyszalny stawał się dźwięk uderzających o brzeg krótkich fal. Płynąc wzdłuż drewnianego pomostu, ponton zaczął zwalniać. Sternik włączył w pewnej chwili ciąg wsteczny. Ponton gwałtownie się zatrzymał. W tym momencie na pomost wyskoczył sprawnie jeden z mężczyzn trzymający w dłoni końcówkę liny cumowniczej, którą umocował do wystającego pala. Potem chwycił drugą linę i przywiązał ją do pomostu od strony dziobu. Mocnym szarpnięciem sprawdził obie. Ubrani na czarno mężczyźni zaczęli wychodzić na pomost jeden za drugim. W dłoniach trzymali gotowe do strzału AKS-74U, czyli skrócone wersje karabinka Kałasznikowa. W kaburach przy pasku mieli dodatkowo pistolety. Grupa w szybkim tempie skierowała się w stronę plaży i nadbrzeżnych zarośli. Po chwili z białego piasku weszli na wydeptaną w rudoczerwonej ziemi ścieżkę, która wiła się między olbrzymimi, owalnymi głazami, a po kilkudziesięciu metrach zaczęła piąć się stromo w górę. Mężczyźni w milczeniu, nie zmieniając tempa, pokonywali ją forsownym marszem.

Upiorne błoto na ścieżce, która co jakiś czas zamieniała się w niewielki strumyk, dawało im w kość. Wysokie buty oblepione mieli piaskiem, ziemią i roślinami. Czarne uniformy były zupełnie przemoczone od uderzających w nie mokrych gałęzi i liści. Do tego atakowały ich muszki i komary, które kleiły się do lepkich od potu i wilgoci odsłoniętych części szyi i twarzy. Po kilku minutach, trawersując zbocze, wyszli jeden za drugim na polanę na szczycie. Dowodzący spojrzął w dół, w głąb wyspy. Jakies trzysta metrów dalej, za szerokim pasem dżungli, znajdował się ich cel. Przyłożył lornetkę do oczu i powoli przyglądał się budynkowi oraz jego otoczeniu. Dom był drewniany z solidną podmurówką wysokości półtora metra. Szerokie betonowe schody prowadziły na

werandę z niewysoką drewnianą balustradą. Obok niej znajdowały się trzy filary, które podtrzymywały przykryty dwuspadowym daszkiem wykusz z dwoma oknami przysłoniętymi okiennicami. Dojście do głównych drzwi prowadziło przez werandę. Na podjeździe parkował samochód. Budynek, wierny kanonom lokalnej architektury, sprawiał wrażenie nieco nadgryzionego zębem czasu. Blaszany dach pokryty był tu i ówdzie rdzą. Otwarte okiennice na parterze oraz ozdobne reliefy nadokienne pomalowane były białą farbą, która odchodziła w paru miejscach. Cała posesja tonęła w zieleni starych drzew i palm.

– Przed nami czysto – powiedział szeptem dowódca do mężczyzny, który do niego podszedł. – Wygląda na to, że w domu nie ma ochroniarza. Przed podjazdem stoi biały suzuki Jimny. Innego samochodu nie widzę – uzupełnił i dłonią dał znak pozostałym, by kierowali się w rejon celu.

Weszli ponownie w tropikalny las. Nierówne, błotniste podłoże znowu utrudniało marsz. Wystające, śliskie korzenie, których nagle na ich ścieżce jakby przybyło, sprawiały, że każdy kolejny krok musieli stawiać z wielką ostrożnością. W pewnym momencie niebo rozbłysło intensywnym blaskiem i niemal natychmiast rozległ się potężny grzmot. Mężczyźni na chwilę znieruchomieli i odruchowo się skulili. Niespodziewane wyładowanie atmosferyczne wybiło ich z rytmu. Zaraz potem nastąpiło drugie, ale już gdzieś dalej, po chwili trzecie. Burza wyraźnie się oddalała. Zapanowała niemal zupełna ciemność. Trzeba jednak było ruszać. Bujna roślinność w końcu zaczęła się przerzedzać. Byli w rejonie obserwowanego wcześniej domu. Dowódca dał znaki dłonią, by zajęli wyznaczone pozycje na skraju lasu otaczającego bezpośrednio budynek, a dwaj mężczyźni, utrzymując odpowiedni dystans między sobą, obezili całą posesję. Wrócili po kilku minutach, meldując, że nic podejrzanego nie zaobserwowali.

Cała piątka, na rozkaz dowódcy, zaczęła się bezszelestnie przesuwając w stronę betonowych schodów. Niemal jednocześnie rozłożyli kolby karabinów i stabilnie oparli je o ramię. Dwóch mężczyzn weszło na werandę. Ostrożnie stąpali po rozłożonej na deskach słomianej macie. Pod stopami jednego z nich rozległo się skrzypnięcie deski. Obaj zamarli w bezruchu i zaczęli nasłuchiwać. Jednak oprócz odgłosów dżungli i odległego pomruku odchodzącej burzy niczego nie usłyszeli. Podeszli do głównych drzwi i przymocowali do nich niewielki, prostokątny ładunek. Pozostali czekali w gotowości tuż przed schodami. Po chwili rozległ się huk. Wejściowe drzwi zostały wyrwane z zawiasów. Wśród unoszącego się jeszcze kurzu dwójka napastników wbiegła do środka. Za nimi ruszyli kolejni. Pokonali w kilku susach niewielki korytarz. Wpadli do salonu. Na podłodze przed telewizorem zobaczyli leżącego, mocno

szpakowatego mężczyznę w wieku około siedemdziesięciu lat. Zakrywał dłońmi uszy i był zupełnie zdezorientowany. Miał na sobie tylko kolorowe szorty. Napastnicy rzucili się na niego, obrócili go na brzuch i przycisnęli do podłogi, wykręcając mu ręce do tyłu. Jeden z nich zaciągnął mu trytki na przegubach rąk i nóg.

– Czego ode mnie chcecie?! – jęknął leżący z trudem po angielsku, ledwo łapiąc oddech.

– *Spokojno*. Wszystkiego się dowiesz! – krzyknął do niego dowódca grupy, który stał już wyprostowany i ostrożnie rozglądał się po salonie.

Słowa w języku rosyjskim wyraźnie zaskoczyły mężczyznę. Zaczął się szarpać i wierzgać. W tym momencie z pierwszego piętra dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Wszyscy zamarli, tylko leżący próbował coś krzyknąć, ale jeden z napastników szybko zatkał mu usta. Dwóch mężczyzn, którzy zabezpieczali tył, skierowało broń ku schodom i ruszyło do góry. Wbiegli na piętro i po chwili rozległ się stamtąd wrzask kobiety, a zaraz potem rozkaz wypowiedziany ostro męskim głosem:

– *Ostonowis, suka!*

Po chwili mężczyźni zjawili się w salonie – jeden z nich niósł wyrwijącą mu się, nagą, dwudziestoparoletnią Kreolkę, której zakrywał dłonią usta. Gdy tylko uwolnił dziewczynę, stawiając ją na podłodze, ta zaczęła znów przeraźliwie krzyczeć i ruszyła pędem do głównych drzwi, nie zauważyła jednak stojącego w wejściu mężczyzny i z impetem na niego wpadła. Ten natychmiast puścił AKS, chwycił ją za ramię i mocno uderzył otwartą dłonią w twarz. Dziewczyna upadła, ale nie przestawała krzyczeć. Podniosła się na kolana.

– Uciszyć ją! *Job twoju mat'* – rozkazał dowódca. – Tylko żeby nic się jej nie stało – dodał natychmiast.

Jeden z mężczyzn ponownie wymierzył kobiecie silny policzek, tak że ta poleciała w tył i uderzyła o ścianę. Podkuliła nogi i drżąc, przywarła do desek. Z jej wielkich, czarnych oczu popłynęły obficie łzy.

– Na górze czysto, *komandir*. Tylko ta mała kurwa brała kąpiel – rzucił do dowódcy jeden z mężczyzn sprawdzających pierwsze piętro.

– Właśnie widziałem, jak czysto. Prawie się wam wywinęło takie czekoladowe chuchro. *Duraki*.

Dowódca podszedł do skulonej pod ścianą kobiety, wyrwijąc po drodze ręcznik z dłoni jednemu z podkomendnych i rzucając nim w stronę dziewczyny. Ta nakryła nim biodra i piersi. Po chwili złapał ją dłonią za mokre włosy i wycedził przez zęby.

– Ani się waż ruszyć, suko! *Don't move!*

Dziewczyna spojrzała na napastnika zapłakanymi oczami i kiwnęła głową. Dowódca odwrócił się i podszedł w stronę leżącego i próbującego się oswobodzić mężczyzny. Zdecydowanym ruchem nogi przekreślił go na plecy. Przykucnął i zaczął bacznie przyglądać się mu z bliska.

– Posadźcie to ścierwo na kanapie – zwrócił się do dwóch mężczyzn stojących tuż nad nim.

Ponownie rozejrzał się uważnie po salonie. Jednemu z podkomendnych dał znać, by wyszedł na zewnątrz zabezpieczać dom na wypadek powrotu ochroniarza. Drugiemu kazał pilnować skulonej, pochlipującej i trzęsącej się ze strachu dziewczyny.

– I co, Woronow? Myślałeś, że cię nie znajdziemy? – zwrócił się do skrzępowanego mężczyzny.

– Czego ode mnie chcecie? Kim jesteście? Wiecie, kim ja jestem?! – odpowiedział z butą Woronow zachrypłym głosem.

– Wiemy i dlatego się tu zjawiliśmy – rzucił dowódca.

Wyjął z kieszeni papierosy, zapalił i zaciągnął się głęboko. Popatrzył na biały sufit. Rozejrzał się znowu po salonie. Spojrzał na tekowe, niskie szafki i poustawiane na nich szklane miski pełne wody z pływającymi w nich amarantowymi i pomarańczowymi kwiatami. Wreszcie jego wzrok spoczął na powrót na Woronowie:

– Można powiedzieć, że urządziłeś sobie tutaj taki mały prywatny raj. Kwiaty, owoce, plaże i ta młoda, kreolska *krasawica*. – Skinął na szlochającą dziewczynę. – Jak na dawnego oficera radzieckiego wywiadu to niezła emeryturka. – Uśmiechnął się pod nosem i zrobił wyraźną pauzę. – Dobrze wiesz, czego od ciebie chcemy, Woronow. Dobrze wiesz. *Towaryszcz pułkownik*.

Chwycił skrzępowanego za włosy i szarpnął kilka razy, po czym odgiął mu głowę mocno do tyłu i przypalił papierosem szyję. Woronow syknął. *Komandir* przytrzymał papierosa kilka sekund. Potem puścił torturowanego.

– Widzisz, Woronow. My nie mamy czasu na długie pogawędki z tobą i tą *krasawicą*. Albo mówisz, albo nie. Mnie tam wszystko jedno. Ciebie zarzniemy jak barana, a tą Kreolką zajmą się chłopaki. Potem wyrzucimy ją na otwartym oceanie. Będzie dobrą pożywką dla rekinów.

– Czego ode mnie chcecie?!

– Mówiłem ci. Przecież dobrze wiesz czego. Gdzie jest to, co wywoziłeś z Moskwy? To, co należy do *Matuszki Rossiji*? Gdzie są dokumenty i cała reszta?

Ledwo skończył, a siarczyste uderzenie pięści wylądowało na twarzy Woronowa. Z nosa i ust zaczęła mu się sączyć krew.

– Na zachętę przypaliłbym cię jeszcze raz papierosem, ale szkoda mi ich na twój zdradziecki ryj. Dajcie mi tu tę dziwkę! – rzucił dowódca do mężczyzny pilnującego dziewczyny.

Ten złapał Kreolkę za włosy i pociągnął po ciemnej podłodze. Dziewczyna zaczęła znowu krzyczeć. Odruchowo chciała okryć się ręcznikiem, ale go nie było – został pod ścianą. Mężczyzna dzielił swoją ofiarę pięścią, każąc jej milczeć, po czym rzucił ją pod stopy Woronowa.

– Mówisz, *połkownik*, czy...? – Dowódca zawiesił głos i wyjął nóż nurka zakończony z jednej strony piłą. – Przytrzymaj ją – rzucił do podwładnego, który przycisnął dziewczynę kolanem i chwycił ją za ręce.

Mężczyzna dotknął zimną klingą noża gładkiego brzucha Kreolki. Potem skierował go do wzgórka łonowego. Dziewczyna rozdarła się na powrót i znów została uciszona, a Woronow wykonał ruch, jakby chciał podnieść się z kanapy, ale pchnięty mocno przez pilnującego, znieruchomiał. Cieknąca mu z ust i nosa krew mieszała się ze śliną i spływała na goły tors. Coraz ciężiej dyszał. Dowódca spojrzał na niego z lekkim uśmiechem i podsunął mu nóż pod nos.

– Czujesz, *sobaczy chuju!*? Czy mam dołożyć do tego zapach jej krwi i trzewi?! – Ponownie przyłożył ostrze do brzucha przerażonej dziewczyny.

– Zostawcie ją, skurwiele! Ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego! – wydusił z siebie Woronow, łapiąc z trudem powietrze.

– Kurwa, co ty pierdolisz! Stałeś się na tym zadupiu obrońcą kobiet? Takich czekoladek możesz mieć tu na pęczki. No, chyba że się zakochałeś w tej jednej jedynej. Tak! Zakochałeś się! – zaśmiał się, po czym nachylił się blisko nad twarzą swojej ofiary i językiem oblizał klingę.

Podniósł się, wyprostował i krzyknął:

– Mów, kurwa, gdzie to jest?

Kopnął Woronowa w brzuch. Ten skulił się, a po chwili dostał torsji. Dowódca chwycił go za głowę. Wymiociny poleciały wprost na dziewczynę, a po salonie rozszedł się kwaśny odór. *Komandir* odsunął się z niesmakiem.

– Znaleźliście coś?! – zwrócił się do przeszukujących parter domu, ci jednak jakby nie słyszeli.

Dowódca powtórzył pytanie i dodał:

– Pamiętajcie, szukamy sejfu lub jakiejś skrytki. Jak znajdziecie, to nie otwierać. Mógł to jakoś zabezpieczyć. A my, Woronow, nie potrzebujemy tu przecież żadnych niespodzianek. Prawda? – powiedział i znowu odciągnął do tyłu zabrudzoną wymiocinami i krwią głowę. – Mamy jeszcze... – spojrzał na zegarek – godzinę. – Wstał. – Aha! Zabieramy każdy komputer, laptop, tablet. Każdą pocztówkę czy list! – krzyknął.

Mężczyzna usiadł na kanapie i zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się mocno i utkwiał wzrok w swojej ofierze.

* * *

– *Komandir!* – Minęło dobrych kilkanaście minut, nim z kuchni dobiegł wykrzyczany meldunek jednego z napastników. – Na coś, zdaje się, natrafiliśmy. To może być sejf!

– W wysokiej szafce koło lodówki za garnkami jest chyba zakamuflowany sejf – dodał drugi spokojniejszym głosem. – Wygląda na to, że nie ma tu żadnych niespodzianek.

– Dziewczynę też nie od razu odkryliście. Niczego nie ruszać!

Dowódca skierował się szybkim krokiem do kuchni. Po kilku minutach wrócił i powiedział:

– Podnieść i zanieść do kuchni to ścierwo.

Jeden z mężczyzn z wyraźnym obrzydzeniem chwycił Woronowa za założone do tyłu ręce, a drugi z takim samym wyrazem twarzy za włosy. Zaciągnęli go do kuchni. Obszerna szafka została już opróżniona z garnków i pozbawiona półki. Napastnicy oświetlili latarką kryjące się z tyłu drzwi sejfu. Była to solidna konstrukcja niemieckiej firmy Döttling z zamkiem na szyfr.

Dowódca uważnie się jej przyjrzał i po chwili odwrócił się do Woronowa.

– Podaj szyfr! Albo nie! Otwórz go sam! Uwolnij mu ręce! – rozkazał podwładnemu.

Woronow spojrział na niego obojętnym wzrokiem. W tym momencie podtrzymujący go mężczyzna wygiął mu ręce jeszcze bardziej do tyłu. Ogromny grymas bólu pojawił się na twarzy ofiary. A zaraz potem rozległ się stłumiony jęk. Trzymający przeciął nożem plastikową opaskę.

– Jak go otworzę, to mnie zabijecie – wyszczał przez zęby Woronow.

– Ty już jesteś trup. Nie zauważyłeś? Moja propozycja brzmi tak: *krasawicę* wypuścimy, a ty zgинiesz bezboleśnie. Słowo oficera rosyjskiej *razwidki*. Inaczej będzie bolało...

Nie czekając na odpowiedź, od razu wyciągnął schowane w kieszeni kamizelki taktycznej obcęgi, chwycił wskazujący palec Woronowa i z całej siły ścisnął rękkojeść. Szczęki zakończone ostrzami wbiły się w ciało, trysnęła krew, a fragment palca upadł na podłogę. W kuchni rozległ się stłumiony jęk.

– No i co, będziesz gadał? A może poprosimy o pomoc twoją *krasawicę*?!

Krzyknął do podwładnego pilnującego w salonie dziewczyny, by ten ją przyprowadził. Gdy weszła do kuchni, „opiekun” przewrócił ją na ziemię, po czym wyszarpnął ze skórzanej pochwy myśliwski nóż i przykładając jego

ostrze pod jędrną pierś kobiety, lekko nim pociągnął. Na oliwkowej skórze Kreolki pojawiła się strużka krwi. Dziewczyna zareagowała niemiłosiernym krzykiem, wierzgając przy tym nogami i rękami, ale napastnik mocno przyciskał ją do podłogi. Wrzeszczała jednak coraz głośniejsze, przerywając czasem krzyk jakimiś błagalnymi słowami to po angielsku, to po francusku. W pewnym momencie jej mokre ciało wyslizgnęło się oprawcy, którego zaczęła chaotycznie okładać pięściami. W odpowiedzi ten bezceremonialnie wymierzył jej cios w twarz i Kreolka straciła przytomność. Z nosa popłynęła jej krew.

– Obiecałem. Ona przeżyje, a ty zginiesz bezboleśnie – odezwał się dowódca. – Słyszałeś? Naprawdę chcesz, żeby chłopaki się nią zajęli, a potem po kawałku wrzucili do tej pięknej turkusowej wody oceanu?! Otwieraj, kurwa, ten pieprzony sejf albo obetnę ci wszystkie palce, a potem język i nos – krzyknął.

Woronow milczał. A raczej dyszał tak, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Komandir zbliżył obcęgi do jego twarzy. Więzień zaczął kręcić głową i zasłaniać się rękami. Jednak drugi napastnik chwycił jego głowę i unieruchomił ją, rękę zaś wygiął mu do tyłu. Dowódca, który w prawej dłoni ścisnął obcęgi, lewą chwycił za brodę przerażonego Woronowa. Przytknął szczęki do końca nosa i zacisnął. Trysnęła krew.

– Otworzę go! Otworzę! – jęknął niewyraźnie Woronow.

Słyszając to, dowódca puścił uchwyt i schował obcęgi.

Torturowany odkasznął kilka razy i wypluł z ust resztki wymiocin pomieszanych z krwią. Ciągłe mocno dysząc, uchwycił palcami rozetkę i przekręcał ją kilka razy w lewo, potem w prawo, potem znowu w lewo. Przekręcił w dół klamkę i pociągnął grube pancerne drzwiczki do siebie. Dowódca odepchnął go od szafki. Potem oświetlił wnętrze sejfu snopem zimnego światła z latarki. Włożył rękę do środka i zaczął wyjmować to, co stanowiło jego zawartość. Dwa paszporty: jeden bułgarski, a drugi południowoafrykański – w obu były zdjęcia Woronowa, jednak dokumenty zawierały inne dane osobowe. Następnie wyciągnął lekki, brązowy, spory przedmiot z inkrustowanymi zdobieniami. Zaczął mu się przyglądać. Oświetlił go latarką.

– Ty jesteś z Kaliningradu, prawda? – Odwrócił się do podwładnego. – To chyba bursztyn?

Ten wziął go do ręki i obejrzał dokładnie, po czym przytaknął i oddał znalezisko dowódcy.

W głębi sejfu spoczywała też niewielka skrzynka z mahoniowego drewna. *Komandir* wyciągnął ją i otworzył. W środku leżały dwa niewielkie złote przedmioty o owalnym kształcie – jakby duże monety czy medaliony, jednak

o niewyraźnej fakturze. Na ich rewersie znajdował się słabo widoczny znak przypominający krzyż. Na niższej półce stały ustawione jedna na drugiej złote monety.

– To chyba nasze świnki. Jest tego z... bo ja wiem, trzydzieści, czterdzieści sztuk – powiedział dowódca, odwracając się do podwładnego. – Nieźle tego, *swołocz*, nakradł. Co tu jeszcze Woronow schował? – mruknął po chwili już do siebie pod nosem.

Dostrzegł dwa obrazy malowane na drewnianych deskach, trzy ikony w srebrnych koszulkach, spięty skórzanym paskiem zestaw sztućców i kanciąstą srebrną cukiernicę. „Te ikony pewnie jakieś zabytkowe, zalatują stęchlizną. O! Jakiś herb z koroną. Coś po łacinie” – skonstatował i zaczął wyciągać jedną rzecz po drugiej.

– Co ona taka ciężka? – szepnął do siebie, podnosząc srebrną cukiernicę.

„Fabryka Wolska pod Warszawą. 1906. P.F.” – przeczytał bezgłośnie, po czym potrząsnął nią i zajrzał do środka.

Wewnątrz znajdowało się około dwudziestu złotych sygnetów z różnymi herbami rodowymi. Zamknął cukiernicę i odstawił ją na podłogę. Niżej, na przedostatniej półce, stały: sześć srebrnych, złożonych wewnątrz pucharów kidszowych przypominających kształtem kubek bez ucha z inkrustowaną gwiazdą Dawida i metalowa kasetka. Spojrzał na zegarek. Pokiwał głową. „*Bładź*, nie ma już czasu na sprawdzanie. Bierzemy to” – pomyślał. Potem zajrzał na najniższą półkę. Dostrzegł tam banderolowane paczki zielonych, amerykańskich studolarówek i czerwonych pięćdziesięciofuntówek z wizerunkiem Elżbiety II. Zostawił je. Nie zamknął sejfu.

– Schować to. Tylko delikatnie. Owinąć jakimś szmatami czy ręcznikami, co tam znajdziecie. I do worków. Te metalowe przedmioty, a zwłaszcza kasetę, też zabezpieczyć w ten sam sposób. Cholera wie, co tam w niej jest. Aha, wcześniej włożyć w plastikowe torby, podwójnie. Dokładnie zakleić power tapem. Widzicie, jaka tu jest pieprzona wilgoć.

– *Komandir*. Może by tak tę forsę wziąć i podzielić?

Ten spojrzął na podwładnego srogim wzrokiem i rzucił:

– Żeby mi tu, kurwa, ani dolar nie zniknął z tego sejfu! Słyszałeś?! Schować to do plastikowej torby i przynieść do salonu!

– *Tak toczno, towariszcz komandir!*

Dowódca podszedł do Woronowa, który półprzytomny wciąż leżał na podłodze.

– To nie jest wszystko! Kurwa! Gdzie jest reszta? Gdzie są dokumenty?

Woronow nie zareagował. Jego ciało drgało co chwilę na podłodze w nieskoordynowanych skurczach. Dowódca złapał go za głowę i odwrócił do sie-

bie.

– Pytam po raz ostatni. Gdzie jest reszta? – Nadepnął na rękę i z kikuta po placu zaczęła jeszcze mocniej lać się krew.

– Nie ma już nic więcej... Przysięgam – odpowiedział Woronow niewyraźnym głosem pomieszanym z jękiem.

– Przysięgasz?! Przysięgałeś swojej ojczyźnie i co? Zajębałeś to wszystko z muzealnych magazynów w Moskwie – powiedział z wyrzutem dowódca, po czym spojrzął na pozostałych i gestem głowy nakazał przenieść ofiarę z powrotem do salonu.

– To co robimy z tą *krasawicą, komandir*? – zapytał ten, który pilnował młodej Kreolki.

– Niech wypierdala. Wypuścić ją. Już! Natychmiast!

Jeden z napastników pomógł dziewczynie się podnieść, podał jej też zakrwawiony ręcznik, którym jakoś się okryła. Drugi rzucił jej kolorową hawajską koszulę Woronowa i wskazał lufą karabinka główne wyjście. Dowódca wziął ze stolika plastikową torbę z paczkami banknotów.

– *Take it!* – powiedział do Kreolki.

Zaczerwienione oczy zmaltretowanego Woronowa odprowadziły ją do drzwi. Dziewczyna, ściskając w dłoni plastikową torbę z pieniędzmi, wybiegła z domu i skierowała się w stronę ogrodu. Jeszcze kilka razy przewróciła się w rudoczerwonym błocie, zanim zniknęła w zielonej czeluści lasu.

Dowódca podszedł do Woronowa. Stał nad nim. Wyciągnął zza pasa swój pistolet. Przeładował go.

– Jak widzisz, *towariszcz pułkownik*, ja słowa dotrzymałem – powiedział szeptem i skinął do leżącego głową.

Były pułkownik Pierwszego Zarządu Głównego KGB zamknął oczy. Dowódca wymierzył, po czym dwa razy strzelił mu prosto w głowę. Krew z kawałkami mózgu rozbryznięła się po podłodze. Chwilę później napastnicy, dźwigając każdy na plecach duży, czarny worek zawieszony na szerokim pasie, opuścili dom Woronowa.

Po niełatwym powrotnym marszu w strugach tropikalnego deszczu znaleźli się w końcu przy pontonie. Wrzucili worki do środka i weszli na pokład. Dowódca stanął za kołem sterowym, wyjął z kieszeni kluczyk i włożył go do otworu przy tablicy rozdzielczej. Uruchomił silnik i położył dłoń na manetce gazu. W tym czasie dwóch innych mężczyzn odcumowało. Ponton ruszył powoli do przodu, zataczając szeroki łuk. Wszyscy poza sternikiem trzymali swoje AKS-y skierowane ku brzegowi. RIB wciąż na wolnych obrotach, mocno bujając, oddalał się od lądu. Kiedy wypłynęli z zatoki, Mercury zawył, ponton skoczył do przodu i po chwili wszedł w ślizg. Fale zaczęły mocno ude-

rzać w sztywne dno, a wyżej uniesiony dziób hybrydy ciął ich gładkie i spienione szczyty. Całe strumienie wody wystrzeliwały wzdłuż burt, niektóre wpadały do wnętrza. Stojący sztywno sternik zamykający co chwilę oczy wydawał się nieporuszony tym spektaklem wody i szybkości. Wpatrzony był w cel: w zatokę Sainte Anne. Pilnie szukał na tym obcym horyzoncie świateł pozycyjnych ich jachtu.

Rozdział 2

Wyspa Wolin – styczeń 1945

Ubrani w niemieckie kurtki polowe z zimowym kamuflażem dwaj żołnierze wkładali do niewielkiego górnopłata skrzynki przynoszone z ciężarówki. Leciał na nich śnieg zasasyany i wyrzucany przez pracujące śmigło. Po zakończeniu załadunku grzejący się dotychczas ośmiocylindrowy silnik wszedł na wyższe obroty, a jego wycie zaczęło narastać, jakby nie mógł doczekać się startu.

Z ciężarówki wyskoczyło dwóch oficerów. Mężczyźni podbiegli do samolotu, sprawnie dostali się do jego wnętrza i zatrzasnęli za sobą drzwiczki. Po chwili jednostka rozpoznawczo-łącznikowa Fieseler Fi 156 „Storch” gwałtownie ruszyła. Po siedemdziesięciu metrach rozbiegu ryk jej zespołu napędowego zasygnalizował, że zaczęła się wznosić. Zaśnieżone, prowizoryczne lądowisko znajdujące się na skraju miejscowości Gross Weckow oddalało się. Maszyna wąskim łukiem zawróciła w kierunku południowym.

Sturmbannführer SD ¹ Rolf Krause spoglądał przez okienko na majaczące w dole zabudowania neoklasycystycznego kompleksu pałacowego. Błysnęła zamarznięta tafla pięciohektarowego stawu. Biały fieseler pomalowany w nieregularne ciemne pasy wszedł na wysokość przelotową trzech tysięcy metrów. Po chwili pilot zakomunikował:

– Polecimy kawalek na wschód, a potem odbijemy znowu na południe, aby ominąć szerszym łukiem Szczecin, który bywa często celem alianckich nalotów. – Po chwili milczenia dodał: – Pan wie, Sturmbannführer, co niedawno ich lotnictwo zrobiło z fabryką benzyny syntetycznej w Pölitz?

Krause uspokajająco poklepał pilota dłonią po ramieniu i rozparł się ciężko w fotelu.

Po chwili, wskazując głową kilka płaskich skrzynek stojących na podłodze, zapytał podwładnego:

– Hauptsturmführer! Dobrze zabezpieczyliście ładunek?

– Tak jest. Wszystko owinięte jutowymi workami nasączonymi naftą. Skrzynki od wewnątrz pokryłem wcześniej jakimś smarem, który dał mi pastor. Służył chyba do konserwacji mechanizmu w dzwonnicy albo... – przerwał, bo samolot wpadł w niewielką turbulencję. – Tak jak pan Sturbannführer rozkazał, zbiłem skrzynki gwoździami – dorzucił i kontynuował strzepywanie śniegu ze swojej kurtki typu Anorakanzug 43 w zimowym kamuflażu.

– A dokumenty?

– Mam tutaj. – Wskazał na stojącą obok niego solidną drewnianą walizkę z metalowym okuciem.

– Ja nie pytam, gdzie pan to ma, ale jak pan zabezpieczył zawartość – zachnął się Krause i spojrzał badawczym wzrokiem na podkomendnego.

– Miałem tylko to, panie Sturbannführer, co znalazłem na plebanii w garażu. Na szczęście pastor to chyba jakiś mechanik z zamiłowania.

– Czyli? – niecierpliwił się Krause.

– Papier był natłuszczony, widać po częściach samochodowych. Opakowałem nim szczelnie po kilka skoroszytów, związałem mocno sznurkiem i zalakowałem wzdłuż łączń. Przystawiłem naszą pieczęć sztabową. Z jakiegoś płaszcza gumowego, takiego, jakiego używają marynarze, wyciąłem duże kawałki, owinąłem nimi pakunki i skleiliśmy to na gorąco. Dodatkowo spiąłem skórzanymi paskami. Całość włożyłem do walizki. Tak jak w przypadku skrzynek, jej wnętrze pokryłem smarem. Również krawędzie przed zamknięciem.

– Świetnie. Brawo. Jestem pod wrażeniem pana inwencji. – Krause uśmiechnął się, a po chwili krzyknął do pilota: – Kapitanie!

– Słucham.

– Na pewno dolecimy na miejsce bez międzylądowania?

– To w linii prostej niecałe pięćset kilometrów, powinniśmy dać radę. Ale zobaczymy, jakie będą warunki pogodowe. Najwyżej wylądujemy w Grünbergu. Znam to lotnisko jeszcze sprzed wojny. Byłem tam na letnim obozie szybowcowym jako młody chłopak. Poza tym... musimy uważać. Może tu operować bolszewickie lotnictwo rozpoznawcze.

– Tutaj? Za naszymi ufortyfikowanymi liniami? – zdziwił się Krause.

– Nie dostał pan ostatniego komunikatu? Bolszewicy zajęli już Warszawę i podchodzą pod Opole. A to już niedaleko od nas. Zresztą proszę spojrzeć na mapę. Zaznaczyłem trasę lotu. Teraz kierujemy się na Stargard.

Kapitan Luftwaffe podał Krausemu mapę z zaznaczonym miejscem startu z prowizorycznego lądowiska w Gross Weckow na wyspie Wolin.

– Proszę spojrzeć na następne strony. Tam podkreśliłem na czerwono Passendorf. Tak jak pan mówił, obok wsi, po przeciwnej stronie niż kościół, jest

dość rozległa, w miarę płaska polana. Dokładnie sprawdziłem. – Kapitan przekrzykiwał jednostajny warkot silnika i świst powietrza.

– Znajdziecie to miejsce? Damy radę bezpiecznie tam wylądować?

– Fieselerowi wystarczy dwadzieścia, trzydzieści metrów na lądowanie. A na tych płozach po śniegu przyziemimy jak na betonce – odpowiedział pilot.

– Mussoliniego wywiózł w czterdziestym trzecim taki jak ten fieseler, to i nas tam w góry dowiezie – roześmiał się.

– Nie wiedziałem, że ten mały, niepozorny samolotek jest taki dzielny. – Krause pokręcił głową z uznaniem.

– Jak pan Sturmbannführer powiedział parę dni temu, że tam lecimy, to poszperałem w bibliotece pałacowej i znalazłem dokładną mapę turystyczną, a nawet publikację na temat tych... Heuscheuergebirge, wprawdzie z tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego, ale jednak. – Pilot wyjął z kieszeni kurtki książkę i przeczytał: – „Krótka historia uprzęśnienia Szczelińca wspomniana przez przewodnika po Szczelińcu sołtysa Franciszka Pabla”. Tam są, jak pan sam pewnie wie, piękne tereny. Proszę! – Podał swoje znaleziska starszemu z oficerów SD.

– Brawo, kapitanie! Mamy świetną lekturę, panie Hauptsturmführer – roześmiał się Krause, zwracając się do siedzącego obok i wciąż poprawiającego mundur towarzysza.

Po chwili przeglądania materiałów od kapitana Krause nachylił się ku podwładnemu i powiedział:

– Oddział specjalny czeka na nas w takim pensjonacie... – Zaczął jeździć palcem po mapie. – Jest: Hugo Teuber's Gasthof. A właściciel miejscowego sklepu... o, tutaj – pokazał napis „Nentwigs Warenhandlung” – wskaże dokładnie miejsca. Jego sklep mieści się w dużym, drewnianym domu z dwuspadowym dachem. Przylega do niego stodoła. Łatwo będzie znaleźć.

– To pewny człowiek?

– Pewny. Dla Sicherheitsdienst pracuje od trzydziestego siódmego.

– Rozumiem. A o jakie miejsca chodzi?

– Jedno jest tutaj, niedaleko kościoła. Na niewielkim skłonie. – Wskazał na mapie kółko z krzyżykiem. – A drugie obok kamiennego mostu koło wodospadu. – Stuknął palcem w napis „Wasserfalle”. – Jakaś godzina drogi pieszo od kościoła. Po śniegu może nam to zająć więcej czasu. Idzie się koło tej polany, na której mamy lądować, i obok dość nowego domu z wysokim, spadzistym dachem. Wszystko jasne?

– Tak jest.

– Jeździ pan na nartach? – zapytał niespodziewanie Krause.

– Tak!

– Świetnie. Przyda się to panu w tamtych warunkach. Przynajmniej do wiosny. Będzie miał pan okazję potrenować zjazdy i podejścia. Na wyciągi nie liczyłbym, bo ich w okolicy, jak pamiętam, nie ma.

– Będziemy tam siedzieć do wiosny?

– Jak się okaże, że trzeba, to i dłużej. Takie rozkazy otrzymaliśmy z Berlina. Passendorf to duża wieś, jakieś... tysiąc mieszkańców. Może nawet znajdzie pan tam interesujące damskie towarzystwo – roześmiał się Krause.

– A jak z łącznością, panie Sturmbannführer?

– Mamy radiostację na miejscu i drugą, dużą, zainstalowaną i zakamuflowaną w schronisku na szczycie Grosse Heuscheuer. Tam w Szwajcarce...

– W czym?

– Szwajcarka, tak nazywają to schronisko. Mamy tam pięcioosobowy oddział, który prowadzi ciągły nasłuch. Stamtąd wysyłamy także meldunki do centrali. Jeszcze jakieś pytania?

– Nie. Wszystko jasne – odpowiedział Hauptsturmführer tonem służbisty.

– Proszę dokładnie się przyjrzeć mapie i poczytać ten przewodnik od pana kapitana. – Skinął głową w kierunku pilota. – Może się przydać taka wiedza... terenowa. Aha... – Krause zawiesił głos.

– Tak?

– Czy zabezpieczył pan ewakuację dla żony i dzieci pastora?

– Myśli pan, że będzie to konieczne? Że bolszewicy przełamają nasz Pomernstellung?!

– Panie Hauptsturmführer, pan pracuje w wywiadzie, a nie w Ministerstwie Propagandy i Oświecenia Publicznego Rzeszy! Trzeba zakładać najgorsze sytuacje, wtedy nic nas nie zaskoczy. Zrozumiał pan?!

– Tak jest!

– Co „tak jest”?! Zadałem panu proste pytanie!

– W przypadku realnego zagrożenia szef komórki SD w Swinemünde ma ewakuować pastora i jego rodzinę. Jest za to osobiście odpowiedzialny.

Krause pokiwał głową.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Ja się teraz trochę zdrzemnę... Niech pan popatrzy, jaki piękny wschód słońca nad Stettiner Haff. – Mrużąc oczy, stuknął palcem w skórzanej rękawiczce w szybę z pleksi. – Zapowiada się wspaniały, zimowy dzień. – Uśmiechnął się pod nosem.

Podłożył pod policzek wewnętrzną część kaptura kurtki i zsunął niżej na czoło swoją bergmutze – czapkę z daszkiem jednostek górskich, z metalową szarotką z boku. Już zasnął, kiedy pilot lekko ściągnął na siebie wolant i przekreślił go. Samolot uniósł się nieco i po zwrocie przez prawe skrzydło obrał

kurs na południe, zostawiając daleko na horyzoncie iskrzącą się srebrzyście
taflę Zalewu Szczecińskiego.

Rozdział 3

Świnoujście – wiosna 1949

Przy niewielkim kutrze rybackim uwijało się kilka osób. Podobnie jak na innych jednostkach, przygotowywano się tu do wyjścia w morze o wschodzie słońca. Kutry, mimo że dobrze przycumowane przy nabrzeżu, kołysały się w rytm fal przyboju. W ciemnościach rozjaśnianych tylko przez lampy naftowe zapalone na pokładach i kilka latarni na nabrzeżu trwał załadunek skrzyń, sieci, lin, lodu i prowiantu. W oknach niewielkich kamienic stojących przy porcie nie świeciło się ani jedno światło. Wiosenna słońca, noc i ciemna toń uchodzącej do morza Świnu nadawały temu miejscu dość ponury wyraz.

– Panie szyper, panie Szytk?! – rozległ się donośny krzyk jednego z rybaków.

– Co tam, do cholery? – odpowiedział inny, nieco przytłumiony głos należący do postawnego mężczyzny, który właśnie uchylił drzwi kabiny.

– Panie szyper! Nie ma jeszcze mechanika! A za dwie godziny wychodzimy w morze. Niedługo będzie świtać – zameldował przybyły, ocierając dłonią czoło mokre od siąpiącego deszczu ze śniegiem.

– Hmm... Jak nie przestanie padać, to nas wypuszczą dopiero za trzy godziny. Zresztą przy takim wietrze nie zamierzam wypływać. Rano pogoda ma się polepszyć. – Szyper spojrzął na pędzące nisko ciemne chmury.

Stefana Szytkę z podwarszawskiego Wawrzyszewa przywiała do Świnoujścia powojenna zawierucha. Część rodziny zginęła w powstaniu warszawskim, część została zamordowana w egzekucjach. On, będąc żołnierzem AK, dostał się do niewoli. Stefan jeszcze jako młodzieniec marzył o pływaniu po morzu. Nie przypuszczał, że wojenna tragedia doprowadzi do spełnienia tych marzeń. Nie wrócił już do Warszawy. Po uwolnieniu z obozu jenieckiego dotarł tutaj, do Świnoujścia. Postanowił zacząć wszystko od początku.

Szytk był człowiekiem obrotnym, mającym wiele znajomości, nie unikał też drobnego handlu z marynarzami w porcie, a czasem na morzu. Jego pozycję społeczną wzmocnił ślub z Zofią pochodzącą z warszawskiego Mokotowa,

również żołnierzem AK, która później po wstąpieniu do I Armii WP cieszyła się poważaniem w lokalnej społeczności, a nawet u władz. Na tyle dużym, że bez problemu dostała na własność pensjonat w Międzyzdrojach. To od niej właśnie Szytk przejął smykałkę do handlu.

Drzwi sterówki nagle się otworzyły, do środka wbiegł młody chłopak ubrany w gumowany płaszcz z kapturem, uwijający się wcześniej wokół skrzynek w części dziobowej kutra.

– Chyba już jedzie! – krzyknął. – Panie szyper! Tam! – Wskazał ręką przez otwarte drzwi.

– Zamykaj, młody, bo mi tu wody i śniegu nawpada, a i ciepło ucieknie! – odpowiedział Szytk, po czym sam wyszedł na pokład i spojrzał w kierunku nabrzeża.

– O, tam! – Chłopak wskazał na mężczyznę na rowerze z przymocowaną do bagażnika walizką.

Kilkadziesiąt metrów od kutra w strugach coraz obficie padającego deszczu Szytk dostrzegł Eryka, ich mechanika. Mężczyzna, ubrany tak jak oni w płaszcz z kapturem, kołysał się na rowerze, walcząc z porywami wiatru. Był jednak coraz bliżej i w końcu zatrzymał się przy mającym kształt wielkiego grzyba polderze oplecionym linami cumowniczymi ich jednostki. „Po jaką cholere mu ta walizka. Jakies fanty w niej przyniósł? W ogóle on jakiś aligant dzisiaj?! Przecież wopiści nie wypuszczą go na morze” – myślał Szytk.

– Panie szyper, panie Szytk. Przepraszam. Bardzo przepraszam – rzucił z daleka nieco łamaną polszczyzną z wyraźnym niemieckim akcentem, przekrzykując szum deszczu i gwizd porywistego wiatru. – Miałem sprawę... – urwał.

– Dobra już, dobra, panie Eryku. Nie będę przecież pana besztać – przerwał mu Szytk. – *Alles ist gut*. Bierz się pan do roboty! Szkoda czasu. Do wyjścia z portu mamy jeszcze... ze trzy godziny. – Odwrócił się, chcąc wrócić do sterówki. – Ten cholerny północno-zachodni wiatr. Jedyne, czego tutaj nie lubię, to właśnie to przeszywające gówno wiejące od Danii – mruknął pod nosem, ocierając dłonią mokrą twarz.

– Ale panie szyper... – dobiegł go głos Eryka.

– O co chodzi, panie Eryku?

– Ma pan szyper chwilę? Bardzo proszę. To ważne.

Szytk popatrzył na niego i zrozumiał, że mechanik ma mu rzeczywiście coś istotnego do powiedzenia. „Nigdy nie widziałem u niego takiego wyrazu twarzy. Do tego ta jego walizka, co to ją tak ściska w dłoni. O co mu chodzi, do jasnej anielki?” – pomyślał.

– Dobra. Mamy trochę czasu – zwrócił się do Eryka. – Musi się rozwidnić i przestać tak wiać. Napijemy się w sterówce gorącej herbaty po góralsku. Na rozgrzanie.

Eryk wszedł ostrożnie na pokład i ruszył za Szykiem. Zamknęli za sobą drewniane drzwiczki z niewielkim bulajem. Zaczęli strzepywać z długich, gumowanych płaszczy wodę. Potem zdjęli je i powiesili na haczyku na drzwiach. Szyk zapalił maszynkę benzynową. Postawił na niej czerwony, emaliowany dzbanek. Po paru minutach z metalowego, mocno zużytego pudełka z napisem „English Breakfast” wsypał do bulgocącej już wody łyżkę liściastej herbaty.

– Pamiątka. Dostałem od Anglików, jak nasz obóz wyzwalali – powiedział, stukając palcem w pudełko.

Po chwili rozlał parujący napój do dwóch białych porcelanowych kubków z nadrukiem „SS Reich” wyprodukowanych specjalnie dla tej niemieckiej dywizji. Do każdego dodał trochę płynu z pękatej, brązowej butelki ze złotą naklejką firmującą brandy.

– Tu jest cukier. – Wskazał na szklany słoik. – To jaką masz pan ważną sprawę do mnie, panie Eryku? – Popatrzył na mechanika przenikliwym wzrokiem.

– Panie Szytk. Pan jesteś porządny człowiek. Ja to wiem. Nigdy z pana strony nic złego mnie nie spotkało. A o to Niemcowi niełatwo w Polsce. Ja...

– Widzę, że bierzesz mnie pan pod włos – odezwał się Szytk.

– Nie, to nie tak. To... Hmm... Ja już tutaj nie mogę żyć. Muszę uciekać.

– Ohohooo, to poważna sprawa. – Szytk upił łyk gorącej herbaty. – Panie Eryku, posłuchaj pan. Jestem zadowolony z pana pracy. Nawet nie wnikałem, dlaczego mnie pan oszukałeś...

– Ja?! Pana szypra? Panie Szytk, panie Stefanie, ja... – Utkwił wzrok w Szytku.

– Dobra, dobra. Posłuchaj pan. Nie wnikałem, dlaczego mnie pan oszukałeś. Sprawdziłem w tym waszym Gross Weckow, czyli po naszymu obecnie Wiejkowie. Tam nie było przed wojną ani w czasie wojny żadnego pastora o nazwisku Roppel. – Spojrzał na mechanika.

– Panie Szytk. Eryk to mam na imię naprawdę. Musiałem zmienić nazwisko, żeby nikt się mnie nie czepiał. Tylko panu powiedziałem, że byłem pastorem w Gross Weckow, to znaczy w Wiejkowie. Tylko panu ufam. Dlatego...

– Dlatego nie powiedziałeś mi pan od razu, w czym rzecz.

– Nie, to nie tak. Niech mnie pan szyper zrozumie. Ja wszystko wytłumaczę.

Szytk patrzył na mechanika badawczym wzrokiem, siorbiąc co chwila herbatę z alkoholem. Eryk spoglądał na niego niepewnie. Oplatał dłońmi swój por-

celanowy kubek, jakby chciał wyciągnąć z niego całe ciepło. Po chwili też się napił. Potem znowu i znowu, ale jakby bardziej nerwowo.

– Chcesz pan, panie Eryku Roppel, czy jak się tam pan naprawdę nazywasz, dymać na Zachód? Tak? Przeflancować się do lepszego świata? Cwaniak z pana. – Mężczyzna pokręcił głową.

– Mam tam dzieci. Pod koniec wojny, po tych nalotach alianckich na Świno-ujście w marcu i kwietniu, kiedy tyle ludzi zginęło, urwał mi się kontakt z osobami, które miały mnie stąd ewakuować na Zachód. Udało mi się jedynie dzieci wysłać kutrem. Dostałem później wiadomość, że dotarły do Hamburga, do moich dalekich krewnych. Myślałem na początku, że da się tu żyć... Że będzie inaczej. Przeliczyłem się.

– A żona?

– A żona... – W oczach mężczyzny błysnęły łzy. – Jak Armia Czerwona weszła na Wolin, to dotarli do Wiejkowa. Słyszeliśmy, że z nią idą też jednostki polskie. Modlili się wszyscy we wsi, żeby to oni weszli, nie Sowieci. Niestety. Mieszkaliśmy wraz z różnymi uciekinierami u nas na plebanii – urwał i otarł policzek z łez. – Znalazłem ją zgwałconą i zadżganą bagnetami w kościele przed ołtarzem. Leżała w kałuży krwi. Obok niej konały niedobite strzałem czy bagnetem inne kobiety. Między ławkami trafiłem na kilka następnych trupów, także zgwałconych i zastrzelonych chłopców z naszej wsi. Nic nie mogłem zrobić. Jak wpadli na plebanię, to obili mnie kolbami. Jak przez mgłę słyszałem krzyki, wrzaski i pojedyncze strzały...

Mechanik przerwał opowieść.

Stali w milczeniu, ściskając w rękach kubki. Sztyk patrzył na płaczącego mężczyznę. Nigdy nie przypuszczał, że będzie mu żal jakiegoś Niemca. Że po tym, co zrobili z jego Warszawą, może jakiemuś przedstawicielowi tego narodu współczuć, że będzie po tej samej stronie, co on. Bo tak samo nienawdził tego sowieckiego bydła, tej czerwonej zarazy ze wschodu, tak jak ten biedny ewangelicki pastor ocierający teraz łzy. Położył dłoń na ramieniu mężczyzny, a potem dwa razy delikatnie go poklepał. Odczekał chwilę, bo i jemu ścisnęło gardło, a w końcu zapytał:

– A nie próbowałaś pan jakoś przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż? Czy z tymi transportami do Lubeki. Taki statek... Isar tam pływał. Pamiętam.

– Ja zadeklarowałem pochodzenie polskie po matce i że chcę tu zostać. Bałem się, że mnie gdzieś Sowieci wyślą, jak innych, do obozu, czy wezmą za dywersanta albo szpiega.

– Aaaa. Toś się pan rozmyślił, jak mniemam. Już nie chcesz być pan Polakiem. Znowu Niemcem. Czy może jakieś interesy pana tu trzymały? – Spojrzał badawczo na Eryka. – A co z tymi próbami?

– Próbowałem, panie szyper, próbowałem. Z rok temu rozmawiałem z marynarzami z Ruth i Svodii, które pływają do Göteborga.

– I co?

– I nic. Po tej aferze, gdy zawrócili prom do Gdyni, że niby kapitan i załoga przemycali ludzi, bali się. Panie Szytk! Nawet starałem się przez wicekonsulat szwedzki w Szczecinie, w tym ich Domu Marynarza Szwedzkiego. I krótko po wizycie tam przesłuchiwali mnie na Strażnicy Portowej.

– Nasi? Ze Strażnicy Portowej numer 72? Z 46 batalionu? Który to?

– Zastępca do spraw zwiadu i jakiś drugi w cywilnym ubraniu.

– Aaaa. Ten, jak mu tam, porucznik... – Tu Szytk nie był szczery z rozmówcą.

Zastępcę komendanta do spraw zwiadu znał bardzo dobrze. Wopista pochodził z warszawskiego Czerniakowa. Przepluwając przez Wisłę, przedarł się z powstania do I Armii Wojska Polskiego i dotarł z nią do samego Berlina. Nie ujawnił nigdy, że należał do AK. Po zakończeniu działań wojennych wracał z repatriantami do Polski. W drodze poznał przyszłą panią Szytkową, sierżant Zofię Kupiec, która też właśnie na Pomorzu Zachodnim postanowiła znaleźć nowe życie, nowy dom, zacząć wszystko od początku, wyprzeć wojenne traumy. Od tego czasu przyjaźnili się.

– I co dalej?

– I teraz to już na pewno mnie nie puszcza. – Mechanik opuścił głowę i zaczął bezwiednie kręcić kubkiem.

– Czyli jesteś pan potrzebowski. Hmm... Jak pan to sobie wyobrazasz? Że zabiorę pana na morze? Że na Bornholm popłynę?

– Panie szyper, ma mnie pan za naiwnego? Przecież wiem, że na morzu podpływacie do duńskich czy szwedzkich jednostek i prowadzicie z nimi handel.

– Ale handel to jedno, a przemyt człowieka to drugie. Nie zapominaj pan, gdzie żyjemy! W jakim kraju! Tu nie wystarczy jakieś małe ecie-pecie. Pan wiesz, o czym mówię? – powiedział lekko podniesionym głosem Szytk.

– Panie szyper, ja wiem, rozumiem...

– Aaa, co pan tam wiesz, co rozumiesz – zachnął się Szytk, przerywając męczyźnie.

– A wiem. Pan i pańska żona jesteście ludźmi interesu. Nic za darmo. Tak?

Mechanik wyjął z kieszeni spodni jutowy woreczek, rozwiązał go i wysypał z niego kilkanaście złotych monet z wizerunkiem cara Mikołaja II.

– Świnki – powiedział Szytk, patrząc na monety. – Sporo tego. A tam co pan masz? – Wskazał głową w kierunku walizki.

– Panie Stefanie, mogę pokazać. To pamiątki rodzinne, dokumenty, małe obrazy, jakaś stara biżuteria, jeden medalion... – zawiesił głos. – To jak

będzie? – zapytał po chwili.

– Poczekaj pan tu na mnie. Hamuj pan piętą! Nie tak szybko! – Szytk spojrział ciężkim wzrokiem na Niemca. – Muszę coś załatwić, wdepnę do WOP-u. Nie może być żadnej krewy. Rób pan swoje. Sprawdź silnik i przewody paliwowe. Aha. Weźmiemy większy zapas ropy – powiedział i zarzucił na siebie gumowany płaszcz. – A właśnie, nigdy o to pana nie pytałem: skąd zna pan polski?

– Uczyłem się po wojnie. A wcześniej... Na początku mojej służby dla Boga i ludzi jako młody pastor pracowałem w Niederschlesien, to znaczy na Dolnym Śląsku, w takiej niewielkiej wiosce w górach. Poznałem tam moją przyszłą żonę. Jej dziadek pochodził z Polski. Poza tym, a może właśnie dlatego, że żona mówiła po polsku, zatrzymywali się u nas turyści i kuracjusze polscy.

Szytk jeszcze raz poklepał Roppela w ramię. Widział, że opowieść o żonie sprawia mu duży ból.

– Ale pamiętaj pan, panie Eryku, nie możesz się pan spietrać, bo będzie bieda... Dobra, to idę. Zamelinuj się pan pod pokładem i nosa na zewnątrz nie wystawiaj.

– Panie szyper, panie Stefanie. Chwileczkę. – Mężczyzna schylił się i wyjął z walizki niewielki, złoty medalion. – To bardzo stary i wartościowy przedmiot. Przyda się, jak będzie pan... coś załatwiać w WOP-ie. Nic więcej już nie mam. – Spojrzał na Szytka, który wziął medalion z jego dłoni i wyszedł.

* * *

– Stefan, stary, czy ty wiesz, która jest godzina? – powiedział zaspanym głosem młody porucznik, zakładając na siebie zielony mundur. – Co może być tak ważnego, że mnie w domu z łóżka wyciągasz?

– A co miałem zrobić, skoro nie było cię na służbie w Strażnicy Portowej – odpowiedział Szytk.

– Nie mam dzisiaj służby. Chodźmy do kuchni, bo syna i córkę obudzimy. Trochę chorują ostatnio. Dlatego wziąłem wolne, żeby żonę odciążyć. Dwie noce nie spała, tylko siedziała przy ich łóżkach.

Mężczyźni przeszli przez mały korytarz.

– Mów, w czym rzecz? – Oficer podszedł do kuchennego stołu, wziął paczkę papierosów i zapalił jednego.

Szytk opowiedział mu historię mechanika.

– Kurwa, ciężka sprawa. To ten, który mieszka niedaleko starej przystani promowej w Warszawie?

– Tak.

– Cholera. Bezpieka się nim interesuje. – Pokręcił głową. – Z komendantem to bym załatwił, ale ten chuj zastępca do spraw polityczno-wychowawczych... Ideowiec.

– Słuchaj, ja wiem, że to trefna sprawa. Ale... połowa świnek twoja. Dołożę ci jeszcze to. – Szytk położył na stole gruby medalion w jakieś wzory i znaki. – Mówił, że złote, stare i wartościowe. Sztymuje ci?

– Stefan! A co ja z tym zrobię?! Muzeum założę w strażnicy?! – Zaczął kręcić medalionem na blacie stołu.

W kuchni starego domu przy ulicy Matejki, wcześniej, do czterdziestego piątego roku, Gadebuschstrasse, zapadło milczenie. Porucznik i Szytk wpatrywali się w leżący na stole medalion. Za oknem między konarami drzew świszczła wiatr, a od strony plaży dochodził huk fal rozbijających się o brzeg. Stojąca na stole lampa naftowa migotała ciepłym światłem, a po pomieszczeniu rozchodził się zapach palonego papierosa.

– Dobra! – Wopista pierwszy przerwał milczenie i zaciągnął się mocno. – Z komendantem jakoś to załatwię. Od czasu, jak wspólnie goniliśmy po wojnie pod Szczecinem różne bandy zbójów i niedobitki własowców łupiących i Niemców, i Polaków, to... Zresztą... Niedługo Wielkanoc... – zawiesił głos. – Wisisz mi dla niego brandy i dołożysz koguta ze swojego kurnika. – Mrugnął okiem do szypra. – A właśnie, Stefan, skąd u was takie wielkie kury, koguty, pies, nawet porzeczeki i wiśnie w ogrodzie? – zapytał oficer, zmieniając temat.

– Nie wiesz? Resztki po rybach z wędzarni i ze sklepu zakupujemy w ogrodzie albo karmimy nimi zwierzęta.

– Niesamowite... niesamowite... – Wopista jakby się zamyślił.

– Stary...

– Tak? Co jeszcze, Stefan? – Porucznik ocknął się z zadumy.

– A co z zastępcą?

– A jebał go pies! Posłuchaj, wracaj do portu. Niech ten twój Niemiec schowa się, ale już teraz, pod pokład. Tak na wszelki wypadek. Oczywiście twoja załoga morda w kubel.

Szytk lekko się uśmiechnął i wstał zza stołu.

– Skitram go na samym dnie kutra. To sztama?

Porucznik kiwnął głową, podrzucił medalion i schował go do kieszeni bluzy.

– Mam tylko jeszcze jedną prośbę – odezwał się Szytk. – Nie mów nic o tym Niemcu przy Zosi. Wiesz, ona ma jeszcze traumę po powstaniu... Nie opowiadała ci? – spytał, gdy wopista spojrzał na niego lekko zdziwiony.

– Nie.

– Poszła do powstania. Jej mąż miał stawić się na koncentrację oddziału następnego dnia. Ale jak bomba walnęła w ich kamienicę przy Szustra, to i on, i sąsiedzi dosłownie... wyparowali.

– Cholera, nie wiedziałem. – Pokręcił głową, a po chwili powiedział: – I ty, Stefan, pomagasz... Niemcowi? Nie rozumiem cię, stary.

– Pomagam człowiekowi skrzywdzonemu tak samo jak ja i ty, i Zosia przez tę cholerną wojnę. – Sztyk zrobił pauzę. – Tyle że nie wiem, czy ona by to zrozumiała.

* * *

Minęła już siódma, kiedy kuter rybacki prowadzony przez Sztyka mijał w kanale portowym stojące wzdłuż nabrzeża niewysokie kamienice i pozostawiał w oddali wieżę kościoła tudzież kominy w rejonie stoczni. Przepływając koło szarej jednostki patrolowej, Sztyk dał syreną dwa przeciągłe sygnały. Otworzył drzwiczki i pomachał do stojących na pokładzie marynarzy w granatowych mundurach i białych czapkach. Tak jak przewidywała prognoza otrzymana z kapitanatu portu, deszcz ze śniegiem przestał padać i zamienił się w mżawkę, której towarzyszyły jedynie nieliczne płatki śniegu, pułap chmur nieco się podniósł, wiatr zelżał – ale po docierających do kanału portowego falach widać było, że morze jest jeszcze wciąż niespokojne. Dieslowski silnik kutra pykał równomiernie, zmieniając jedynie swoją intonację, kiedy jego dziób ciął co większe fale. Powoli oddalał się od brzegu i zmierzał w kierunku niewidocznego, przesłoniętego ciężkimi, ołowianymi chmurami horyzontu.

Rozdział 4

Lidzbark Warmiński – lato 1966

Liczący sobie około dwudziestu lat mężczyzna spojrzął na krzyż i minął murowaną, przykrytą czerwoną dachówką bramę prowadzącą na cmentarz nazywany popularnie leśnym. „Dlaczego nigdy nie zastanawiałem się, co jest napisane pod tym krzyżem? Co chciał wyrazić twórca tym niemieckim gotykiem, może coś uniwersalnego?” – pomyślał. Zmierzając przez teren dawnych ogrodów na grób swojego ojca, zawsze się zastanawiał, jak one kiedyś wyglądały, gdy spędzali tutaj wolny czas ludzie, spacerując po alejkach, przyciągani zapewne kompozycją i pięknem parku, tak dobrze wpisującego się w krajobraz okolicy. Pokonując kolejne tarasy i mijając kapliczki drogi krzyżowej cmentarza, wyobrażał sobie szumiący potok spływający wartko do stawów poniżej. Pod licznymi rozłożystymi drzewami dającymi ludziom chwile wytchnienia od letniego żaru spacerowały w jego wyobrażeniach eleganckie damy i towarzyszący im panowie.

Pogrążony w artystyczno-historycznych rozważaniach dotarł w końcu do kręgu nieopodal stojącej na szczycie wzniesienia kaplicy Ukrzyżowania. Dzisiaj przypadała kolejna rocznica śmierci jego ojca – porucznika Wojsk Ochrony Pogranicza, który, jak napisano na nagrobku: „Broniąc polskości Warmii i Mazur, zginął w walce z bandami reakcyjnego podziemia w 1952 roku”.

Matka wiele opowiadała mu o ojcu, Karol jednak nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego musieli przeprowadzić się z nadmorskiego Świnoujścia do tej dziury. Gdyby nie to, ojciec żyłby jeszcze, a on miałby z kim się bawić, grać w piłkę, jeździć na wakacje czy rozmawiać o świecie. Pamiętał jak dzisiaj tę chwilę, kiedy dzieci na podwórku wołały, że jego ojciec nie żyje, że został zastrzelony. Pamiętał, jak biegł do domu z płaczem i jak zastał tam szlochającą matkę. Ten widok powracał do niego niejednokrotnie, stał się bez mała częścią jego samego, projekcją pojawiającą się w trudnych sytuacjach życiowych.

Teraz jak co roku pochylał się nad grobem ojca, ściskając w dłoni złoty medalion, o którym jego matka mówiła, że jest przeklęty, że to przez niego całe

zło, że ściągnął na ich rodzinę nieszczęście. Ale on w to nie wierzył, był wręcz przeciwnego zdania. Przecież to właśnie ten stary medalion pchnął go na Uniwersytet Warszawski, na historię sztuki. Myślał nawet, że może wróci do Lidz-barka i zostanie kustoszem, a potem dyrektorem Muzeum Warmińskiego na zamku będącego oddziałem Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Marzył, że to on sprawi, iż w końcu ruszą poważne prace konserwatorskie w tej średnio-wiecznej budowli obronnej. Na razie miał za sobą dopiero drugi rok studiów.

Było coś jeszcze, co nie dawało mu spokoju, kiedy tu przychodził, i nie tylko. Dlaczego jego matka po śmierci ojca i ponownym zamążpójściu również jemu i jego siostrze zmieniła nazwisko. Pytał ją o to wielokrotnie, ale nigdy nie chciała mu tego wytłumaczyć. Ojczym zaś wzruszał ramionami i odsyłał do matki. Kiedy byli dziećmi, mówił coś o tym, że to on jest teraz ich ojcem, że on ich wychowuje, więc nie pytali o nic więcej. To im wystarczało. A że nazwisko na grobie nie było takie samo jak to, które nosili, czyli Zender, nie miało dla nich znaczenia. Tym bardziej że ojczym też był funkcjonariuszem Milicji Oby-watelskiej. Chłopiec jakoś sobie wtedy sam idealistycznie tłumaczył, że to pewna kontynuacja, że Zender był przyjacielem ojca. Po latach dowiedział się, że ojczym pracował po wojnie w Urzędzie Bezpieczeństwa na terenie Podlasia, Suwalszczyzny, Mazur i Warmii. A jego matkę poznał na jakiejś potańcówce w ośrodku wczasowym nad jeziorem.

Ojczym uchodził w lokalnej społeczności za osobę zamożną, co dziwiło Karola, bo jako milicjant nie miał szczególnie wysokiej pensji. Niektórzy zawistni mówili, że jest Żydem, że był zamieszany w jakieś machlojki zwią-zane z pożydowskimi nieruchomościami. Teraz chłopak coraz częściej zastana-wiał się nad tym, kim był jego prawdziwy ojciec. Dlaczego tu przyjechali, dla-czego w jakiś czas po tragedii musieli zmienić nazwisko? Skąd ojczym miał pieniądze na wybudowanie domu, zakup radzieckiego samochodu marki Moskwicz, wczasy nad morzem latem, a zimą w górach? Dlaczego niedawno musiał nagle odejść ze służby w milicji? I w końcu – skąd wziął się ten meda-lion?

Rozdział 5

Warszawa – wiosna 2011

Nie milką komentarze o nadchodzącym przewodnictwie polskim w Radzie UE. Jaki wpływ będzie miał na funkcjonowanie całej UE fakt, że pałeczkę prezydencji Donaldowi Tuskowi przekaze premier Węgier Viktor Orbán? – zastanawiają się dziennikarze. Również szeroko komentowane są słowa szefów unijnych instytucji: Hermana Van Rompuy, José Barroso i Jerzego Buzka...

Dziewczyna przesunęła palcem po ekranie smartfona.

Proces polskiego dziennikarza i działacza Związku Polaków na Białorusi Andrzeja Poczebata przed sądem w Grodnie. Mówi się o karze trzech lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata za zniesławienie prezydenta Aleksandra Łukaszenki. Mińsk odrzuca...

– Co tak zawzięcia czytasz, Anita?!

Słyszac znajomy głos Marcina, dziewczyna oderwała wzrok od ekranu.

– A tak patrzę, co się dzieje na świecie. Myślę, że w firmie musiało być ostatnio sporo roboty przez te sprawy na Białorusi.

– Zapewne. – Marcin zrobił pauzę i zapytał: – Sebastian jak zwykle się spóźnia? – Spojrzała na zegarek. – Zamówię... hmm... zimną wódkę, co? – spytał, a Anita przytaknęła. – O, idzie już! Prawie się spóźnił. – Wskazał głową w kierunku drzwi wejściowych.

We wczesnych godzinach popołudniowych w restauracji Lotos na warszawskim Dolnym Mokotowie nie było zbyt wielu gości: trochę tak zwanych emerytów resortowych wspominających stare, dobre czasy służby w MO i SB, jacyś filmowcy z nieodległej Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przy Chełmskiej oraz oni – trójka przyjaciół z okresu szkolenia w Ośrodku Kształcenia Kadr Wywiadu w Starych Kiejkutach. Od tamtego czasu, od chwili zakończenia ich kursu oficerskiego, minęło kilkanaście lat. Mimo że ich drogi zawodowe rozeszły się, Anita Wandol, Sebastian Tomanowicz i Marcin Łodyna starali się utrzymywać ze sobą kontakt.

– Z przyjemnością konstatuję, że zamówiliście już coś do picia – powiedział Sebastian, widząc Marcina wracającego z baru.

– Cześć, Sebastian – rzucił już z daleka Marcin.

– Cześć. Anita, cześć.

Wszyscy mocno się uścisnęli.

– Ile to już lat się nie widzieliśmy, chłopaki?

– Ze trzy? – odpowiedział niepewnie Sebastian.

– Tak, trzy – potwierdził Marcin. – Trochę się wymijaliśmy w pracy i w życiu – dodał i rozlał do kieliszków przyniesioną po chwili przez kelnerkę zmrożoną wyborową. – Jak ja lubię kształt tej butelki. Jest po prostu... sexy!

– Ty jak zwykle o jednym. Nic się nie zmieniłeś. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – My z Sebastianem widzieliśmy się, ale ty, kiedy zniknąłeś po tej Ameryce Południowej, to jak kamień w wodę. Gdzie cię wywiało po powrocie z Caracas w dwa tysiące piątym? – spytała.

– Ech, opowiem wam później.

– Siedział między Wenezuelkami i Kolumbijkami, więc się mu nie dziwię, że się mocno zachłysnął i musiał gdzieś odreagować – wtrącił Sebastian. – To nasze zdrowie. Bo zdrowie najważniejsze.

– À propos zdrowia, nie wiecie, co u pułkownika Tortaka? Podobno chorował? – zapytała Anita.

– Widziałem się z nim niedawno w Krakowie. Byłem tam służbowo. Nasz niestrudzony pułkownik Tortak miał jakiś czas temu operację kardiologiczną, ale teraz już wszystko w porządku – odpowiedział Sebastian. – Mocno przeżył pewne sprawy osobiste. Myślę, że stąd ten zawał. Ledwo chłop z tego wyszedł.

– A co się stało, Seba? – dopytywała się dziewczyna.

– Polej, Marcin, bo na trzeźwo tego nie da rady opowiedzieć.

Marcin wziął butelkę i napełnił kieliszki. Rozejrzał się odruchowo po lokalu pozostawionym w PRL-owskim wystroju z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wydawało mu się, że ktoś ich obserwuje. Postanowił jednak odłożyć podejrzenia na bok. „Może to tylko przywidzenia, tradycyjne złe przecucia. Cholerne »duchy«” – pomyślał.

– Pamiętacie, jaki Tortak miał plan na życie, odkąd przyszedł do służby. Zawsze o tym mówił: żeby wyjechać do Stanów, zarobić, kupić mieszkania dzieciom, no i dom dla siebie i żony na tej jego działce pod Wieliczką. Udało mu się.

– O tym domu z widokiem na Beskidy opowiadał mi w drodze powrotnej z Tajlandii, wtedy w dziewięćdziesiątym piątym. Do znudzenia. Był tym pomysłem zafascynowany. Taki cel w życiu.

– Właśnie – skwitował Sebastian.

– No i? – nie kryła ciekawości Anita.

– No i jak wybudował tę chałupę, a wcześniej dzieciom kupił te mieszkania w Krakowie, żył szczęśliwie. Wyszedł na prostą. I nagle, po krótkiej chorobie, zmarła mu żona. Jakiś wyjątkowo złośliwy nowotwór. Został sam w wielkiej chałupie. Sam jak palec. Nie może się z tym pogodzić. On, taki towarzyski. Nie lubi samotności.

– Sebastian, a kto lubi? Pewnie wpadł w depresję, stąd zawał – orzekła Anita.

– Też mi się tak wydaje.

– O kurwa, pierdołę! Nigdy na starość nie kupię sobie domu na wsi. Muszę żyć między ludźmi, widzieć wokół światła miasta, ruch, samochody – skomentował Marcin, a Sebastian pokiwał głową.

– Chłopaki, napijmy się za zdrowie pułkownika Tortaka – zarządziła Anita.

Podnieśli jakby bardziej uroczyście kieliszki, stuknęli się nimi i wychylili do dna. Pułkownik Mieczysław Tortak był dla nich kimś szczególnym. Kilkanaście lat wcześniej cała trójka wraz z nim właśnie realizowała złożoną operację wywiadowczą na terenie Wielkiej Brytanii, Maroka, RPA, Seszeli, Chin, Korei Północnej i Tajlandii. Związana ona była z północnokoreańskim programem atomowym. Dobranej według ustalonych kryteriów grupie młodych oficerów pomagał dawny polski nielegal pracujący kiedyś na kierunku niemieckim. Ów nielegal po zerwaniu związków z polskim wywiadem nawiązał nieświadomie współpracę z KGB. Potem zniknął w tajemniczych okolicznościach łączących się ze sprawą nieudanego zamachu na papieża Jana Pawła II. Współpracując przy tej okazji z amerykańską CIA, ówczesne władze polskie i kierownictwo polskiego wywiadu chciało dać Zachodowi kolejny argument na rzecz przyjęcia Polski do struktur euroatlantyckich.

– A co u ciebie, Anita? – zapytał Marcin spokojnym głosem. – Jak ci się układało przez te parę latek?

– No powiedz, powiedz – dołączył się Sebastian.

– A co tu opowiadać. Jak ty wyjechałeś na placówkę, to za namową rodziców wróciłam do męża. Dominika miała już parę lat. Ciężko mi było. Nawet nie wiecie, jak bardzo.

– Wróciłaś do tego faceta od wielkiej farmy na Lubelszczyźnie?! – dopytywał się Sebastian, a Anita przytaknęła.

– Tyle że on rozwinął swoją działalność. W czasie wyjazdów do Rosji wszedł w jakieś dziwne kontakty z tamtejszym biznesem. Został przedstawicielem firmy chemicznej z Moskwy, która kręciła się wokół puławskich Azotów.

– O kurczę, to śmierdzi ruskimi z Jesieniewa albo tymi drugimi z GRU – wtrącił Marcin.

– Tak. Na początku na Miłobędzkiej się z tego nawet ucieszyli. Dawało to duże możliwości wywiadowcze dla Agencji. Uplasowałam się u niego w firmie, co nie było żadnym problemem. Ale życie z nim, tam w Moskwie, stawało się coraz trudniejsze.

– To znaczy? W jakim sensie? – drążył Marcin.

– To znaczy w takim sensie, że... ruskie dziwki, nocne lokale, jacyś gangsterzy, wjazd FSB do nas do mieszkania na Arbacie, potem do biura firmy... Po tym wszystkim nasi kazali mi się natychmiast ewakuować z Rosji. A jak wróciłam, to czułam, że coś się dzieje wokół mnie. Należy, proszę.

Marcin podniósł butelkę, sprawdzając, ile w niej zostało. Spojrzał wymownie na Sebastiana, a ten kiwnął głową.

– Zjedzmy w końcu coś. Zamówmy po tradycyjnym schabowym z zasmażaną kapustą i ziemniakami. Aha, i flaki dla mnie. A dla was? – zapytał Sebastian.

– To samo – odpowiedzieli niemal jednocześnie Anita z Marcinem i przy ich stoliku zapadła cisza.

Sebastian poszedł do baru złożyć zamówienie. Anita milczała, patrząc w okno na przesuujące się w korku po Belwederskiej samochody. Milczał również Marcin.

– Coś mnie ominęło? – zapytał Sebastian, który w dobrym nastroju wrócił do stolika. – No, opowiadaj, dziewczyno, opowiadaj – zachęcił przyjaciółkę.

– Po powrocie, który okazał się niełatwy ze względu na Dominikę... i jej ojca, miałam w domu dziwne ni to włamanie, ni... Nie wiem... Włamywacze mieli klucze, znali szyfr alarmu. Nic nie zginęło. Za to mój samochód w garażu, którym wróciłam z Moskwy, był dokładnie rozbebeszony.

– To jasne. Miałas technikę operacyjną w samochodzie. Podśluch, podgląd, lokalizator... – spuentował Marcin.

– A kto miał klucze do domu i znał szyfr? – dociekał Sebastian.

– My, no i on, w Moskwie. Coś sugerujesz?

– Cholera wie, Anita. Tak zapytałam. No i...?

– No i u nas w firmie mieli to w dupie, ABW to nie interesowało. Mówili, że przesadzam. Że to zwykłe włamanie.

– Proza życia. Kurwa, do czego to wszystko u nas w służbach zmierza! – wtrącił Marcin. – O, widzę, że idą do nas flaki – dodał.

– Słuchajcie. Jest jak kiedyś w Lesie, w OKKW. Znowu razem siedzimy przy jednym stoliku, jemy obiad – rzucił Sebastian.

– Tyle że my nie jesteśmy już tacy sami – odpowiedziała Anita.

– Eee, przesadzasz, dziewczyno – podsumował w swoim stylu Sebastian.

– Zobaczcie, ile się w tym czasie działo. Dobrego i złego. Kto by pomyślał wtedy o... – urwała Anita i kelnerka postawiła przed nimi talerze z drugim daniem. – Nie lubię jeść pierwszego, jak drugie stoi już na stole. Tu nie tylko wystrój, ale i zwyczaje wciąż PRL-owskie.

Cała trójka zajęła się jedzeniem.

– Co dalej? – rzucił Marcin, kończąc flaki.

– Dalej... Nie dało się żyć na odległość. Rozstaliśmy się. Tym razem już na amen. Sprzedałam dom. Mam teraz mieszkanie na Powiślu. Tamtego starczy. – Dokończyła szybko flaki i przysunęła sobie talerz z drugim daniem. – Dość miałam zapieprzania w ogrodzie, podlewania, dbania o odśnieżenie podjazdu, dziurę w dachu, uszkodzoną instalację hydrauliczną i takie tam gówna. Jego nigdy nie było. – Zamilkła i znowu skupiła się na jedzeniu.

– Ale ja nie o tym, Anita. Sama jesteś?

– Tak, sama. I bardzo mi z tym dobrze. Radzę sobie.

– A jak sobie radzisz, no wiesz, z tymi sprawami? He, he, he – wtrącił Sebastian.

– Idź, Seba, głupi jesteś. I widzę, że ten dumny śmiech dalej towarzyszy ci w życiu – zachnęła się.

– A właśnie, Sebastian. A co u ciebie? Opowiedz – zapytał Marcin, krojąc tępy nożem swojego schabowego.

– U mnie? Nuda, można powiedzieć, w porównaniu z wami, kochani. Córki rosną, żona ta sama, dom pod Piasecznem. Po akcji w Pjongu odczekali z półtora roku i jak pamiętacie, pojechałem do Moskwy na sześć długich, pieprzonych lat. Nigdy tego nie zapomnę. Pamiętasz? Wtedy, Marcin, spotkaliśmy się w MSZ, w bufecie na dole. Ja się związałem z Polski, a ty do Iraku miałaś jechać szukać wyrzutni Scud, broni chemicznej i cholera wie czego jeszcze – zaśmiał się.

– Tak. Pamiętam – odpowiedział Marcin i uśmiechnął się.

– Chyba wam już kiedyś opowiadałem. Zajmowałem się dyplomacją publiczną i kulturalną. Wicie, pokazy filmów Wajdy, Zanussiego, rozwijałem kontakty w Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina w Moskwie, przygotowywałem informacje placówki i takie tam... Potem wyjazd do Mińska, szpiegować Baćkę – zaśmiał się. – Jakieś dłuższe delegacje. Teraz odpoczywam. Zebrało mi się chyba ze sto siedemdziesiąt dni urlopu po tych latach.

– Faktycznie, nuda – parsknął Marcin i rozlał do kieliszków przyniesioną przed momentem wódkę.

– A powiedzcie mi, chłopaki... Była z nami przez jakiś czas w zespole Tortaka Magda Sierpecka. Co z nią? – zapytała Anita. – Jak człowiek na zewnątrz

cały czas pracuje, to nie wie, co się dzieje w firmie. Kontakty się zupełnie urywają.

– Normalna kolej rzeczy – odpowiedział Sebastian.

– Magda wróciła na przykrycie i znowu pracowała w jakiejś firmie na Krymie. Spedycja i transport morski. Mieli też biuro w Moskwie. Ale teraz chyba jest już w centrali na stałe. Też miała problemy osobiste. Ostatnio jednak awansowała. Idzie w górę – wyjaśnił Marcin.

– Ciekawe, co się stało z tym naszym byłym nielegalcem...

– Stefan Chrobak vel Kafer albo odwrotnie – rzucił z przekąsem Marcin. – Sebastian, Tortak nic ci o nim nie mówił?

Pytany pokręcił głową, a potem stwierdził:

– Żyje pewnie dostatnio w Niemczech z rodziną.

– Albo mieszkają na jakiejś tropikalnej wysepce u wybrzeży Tajlandii – uzupełniła z rozmarzeniem w głosie Anita.

– Taaa – powiedział Marcin i westchnął głęboko.

* * *

Było już późne popołudnie. Marcin z Anitą przeszli przez park Łazienkowski, potem minęli stadion Legii. Przy ulicy Rozbrat wstąpili do jakiejś knajpki napić się kawy. Oboje byli na lekkim rauszu.

– Wiesz, Marcin, wielokrotnie wspominałam ten nasz wyjazd służbowy w dziewięćdziesiątym piątym – powiedziała Anita pochylona nad porcelanową filiżanką z parującą kawą.

– Tak. Ja też... Pamiętam niektóre obrazy, jakby to było wczoraj. Rabat i ty w białym szlafroku, z lekko odkrytymi piersiami. Albo Seszele, jak kąpaliśmy się na La Digue, zanim nadzialiśmy się na tych ruskich... Ależ to był widok, jak wychodziłaś w bikini z morskiej piany...

– Marcin, a pamiętasz w Kapsztadzie? To wielkie, wspólne, wiktoriańskie łożo w sypialni w Constanti u Tadeusza? Że my się wtedy nie...

– No popatrz. Myślę, że stres i skupienie się na misji odarły nas z ochoty i pomysłów na wspólny seks. Ale na Seszelach wtedy... Hmm...

– Co na Seszelach?

– Wydawałaś mi się wtedy taka, no wiesz... pełna jakiejś namiętnej kobiecości.

– A teraz nie wydają ci się taka? – zapytała z uśmiechem.

– Nie, no teraz też... Jesteś świetną dziewczyną, Anita.

– Dokończmy kawę i odprowadź mnie do domu. Mamy jeszcze kawałek. Akurat się trochę przewietrzymy i przetrzeźwiewemy – powiedziała dziewczyna.

czyna.

Oboje unieśli filiżanki i przyłożyli je do ust.

– Mieszkasz z córką? – zapytał Marcin, odstawiając kawę.

– Tak. Ale dzisiaj pojechała na Podlasie do rodziców swojego ojca. Mam z nimi wciąż świetny kontakt. Chyba zawsze stali po mojej stronie. A Dominika ich uwielbia. Jest oczkiem w głowie dziadka.

Po ponadpółgodzinnym spacerze, w czasie którego wspominali szkolenie, wyjazdy zagraniczne, porażki i sukcesy życiowe, znaleźli się przed domem Anity.

– Zapraszam do mnie na małego drinka. Wszystek alkohol już z nas chyba wyparował, a czasami chce się dzięki niemu zapomnieć o pewnych sprawach.

– Szliśmy jak, nie przymierzając, na trasie sprawdzeniowej podczas szkolenia – roześmiał się Marcin.

– Na szkoleniu nie pozwoliliby mi wziąć cię pod rękę – zawtórowała mu dziewczyna.

Weszli do klatki schodowej, a potem do windy. Stali obok siebie. Oboje jakby liczyli w myślach mijane piętra: jedno, drugie. W obojgu coś wzbierało. Minęli trzecie piętro, pozostało jeszcze jedno. Nagle Marcin odwrócił się do Anity, zdecydowanym ruchem oparł ją o ścianę windy i zaczął namiętnie całować. Odwzajemniła się równie mocnym pocałunkiem. Równocześnie objęła go jedną nogą opiętą czarną pończochą zakończoną koronką. Marcin podciągnął jej sukienkę i chwycił dziewczynę za odkryty, kształtny pośladek. Gdy winda się zatrzymała, odskoczyli od siebie. Przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy, wiedząc, że stało się coś, co ich oboje zaskoczyło. Drzwi rozsunęły się. Anita poprawiła swoje lekko kręcone, opadające na ramiona włosy. Na korytarzu było pusto. Opuścili windę i skierowali się do jej mieszkania.

Drzwi się zatrzasnęły, stuknęła zamek ryglujący je od wewnątrz. Ubrania Marcina i Anity wędrowały w szybkim tempie na podłogę. W namiętnym uścisku i niekończących się pocałunkach zbliżali się do sypialni. Rzucili się na duże łóżko zasłane licznymi poduszkami. Byli nadzy. Po chwili wpadli w równomierny rytm.

Przez duże uchylone okno balkonowe docierał do nich gwar ludzi zmierzających na imprezy na wiślanych bulwarach. Dolatywały też pierwsze dudniące dźwięki muzyki z letnich lokali. Lecz oni jakby tego nie słyszeli. Złączeni, trwali w uścisku. Co jakiś czas zmieniali jedynie pozycję. Nie przestali nawet wtedy, kiedy w końcu poszli wziąć prysznic. Znowu poddali się namiętności. Spadająca z deszczownicy woda dodawała temu swoistego uroku. Oboje byli tak zafascynowani swoją fizycznością, jakby chcieli nadrobić wszystkie stracone chwile. A może odzywały się w nich wspomnienia sytuacji i pięknych

miejsc, w których kiedyś wspólnie się znajdowali. Nie zastanawiali się jednak nad tym. Wciąż patrzyli na siebie pożądliwie, jakby ucząc się na pamięć każdego centymetra swoich ciał. Jakby więcej nie mieli tego powtórzyć, jakby znali horyzont czasowy ich nowych, namiętych relacji.

Po kilku godzinach zasnęli zmęczeni w miękkiej, aksamitnej w dotyku pościeli koloru indygo.

Rozdział 6

Berlin – wiosna 2011

Apartament w dzielnicy Steglitz-Zehlendorf w południowo-zachodniej części miasta określonej niegdyś mianem zielonej twarzy Berlina trzydziestosiedmioletnia Doreen Rothewald wybrała kiedyś nieprzypadkowo jako swoje miejsce do życia. Ten powstały z połączenia siedmiu miasteczek rejon niemieckiej stolicy ciągnął się wzdłuż rzeki Haweli i lasu Grunewald aż do samego Poczdamu. Steglitz-Zehlendorf ofiarowywała jej wyciszenie, kiedy wracała tu po gwarnych i ciągnących się w nieskończoność licytacjach w domach aukcyjnych, licznych podróżach tudzież spotkaniach ze śliniącymi się do niej podstarzałymi antykwariuszami i obleśnymi biznesmenami, którzy uważają, że za pieniądze mogą kupić każdego. Uwielbiała zieleń, prostotę i przestrzeń. Ten wiosenny, słoneczny weekend, w czasie którego wyłączyła swój smartfon i nie uruchamiała komputera, postanowiła poświęcić wyłącznie na swoje sprawy osobiste, na oderwanie się od codziennych obowiązków.

Wybrała się do berlińskiego Botanischer Garten, o którym twórcy mówili, że to świat w jednym ogrodzie. W największej ze szklarni, wśród tropikalnej roślinności, z rozkosznym szumem sztucznego wodospadu rozbijającego się o skały, umówiła się tego dnia z Larsem Holmem. Był duńskim historykiem sztuki związanym między innymi ze słynnym Vikingemuseet Lindholm Høje koło Aalborga. Wiedziała także, że Lars pracuje jako ekspert dla instytucji rządowych w Kopenhadze. Jego zawodowe zainteresowania, jak często podkreślał, koncentrowały się nie tylko na łodziach wikingów, ich mieczach, tarczach czy biżuterii, ale obejmowały także sztukę północnej i wschodniej Europy, w tym Rosji. Doreen spotykała się z nim już kilka razy wcześniej, ale dopiero teraz zdecydowała się zaprosić go do swojego loftowego azylu. Pamiętała, jakby to było wczoraj, kiedy się poznali – kiedy podeszła do niego na sympozjum historyków sztuki organizowanym przez Altes Museum, czyli słynne Stare Muzeum w Berlinie. Był wtedy zaskoczony i nie ukrywał zachwyty jej urodą i profesjonalizmem, czemu już wtedy dał kilkakrotnie wyraz. Doskonale

zdawała sobie sprawę z tego, że powinna trzymać się od niego na dystans. Ale nie potrafiła. Teraz, w czasie wspólnego spaceru wśród egzotycznej roślinności rozumiała, że stał się jej bliski. Bardziej niż ktokolwiek kiedykolwiek. Złapała się nawet na tym, że nie miała żadnego oporu, aby wziąć go pod rękę i mocno się przytulić do jego ramienia. Czuła, że łączy ich więź emocjonalna. Bała się tego. Wiedziała, czym może się to skończyć.

Zauważyła, że choć nie powinna, to w ostatnim roku coraz bardziej uciekała od świata, zamykała się w sobie, co często przeszkadzało jej w pracy. Winę za to zrzucała na postawę otaczających ją ludzi, którzy, jak się przekonywała, nie zawsze byli z nią szczerzy. Zawodzili ją. Kobiety okazywały się zazdrosne o jej urodę, o dobrą formę fizyczną, którą zawsze starała się utrzymać, a nawet o powodzenie u mężczyzn, choć przecież o nie specjalnie nie zabiegała. Mężczyźni z kolei wydawali się jej płytki i powierzchowni, zainteresowani jedynie jej ciałem. A ona od dłuższego czasu potrzebowała jakiejś ostoi, ciepła, wsparcia w trudnych chwilach. Czegoś, co osadzi ją w berlińskiej albo innej, paryskiej, nowojorskiej czy londyńskiej rzeczywistości bardziej niż sprawy zawodowe. Co w rezultacie pomoże jej dalej się rozwijać. Wiedziała, że takie zakotwiczenie da jej nowy impuls, umocni jej pozycję. Kiedyś myślała, że da radę, że jest na tyle silna, aby funkcjonować w sposób taki jak dotychczas. Teraz czuła się coraz bardziej samotna. Myślała nawet o dziecku, bo to według niej pomogłoby jej w życiu.

* * *

Surowe, ceglane ściany, z których gdzieniegdzie wylały się stalowe elementy dawnej przemysłowej konstrukcji, pomalowane były czarnym, matowym lakierem. Z jednej strony mogło to wywoływać smutek, ale z drugiej podkreślało jakoś historię pomieszczenia. Czerni ożywiały wykonane własnoręcznie przez Doreen ołówkiem i suchymi pastelami rysunki w metalowych ramach przedstawiające motywy florystyczne. Na podłodze właścicielka loftu rozstawiła grube świece umieszczone w lampionach, których światło sączące się przez ażurowe osłony ocieplało klimatycznie wnętrze. Pozostałe pomieszczenia: sypialnia, garderoba, pracownia malarska i zarazem gabinet zaprojektowane były w tym samym stylu. Wszędzie znajdowało się mnóstwo roślin w wielkich donicach. Najwięcej było ich w salonie, do którego światło docierało z przeszklonego sufitu.

Lars leżał na podłodze pomiędzy wielką niebieską kanapą a dwoma fotelami w stylu boho. Przyjemny w dotyku, włochaty dywan shaggy w kolorze *écru* oddzielał jego nagie ciało od podłogi z desek z przetartego, białego dębu.

Wokół porozrzucane były ich rzeczy: jego oliwkowe spodnie, jej dżinsowa, krótka spódniczka i brązowe kowbojki, jego zamszowe półbuty, jej biała koszula, jego zielonkawa marynarka Camel Active, jej beżowe pończochy i czerwona bielizna. Mężczyzna był lekko spocony. Ciężko oddychał, wpatrując się w niebo ze szklanym sufitem. Wewnątrz pochylały się nad nim olbrzymie liście filodendronów, a na zewnątrz, nad szklanym dachem skłaniały się w dół swoimi gałęziami wysokie drzewa, które tworzyły jakby ramę z wiosennej, jasnej i świeżej zieleni. Miał wrażenie, że mniejsze gałązki drzew poruszają się na wietrze w rytm bioder Doreen, z którą uprawiał intensywnie seks. Poprzedziły go rozmowy o sztuce i historii oraz zjedzenie zamówionej w pobliskiej włoskiej restauracji klasycznej pizzy z kaparami, a przerywały kolejne kieliszki półsłodkiego, reńskiego wina. Momentami, kiedy tak leżał, a Doreen była na nim, wydawało mu się, że są na egzotycznej plaży w tropikach, oświetleni promieniami słońca przebijającymi się przez drgające liście wysokich palm kokosowych. Lars zamknął oczy. Chciał zapamiętać tę chwilę na długo. Gdy je na powrót otworzył, kobieta akurat nachyliła się nieco do przodu, wpasowując się tym samym w zielono-niebieski obraz. Jej nagie ciało, niewielkie, ale jędrne piersi z wydatnymi sutkami, opadające aż do talii proste blond włosy były dla Larsa najpiękniejszym widokiem, jakim nie cieszył się od lat.

– Coś się stało? Lars. O czymś myślisz, prawda? Przecież widzę – zapytała szeptem.

– Nie, nic. Po prostu... – zawahał się – po prostu komponujesz się w piękny obraz z tymi wielkimi, dziurawymi liśćmi, z drzewami na zewnątrz i z błękitem nieba – odpowiedział i przyciągnął ją do siebie.

Po chwili nieco mocniej przycisnął dłonią jej głowę do swojego torsu, jednocześnie głaszcząc ją po włosach. Nozdrzami wciągał zapach jej perfum. Silnie na niego działały, bo odnajdywał w nich nuty swojego ulubionego męskiego Hermès. Gdy ją puścił, Doreen wyprostowała się, silniej ścisnęła go łydkami i ponownie wróciła do swojego namiętego ruchu.

– Może odpoczniemy? – zapytała wkrótce po tym, jak szczytowali, i rozchyliła dłonią włosy, wcześniej niemal zupełnie zasłaniające jej twarz. – Mógłbyś zrobić jakiegoś drinka typu *bitter*, bo mi strasznie słodko po tym winie. I nie tylko.

– Widzę, że to jednak głównie ty musisz odpocząć!

Doreen zeszła z Larsa i zaczęła z głośnym śmiechem objąć go włochatą, czerwoną poduszką, którą gwałtownym ruchem wyciągnęła spod głowy mężczyzny.

– A żebyś wiedział. – Cisnęła poduszkę na dywan. – Wezmę prysznic, bo tyle ciebie jest we mnie, że... – Puściła do mężczyzny oko, zwinnie wstała

z podłogi i skierowała się do łazienki, skąd po chwili dobiegł szum wody.

Lars usiadł ciężko na kanapie i powoli wracał do rzeczywistości. „Muszę zapytać Doreen o to wielkie odkrycie, które miało mnie szczególnie zainteresować, a o którym zaczęła opowiadać, kiedy jedliśmy pizzę” – pomyślał i postanowił wykorzystać do tego moment, gdy będą pili drinka.

Po kilku minutach Doreen wróciła ubrana w jego białą koszulę, którą znalazła na podłodze przedpokoju.

– W czym ja wyjdę od ciebie? Ona jest teraz cała mokra!

– Wysuszę ją. Popatrz, jak grzeje słońce. Lubię męskie koszule. Nie mogłam się opanować. Musiałam ją założyć! Nawet się nie wytarłam ręcznikiem! – zaśmiała się, wzruszyła zabawnie ramionami i rozpuściła z wdziękiem włosy spięte do kąpieli w kok.

– Dużo ich zakładasz?

– Czego?

– Takich koszul. Tygodniowo, miesięcznie?

Kobieta spojrzała na Larsa, przyklękła koło niego, objęła go rękami, uśmiechnęła się i powiedziała poważnym tonem:

– Lars. Możesz nie wierzyć, ale od prawie dwóch lat nie miałam faceta. Żaden mi nie odpowiadał. Żaden. Po różnych moich przejściach miałam dość mężczyzn.

– Jak to? Ty?!

– No ja. Miewałam oczywiście jakichś... adoratorów, ale nic z tego nie wychodziło. Żaden nie potrafił dać mi poczucia bezpieczeństwa, ciepła, spokoju. Nie umiał być dla mnie partnerem. Nie zdołali mnie zainteresować, niczym zaskoczyć. Po prostu na takich trafiałam.

– A ja?

– A ty, Lars... Ty po prostu mnie ująłeś. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Przeznaczenie? – Pocałowała go namiętnie w usta. – No dobra, rusz się i zrób w końcu tego drinka, proszę cię. Wszystko znajdziesz w lodówce.

Lars wstał i skierował się do kuchennej części salonu.

– Czyli masz teraz ochotę na coś gorzkiego!

– Tak. A pamiętasz, jakiego drinka piliśmy pierwszy raz razem?

– Tak. Nad Hawelą, w tej knajpce naprzeciwko Pawiej Wyspy.

Otworzył lodówkę, w której wewnątrz panował lekki bałagan. Wyjął butelkę ginu, aperol i wodę mineralną. Odkorkował białe wytrawne wino. Z koszyka na blacie wziął pomarańczę i ukroił dwa grube plastry.

– Z lodem, kochanie?

– Tak, z lodem... O! Kochanie! Pierwszy raz do mnie tak powiedziałaś, Lars. Może się przejęzyczyłeś? Czy to aby na pewno o mnie chodziło?

– Pierwszy?

– Tak, pierwszy – odpowiedziała Doreen, uśmiechnęła się i po chwili głośniej rzuciła: – Lars!

– Tak, Doreen? – Odwrócił się do kobiety, kończąc przygotowanie drinków.

– Ładnie wyglądasz, kiedy tak krzątasz się nago po moim mieszkaniu. Jesteś bardzo... – zrobiła pauzę, mrużąc oczy – męski. – A potem dodała nieco ciszej dość poważnym tonem: – Podobasz mi się. Bardzo mi się podobasz. Tylko nie wiem, czy powinnam ci to mówić.

– Gotowe – rzucił, jakby nie słyszał albo puścił mimo uszu to, co Doreen przed chwilą powiedziała.

Odwrócił się i trzymając w dłoni dwa pękate pucharki, ruszył w kierunku kobiety siedzącej na kanapie z podkurczonymi nogami. Podał jej drinka i usiadł obok.

– Kiedy jedliśmy, wspomniałaś o pewnym człowieku, który był związany z enerdowskimi służbami specjalnymi – zagaił po chwili milczenia. – Stwierdziłaś, że musisz mi coś o nim opowiedzieć, bo na pewno mnie to zainteresuje jako Duńczyka i jako historyka sztuki. Zaciekawiałaś mnie, nie ukrywam.

– A tak, posłuchaj. – Pociągnęła spory łyk alkoholu. – Pewnie były oficer enerdowskiej Stasi prowadzi tutaj, w Berlinie na Witzleben przy Suarezstrasse, ni to antykwariat, ni to sklep ze starociami. Wiesz: meble, jakieś bibeloty w stylu *vintage*, starodruki, banknoty, obrazy, dawne pocztówki, ryciny, mapy, takie tam...

– A co to za okolica? Gdzie to jest?

– Hmm... To jest niedaleko Lietzenseepark i tego urokliwego jeziorka otoczonego zielenią z eklektyczną, sztuczną kaskadą wodną. Poszliśmy tam kiedyś na krótki spacer, pamiętasz? Była okropna pogoda, padał taki rzęsy deszcz. Uciekaliśmy do samochodu.

– A faktycznie, kojarzę.

– Samo miejsce, gdzie znajduje się ów antykwariat, jest niepozorne i niespecjalnie ciekawe. To wewnętrzne podwórko jakiejś kamienicy.

– A jaka jest nazwa tego sklepu? – dopytywał Lars, pragnąc od razu porządkować sobie wszystko w pamięci.

Zwykle tak nie postępował, ale że Doreen powiedziała, iż chodzi o sprawę ważną dla jego kraju, w której występuje były funkcjonariusz Stasi, chciał poznać wszelkie szczegóły.

– Nazywa się... hmm... czekaj... – Kobieta szukała w myślach. – O, pamiętam: Luxury Antique Underground.

– Okej. Dlaczego Underground?

– Pewnie dlatego, że ten jego biznes mieści się głównie w suterenie, takiej ze sto metrów kwadratowych. Na parterze jest tylko mniejsza część, a pozostała właśnie w podziemiu. – Ponownie pociągnęła spory łyk swojego drinka. – Ale dobry, zimny. Uwielbiam go. I słuchaj, Lars, ten facet...

– Doreen, a jak on się nazywa? I w ogóle gdzie go poznałaś? – przerwał jej.

– Co ty mnie tak wypytujesz jak na przesłuchaniu? – Spojrzała na niego badawczo.

– Och, przepraszam, Doreen. Faktycznie, głupio zabrzmiały te moje pytania, ale wspomniałaś, że to ważne dla mojego kraju. – Lars czuł, że nazbyt łatwo wyszła z niego druga natura.

– Nazywa się Hans Artman. Poznałam go jakiś czas temu podczas jednej z aukcji. Od tego momentu odwiedzam go regularnie, choćby kiedy jestem w Lietzenseepark na spacerze. On do mnie czasem wpada, jak ma coś do załatwienia w Starym Muzeum w Berlinie. Zawsze prosi wtedy, żebym go zabrała do sali konserwatorów zabytków. To miły, szarmancki, starszy pan. Poza tym... Chyba mu się podobam. Może nawet trochę się we mnie podkochuje. – Mrugnęła okiem.

– Czyli omotałaś go swoim seksapilem? – Uśmiechnął się.

– No może... – odpowiedziała zalotnie.

– I co dalej? Co mają z tym wspólnego Dania i moje zainteresowania zawodowe? – starał się trywializować.

– Oj nie bądź taki niecierpliwy! Proszę cię. – Znów upiła łyk cierpkiego napoju.

Doreen wyraźnie dawkowała to, co chce przekazać Larsowi – jakby powoli wciągała go w tajemniczą historię, a on ulegał jej, chcąc wiedzieć więcej i więcej.

– No i ten Artman opowiadał mi o jakimś kawałku z Bursztynowej Komnaty. Nazwał go bursztynowym panelem.

– Do diabła! Niezła historia! – Lars łyknął dużą porcję drinka.

– Słuchaj dalej, bo to cię dopiero zainteresuje – mówiła z wyraźną ekscytacją w głosie.

– Czekaj, Doreen! Bursztynowa Komnata? Już to jest przecież szalenie intrygujące. – Lars objął kobietę i pocałował ją w czubek głowy. – Co może mnie zainteresować bardziej niż Bursztynowa Komnata! To rewelacja, jeśli okaże się prawdą i będziemy mieć do czynienia z oryginalnym elementem...

– Bardziej zainteresuje cię – zrobiła wyraźną przerwę, patrząc swoimi dużymi, piwnymi oczami na mężczyznę – kilka złotych medalionów czy dysków, jak je określał Artman. – Spojrzała badawczo na Larsa. – Z czasów wikingów – dodała po chwili.

– Słucham?! – Mężczyzna patrzył z niedowierzaniem na kobietę. – Słucham?! – powtórzył.

– A widzisz, nie mówiłam! – roześmiała się z wyraźną satysfakcją w głosie. – Słuchaj dalej. Ten Artman, gdy bardziej mi zaufał, pokazał mi ich kolorowe powojenne fotografie i wyjaśnił, że te medaliony pochodzą prawdopodobnie z grobowca Haralda Sinozębego odnalezonego na wyspie Wolin. Sam skarb z grobowca, jak utrzymuje Artman, zaginął podczas drugiej wojny światowej.

– Co powiedziałaś?! – Mężczyzna wychylił łapczywie całą zawartość szklanki z kostkami lodu włącznie. – Nie przesłyszałaś się, Doreen?

– Nie, Lars, nie przesłyszałam się – odrzekła spokojnie i odstawiła swojego drinka na szklany stolik.

– Hmm... Wiesz co, dziwne, że właśnie teraz Artman ci o tym opowiedział.

– Dlaczego? Co w tym dziwnego? Nie rozumiem.

– A dlatego, że właśnie teraz zrobił się duży szum w sprawie takiego medalionu w szwedzkich mediach. Nie słyszałaś o tym?

– Nie.

– Podobno jakieś dziecko odkryło ów bibelot w pudełku na guziki, które dostało od swojej babci. Ale rodzina nie chce ujawnić szczegółów. Czekają na orzeczenie sądu, który potwierdzi, że są właścicielami znaleziska.

– Wystraszyli się czy co?

– Pewnie tak. Bo gdy dziecko powiedziało w szkole o tym wielkim, złotym guziku, to kazano jego rodzicom zgłosić go, czyli de facto oddać do miejscowego muzeum.

– I co, oddali?

– Nie, nie oddali. Najpierw twierdzili, że to tylko dziecięce fantazje i zbieg okoliczności, że dziecko narysowało taki medalion, jaki jest w opisach historyków sztuki i archeologów...

– No coś ty? Poważnie? To jakaś dziwaczna historia. Zagadkowa, powiedziałabym. I co dalej z tym wielkim guzikiem?

– Rodzina w końcu przyznała, że go ma. Po wyroku sądu trafi pewnie do ekspertyzy. A sprawą zainteresował się już jeden z najsłynniejszych szwedzkich archeologów, który zapowiedział, że zbada dysk i orzeknie, czy jest to medalion Haralda Sinozębego.

– A wiadomo w ogóle, skąd mógł się wziąć ten dysk wikingów w tym dziecięcym czy raczej babcinym pudełku?

– Nikt nie wie, Doreen. To zupełnie świeża sprawa. Jest wciąż wiele niejasności, tak jak ci mówiłem. Pewnie wszystko rozstrzygnie się po wyroku sądu.

– To naprawdę ciekawa, wręcz sensacyjna historia. A mnie daje do myślenia.

– No właśnie, kochanie... Czy ten Artman mówił ci coś jeszcze, cokolwiek? Podawał jakieś szczegóły?

– O! Powiedziałeś „kochanie” po raz drugi. To coś znaczy – zaśmiała się, a po chwili się zamyśliła. – Mówił coś o jakimś mieście, obecnie w Polsce. Nazywa się... Heilsberg. Sprawdziłam, to po polsku, Boże... Lidzbark Warmiński. Nie pamiętam szczegółów naszej rozmowy. To było ze dwa tygodnie temu. Może trzy. Ale mam gdzieś notatki. Bo wszystkie takie historie zapisuję. Przeczytam ci później. Ale teraz...

– To bardzo ważne! Czy wiesz, jakie to ma znaczenie dla Danii? Taki medalion Haralda Sinozębego jest na pewno w pierwszej piątce poszukiwanych skarbów narodowych. Zerkniesz jeszcze do tych swoich notatek? Proszę.

– Lars. Coś ty dzisiaj taki niecierpliwy?! – Zrobiła wyraźną pauzę, rozbudzając jeszcze bardziej ciekawość mężczyzny. – A teraz, mój przystojniaku...

– Doreen, możesz pokazać mi te notatki? To znaczy zapoznać mnie z nimi? – przerwał jej znowu, nie zważając na wyraz twarzy i jednoznaczne gesty kobiety.

Chciał ponownie zadać pytanie, a w zasadzie cały szereg pytań, które chodziły mu po głowie. Doreen jednak zakryła dłonią jego usta.

– Lars – powoli podniosła się z kanapy – spokojnie, podam ci wszystko na tacy. Zapewne sam premier Królestwa Danii się tym zainteresuje, prawda?

– Oczywiście!

– Ale najpierw...

Rozchyliła lekko wargi. Źrenice jej dużych, piwnych oczu rozszerzyły się, jej twarz jakby zastygła nieruchomo. Stała kilka chwil w bezruchu przed wciąż podekscytowanym uzyskanymi informacjami i niezwracającym na nią uwagi mężczyzną. Lars, zapatrzony w szklany sufit, jakby nieobecny, intensywnie o czymś myślał. Doreen rozpięła guzik po guziku białą, wciąż wilgotną koszulę i rzuciła ją na podłogę. Podeszła do mężczyzny, klękła, pochyliła się i rozchyliła mu uda. Kiedy Lars poczuł, że jego członek znalazł się w jej ustach, rozluźnił się i zamknął oczy. „Na razie dyski Sinozębego są mniej ważne. Czekają ponad tysiąc lat, to poczekają jeszcze tę krótką chwilę. No, może trochę dłuższą” – pomyślał i spojrzał na poruszającą się głowę Doreen. Na moment ich wzrok się spotkał. Jego dłonie, przesuwać się po gładkich włosach, powędrowały na jej smukłe ramiona, potem na plecy i w dół ku pięknie wciętej talii i kształtnym biodrom.

Rozdział 7

Kopenhaga – wiosna 2011

Bombardier CRJ-900 w barwach Scandinavian Airlines zaczął obniżać swój lot, podchodząc do lądowania na Kopenhaga-Kastrup. Lars Holm od wejścia samolotu na wysokość przelotową intensywnie pracował i zapisywał na tablicie wszystko, o czym opowiedziała mu Doreen. Jeszcze w drodze na lotnisko, przed wylotem z Berlina pierwszym porannym rejssem, pojechał taksówką ze Steglitz-Zehlendorf do Witzleben. Kazał kierowcy zatrzymać się naprzeciwko solidnej kamienicy z początku dwudziestego wieku przy Suarezstrasse. Obok bramy wejściowej prowadzącej do głównego wejścia i na podwórko dostrzegł niewielki szyld z napisem „Luxury Antique Underground”. Nie opuszczał samochodu. W niedzielny poranek nie było na ulicy zbyt wielu przechodniów. Nie chciał ryzykować, że ktoś się nim zainteresuje. Lars przez uchylone okno taksówki przyglądał się uważnie nie tylko samej kamienicy, ale i budynkom obok oraz naprzeciwko. Intensywnie się nad czymś zastanawiał. Po chwili wyjął smartfon i zrobił kilkanaście zdjęć kamienicy i jej bezpośredniego otoczenia. Utrwalił wszelkie szczegóły, które uznał za istotne.

Wcześniej musiał długo tłumaczyć się Doreen, dlaczego leci następnego dnia do Kopenhagi nie ostatnim wieczornym lotem, lecz wcześniej rano. Nie chciała go wypuścić. Była nawet trochę obrażona, choć wyjaśniał jej, że dostał pilne wezwanie z muzeum wikingów koło Aalborga w związku z jakimś odkryciem w terenie. Doreen nie chciała w to uwierzyć. Zarzucała mu, że ją oszukuje. Lars obiecał jej, że wróci niebawem do Berlina, tym razem samochodem, i że pojedą gdzieś razem na kilka dni – do Saxon Switzerland, w Stolové Hory w Czechach, a może nawet w Heuscheuergewirge, Góry Stołowe w Polsce. Miał pokazać jej miejsca, które uwielbia ze względu na ich tajemniczość i swoje zainteresowania zawodowe.

Nie mógł powiedzieć Doreen, że po uzyskanych od niej informacjach napisał i wysłał ukradkiem krótką wiadomość do przełożonego i oficera prowadzącego w kopenhaskiej centrali PET – Politiets Efterretningstjeneste, inspektora

Olego Jansena. Ten trzydziestoparoletni mężczyzna rozkazał mu natychmiast wracać do kraju, bo jak twierdził, informacje są najwyższej próby, a on potrzebuje sukcesu, w innym wypadku przeniosą go w teren do Aalborga albo na jakieś Wyspy Owcze czy Grenlandię.

Lars patrzył przez niewielkie, owalne okno bombardiera. Zawsze lubił ten widok, kiedy samolot podchodził do lądowania na kopenhaskim lotnisku od strony morza. Jego turkusowy kolor i białe linie plaż nasuwały na myśl jakieś tropikalne wybrzeże, a nie północno-zachodni Bałtyk. Poczł silne, stłumione stuknięcie. Samolot obniżył lot na osiemset metrów i wypuścił podwozie. Pogoda była przepiękna.

Mimo rewelacyjnych informacji, które miały dla jego kraju olbrzymie znaczenie, nie potrafił zapomnieć o całej sobocie i ostatniej nocy spędzonej z Doreen. Człł, że ta kobieta pociąga go i wyzwala w nim takie siły witalne jak żadna inna dotąd. Wiedział jednak, że musi szybko wyrwać się z kręgu ciągłych myśli o niej. Miał teraz przed sobą być może największe wyzwanie, jakie mogło przydarzyć się historykowi sztuki w Danii, a nawet w całej Skandynawii.

Lars Holm był bowiem jednocześnie oficerem duńskich służb specjalnych pracującym pod przykryciem od ukończenia studiów w Instytucie Sztuki i Kulturoznawstwa na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu w Kopenhadze. W kontrwywiadzie zajmował się przede wszystkim sprawami związanymi z nielegalnym handlem dziełami sztuki. Ostatnio wszakże coraz częściej, ze względu na swoje szerokie kontakty w świecie i zmieniającą się sytuację w Europie, był intensywnie wykorzystywany w czasie wspólnych operacji wywiadowczych z wojskową FE – Forsvarets Efterretningstjeneste. Lars doskonale wiedział, że uzyskiwane przez niego informacje przekazywano często brytyjskiej MI6 czy amerykańskiej CIA. Zwłaszcza te zdobywane na styku z Rosjanami. Przekonał się o tym w Londynie w czasie konsultacji z brytyjskimi sojusznikami... Teraz przypomniał sobie, że w spotkaniu uczestniczyła pewna brytyjska oficer, w jakiś sposób podobna do Doreen – ładna, atrakcyjna blondynka, tylko znacznie starsza, trochę wyższa i cechująca się angielską flegmą. I w niej, i w Doreen odnalazł tę samą słowiańską urodę. „Muszę kiedyś Doreen zapytać, czy nie ma przodków w Polsce, Rosji bądź na Ukrainie” – pomyślał.

Kiedy szedł korytarzami terminalu, w których stały rzędy wysokich kwiatów w donicach, jego myśli wracały do tego pięknego obrazu zieleni i błękitu w szklanym suficie i widoku nagiej Doreen.

Miał tylko bagaż podręczny, więc z torbą zarzuconą na ramię udał się wprost na stację żółtej linii metra M2, którym powinien szybko dotrzeć na

miejsce spotkania w hotelu Phoenix Copenhagen. Ze stacji Kongens Nytorv na róg Bredgade i Dronningens Tvaergade miał niedaleko. Lubił ten hotel i tę okolicę. Zwykle po męczących podróżach korzystał w pokoju z jacuzzi i upajał się spokojną relaksującą muzyką. Tym razem był zmęczony w zupełnie inny sposób i jedyne, czego potrzebował, to szybkiego spotkania z Olem oraz decyzji centrali PET co do dalszego postępowania. Kąpiel i relaks musiał odłożyć na później. Podobnie jak poinformowanie Doreen, że dotarł do Kopenhagi. „Może zmęczona pełnym napiętości dniem i równie napiętą nocą pośpi dłużej i nie będzie się złościć, że nie mogła się ze mną skontaktować” – pomyślał.

Po wyjściu ze stacji Kongens Nytorv nie skierował się jednak prosto do hotelu. Poszedł na spacer do pustych jeszcze o tej porze królewskich ogrodów. Lars nigdy nie zaniedbywał kwestii bezpieczeństwa, dlatego i teraz zrobił ponadgodzinną, improwizowaną trasę sprawdzeniową. Później ruszył w rejon ogrodu botanicznego, tak samo pustego w niedzielny poranek, a następnie w okolice Państwowego Muzeum Sztuki. Wstąpił na kawę do klimatycznego hotelu Christian IV, gdzie przez duże, białe witryny lustrował przez kwadrans otoczenie. Nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Sprawdził na zegarku czas. Wyjął oba smartfony, by upewnić się, że od krótkiej wizyty przy Suarezstrasse są wciąż wyłączone. W końcu ruszył na miejsce spotkania.

* * *

Ole Jansen zaparkował swojego saaba 9-3 aero na parkingu obok ogrodów Amaliehaven. Do miejsca spotkania z Larsem miał około dwustu metrów. Zatrzasnął drzwi samochodu, poprawił swoją krótką, skórzaną kurtkę i skierował się wprost do budynku Phoenix Copenhagen. Lobby hotelowe w przeciwieństwie do kopenhaskich ulic było o tej porze wypełnione turystami wymeldowującymi się, wracającymi ze śniadania bądź idącymi właśnie je zjeść albo przygotowującymi się na niedzielny spacer po stolicy Danii. Ole przemknął między nimi i wbiegł po schodach, by po chwili stanąć przed drzwiami jednego z numerów typu *junior suite*. Miał nadzieję, że Lars zamówił do pokoju porządne śniadanie, bo był głodny jak wilk. Od chwili uzyskania sygnałnej informacji od Larsa nie miał czasu, by cokolwiek przełknąć. Bez przerwy pracował. Pisał, czynił różne ustalenia, wydzwaniał, wyrwał nawet z weekendu swojego szefa, a ten głównego szefa PET, ten zaś z kolei... samego ministra sprawiedliwości Królestwa Danii, któremu to ministrowi wszyscy podlegali.

Ole zgodnie z ustalonym systemem zapukał powoli trzy razy i po chwili szybko dwa. Drzwi się otworzyły i Lars szerokim gestem zaprosił kolegę do środka.

– Witaj, Ole! Wchodź. Pewnie jesteś głodny. Zamówiłem dla nas porządne śniadania. Nie miałem czasu zjeść kolacji ani niczego rano. Zaraz powinni przynieść. – Spojrzał na zegarek.

– Witaj, Lars! Świetnie! Przez te twoje nadzwyczajne informacje nie tylko ja w tym kraju jestem niewyspany i głodny. – Uśmiechnął się do kolegi. – To co, zjemy i zaczynamy?

Lars przytaknął.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i dobiegł zza nich kobiecy głos:

– *Room service. Breakfast!*

* * *

Śniadanie skonsumowali niemal bez słowa. Po ostatnim łyku herbaty z niewielkiej porcelanowej filiżanki pierwszy odezwał się Ole.

– Jesteś pewny tej kobiety, Lars?

– Doreen? Hmm... Myślę, że tak... – odpowiedział. – Tak! – dodał zdecydowanym głosem.

– Na pewno?

– To może inaczej. Nie mam powodu, by jej nie wierzyć. Przed wylotem z Berlina pojechałem pod tę kamienicę i zrobiłem jeszcze rozpoznanie okolicy. Faktycznie, antykwariat znajduje się w miejscu przez nią opisanym. Patrz! – Obrócił w stronę kolegi ekran swojego smartfona.

Ole spojrzął z ciekawością, a po chwili odezwał się spokojnymi, opanowanym głosem:

– Dosyć niepozorna kamienica, pewnie z początków dwudziestego wieku. Nic szczególnego – mówił, przesuwając palcem kolejne zdjęcia.

– Tak. Z tego, co opowiadała Doreen, antykwariat mieści się w podwórzu. Na parterze jest rodzaj kantorka, a zasadnicza część znajduje się w suterenie. Myślę, że jest tak ulokowany, by nie rzucać się w oczy. Nie wchodziłem jednak do środka. Nie chciałem się tam niepotrzebnie kręcić.

– Słusznie. – Ole pokiwał głową. – Słuchaj, Lars. Jeśli naprawdę ów Niemiec ma lub miał te złote medaliony wikingów i wie, gdzie one są, to trzeba podjąć próbę ich odzyskania. Za wszelką cenę.

– To dla mnie oczywiste.

– Sprawą interesuje się od rana nasz premier. A wiesz, co to oznacza?

– Tak, domyślam się. Szczególnie że wokół dysku znalezionej w Sztokholmie od razu rozpuła się burza medialna po obu stronach Sundu. W końcu wyjaśnianiem kwestii jego autentyczności zajmował się ten szwedzki archeolog i celebryta.

Ole w odpowiedzi pokiwał ze zrozumieniem głową i stwierdził z zadumą:

– Czyli czas działa na naszą niekorzyść, Lars. Hmm...

Lars wstał i przez dłuższą chwilę patrzył przez okno na rokokowy budynek i ozdobną bramę prowadzącą na dziedziniec okazałej miejskiej rezydencji naprzeciw hotelu.

– Skoro ta twoja Doreen o tym wie, to mogą wiedzieć również inni. Szybko znajdują się, albo nawet już się znaleźli, chętni na dyski tego berlińskiego antykwariusza. Będą tacy, którzy zapłacą niemal każdą cenę, by je mieć.

– Zgadza się. – Lars odwrócił się od okna i usiadł ponownie przy stoliku.

– Jak sam dobrze wiesz, są kolekcjonerzy, którzy nie znają się na sztuce, ale wydają ogromne pieniądze na coś, czego nie może mieć nikt poza nimi. Taka mania wielkości – powiedział Ole i wstał. – Chodźmy na fotele, będzie nam wygodniej.

Znalazłszy się na fotelach, przez pewien czas milczeli. Każdy z nich w skupieniu analizował zaistniałą sytuację.

– No dobrze – odezwał się po kilkunastu sekundach Ole. – A teraz powtórz mi, co ci ta Doreen przekazała. Słowo po słowie. Ze wszelkimi szczegółami. Tylko nie za szybko. Ja będę notował.

– Nawet przeczytała! Po spotkaniu z antykwariuszem zrobiła notatki. Bystra dziewczyna.

– Masz je?! – ożywił się Ole.

– Ole, daj spokój! Nie wypadało. I tak rozmawiając z nią o tym, momentami wychodziłem na jakiegoś wścibskiego śledczego... – zawiesił głos. – Mam wszystko zapisane na tablecie. Nie jest tego znowu aż tak dużo. – Sięgnął do swojej skórzanej torby Gladstone.

– Dobra, to zamieniam się w słuch – odpowiedział Ole i wyjął z kieszeni marynarki notatnik i długopis.

Lars włączył tablet i po paru sekundach potrzebnych na znalezienie folderu i otwarcie pliku zaczął powoli i wyraźnie czytać:

Artman pokazał Doreen dwa kolorowe powojenne zdjęcia bursztynowego, inkrustowanego panelu. Twierdzi, że to fragment zaginionej w czasie drugiej wojny słynnej Bursztynowej Komnaty. Ponadto przedstawił jej kilka fotografii, również kolorowych, złotych medalionów czy pewnego rodzaju „dysków”. Wyjaśnił, że pochodzą z dziesiątego wieku, z czasów wikingów. Według niego wykonane były na zlecenie Haralda Sinozębego, a znalezione zostały w jego grobowcu na wyspie Wolin nieopodal ewangelickiego kościoła w miejscowości Gross Weckow, obecnie Wiejkowo. Artman utrzymuje, że te „dyski” to jedynie niewielka część skarbu, jaki odkryto w połowie dziewiętnastego wieku w tym grobowcu. Po zakończeniu drugiej wojny światowej skarb został rozkradziony. Artman kilkakrotnie wymienił nazwę miejscowości w Polsce o niemieckiej nazwie Heilsberg, obecnie Lidzbark Warmiński. Powiedział, że tamtejszy zamek był miejscem przerzutowym skarbów wywożonych z Prus Wschodnich, a nawet Pomorza. Uważa, że tropy zarówno Bursztyno-

wej Komnaty, jak i skarbu z grobowca prowadziły właśnie przez zamek w Lidzbarku Warmińskim. Mimo nalegań Doreen jej rozmówca nie chciał nic więcej powiedzieć na temat miejsca przetrzymywania czy ukrycia artefaktów. Nie ujawnił również, kto mu przekazał te fotografie.

Uwaga. Według Doreen fotografie wyglądały na dość nowe, zaledwie kilkuletnie. Umówiła się z Artmanem na przyszły miesiąc w Starym Muzeum w Berlinie. W związku z tym będzie możliwość poszerzenia i pogłębienia powyższych informacji. Nie jest jasne, dlaczego Artman opowiedział jej tę historię i pokazał wspomniane zdjęcia. Niewykluczone, że chodzi o sprzedaż tych artefaktów z wykorzystaniem kontaktów Doreen.

Sprawę intencji Artmana należy bezwzględnie wyjaśnić!

– Ole, i jeszcze jedno, w uzupełnieniu, żebyś miał jasność co do tego grobowca na wyspie Wolin. Sprawa jest znana, ale bardzo, bardzo ogólnie. Tak naprawdę poza tym, że odkryli tam skarb i że potem ten skarb zniknął, niewiele wiemy. Rzec można, prawie nic.

– Lars, teraz ty posłuchaj. Żebyś miał jasność – powtórzył sarkastycznie słowa kolegi i uśmiechnął się. – Pamiętasz to nasze źródło osobowe w gazecie „Berlingske”?

– To ten znany dziennikarz od różnych podejrzanych i niewyjaśnionych afer? Mam wrażenie, że często miesza fakty z ocenami i opiniami.

– Tak, masz rację. Jest trochę... nawiedzony. Ale on od lat zbiera informacje na temat tego, co działo się po wojnie z owym skarbem. Wczoraj po twojej informacji wywołałem natychmiastowe spotkanie z nim.

– I co?

– Opowiedział mi to, co wie, a w zasadzie przekazał pewne strzępy informacji, jakieś hipotezy.

– To w jego stylu.

– Oczywiście. Zwrócił mi uwagę jedynie na poszlaki. Nawet na te, które są tak sensacyjne, że trudno w nie uwierzyć, albo których nie da się zweryfikować. Na pewno nie mogę z takimi informacjami wystartować do szefostwa.

– Czyli to nic nie wnosi do sprawy.

– I tu się mylisz. Bo te jego wydumki i farmazony... pokrywają się częściowo z tym, czego dowiedziałeś się od Doreen. Czyli nie są do końca nieprawdziwe.

– Na przykład? – zapytał zaskoczony Lars.

– Na przykład to, że jeden ze złotych Haraldowych medalionów, który znalazł się w Szwecji, trafił wcześniej do rąk pewnej polskiej rodziny, zawodowo czy w jakiś inny sposób związanej po wojnie z zamkiem w Lidzbarku Warmińskim i muzeum tam utworzonym. Jednak nie udało mu się dotrzeć do tych ludzi, nie znalazł ich.

– Oooo, robi się ciekawie! Mów, mów, Ole.

– Otóż również według zdobytych przez niego informacji miejsce to było ważnym punktem przerzutowym wszelakich skarbów pozostawionych przez mieszkańców Prus Wschodnich uciekających przed Armią Czerwoną.

– Taka jakby złodziejska dziupla – wtrącił Lars.

– Tak!

– Hmm... Mamy zatem coś, co potwierdza się w dwóch źródłach – skomentował Lars.

– Słuchaj dalej. Nasz nieustający w poszukiwaniach dziennikarz „Berling-ske” uważa, że wszelkie ślady dziwnie się urywały, jakby ktoś specjalnie starał się je zacierać. Twierdzi nawet, że potencjalni świadkowie, ludzie, którzy mogli coś o tym wszystkim wiedzieć, umierali lub znikali.

– Ginęli w wypadkach? Padali ofiarami morderstw? Wiesz, po wojnie różne rzeczy mogły się dziać na takich terenach.

– Tyle że te zniknięcia ciągnęły się przez wiele, wiele lat potem.

– No właśnie. Może jednak chodzi o czysty przypadek.

– Może... Niemniej jednak... Mówił na przykład, że ktoś, bodajże dozorca z zamku, wypłynął na ryby na jezioro i przepadł, pozostała tylko pusta łódź. Ani żywego, ani umarłego nigdy go nie znaleziono. Były też dwa morderstwa. Kobieta, pracownica zamkowego magazynu, matka trójki dzieci, wyszła z domu i słuch o niej zaginął. Na jej zwłoki natrafiono sto kilometrów dalej po kilku miesiącach. I to tylko dlatego, że wilki rozgrzebały dół, w którym ktoś ją zakopał. Był też kustosz zastrzelony w swoim własnym łóżku. Starszy człowiek, podobno nie miał żadnych wrogów.

– Ole, reasumując najbanalniej: jeśli owe morderstwa łączy coś więcej niż przypadek, to oznacza, że ci ludzie mogli coś wiedzieć lub słyszeć.

– Zgadza się.

– Nie wiadomo jednak, czy ma to jakikolwiek związek z naszymi medalionami. To jedynie ta sama miejscowość, jakiś zamek, jakieś niewyjaśnione morderstwa, jakiś magazyn dzieł sztuki... – Lars zawiesił głos.

– Można i tak na to patrzeć – przyznał Ole. – Ale jest coś, Lars, o czym on mówił, a co dałoby się sprawdzić. Poszczęściło mu się i dotarł do jakiegoś znajomego wnuka ostatniego pastora, który do końca wojny pracował w kościele w tym Wiejkowie. Nazywa się... Krause. Mieszka obecnie w Austrii.

– A kto to jest ten Krause? Jak ten dziennikarz go znalazł?

– To też jakiś potomek powojennego emigranta z tego ich Pommern, Pomorza Zachodniego. Jego nazwisko pojawiało się u nas w tematach handlu dziełami sztuki i różnymi artefaktami nieznanego pochodzenia.

– Mamy coś na niego?

– Sprawdziłem go. Wiemy, że uczestniczył w różnych szemranych transakcjach, podejrzanych spotkaniach. Ale w sumie nic pewnego. W każdym razie to bardzo zamożny człowiek.

– Czyli nie wiemy za wiele – skonkludował Lars.

– Tak... Posłuchaj dalej. Nasz dziennikarz zatelefonował do niego. Na początku rozmowy facet był miły. Jednak gdy dowiedział się, że chodzi o jego znajomego, tego wnuka pastora z Wiejkowa, to od razu przerwał połączenie.

– Dziennikarz nie próbował ponownie zatelefonować?

– Próbował. Ale numer nie odpowiadał. A wkrótce został zlikwidowany.

– A to ciekawe... Czyli według ciebie, Ole, Wiejkowo i Lidzbark Warmiński jakoś się ze sobą łączą.

– Tak myślę. Tylko nie wiem jeszcze jak. – Ole kiwnął głową.

Przeciągnął się na fotelu, jakby zjedzone wcześniej, a teraz trawione obfite śniadanie bardzo go rozleniwiło. Po chwili znowu zwrócił się do Larsa:

– Zajmiesz się tą sprawą na miejscu, w Berlinie. Wcześniej pojedziesz do Polski. Do tego Wiejkowa i Lidzbarka. Ja polecę pogadać w Sztokholmie z SÄPO². No i wywołam spotkanie z łącznikiem MI6 w Danii.

– A nasi z wywiadu? Z FE?

– Myślę, że na razie nie będziemy im zawracać głowy. Mają sporo roboty z Amerykanami na Bałtyku i w cieśninach. Wiesz, rozpoznanie radioelektroniczne, te morskie tematy SIGINT-owe. – Lars pokiwiał ze zrozumieniem głową.

– Aha, Ole, a co z naszymi... niemieckimi partnerami? – Spojrzał pytająco na kolegę, a ten pokręcił głową.

– Takie jest stanowisko szefostwa – powiedział.

– Rozumiem. Kiedy w takim razie mam ruszyć do Berlina i do Polski?

– Jak najszybciej. W najbliższych dniach. Nawet pojutrze. Ustalimy to. Wpadnę do ciebie... – spojrzął na zegarek – jutro około... południa. Będę już po rozmowach z szefami. Jadę teraz odpocząć w domu. Potem skoczę do biura przygotowywać sprawy formalne. – Ole wstał.

– To zapowiada się nam intensywny tydzień – spuentował Lars i odprowadził kolegę do drzwi. Chciał już nacisnąć klamkę, jednak odwrócił się gwałtownie.

– Ole, a Polacy?

– Co Polacy?

– Może z nimi pogadać? W końcu to ich teren. Bursztynowa Komnata, Wiejkowo, ten Lidzbark.

– Lars, wiesz... Kilka tygodni temu byli u nas Brytyjczycy z MI6 na konsultacjach w paru sprawach. I rozmawiałem z tą wysoką blondynką, którą poznali-

śmy w Londynie. Pamiętasz? – powiedział ściszym głosem, a Lars przytaknął. – Mają jakiś zgrzyt z Polakami. Jak zrozumiałem, z kierownictwem ich Agencji Wywiadu. Nie drążyłem tematu.

– A nasi na górze wiedzą coś o tym? Gadałeś z szefem?

– Tak. I na mojego nosa powiem ci, że podzielają zdanie naszych brytyjskich sojuszników.

– Szkoda, bo słyszałem, że Polacy są nieźli.

– Musimy sobie poradzić bez nich. Damy radę. Jestem dobrej myśli.

– Rozumiem. Trzymaj się, czekam na ciebie jutro.

– Cześć, Lars. Odpocznij po... – Ole mrugnął okiem i zamknął za sobą drzwi.

Po wyjściu Jansena Lars rzucił się ciężko na łóżko. Wziął z nocnej szafki smartfon, odblokował go i wybrał numer do Doreen.

Rozdział 8

Berlin – wiosna 2011

Wypożyczone w Copenhagen Car Rental czarne volvo XC60 prowadzone przez Larsa minęło Eberswalde. Do Berlina, a dokładniej do celu zostało mu jeszcze około trzydziestu kilometrów. Wcześniej z Kopenhagi pojechał do szwedzkiego Ystad, a stamtąd zaokrętował się na prom do Świnoujścia. Zgodnie z poleceniem centrali spędził tam dwa dni. Potem pojechał na dzień do Lidzbarka Warmińskiego i wrócił do Świnoujścia. Czuł się wypoczęty. Czas spędzony w polskim nadmorskim kurorcie wyciszył go. Teraz jednak im bardziej zbliżał się do stolicy Niemiec, tym silniej był skupiony na wykonaniu zadania. Nie myślał na razie o Doreen, z którą miał spotkać się dopiero wieczorem. Ona specjalnie zaplanowała sobie wolne zaraz po tym, jak Lars następnego dnia po powrocie do Kopenhagi oznajmił jej telefonicznie, że przyjeżdża na kilkudniowy urlop i że chce go spędzić z nią. Rano mieli już razem pojechać do Czech i Polski.

Lars jeszcze przed wypożyczeniem samochodu wyłączył smartfony, nie uruchamiając też swojego laptopa. Odpalił jedynie nowy tablet z czeską kartą SIM, za pomocą którego studiował przez ostatnie dni topografię Berlina. Starał się wszystko zapamiętać: każdy szczegół, zakątek, przejścia, skwery, parki, sklepy, restauracje, hotele.

* * *

Lars zaparkował wypożyczone volvo w centrum handlowym przy Schönhauser Allee w dzielnicy Prenzlauer Berg. Przez ponad pół godziny robił w markecie spożywczym zakupy, które zostawił w bagażniku auta. Wyszedł z podziemnego garażu i skierował się do stacji metra linii U2. Szedł wzdłuż stalowej estakady, po której co chwila przetaczały się z łoskotem miejskie pociągi. Przeszedł ulicę i po chwili stał na peronie linii pomarańczowej. Metrem szybko przemieścił się na drugą stronę miasta do Witzleben. Już po dwudziestu paru minutach powol-

nym krokiem wychodził ze stacji Sophie-Charlotte-Platz na szeroką i ruchliwą o tej porze Kaiserdamm. Rozejrzał się dyskretnie i ruszył niespiesznie w kierunku Suarezstrasse.

Od spotkania z Olem cała ta sprawa wydała mu się jeszcze bardziej dziwna i zagmatwana. Zastanawiał się, dlaczego leciwy antykwariusz wtajemniczył w sprawę złotych medalionów Doreen. „Czyżby nie wiedział, jaką mają wartość nie tylko dla Danii, ale i dla całej Skandynawii? A może szukał kogoś, kto pozwoli mu znaleźć potencjalnych kupców, i akurat trafiło na nią? Albo chodzi w ogóle o coś innego? To jakaś gra? Ale czyja? Kto jest w niej animatorem i protagonistą? W jakim celu się toczy?” – rozważał sprawę, gubiąc się w przypuszczeniach i domysłach. „A może Doreen błędnie pojęła jego intencje albo z jakiegoś powodu celowo zafalszowała przekaz? Nie, nie! Dlaczego miałyby to zrobić? Chyba mnie popieprzyło, żeby ją o coś podejrzewać. To najgłupsza z moich koncepcji” – bił się dalej z myślami.

Miał do przejścia około czterystu metrów. Wiedział doskonale, ile zajmie mu to czasu. Znał tę okolicę na pamięć. Był z siebie zadowolony, bo czuł się, jakby tu bez mała mieszkał. Ostatnie dni pracy nad mapami, zdjęciami, filmami z internetowych serwisów i mediów społecznościowych nie poszły na marne. Pamiętał, co przed wyjazdem przekazał mu Ole. Przełożeni przypominali mu, że działa wprawdzie na przyjaznym terenie i że formalnie powinni poinformować miejscowe służby partnerskie o jego misji, jednak wyjątkowa, narodowa, rzecz można, specyfika sprawy wzięła górę nad umowami PET z BfV – Federalnym Urzędem Ochrony Konstytucji. Skłaniała do tego również praktyka władz niemieckich w odniesieniu do kwestii związanych z zagrabionymi dziełami sztuki, których odzyskiwanie, delikatnie mówiąc, nie było dla tych władz priorytetem. Lars niejednokrotnie przekonał się o tym w czasie różnych sympozjów i konferencji, rozmawiając z niemieckimi, austriackimi, a przede wszystkim polskimi historykami sztuki. W takim osądzie sprawy utwierdziło go również podejście amerykańskiej CIA do realizacji działań operacyjnych na terenie Niemiec.

Po dziesięciu minutach stał naprzeciwko kamienicy, w tym samym miejscu, w którym tydzień temu robił zdjęcia z taksówki. Spojrzał na zegarek. „Jest za kwadrans trzynasta. Środek dnia. Z tego, co mówiła mi Doreen, w tych godzinach Hans Artman, żeby paliło się i waliło, zawsze jest na miejscu” – pomyślał.

* * *

Znalazłszy się po drugiej stronie ulicy, Lars ostrożnie rozejrzał się wokół. Spojrzał na znany mu szyld „Luxury Antique Underground”, wszedł do bramy, minął główną sień kamienicy i znalazł się na obszernym podwórku z drzwiami prowadzącymi do bocznych klatek schodowych ukrytych w zieleniejącym na ścianach bluszczu. Przy jakiejś dobudówce, spełniającej zapewne funkcje komórki lokatorskiej, stały zaparkowane dwa samochody. Po lewej stronie dostrzegł szklaną witrynę z białym napisem. Podszedł bliżej. Wewnątrz zobaczył etażerkę wypełnioną porcelaną, stojak z ceramicznymi wałkami kuchennymi, neoklasycystyczne biurko zawalone starymi płytami szelakowymi i winylowymi, a na nim gramofon z wielką, bordową tubą, oraz stolik art déco z otwartymi albumami zawierającymi stare banknoty – jeśli mógł się zorientować, były tam rosyjskie ruble oraz polskie i niemieckie marki. „To tutaj. Jestem na miejscu” – pomyślał i skierował się do wejścia mieszczącego się między witryną a murem.

– *Abgeschlossen...* – przeczytał na głos napis na kartce za szybą. „Nieczynne? Hmm...” – zdziwił się.

Nacisnął mosiężną klamkę pomalowanych na zielono drzwi i lekko je popchnął. Otworzyły się z charakterystycznym skrzypieniem. Równocześnie zadzwonił metalowy dzwonek przymocowany do framugi. Wewnątrz poczuł nie tylko typową dla takich miejsc woń starych rzeczy, ale i jakiś ostry zapach, a w zasadzie smród. Lars nie wiedział, co to jest. Nigdy chyba się z tym nie spotkał.

– *Hallo, ist jemand hier?* – spytał i po chwili dodał głośniejszym głosem, nie ruszając się z miejsca: – *Herr Artman!*

Cisza panująca wśród tych starych mebli, przeszklonych szafek pełnych bibelotów, przykrytych szkłem kaset z monetami, obrazów olejnych w ciężkich złotych ramach i rysunków w cienkich, czarnych ramkach była niepokojąca. Jakby coś wisiało w powietrzu. Lars zrobił trzy kroki do przodu. Podszedł do czarnego wysłużonego pianina z wytwórni Wilhelm Biese.

– *Herr Artman* – powtórzył, ale już ciszej, jakby dostosowując się do atmosfery pomieszczenia.

Nasłuchiwał i ostrożnie rozglądał się wokół. Potem skierował się ku schodom prowadzącym w dół. W suterenie tliło się słabe światło. Piwnica faktycznie, tak jak opisywała ją Doreen, okazała się rozległa. Przy schodach stały pękate, skórzane fotele z lat trzydziestych wytarte od używania i dwa okrągłe stoły z drewna orzechowego. Dostrzegł też różnego typu lampy z abażurami ustawione na stolikach, które przykrywały bliskowschodnie kilimy. Sporo było również drewnianych i skórzanych waliz z metalowymi okuciami. Na kilkunastu krzesłach o wysokich oparciach zalegały sterty klaserów pełnych, jak się

zdołał zorientować, znaczków, monet i banknotów. Po drugiej stronie stały szafki ze szklanymi drzwiczkami. Na jednej z nich przyklejono odręcznie napisaną kartkę: „Königliche Porzellan-Manufaktur – Berlin, Jahr 1913”. Zawartość szafek stanowiły w większości poustawiane w pionie talerze z wizerunkami sikorek, bażantów i innych ptaków, których Lars nie znał. Dalej znajdowały się trzydrzwiowa szafa i etażerki z kolejnymi talerzami, a przed nimi drewniane kufry ze zrolowanymi i ustawionymi w pionie starymi dywanami w barwach rudobordowych. Wszystko to uzupełniała nieogarniona wprost liczba drobniejszych przedmiotów rzuconych na dwie zielone kozetki. W tym sezamie znalazł się nawet stary, holenderski rower i stojący wieszak z frakiem i cylindrem. Wielu rzeczy i ich przeznaczenia Lars nie był w stanie zidentyfikować. Czuł za to, że do poprzednich zapachów doszła teraz woń naftaliny.

Po chwili intensywnego lustrowania pomieszczenia skierował się powoli ku wielkiemu, eklektycznemu biurku w kącie piwnicy. Nad biurkiem, pod sufitem podwieszony był model czerwonego dwupłatowca z czarnymi krzyżami na bokach. Lars czuł coraz większy niepokój.

Popatrzył na korkową tablicę z kilkoma kolorowymi kartkami pocztowymi, po czym przeniósł wzrok na blat, na którym rozrzuconych było w wyjątkowym nieładzie kolejnych kilkadziesiąt, a może więcej, pocztówek. Wziął do ręki jedną z nich – przedstawiała duży budynek, a napis pod spodem informował: „Berlin. Ruhmeshalle”. Odwrócił ją. Pocztówka była zapisana. Podniósł drugą i też ją odwrócił. Naklejono na niej niebieski znaczek z żaglowcem za trzydzieści pięć fenigów. Wydano ją za czasów NRD, adresowana zaś była do kogoś w Czechosłowacji...

Smród, który Lars poczuł już przy wejściu, tu, w suterenie, okazał się o wiele bardziej dokuczliwy. Zrobiło mu się niedobrze. Brało go nawet na wymioty. Zakrył dłonią usta i nos, a potem raz jeszcze rozejrzał się wokół w poszukiwaniu źródła trudnego do wytrzymania zapachu. Jego uwagę zwrócił stojący za biurkiem stary sejf z uchylonymi drzwiami. Na mosiężnym kole do otwierania zamka przeczytał tym razem na głos, jakby chciał dodać tym sobie odwagi, napis: „S.J. Arnheim. Berlin”.

Zrobił krok do przodu i wtedy między sejfem a biurkiem zobaczył na podłodze ciało starszego mężczyzny. Wiedział już, skąd w pomieszczeniu ten odór. Niemal od razu zorientował się, że musi to być znajomy Doreen. Pod jego głową, na niebieskoszarym dywanie w drobne wzory rozlewała się wielka plama. Nie znał się na tym dobrze, ale zwłoki musiały tu leżeć już kilka dni, bo krew była zaschnięta, skóra zdążyła zmienić barwę i widać było plamy opadowe. Lars wiedział, że za późno tu na jakąkolwiek pomoc. Wciąż jednak pozostawała szansa zdobycia jakichś informacji. Coś go tknęło i zaczął prze-

szukiwać porozrzucane na blacie kartki pocztowe. Wszystkie pochodziły z okresu NRD albo sprzed wojny. Nie znalazł wśród nich niczego interesującego. Tymczasem robiło mu się coraz bardziej niedobrze, tak że rozejrzał się nawet za jakimś pojemnikiem, rozważając użycie w razie konieczności srebrnego wiaderka do szampana. Na razie przełknął jednak ślinę i zaczął powoli głęboko oddychać ustami. Na twarzy usiadły mu dwie muchy, które najwyraźniej przeniosły swoje zainteresowanie z nieżyjącego Artmana na żywego czy może półżywego Larsa. Odgonił je energicznym ruchem ręki. Śledząc ich odlot, przypadkiem spojrzął raz jeszcze na korkową tablicę wiszącą za biurkiem. Znów coś go tknęło: „Może ona jest jakimś wyróżnikiem?”. Odsunął fotel, ostrożnie przekroczył ciało Artmana i podszedł bliżej planszy. Zdejmował jedną po drugiej przypięte do niej pineskami kolorowe, współczesne pocztówki, odwracając każdą w poszukiwaniu korespondencji czy choćby dat. Wszystkie miały naklejone ostemplowane znaczki.

„Lwów” – odwrócił: „Dwa tysiące pierwszy rok, bez treści, bez podpisu”. „Kraków” – odwrócił: „Dwa tysiące piąty rok, bez treści, bez podpisu”. „Sztokholm” – odwrócił: „Dwa tysiące ósmy rok, bez treści, bez podpisu”. „Znowu Lwów, dwa tysiące dziewiąty rok. Ale jest korespondencja po niemiecku! I podpis!” – ucieszył się. „Pismo, cholera, bardzo niewyraźne. Artysta albo lekarz? W każdym razie facet z Ukrainy pisze coś po niemiecku o transakcjach i nowych możliwościach chyba” – próbował odczytać treść. „Pozdrowienia i podpis: *Schöne Grüsse. Andrij*”. Lars zamyślił się na moment i wrócił do poszukiwań. „O! To jest ten sam charakter pisma co na tej pocztówce z dwa tysiące pierwszego roku” – skojarzył, po czym schował wszystkie kartki do wewnętrznej kieszeni swojej marynarki. Dopiero wtedy odpiął ostatnią – tę, która wisiała na samym środku i wyglądała na najnowszą. Przedstawiała piękną plażę, turkusową wodę, palmy i wielkie, owalne skały ciemnej barwy – jedne sterczały ze śnieżnobiałego piasku, a inne z morskiej wody.

– Seszele – przeczytał na głos i szybko odwrócił widokówkę. – Dwa tysiące dziesiąty rok. Serdecznie pozdrawiam. Woronow...

Lars spojrzął na znaczek z dwoma żółtobrazowymi przypominającymi sikorki ptakami siedzącymi na gałęzi. Dołączył kartkę do pozostałych i zaczął powtarzać w myślach nazwisko z podpisu: „Woronow, Woronow... Hmm...”. Skierował się ku schodom, opuścił suterенę, a po chwili także sklep. Domknąwszy starannie zielone drzwi, przez moment jakby się zawahał, ale ostatecznie ruszył powoli do głównej sieni. Przed oczami miał obraz martwego, prawdopodobnie zamordowanego antykwariusza. Na Suarezstrasse ruch był teraz trochę większy. Stojąc już przed bramą kamienicy, Lars spojrzął na zega-

rek pierwszy raz od chwili wejścia do sklepu Artmana. „Spędziłem tam pół godziny” – skonkludował w myślach. Obrócił się i ruszył w lewo.

* * *

W wynajętym mieszkaniu na pierwszym piętrze budynku naprzeciwko kamienicy, w której mieścił się Luxury Antique Underground, zapanowało poruszenie. Mężczyzna stojący w przeszklonych drzwiach balkonu wypełnionego kwiatami usłyszał w słuchawce smartfona:

– Jesteś pewien, że to ten?

– *Tak toczno, towarzyszc kapitan* – odpowiedział mężczyzna i wyszedł na balkon. – Z kamery ukrytej przy tej dobudówce na podwórku widać było, że wychodzi ze sklepu. Chyba stary zrobił na nim wrażenie, bo był jakiś błady i jakby się wahał. Z dwójki, tej w bramie, też widać było, że szedł jakimś takim niepewnym krokiem.

– Pilnujcie go?

– Tak. Podjęliśmy go – powiedział mężczyzna i wychylił się mocno poza podłużne donice z kwiatami zamocowane do bariery. – Idzie... na południe – dodał.

– Używał jakiegoś smartfona?

– Nie widzieliśmy. Na skanerze też nic nie wyłapaliśmy. Dziwne, *towarzyszc kapitan*.

– Co dziwne?

– Że on nie ma smartfona czy, bo ja wiem, jakiegoś tabletu z kartą GSM. Nie wygląda na biedaka.

– Meldować mi o każdym jego ruchu, o tym, gdzie się znajduje, co robi. Jadę już do waszego sektora. Wyślij trzecią ekipę na stację kolejki... West-kreuz.

– *Tak toczno* – powtórzył mężczyzna i przerwał połączenie.

* * *

Po kwadransie wolnego marszu z wizytą w lokalu tajskiego masażu, by zasięgnąć informacji, czyli sprawdzić się, Lars usiadł przy stoliku przed Café Suarez. Zamówił kawę. Przez dziesięć minut dokładnie lustrował otoczenie. „Za dużo tu ludzi. Ciężko będzie coś wyłapać. Muszę gdzieś przeczekać porę lunchu” – pomyślał, szybko dokończył pić i wstał. Przypomniał sobie, że po drodze, przy niewielkim skwerze, jest indyjska restauracja. Ale nie skierował się do niej od razu. Kluczył trochę, idąc tym samym tempem co dotychczas. Towarzyszyło mu jakieś dziwne przecucie, że jest obserwowany. Powiązał je

jednak z sytuacją i tym, co zastał w suterenie. Postanowił zrobić coś nieoczywistego, choć nie był do tego przekonany w stu procentach. Między okazałymi drzewami dostrzegł sklep typu second-hand z rzeczami dla dzieci. „Jeśli są w okolicy i mnie obserwują, to pewnie się teraz trochę zdziwią” – pomyślał. Przeszedł na drugą stronę ulicy brukowanej czarną kostką i najpierw przyglądał się przez moment stojącym na zewnątrz sklepu używanym wózkom, wieszakom z dziecięcymi ubraniami, wysokim krzeselkom ułatwiającym karmienie, a potem wszedł do środka. Ponieważ pomieszczenie zajmowało parter w narożnym budynku, miał przed sobą szerszy plan. Starał się rejestrować każdą przechodzącą osobę i każdy samochód, który od momentu przejścia przez Suarezstrasse tamtędy przejechał lub stał zaparkowany z kierowcą wewnątrz.

* * *

– *Towariszcz kapitan* – powiedział do telefonu mężczyzna z mieszkania stanowiącego punkt obserwacyjny rosyjskiego wywiadu SWR – wszedł do sklepu z używanymi rzeczami... *dla dietiej*.

– *Kuda?* – rzucił kapitan. – *Na kakoj chrien on tuda poszoł?* – dodał.

– Kazałem naszym podejść bliżej. Ale nie za blisko, żeby się nie zorientował.

– Niech podejdą blisko! Słyszysz?!

– Tak jest. Ale...

– Żadne „ale”. Melduj. Zaraz tam będę.

Kapitan rozłączył się.

* * *

Po paru minutach grzebania w koszach i na półkach Lars wyszedł ze sklepu. Przeciął znowu zatopioną w wiosennej zieleni ulicę i skierował się wprost do restauracji. Minął dwa rozłożyste parasole, potem podcienie i wszedł do wewnątrz. Wcześniej zastanawiał się przez chwilę, czy w ogródku nie będzie lepiej, ale zrezygnował z tego pomysłu. Siadł przy stoliku w głębi lokalu. Po chwili pojawił się kelner i witając gościa łamanym, śmiesznie brzmiącym językiem niemieckim, podał mu menu. Lars nie zastanawiał się długo. „Wezmę *tandoori chicken chaat*. Taka przystawka wystarczy po dzisiejszych doznaniach. Poza tym Doreen przygotowała pewnie coś dobrego na obiad”. Uśmiechnął się, a po chwili poprawił się w myślach: „Albo na kolację”. Odruchowo spojrział na wejście. Dostrzegł tam młodego mężczyznę, którego pojawienie się uznał za nienaturalne, tym bardziej że ten, kiedy zobaczył Larsa, jakby się wycofał, tak mu się przynajmniej wydawało. Potem do lokalu wkro-

czyła dwójka trzydziestolatków wyglądających, jakby byli na randce – rozmawiali głośno po niemiecku z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem. Wkrótce zjawiała się kilkuosobowa grupa z biura pobliskiej firmy. Niedługo po nich do restauracji wszedł czterdziestolatek, szczupły mężczyzna średniego wzrostu w niebieskiej koszulce polo i dżinsowej marynarce, który usiadł przy drzwiach i zamówił duże piwo oraz zupę. Przez moment Larsowi wydawało się, że mężczyzna co jakiś czas obserwował go, ale po opróżnieniu kufła i szybkim zjedzeniu zupy gość opuścił lokal, nawet się nie odwracając.

W restauracji Lars spędził ponad pół godziny. Gdy znalazł się na zewnątrz, odniósł wrażenie, że ruch jakby zelżał. Skierował się na zachód, a potem skręcił na północ w kierunku Lietzenseepark, o którym opowiadała mu ostatnio Doreen. Minął gęsto zarośnięty drzewami i krzewami skwerek i znalazł się w miejscu nazywanym Grosse Kaskade – przy bezstyłowej budowli, po której latem spływała woda. Szedł teraz ścieżką wzdłuż jeziora. Wiedział, że aby go obserwować, trzeba było to robić z drugiej strony jeziora albo idąc dość blisko za nim. Tę drugą możliwość odrzucił. Po przejściu jakichś stu metrów zauważył na przeciwnym brzegu parkę trzydziestolatków, którzy byli z nim w restauracji. „Ale to w końcu nic nie znaczy. Za blisko tej restauracji. Może przyszli tu po prostu na spacer? Tak jak Doreen tu przychodzi” – pomyślał. Szedł tym samym tempem. W końcu skręcił w prawo i skierował się do Ringhotel Seehof Berlin, a dokładnie na taras jego restauracji, z którego rozciągał się piękny widok na jezioro i cały park. „Powinni tu zaraz być” – pomyślał, opierając się o barierkę i wypatrując znajomej pary. „A jednak są spacerowicze!” – w pierwszym odruchu jakby ucieszył się, gdy ich zobaczył, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to mimo wszystko może być czysty przypadek.

Po kilku minutach odwrócił się od barierki tarasu i wszedł do wnętrza budynku. „*Knep mig sidelaens!*” – przeklął w myślach. W lobby zobaczył mężczyznę w średnim wieku, w niebieskiej koszulce polo i dżinsowej marynarce, tego od kufła piwa i indyjskiej zupy. Ich wzrok na moment się spotkał. Tak jak spotyka się wzrok obserwowanego z obserwującym. Nie raz miał już w życiu taką sytuację. Niezależnie od tego, gdzie i kiedy, ten wzrok, to spojrzenie były zawsze takie same. Miał już pewność. „Så! *Fandeme fantastisk*. Miejscowi? Policja? Raczej nie. Może gangsterzy, którzy załatwili Artmana? Nie, za duża profeska. To jakaś służba, ale jaka?” – skonkludował i przeszedł go dreszcz. „Teraz to już nie żarty” – pomyślał i wyszedł na zewnątrz.

W drodze do stacji metra wstąpił jeszcze do hotelu Brandies i głośno go zachwalając jako polecany przez znajomych, zarezerwował w nim dwudniowy pobyt. Poinformował, że będzie z bagażami za trzy godziny. Liczył, że nie

ujdzie to uwadze obserwujących i że poczynią oni po jego wyjściu stosowne ustalenia.

* * *

– Idzie do stacji metra... U Kaiserdamm – powiedziała do smartfona dziewczyna, która wraz z kolegą prowadziła obserwację w parku oraz od hotelu Brandies, gdzie przejęli Larsa od trzeciej grupy.

– Jesteście pewni?

– *Da!* Jedziemy z nim. Raczej nas nie zapamiętał. Nie jestem jednak tego pewna – odpowiedziała dziewczyna.

– Meldować, w którą stronę pojedzie. Podejść bliżej.

– Ale... cel się zorientuje!

– Wykonać! – Kapitan rozłączył się.

* * *

Po półgodzinie Lars opuścił stację linii metra U2 Schönhauser Allee, gdzie jeszcze odwiedził kiosk, kupując butelkę wody. Wiedział, że nie może się teraz spieszyć, a mimo to podświadomie przyspieszał. Czuł, że adrenalina działa. Przeszedł na drugą stronę Schönhauser Allee. Kątem oka spojrzał w lewo. Zauważył znaną mu parę młodych ludzi. „A jednak to nie przypadkowi spacerowicze” – skonstatował, ale głębiej się nad tym nie zastanawiał. Trzeba było zgubić ogon. Po kilkudziesięciu metrach wszedł do centrum handlowego, skierował się prosto do windy i po chwili był już przy swoim volvo. Uruchomił je i z piskiem opon pojechał w kierunku bramy wyjazdowej, zwolnił przed szlabanem, wyjechał na ulicę i wbił się w sznur samochodów.

„Teraz do Doreen. Do mojej namiętnej Doreen. Muszę się koniecznie napić czegoś mocniejszego” – pomyślał. Kierował się w stronę dzielnicy Wittenau. Po przejechaniu wiaduktu nad torami kolejowymi wybrał na wyświetlaczu nawigacji jej adres. Pokazały się dwie liczby: „26 kilometrów – 40 minut”.

Skręcił w boczną, cichą, brukowaną uliczkę. Zjechał do krawężnika, zatrzymał się i wyłączył silnik. Wyjął tablet, podłączył do niego pendrive, wbił ośmiocyfrowy szyfr, potem wprowadził drugi. Na ekranie zobaczył okienka do wpisania kolejnych dwunastu cyfr. Po zatwierdzeniu pokazała się specjalna, zabezpieczona skrzynka mailowa. Lars napisał do Olego Jensena notatkę ze szczegółową informacją o tym, co zaszło. „Tylko jak ja wytłumaczę Doreen, że nie jedziemy jutro do Polski i Czech? Muszę wykombinować coś wiarygodnego. Pewnie będzie się złościć. W końcu wzięła kilka dni wolnego. No ale do

rana będziemy razem” – myślał, ruszając po czterdziestu minutach w kierunku Steglitz-Zehlendorf.

W drodze do Doreen Lars cały czas analizował sytuację. Zastanawiał się, dlaczego stary Artman zginął. Co oznaczają pocztówki z tablicy, po części bez treści i podpisu? W końcu kim byli śledzący go ludzie? Jakie służby i jakiego państwa za tym stoją? Może chodzi o stare sprawy mające związek z enerdownską Stasi? A w związku z tym czy Rosjanie to dobry kierunek podejrzeń? Pytania mnożyły się z każdym kilometrem, z każdą minutą. Na razie nie znajdował na żadne z nich odpowiedzi. „Hmm... Same pieprzone poszlaki, same pieprzone przypuszczenia. *Knep mig sidelaens!*” – przeklął na koniec w momencie, gdy dotarł pod dom Doreen. Zaparkował. „A jeśli Doreen tam jutro pojedzie? Będzie chciała spotkać się z Artmanem. Cholera. Muszę Olemu napisać, żeby poinformował miejscowych natychmiast. Niech wymyśli jakąś legendę dla Niemców” – skonkludował i znów wyjął tablet. Po dziesięciu minutach skończył. Zabrał skórzaną torbę, a z bagażnika cały karton zakupów. Gdy podchodził do budynku, ogarnęło go znowu jakieś przeczucie, że jest obserwowany. „Ale jak? Tutaj? Przecież się im z całą pewnością urwałem! Niemożliwe, żeby jeszcze ciągnęli się za mną!” – pomyślał i rozejrzał się dyskretnie. Nie zauważył jednak nikogo ani niczego niepokojącego, co świadczyłoby o tym, że pozostaje wciąż pod obserwacją. Nacisnął przycisk wideodomofonu, zakrywając jednocześnie ekran swoim ciałem. Zamek puścił. Wszedł do klatki schodowej. Na półpiętrze przystanął przy oknie i zaczął intensywnie lustrować ulicę, a po chwili wewnątrz budynku. Trwało to może pół minuty. „Chyba czysto? Nie, na pewno czysto” – pomyślał i uspokoił się.

Rozdział 9

Warszawa – wiosna 2011

- Marcin? – rzuciła do telefonu Anita.
- Tak. Co się dzieje?
- Musimy się spotkać! Koniecznie! Słyszysz?!
- Słyszę. Ty też? Co się dzieje? – powtórzył nieco zasapanym głosem.
- Jak to ja też?
- Wczoraj dzwonił Sebastian. Umówiliśmy się pojutrze o szesnastej w Szwejku na placu Konstytucji na piwo. Był zdenerwowany. Mówił, że ma do mnie pilną sprawę. Więc wnioskuję, że się stało coś, co dotyczy naszej trójki.
- Marcin słyszał w telefonie ciężki oddech koleżanki.
- Anita, rozumiesz, co mówię?
- Tak, rozumiem. Sebastian mówił coś więcej?
- Nie. Ale był tak samo zdenerwowany jak ty.
- Czyli masz rację. Chodzi o całą naszą trójkę. Musimy się spotkać, koniecznie.
- Anita, jestem teraz w Bieszczadach. Jutro w nocy wracam do Warszawy.
- To może... No dobrze, to pojutrze w Szwejku.
- Pośłuchaj. Kiedy wrócę, to przyjdę do ciebie. To znaczy przypłynę wpływ ode mnie z Saskiej Kępy – próbował zażartować.
- Nie. Lepiej nie. Nie dzwoń na razie do mnie, proszę. Cześć – rozłączyła się.

* * *

Anita, Marcin i Sebastian siedzieli nad pękatymi kufkami piwa postawionymi właśnie na stoliku przez kelnera. Milczeli. Co jakiś czas spoglądali na siebie.

– Wiecie, ile razy tu przychodzę, to zawsze kogoś znajomego z ABW spotkam – zaczęła Marcin, chcąc rozładować atmosferę.

– To chyba ich ulubiona knajpa. Nie pomyślą, że jeśli my to wiemy, to ruskie albo białorusy też mogą wiedzieć – stwierdził markotnie Sebastian.

– Ja też dzisiaj byłem na Miłobędzkiej, wezwany pilnie na ósmą rano... – Marcin zawiesił głos i popatrzył na Anitę i Sebastiana. – To kto zaczyna tę stypę? – spytał.

– Rozmawiałam w mieszkaniu konspiracyjnym z Czuchą i Romańczukiem, tym z wewnętrznego – zaczęła Anita i upiła duży łyk piwa. – Pytali mnie o tamtą sprawę. Wiecie...

– Tę realizowaną z Tortakiem? – dopytał Sebastian.

– Tak.

– A o co cię, Anita, dokładnie pytali? – rzucił Marcin.

– O tego z Korei Północnej i czy mówi mi coś nazwisko Andriej Woronow.

– Mnie też o nich pytali. To znaczy o Songa i tego... Woronowa – powiedział Sebastian, a Anita kiwnęła głową.

– I o tego Derylla i tego drugiego, jak mu tam? Tych, którzy z Langley przyjechali wtedy na spotkanie w Magdalence – ciągnęła Anita.

– Toma – uzupełnił Marcin.

– Czyli jednym słowem... o oficerów naszej zaprzyjaźnionej CIA, którzy realizowali z nami to pieprzone przedsięwzięcie – stwierdził tym razem z sarkazmem w głosie Sebastian.

– Tak!

– Mnie, kurwa, też o to pytali. O wszystkie nazwiska, które pamiętam. Najbardziej Rosjan – relacjonował podniesionym głosem Sebastian.

– I co? – zapytała Anita.

– I nic... Powiedziałem, że to już tyle lat. Że nie pamiętam. Zresztą... – Sebastian zawiesił głos.

– Ja też tak mówiłam – dorzuciła dziewczyna.

– A o tego cwaniaka z Zakopanego, na którego ostrzyli sobie zęby sojusznicy zza Wielkiej Wody? – spytał Marcin.

– Klimowa – przypomniał Sebastian, a Marcin przytaknął. – Nie, o niego nie. Nawet się nad tym zastanawiałem: dlaczego pytali o Woronowa, a o jego koleżkę z *razwedki* już nie.

– Hmm... ciekawe.

– Tak, zastanawiające.

– A pamiętacie wtedy, jeszcze na Rakowieckiej, jak siedzieliśmy do rana nad dokumentacją sprawy i jak Tortak, przecierając tą swoją chusteczką lekko spocone czoło, z okularami opuszczonymi niemal na koniec nosa przestrzegwał, żeby nic nikomu nigdy nie mówić o tamtej operacji. Potem jeszcze przypominał nam o tym parę razy – powiedział Marcin.

Nad stolikiem w Szwejku znowu zaległa cisza zakłócana jedynie stukotem kufli odstawianych na ceratowy obrus w biało-czerwoną kratę.

– O co tu, kurwa, chodzi? – przerwała milczenie Anita. – Nie mieli dokumentacji w archiwum czy co?

– Gdy rozmawiałem ostatnio z naszym niestrudzonym pułkownikiem Tortakiem, to kiedy wspominaliśmy... koloryt Azji, on mi mówił, że w archiwum nie ma śladu po tej operacji. Że mogą być jedynie jakieś szczątkowe dane – powiedział Sebastian.

– Jak to szczątkowe? – zdziwiła się Anita.

– No w innych sprawach... Jakieś z logistyki czy finansów. Może coś w informacyjnym. I w gabinecie szefa, o jakichś ustaleniach z Amerykanami. Coś takiego.

– Tylko wiecie, chłopaki, jest coś jeszcze. – Marcin i Sebastian spojrzeli zaciekawieni na koleżankę. – Po spotkaniu z Czuchą i Romańczukiem przyszło do mnie dwóch takich z wewnętrznego i maglowali mnie o mojego byłego męża. O jego interesy w Rosji. Z kim, co, za ile i tak dalej.

– Mnie dodatkowo wypytywali o to pieprzone Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina w Moskwie, a w zasadzie o moje kontakty w tej instytucji. A, kurwa, kiedy to było? Przecież na placówce w Moskwie działałem tyle lat temu! – powiedział Sebastian.

– A nie bierzesz pod uwagę swoich dłuższych delegacji w Moskwie?

Sebastian stuknął się dłonią w czoło.

– No fakt, pojechałem tam potem parę razy.

– Coś mi tu rucholami zalatuje – skomentował Marcin, a Sebastian pokiwał głową.

– Czyli jak rozumiem, wszyscy niedługo odwiedzimy kadry, psychologa, poligraf, wewnętrzny, pójdziemy na jakieś praktyki, zrobimy badania lekarskie czy co tam jeszcze i... w pizdu – powiedział z przekąsem Sebastian i dokończył piwo jednym haustem.

– Nie wiem jak wy, ale ja mam przygotowywać się do jakiegoś wyjazdu na Bliski Wschód – odezwał się Marcin. – Dziwne jednak, bo wpisali mi w obiegu praktyki w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Pani dyrektor kadr oznajmiła mi z uśmiechem, że tak w ogóle to szybko, w ciągu najbliższych miesięcy, mam pogłębić swoją znajomość sztuki. Pewnie w najbliższym czasie odprawa u Czuchy i wtedy mi powiedzą, o co chodzi. Zamówię jeszcze po kufli. – Machnął ręką do kelnera.

– Ja tym razem mam jechać do Kijowa – odpowiedział Sebastian i spojrział pytająco na Anitę.

– A ja nie wiem. Na razie przynajmniej nie wiem. Może wezmą pod uwagę, że jestem samotną matką? Może na przykryciu pozostanę poza firmą? Albo mnie oddelegują gdzieś w kraju?

– Chuja wezmą pod uwagę, Anita! Oni nie mają normalnych rodzin, to co oni, kurwa, wiedzą o życiu, o problemach wiążących się z takim nagłym wyjazdem na stałe, o dzieciach... Pieprzyć to! – stwierdził zdenerwowany Sebastian. – Nie widzicie, że się nas pozbywają, a w dodatku nie chcą, żebyśmy byli za blisko siebie i centrali. Dadzą nam różne zajęcia, żebyśmy nie rozmyślali o tamtej sprawie. Będą nas przenosić z placówki na placówkę, wysyłać na różne misje i misyjki daleko od siebie albo upychać w jakichś instytucjach. Wszystko w białych rękawiczkach. O to tu, kurwa, chodzi! O to! – dodał.

– Sebastian, spokojnie.

– Co, kurwa, spokojnie, Marcin! – Wstał od stolika. – Idę się odpryskać.

– To chyba oczywiste, że komuś w czymś przeszkadzamy. To znaczy nasza wiedza w czymś przeszkadza. Zdaje się, że rozstajemy się na dłuższy czas. Kto wie, może na wiele lat. A na Miłobędzkiej dopilnują, żeby to wyglądało, tak jak mówił Sebastian. Tak to widzę – skonstatował spokojnie Marcin i pogłaskał Anitę po dłoni.

Dziewczyna wsunęła rękę pod stolik i przejechała nią Marcinowi po wewnętrznej części uda, na koniec delikatnie je ściskając.

– Chodźmy do mnie. Muszę odreagować. Proszę! – Po chwili z filuternym uśmiechem dodała: – Wiesz, że nie mam pod spodem bielizny.

– Uff... – Nabrał powietrza, że aż rozdęło mu policzki, i powoli je wypuścił. – Na Powiśle do ciebie to chyba taksówką pojedziemy.

– Muszę ci też coś jeszcze wyznać. Chcę, żebyś to wiedział. Ale o tym potem... – Anita wyraźnie posmutniała, a w oczach pojawiły się łzy.

– Tylko mi się tu nie rozklejaj. – Przeciągnęła dłonią po jej włosach. – Musisz mi trochę poopowiadać o twoim byłym.

– A co chciałbyś wiedzieć? Że jest bardzo bogaty, ale ani tak przystojny, ani tak namiętny jak ty?

– Hmm... raczej dlaczego i gdzie jeździ do Rosji, wśród jakich konkretnie osób się obraca.

– W towarzystwie bogatych Rosjan. Głównie Moskwa, ale i też Jekaterynburg, Kazań – odpowiedziała z lekką drwiną.

– Wolałbym konkretne nazwiska. I konkretne miejsca. Poważnie, musimy o tym pogadać.

Rozdział 10

Kopenhaga – wiosna 2011

Minęły już trzy dni od powrotu Larsa z Berlina. Pierwszy dzień, a w zasadzie dzień i noc, spędzili z Olem Jensenem w apartamencie hotelu Phoenix Copenhagen na pisaniu raportów. Musieli sporządzić także notatkę do niemieckiego BfV opisującą ich szczątkową informację pozyskaną z nasłuchu radioelektronicznego ambasady rosyjskiej w Kopenhadze o... jakichś działaniach przy Suarezstrasse w rejonie sklepu ze starociami. Natomiast następne dwa dni wypełniły ustalenia, spotkania i rozmowy Jensena z przełożonymi, a nawet osobista rozmowa szefa PET z Larsem, co świadczyło o wyjątkowości sytuacji. Przywiezione przez niego pocztówki zostały oddane do analizy laboratoryjnej, a wszelkie dane osobowe przekazane służbom szwedzkim i brytyjskim. Dla wszystkich było oczywiste, że w sprawę zaangażowani są Rosjanie – pytanie tylko, o co im chodzi? Czy są to działania ich wywiadu, czy jakiejś grupy przestępczej, czy możeś najemników, o których coraz głośniejsze w różnych zakątkach świata, tego na razie nikt nie wiedział. Pozostawały jedynie domysły.

– Jak myślisz, Ole, czy dzisiaj coś jeszcze będzie się działo? – spytał Lars, kończąc szklanek zimnego piwa Faxe.

Ole spojrział na zegarek. Pomyślał i pokiwał głową.

– A co, gdyby to było trochę bliżej, pojechałbyś znowu do pięknej Doreen?! Niezła, stary. Naprawdę niezła – roześmiał się.

– Skąd wiesz? – zapytał z nutką niepokoju Lars.

– Daj spokój. To osoba publiczna. Ekspertka w paru domach aukcyjnych w Europie. Do tego współpracuje z Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina w Moskwie i petersburskim Ermitażem. W internecie znajdziesz całą masę jej zdjęć. – Na chwilę zamilkł. – Jest już wprawdzie po siedemnastej, ale sprawa ma najwyższy priorytet nadany przez premiera, więc będą siedzieć aż do skutku. Co do sojuszników, to nie wiem. Prosiłem na spotkaniach o silne wsparcie, mówiłem, że to wyjątkowa sytuacja. – Upił duży łyk piwa. – Zobaczymy.

– Chcesz jeszcze jedno? – Lars wskazał głową na lodówkę.

– Tak... – Ole zawiesił głos. – A właśnie. Co do sojuszników, to i jedni, i drudzy, jak się dowiedzieli, że za tym mogą stać dawni oficerowie Stasi i w związku z tym raczej na pewno KGB, to... – urwał.

W tym momencie rozległ się sygnał jego smartfona. Spojrzał na ekran.

– Kurwa, szef. – Ole odruchowo wstał z wygodnego fotela, podszedł do okna i nacisnął na zielone kółko na wyświetlaczu.

* * *

Lars siedział nieruchomo i wpatrywał się w ekran telewizora. Co chwila spoglądał też na zegar w rogu ekranu. „Chyba coś znaleźli, skoro nie ma go już ponad trzy godziny” – pomyślał. Na pasku na dole ekranu wciąż leciała informacja: *Jak podaje Pentagon, w Abbottabadzie, niedaleko stolicy Pakistanu, Islamabadu, Amerykańscy komandosi zabili szefa Al-Kaidy Osamę bin Ladena.*

Gdy usłyszał pukanie do hotelowych drzwi pokoju według ustalonego systemu, błyskawicznie poderwał się z fotela.

– No, jesteś w końcu! – rzucił od razu po otwarciu drzwi. – Wchodź! Mów, co nasi ustalili.

– Lars! Nasi i nie tylko nasi. Brytole i Szwedzi też coś dołożyli od siebie. Wezmę sobie piwo z lodówki, bo mi zaschło w gardle. Pędziłem do ciebie, aż mój saab prawie odleciał. – Uśmiechnął się i usiadł ciężko z puszką piwa w dłoni.

– Mów szybko, jak to się sojusznicy postarali.

– Spokojnie, Lars. Przede wszystkim Niemcy z umiarkowanym zrozumieniem przyjęli nasze tłumaczenia, skąd mamy wiadomą informację. Ale wiesz, jacy oni są. Tu wdzięczą się do Amerykanów, a tu kombinują z Rosjanami, z tym ich koncernem gazowym czy naftowym, no i z gazociągami po dnie Bałtyku. Za bardzo zwąchali się z Moskwą. Mniejsza o to. Łyknęli, co mieli łyknąć, i nie dopytywali się o nic.

– Ole, uważasz, że Doreen może być przesłuchiwana przez niemiecką policję?

– Też o tym pomyślałem. Nawet szef o tym pomyślał. Bo w końcu to jest jedyny styk z nami w tej sprawie.

– I co? Jakie konkluzje?

– Takie, że ten Artman to miał pewnie setki kontaktów w swojej branży. Doreen wśród nich znika. Gdyby jednak do niej dotarli, dobrze byłoby, jakbyś nas o tym poinformował. Twoja w tym głowa, by sprawy pilnować.

– Rozumiem.

– Wracając do meritum, te pocztówki, które znalazłeś u Artmana... – Ole zamilkł i pociągnął spory łyk piwa. – Najważniejsza, najciekawsza była ta z Seszeli z dwa tysiące pierwszego roku, a w zasadzie ten niepozorny znaczek z dwoma żółtobrazowymi ptakami siedzącymi na gałęzi. – Znowu zrobił pauzę i łyknął trochę piwa.

Lars, coraz bardziej zaintrygowany, w całkowitym milczeniu patrzył na kolekę. Niemal automatycznie otworzył kolejną puszkę piwa i nie zwrócił nawet uwagi, że część spienionego płynu wylała mu się na dłoń i na podłogę.

– Pod tym pieprzonym znaczkiem była... mikrokropka.

– Co?!

– Tak. Tak. Mikrokropka. Stara pocziwa mikrokropka, o której w większości wywiadów i kontrwywiadów na świecie dawno zapomniano.

– Ale nie u Rosjan – skonkludował Lars.

– Właśnie, nie u nich.

– Co nasi w technice z niej odczytali?

– A co mogli odczytać... Cholerne ciągi cyfr pogrupowane w kolumnach.

– Rozszyfrowali coś?

– No co ty, Lars. Nie ma szans, by tak szybko to rozkuć! Obawiam się, że to w ogóle niemożliwe. Wysłaliśmy to do Sztokholmu i Londynu. Zobaczymy. W każdym razie wiemy, że stoją za tym Rosjanie.

– A to nazwisko... Woronow? – zapytał Lars.

– No właśnie, Woronow. Łącznik MI6 przekazał, że to nazwisko jest im znane, że przechodzi w ich kartotece operacyjnej i że spróbują ustalić jakieś szczegóły.

– Tylko tyle? Skoro pojawia się on w jakiejś sprawie... Mogliby wskazać coś chociaż terytorialnie czy z jaką tematyką wiąże się jego osoba.

– Powiedzieli, ile powiedzieli. Wiesz, jacy oni są. Ale znając ich, uważam, że mają coś o tym całym Woronowie.

– Ole, może te Seszele to nie przypadek? Nieczęsto używa się mikrokropki pod znaczkiem na pocztówce z wakacji. Do tego potrzeba odpowiedniego miejsca, mikroskopu, aparatu, materiałów, odczynników chemicznych. Kurwa! To nie jest zwykłe wyposażenie turysty, nawet rosyjskiego, na tropikalnych wyspach! Ani normalny kanał wymiany korespondencji towarzyskiej z leciwym byłym oficerem Stasi!

– Zgadzam się z tobą w pełni. Też doszedłem do takiego wniosku. W każdym razie... – zawiesił głos – będą nad tym pracować. Coś mi się wydaje...

– Tak?

– Choć nie wyrazili tego wprost, czuję, że ten temat bardzo ich zainteresował. Bo w tej samej informacji napisali, że chcieliby się jak najszybciej spo-

tkać. Proponują przylot do nas w przyszłym tygodniu.

– Dosyć szybko, jak na nich.

– No właśnie. Konsultacje z nimi mieliśmy zaplanowane dopiero za miesiąc.

– Aha... W składzie delegacji ma być ta Caroline, ta ładna dojrzała blondynka. – Ole mrugnął okiem.

– Aaa, ta. Zupełnie niepodobna do typowych Angielek – skomentował Lars.

– Może z nią pogadam i czegoś się nieoficjalnie dowiem. Pierwsze lody już przecież przełamywaliśmy.

– Przyjrzyj się bliżej jej nieangielskiej urodzie? – roześmiał się Lars, a Ole mu zawtórował.

– A co z pozostałymi pocztówkami? Ze Lwowa, ze Sztokholmu? Tam było imię Andrij. Nie widzą w nich nic szczególnego? Czegoś, co by naprowadziło na jakiś trop?

– Nic im one nie mówią. Pewnie sugerowałyby Polaków, ale pamiętasz, co ci opowiadałem: ich relacje z nimi uległy mocnemu ochłodzeniu, i to delikatnie rzecz ujmując.

– A szwedzkie SÄPO?

– No właśnie. Sąsiedzi zza Sundu mają coś o tym Artmanie. Był na ich terenie. Odnotowali niepotwierdzony kontakt z jakimś Rosjaninem albo Ukraińcem. To znaczy facetem, który wjechał do Szwecji samochodem zarejestrowanym, słuchaj gdzie, we Lwowie!

– To by pasowało.

– Będą drążyć temat. A wzięli się za to z kopyta. Niestety, szef musiał im powiedzieć o sprawie złotych medalionów. Ich też to bardzo interesuje, więc rozumiesz...

– No trudno.

– Szwedzi jednak uważają, choć nie powiedzieli, na jakiej podstawie, że tu nie chodzi tylko o te dyski czy nawet Bursztynową Komnatę.

– A o co jeszcze?

– Tego też nie zdradzili. Może przeczuwają coś, ale nie wiedzą na pewno, może współdziałają z innymi służbami i są związani jakąś umową. Nie wiem.

– A co ci, Ole, nos podpowiada?

– Że jest paru aktorów w tym spektaklu i że mamy do czynienia z jakąś grubszą operacją rosyjskiego wywiadu. Albo tych z SWR, albo z GRU.

– Na to wychodzi.

Zapadło milczenie. Lars nie zadowolili się tym razem jednym łykiem piwa, wlał w siebie z jedną piątą puszki, po czym skierował wzrok na ekran telewizora, na którym pokazywano najnowsze zdjęcia z Pakistanu. Ole z kolei siedział przez chwilę jak odrętwiały. Z tego stanu wyrwało go pytanie Larsa, który

podszedł do okna i zaczął znowu przyglądać się rokokowemu budynkowi naprzeciwko hotelu.

– A co w kwestii zdjęć, które Doreen widziała u Artmana? – Lars wrócił z powrotem na fotel.

– Jeśli chodzi o zdjęcia, Lars, to musisz z nią pogadać. Poproś, żeby dokładnie je opisała, zwłaszcza ten panel bursztynowy. W końcu jest ekspertem i zwraca uwagę na szczegóły. Zgadza się? – zapytał Ole, a Lars przytaknął. – Są na świecie pasjonaci tej komnaty i mogą nas na coś naprowadzić. To może być pewien ślad.

– Pojadę do Berlina i jakoś to z niej wyciągnę.

Dokończył piwo i jakby go olśniło. Odstawił pustą puszkę na stolik tak gwałtownie, że aż się przewróciła, a z wnętrza wypłynęły resztki gęstej piany, rozlewając się na wypolerowany, drewniany blat.

– Ole, że też ja wcześniej o tym nie pomyślałem! Przecież ona, to znaczy Doreen, jest też rysowniczką i malarką. Niech mi narysuje i te dyski Sinozębego, i ów bursztynowy panel.

– Świetny pomysł. Tylko uważaj, Lars, żeby nie skojarzyła twojego zainteresowania tymi przedmiotami ze śmiercią Artmana. Bo w końcu się o niej dowie. Jeśli nie od śledczych w Berlinie, to z mediów albo po prostu sama, kiedy nie będzie mogła się z nim skontaktować.

– Spokojnie. Wyczekam na odpowiedni moment. Winien jej jestem zaległy wyjazd do Polski i Czech.

– No to odpowiednich momentów ci nie zabraknie – roześmiał się Ole. – Wyślij te rysunki jak najszybciej. Aha, uważaj na siebie, Lars. Wciąż nie wiemy, kto się za tobą ciągnął w Berlinie, kto prowadził obserwację. Sam widzisz, że sporo jest tu niewiadomych i wielu zainteresowanych sprawą.

Rozdział 11

Warszawa – wiosna 2017

– To było niesamowite spotkanie. Ten klimat domu w Belo Horizonte, te zdjęcia z czasów wojny z Bliskiego Wschodu, wy... – Marcin Łodyna zrobił pauzę, bo kelnerka zaczęła stawiać przed nimi talerze z pierogami. – Wiesz. To też moje wspomnienia jeszcze z Iraku, o przyjacielu waszych rodziców, panu Mieczysławie Kleinerze. Choć można było się tego spodziewać, bo liczył sobie niemało lat, jego śmierć jakoś mocno mną targnęła. Byłem wtedy na robocie w... – Ponownie zawiesił głos, a siedząca naprzeciw Caroline Godlewski milczała. – Kiedyś odwiedziłem go w jego domu w Tel Awiwie. Pamiętam, jakby to było wczoraj, jak jego też nieżyjąca już żona Ryfka śmiała się i mówiła do niego: „Czy tobie ostatnio na głowę się nic nie zważyło? Ileż ty masz, Mosze, lat? Abraham tam miejsce dla ciebie ma naszykowane i zastanawia się, co ten mój Mosze jeszcze robi na ziemi. A Mosze jak to Mosze, wciąż o jakichś operacjach, szpiegach”.

– Dobrze. Takie bardzo... żydowskie. I polskie.

– Potem u nas w firmie opowiadałem to jako anegdotę młodym oficerom. Szkoda, że w Izraelu zapomniano o takich ludziach, takich bohaterach, którzy zbudowali to państwo od podstaw. Zresztą w Polsce nie jest lepiej – stwierdził.

– Wiesz, Marcin, dlaczego wybrałam ten lokal? – Wskazała dłonią na wnętrze restauracji Maska.

– Bo było to niegdyś miejsce wyjątkowe, wręcz kultowe i odwiedzał je między innymi Roman Polański? A może dlatego, że to moje okolice?

– No to też. – Uśmiechnęła się. – Niedaleko stąd, w domu przy Obrońców, podczas krótkiego pobytu w Warszawie mieszkała kiedyś moja mama. Tam, bliżej Wału Miedzeszyńskiego. Dlatego mam sentyment do Saskiej Kępy.

– Kiedyś Maska to była kawiarenka Sułtan.

– Tak, wiem. Czytałam tam o tym. – Wskazała na ścianę.

– Praca dla wywiadu to wasza rodzinna tradycja, jak słyszę. Ty pracujesz w służbie Jej Królewskiej Mości, twoja mama i ojciec też mieli z tym najwy-

rażniej coś wspólnego – zaśmiał się Marcin. – Na Saskiej Kępie w czasach komuny liczba różnego rodzaju lokali konspiracyjnych oraz punktów obserwacyjnych, nasłuchowych i cholera wie czego jeszcze była znaczna... Ten rejon miasta stanowił jedną wielką strefę, w której kontrolowano ruch dyplomatów na wjeździe i wyjeździe. A tutaj, przy Obróńców, pewnie to był lokal waszej służby pod przykryciem mieszkania ambasady. Może nawet wciąż jest? – Spojrzała na kobietę pytająco, nie oczekując jednak odpowiedzi. – Dobra. Jedźmy, bo nam te pyszności ostygną. – Wskazał na stół.

Caroline Godlewski odrzuciła do tyłu długie blond włosy, poprawiła szmaragdową sukienkę z dżerseju i pochyliła się nad pierogami. Jedli w milczeniu, spoglądając jedynie co chwilę na ulicę, wzdłuż której usadowiły się domy głównie z lat dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku. Wszystkie zatopione w soczystej, wiosennej zieleni.

Caroline Godlewski, starszą od niego o kilka lat, Łodyna spotkał cztery miesiące temu w domu przyjaciół jej rodziców w Belo Horizonte w Brazylii. Po zakończeniu służby w Agencji Wywiadu i przejściu na emeryturę zaproponował swojej żonie Ewie wyjazd do Ameryki Południowej. Pojechali we trójkę z ich kilkuletnim synem Michałem. Teraz Łodyna, siedząc naprzeciwko Caroline, przypominał sobie oglądane tam w Belo, w rodzinnym albumie, fotografie z Bagdadu i Jerozolimy z czasów drugiej wojny. Był na nich ojciec Caroline Filip i jego przyjaciel Piotr Winiecki, zwany Armando, którego poznał kiedyś w Wenezueli. Były też dwie blondynki: Iza, później Winiecka, i Ola, później Godlewska. Pozowały na tle Złotego Meczetu w bagdadzkiej dzielnicy Al-Kazimijja. Podczas tamtego niedawnego spotkania snuli do rana opowieści o dowódcy ich ojców Romualdzie Czakuckim i o wielu innych znajomych z wojska.

Łodyna zastanawiał się, jak to się wszystko w cudowny sposób poukładało. Że zetknął się na swojej drodze życiowej z tymi wszystkimi ludźmi. Jednych znał z pamiętników, dokumentów, wspomnień, innych osobiście. W tym momencie przypomniał sobie: „Sprawa R.Cz.? Przecież to chodzi o Romualda Czakuckiego! Że też wcześniej nie skojarzyłem! Tyle razy to czytałem. Kurwa, muszę znaleźć ten fragment!” – przeleciało mu przez głowę. Postanowił, że wróci do pamiętnika generała Gano znalezione go przez niego wiele lat temu w byłym domu Godlewskich koło Kapsztadu w RPA. Z tych wewnętrznych dywagacji wyrwał go głos Caroline, która najwyraźniej w jakiś nadprzyrodzony sposób wychwyciła jego myśli.

– Marcin! W Belo opowiadałeś, że byłeś kiedyś u nas w domu w Constanti. Powiedz mi, jak on wyglądał? W jakim był stanie? Przez całe życie jakoś nie miałam odwagi pojechać tam, do RPA. Mama też, choć do ostatnich dni życia

wspominała owo miejsce. Może okazałoby się to dla niej zbyt dużą traumą w związku ze śmiercią ojca?

– To było tak dawno. W połowie lat dziewięćdziesiątych. Poczekaj. Niech sobie przypomnę... – zawiesił głos. – Hmm... Jak wyglądał? Pamiętam, że zrobił na mnie wrażenie ten styl kolonialny. Wysiadłem wtedy z samochodu, a przede mną... Ta weranda z białymi, żeliwnymi kolumnami, koronkowe ozdoby przy dachu, symetryczne wykusze z oknami, gazony pełne kwiatów.

– Czyli nic się nie zmieniło, odkąd z siostrą i mamą wyjechałyśmy stamtąd po śmierci taty. A wewnątrz? Opowiedz, proszę – dopytywała się nieco rozmarzonym głosem Caroline.

– Wewnątrz... Na półkach stały fotografie naszych żołnierzy z Bliskiego Wschodu z czasów wojny. Były jakieś szafki i komody, zapewne jeszcze z okresu wiktoriańskiego. Ale powiem ci, Caroline, że wrażenie na nas... to znaczy na mnie, zrobiła sypialnia – urwał.

– Nie byłeś tam sam. Kobieta? Koleżanka z firmy? Oficer? – wymieniała. – No dobrze, nie pytam. Opowiadaj! – Uśmiechnęła się i podparła brodę dłonią zaciśniętą w pięść.

– Sypialnia była...

– Sypialnia moich rodziców – uzupełniła Caroline.

– Wielkie, białe drewniane łóżko. Na białych nakaslikach lampki na żeliwnych nogach. Nad łóżkiem olejne obrazy ze scenami z polowań na sawannie. I ten widok za oknem na ogród i na ocean gdzieś dalej na horyzoncie...

– Musicie z Ewą i Michałkiem odwiedzić pewien dom nad zatoką Salcombe North Sands w Devon. Jest pełen polskiej historii, wspomnień, przyjaźni i niesamowitego ciepła. Wiesz, czy to był dom? Domyślasz się?

– Chyba tak. – Łodyna uśmiechnął się pod nosem, bo znał z opowieści Kleinera, Winieckich i Godlewskich dom pułkownika Romulada Czakuckiego i jego, jak to mówił, anioła: żony Elizabeth.

Zapadło milczenie. Oboje popatrywali na siebie, popijając z kieliszków białe wino. Po pewnym czasie pierwszy odezwał się Łodyna.

– No dobrze, Caroline. To jak rozumiem, wracamy do tematu z Belo? Czyli Rosjanie... Chcesz, żebym wam w czymś pomógł? – zapytał lekko oficjalnym tonem.

– Tamta sprawa, ta, w której pojawił się Hanser, była ciekawa...

Marcin Łodyna w poprzednim roku realizował wraz z amerykańską CIA operację, w wyniku której ujawniono szeroko rozbudowaną sieć rosyjskich nielegalów. Budowano ją po zakończeniu drugiej wojny światowej. Werbunku dokonywano wśród polskich sierot, w obozach uchodźców w Afryce. Jedną z takich sierot był kilkuletni wówczas Józek Hanser. Potem zresztą ten model

pracy wywiadowczej radziecka *razwiedka* replikowała, instalując w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych swoich nielegalów w środowiskach polskiej opozycji. Z kolei w roku dwa tysiące szesnastym w Wiedniu podczas tajnego przeszukania antykwariatu i jednocześnie lokalu konspiracyjnego rosyjskiego wywiadu Łodyna odkrył, że jednym z takich nielegalów jest wicepremier polskiego rządu. Uzyskano również wtedy wiedzę na temat mechanizmów finansowania podobnych przedsięwzięć. Pieniądże pozyskiwano z nielegalnego handlu dziełami sztuki. Wspomnianym odkryciem Łodyna podzielił się jedynie ze swoją przełożoną Magdą Sierpecką. Jeszcze tego samego dnia złożył raport z prośbą o zwolnienie ze służby z Agencji Wywiadu.

– Nasi sojusznicy zza oceanu kontynuują ją sporymi już siłami w ramach szerszej operacji. Zaangażowali znaczne środki. Sprawdzają wszystko: numery kont, adresy, przelewy, nawet aukcje w galeriach sztuki. Wcześniej czy później dojdą w końcu do tej całej rosyjskiej czy w zasadzie radzieckiej, czerwonej sieci. To była wasza wspólna operacja, jak wiem...

– Czyli o co chodzi?

– To nie jest takie proste. Istnieją pewne porozumienia, pewne zasady obowiązujące w relacjach między naszymi służbami.

– Caroline, ja jestem już na emeryturze. Wolny ze mnie człowiek. Zastanawiam się, co dalej w życiu robić. Chodzą mi po głowie pewne pomysły. Ale powiem ci jedno: po ostatniej przed przejściem na emeryturę operacji mam głęboko w dupie jakieś umowy, ustalenia i zasady. A zwłaszcza jak widzę, co się u nas dzieje. Jak się traktuje doświadczonych oficerów służb, wojska, policji. Jak postępuje degeneracja i deprecjacja naszych dokonań – powiedział lekko podniesionym głosem.

– Ale ja nie jestem na emeryturze, Marcin. U nas jest... inaczej. W zasadzie... jak by ci to powiedzieć, hmm...

– Wprost, Caroline, wprost. Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

– Okej. Rzeczywiście, chcę zapytać, czy pomógłbyś nam w pewnej sprawie.

– A co to za sprawa? Pytam, bo mam własne plany. Wiesz, show-biznes albo coś w tym stylu... – urwał i uśmiechnął się nieszczerze. – O, spójrz na te fotografie na ścianach. Śmietanka polskiego, a nawet hollywoodzkiego kina tutaj bawiła.

– Więc posłuchaj. – Kobieta nabrała powietrza i z typową angielską flegmą zaczęła przedstawiać mu to, z czym się do niego zwraca.

Opowiedziała mu o sprawie medalionów Haralda Sinozębego, o niewyjaśnionym morderstwie i rabunku w domu dawnego oficera radzieckiego wywiadu na Seszelach, o zabójstwie pewnego antykwariusza w Berlinie i jego związkach ze Stasi oraz o zainteresowaniu tą sprawą duńskich, szwedzkich

i rosyjskich służb. Wspomniała także o tym, że w całej tej gmatwaninie jakąś rolę grają być może dwa miejsca w Polsce. Na koniec dodała, że oni mają trochę związane ręce, jeśli chodzi o działania tutaj, w Polsce, z powodu nie najlepszych relacji z polskimi służbami specjalnymi, a zwłaszcza z jego byłą już służbą – Agencją Wywiadu.

– Nie wmawiaj mi, Caroline, że MI6 w ramach sojuszniczej pomocy zaangażowała się w szukanie jakichś pieprzonych medalików starego, rudego wikinga z zepsutymi zębami! Albo będę wiedział wszystko, albo zapominamy o sprawie i porozmawiamy o dawnych czasach, o twoich rodzicach, Kleinerze, Czakuckim – powiedział zdecydowanym tonem Łodyna.

Godlewski spojrzała na niego, a potem omiotła wzrokiem ściany i zdobiące je fotografie z lat sześćdziesiątych, zatrzymując się przez chwilę na zdjęciu mężczyzn na skuterach. Obracała przy tym w palcach nóżkę pustego już kieliszka. O szklany dach zamkniętej werandy zaczął stukać delikatnie wiosenny deszcz. Zrobiło się nieco ciemniej, choć przez szczeliny w chmurach co chwilę przebijały się promienie słoneczne, rozjaśniając wnętrze Maski. Potem odstaawiła kieliszek i poprawiła włosy, które opadły jej na twarz. Milczała, jakby czekała na odpowiednią chwilę, żeby wyjaśnić wszystko Marcinowi. Ten jednak ją uprzedził:

– Przecież dobrze wiesz, że w dziewięćdziesiątym piątym byłem tam, na Seszelach... Nie sam, jak się zorientowałaś. Doszliśmy wtedy do wniosku, że ten polski profesor z Durbanu od technologii nuklearnych, którego odnaleźliśmy, był pod ochroną MI6. Wasz człowiek na Seszelach przekazał zapewne informację o jakiejś dwójce młodych Polaków, którzy się z nim kontaktowali. Dostaliście nasze dane. O co wam, kurwa, chodzi, teraz, po tylu latach?

Gdy mówił, Caroline kiwnęła kilka razy głową, ale wciąż milczała.

– Tylko nie opowiadaj mi o dobrach narodowych Królestwa Danii powiązanego z UK koligacjami dynastycznymi. O jakie morderstwo chodzi? I gdzie? – Tu Łodyna zamilkł, jakby zaczął czegoś szukać w najgłębszych zakamarkach pamięci. – Czekaj, czekaj! Czy ten profesor opowiedział wam o ruskich, których spotkaliśmy na niewielkiej wyspie La Digue? Czy tego morderstwa dokonano na La Digue?

– Tak – odpowiedziała.

– Ale... – zrobił pauzę. – No mniejsza o to, zaraz mi wszystko opowiesz. Cieszę się bardzo, że się zrozumieliśmy. Zamówię jeszcze butelkę wina, bo chyba trochę czasu nam na to zejdzie. Ale jesteśmy już bliżej celu, prawda? – powiedział, wstał i podszedł do ukrytego w głębi lokalu bufetu.

Po krótkiej rozmowie z barmanką wrócił z twarzą wyrażającą zadowolenie. Odsunął energicznie krzesło i usiadł.

– Caroline, ale zapach. Czujesz? Ta woń wiosennego deszczu... Uwielbiam to! Dobra, zamieniam się w słuch.

Kobieta uśmiechnęła się lekko i zaczęła:

– No właśnie, jeden z tych... ruskich, którego spotkaliście na La Digue, został zamordowany. Nazywał się Andriej Woronow.

– Co powiedziałaś?! Kto?!

Marcin zastygł w bezruchu. Utkwił wzrok w Caroline, jakby chciał przeświadczyć ją na wylot. Twarz nieco mu poszarzała. Rozchylił lekko usta, nabierając głęboko powietrza, i chciał coś powiedzieć.

– Andriej Woronow, wysoki oficer Pierwszego Zarządu Głównego KGB – wyjaśniła spokojnie kobieta.

– Czy ty wiesz, jaką pozycję miał i w co zaangażowany był ten człowiek? – zapytał Marcin, wyraźnie podekscytowany.

– Oczywiście. Dlatego rozmawiam z tobą... – zawiesiła głos. Teraz to ona patrzyła przenikliwie na Łodynę.

– Caroline! Dziewczyno. Ja już wiem, o co wam chodzi! Ha! Wiem!

– Tak?

– A tak! Ten Woronow interesuje was nie dlatego, że ma jakiś związek z zaginionymi medalionikami wikingów – trywializował. – Nie z tego powodu szukali go dawni koledzy ze służby. Nie. Zresztą, jak się okazuje, szukali go skutecznie i stosownie mu odpłacili. – Łodyna wyprostował się na krześle. – Caroline, on musiał zniknąć z jakimiś ściśle tajnymi dokumentami. Z dokumentami wielkiej wagi. Bo ja wiem... Spisy czy wykazy ich agentury, teczki nielegalów radzieckich czy rosyjskich. To olbrzymia wiedza. Tym można zmieniać losy świata. A na pewno paru mocarstw.

– Można – powtórzyła za nim Caroline.

– A te świedelka, wszystkie te dzieła sztuki to, znając ruskich, takie zabezpieczenie na starość. Pewnie wywiózł je z jakiegoś magazynu na terenie dawnego ZSRR. Na początku lat dziewięćdziesiątych panował tam niezły bałagan. Zgadza się? Mam rację? Tak? Mam... Wiem, że mam – spuentował na koniec z nutką triumfu w głosie.

Kelnerka w tym momencie postawiła przed nimi schłodzone, półslodkie białe wino i rozlała je do kieliszków.

– Mołdawski muskat. Moje ulubione od czasu... hmm – powiedział Łodyna, trzymając butelkę w dłoni i przyglądając się naklejce. – Proszę, mów. Zdrowie twoich przełożonych z Vauxhall Cross za ten pomysł ze mną! No chyba że to była twoja autorska inicjatywa. – Mrugnął okiem. – W takim wypadku twoje zdrowie. – Stuknął kieliszkiem o kieliszek kobiety.

Caroline milczała. Nabrała powietrza głęboko w płuca, jakby przygotowując się do ważnej wypowiedzi, potem powoli je wypuściła, upiła łyk wina i dopiero wtedy zaczęła:

– Marcin. Szukamy tych medalionów, bo kiedy je znajdziemy, to znajdziemy także dokumenty albo ślad prowadzący do nich. Ale nie idzie tylko o radzieckie czy rosyjskie papiery, żebyś miał pełny ogląd sprawy. W grę wchodzi też dawne spisy agentury niemieckiego wywiadu SD, czyli Sicherheitsdienst. W zasadzie są to odpisy spełniające funkcję skróconych, archiwalnych duplikatów.

– A po cholere wam to? To jakaś prehistoria wywiadowcza!

– Nie do końca. Tam, powiedzmy, będzie sporo odpowiedzi na pytania nurtujące nas do dzisiaj. Również co do Wschodu. Zresztą nie tylko tam... Rozumiesz, mam nadzieję? – Łodyna przytaknęła. – Nie wiemy, co to za łamigłówka, ale czujemy, że to wszystko się ze sobą łączy. Wiemy, że chodzą przy tym Rosjanie. A to znaczy, że oni też szukają tych dokumentów.

– Nie zapominaj – Marcin lekko nachylił się do swojej rozmówczyni – że radzieccy, a potem rosyjscy oficerowie wywiadu mieszały i zapewne do dzisiaj mieszały sprawy służbowe z prywatnymi. Ten Woronow to zapewne najlepszy tego przykład. W przeszłości też takie sprawy u nas realizowali.

– Czyli jakie?

– Ano takie, że myśleliśmy, iż to poważna operacja wywiadowcza, a to była prywatna robota paru oficerów od nich, którzy wykorzystując agenturę, systemy łączności i tak dalej, kręcili, jak my to mówimy, lody na boku.

– Nie rozumiem.

– Załatwiali różne własne, większe i mniejsze, interesy przy okazji realizacji działań wywiadowczych. Czy nawet zamiast. A to bardzo zamazuje obraz intencji ich centrali w Moskwie.

– No tak, jasne!

– Och, Caroline. Widzę, że znowu na mojej drodze pojawiły się stare dokumenty wywiadu. Ukryte, przejęte, przewiezione, wywiezione... Muszę kiedyś porozmawiać z tobą o pewnym, powiedzmy, zbiorze polskich dokumentów. O czymś, co nurtuje mnie od dawna. Ale to kiedyś, w przyszłości. – Uśmiechnęła się.

– Marcin, jest jeszcze coś dziwnego w tej sprawie. – Kobieta zamilkła i napiła się wina. – Kiedy otrzymaliśmy informację o wikińskich medalionach...

– Od Duńczyków, jak mniemam?

– Tak, od nich. No więc wtedy przekazali nam też, że znaleźli mikrodrobkę, zapewne rosyjską.

– Pod znaczkiem listu, pocztówki?

– Skąd wiesz?

– Stare rozwiązania. Skomplikowane, ale skuteczne. Oczywiście, że żadne systemy informatyczne tego nie rozkują – stwierdził z ironią. – I co z tą mikro-kropką?

– Były tam gamy szyfrowe. Siedzieliśmy nad tym ze dwa, może i trzy lata. Nawet amerykańska National Security Agency nam pomagała. I nic.

– Nie rozszyfrowaliście tego?

– Rozszyfrowaliśmy. Tylko że to nic nie oznaczało. Dalej to były literowe zbitki bez sensu. Nie tworzyły żadnych słów.

– Hmm... Czyli dodatkowo szyfrowane, nawet kodowane. Ciekawe. Nie spotkałem się z tym nigdy, ale to może coś oznaczać.

– Też tak uważamy. Stanęliśmy ze sprawą po trzech latach. W międzyczasie oczywiście szukaliśmy. Duńczycy podsyłali nam jakieś tropy, także te w Polsce. I nic. – Znowu upiła trochę wina. – Potem była agresja na Ukrainę, zajęcie Krymu. W związku z tym sprawa poszła trochę w zapomnienie. Dopiero teraz...

– Co teraz?

– Pod koniec roku pomyślałam o tobie. Bo jak wspominałam, jest w tym kilka wątków polskich. I zakładam, że to od tej strony można spróbować rozwiązać problem. A ty, jak wiem, jak wiemy, masz... powiedzmy, niestandardowe metody załatwiania różnych spraw. Nie zawsze zgodne z zasadami panującymi u was w Agencji. Może, powiem nieco górnolotnie, jesteś ostatnią szansą na ruszenie tego?

– Mówisz: kilka polskich wątków? I tak sobie to wykoncypowałeś? Czyli jednak to nie zdrowie szefostwa MI6, tylko twoje pijemy – zaśmiał się i pokreślił głową.

– Na to wychodzi.

– Powiedz mi jedno, Caroline: nie łatwiej było zwrócić się wtedy, przed laty do nas, do Agencji Wywiadu? Może popchnęłoby to sprawę waszych poszukiwań do przodu.

– Jak by to ująć... Zwróciliśmy się do was. Zaprosiliśmy was nawet do nas na rozmowy na najwyższym szczeblu...

– I co na to Czucha i ci jego przyboczni?

– Dziwnie się zachowywali. Delikatnie mówiąc, nie wykazywali woli współpracy. Na początku podjęli temat, jakieś zapytania do nas szły, a nawet odpowiedzi... A potem wszystko się urwało.

– Kiedy to mniej więcej było?

– Jakoś wiosną czy latem dwa tysiące jedenastego. A co?

– To teraz mi to... konweniuje.

– Co ci konweniuje?

– Że się nas wówczas pozbyto z centrali.

– Nas? Nie bardzo rozumiem.

– Tak. Tej koleżanki, z którą byłem na Seszelach i wcześniej w twoim domu w Constanti, oraz kolegi, który z nami realizował... pewne przedsięwzięcie. Kurwa, to się układa, wszystko się układa. Późniejsze moje problemy...

– Dalej nie rozumiem.

– Mniejsza o to. – Łodyna na chwilę się zamyślił, a potem zapytał: – Słuchaj, a kto był wtedy w tej delegacji AW w Londynie, z Czuchą? Był może niejaki Romańczuk?

– Wiesz, nie pamiętam. Nie było mnie na tym spotkaniu. Musiałam wyjechać. Ale mogę sprawdzić. Rozumiem, że to ważne?

– Ważne jak cholera. Ten Romańczuk był rosyjskim agentem, a w zasadzie nielegalnym związanym z siatką Hansera. Działał od lat osiemdziesiątych u nas w służbie. Kiedy sprawa się wydała i poszła do premiera, to on nagle zmarł. Sekcja wykazała naturalną przyczynę zgonu. Dopiero potem dowiedziałem się, że nasz dobroduszny, starszy, elegancki pan Hanser pomógł mu w odejściu na tamten świat.

– *Fucking shit!* – przeklęła kobieta i oparła się mocniej na krześle.

– Zgadzam się. Jeśli on był wtedy w Londynie u was na rozmowach, to przekazał informacje do Moskwy. I tam wiedzą, że stanęliście z tematem, a także... co w ogóle ustaliliście.

– To by cholernie utrudniło sprawę – stwierdziła Caroline.

– Nie do końca.

Caroline wydawała się zdziwiona. Marcin wyjaśnił:

– To może też oznaczać, że... wyścig trwa. Że nie mają tych dokumentów. Że oni, podobnie jak wy, stanęli ze sprawą. Może zakładają, że ruszycie ją w końcu i wtedy oni wejdą do gry? Bo nie sądzę, żeby o tym zapomnieli. Nic z tych rzeczy. To do nich niepodobne. Chodzi tu nie tylko o cholernie ważne dokumenty, to również potencjalny skarb, czyli coś, na czym może zarobić centrala rosyjskiego wywiadu, jakiś decydent czy decydenci na Kremlu, ktoś związany z Putinem, w końcu jakaś grupa oficerów ich służby.

Przy stoliku Marcina i Caroline zapadła cisza. Ostatnie krople wiosennego deszczu uderzały o szklany dach werandy. Zbliżała się pora obiadowa. Na Obrońców wzrósł wyraźnie ruch samochodów. Pojawiali się kolejni goście otrzępujący ubrania z wody i ustawiający przy wejściu rozłożone do suszenia parasole. Robił się gwar.

– Marcin, to co mam odpowiedzieć mojej centrali?

Łodyna jakby nie usłyszał jej pytania. Był zamyślony, nieobecny.

– Caroline, a jak wyglądają polskie wątki w sprawie? Konkretnie. Poza tymi dwiema miejscowościami, o których wspomniałaś. – Wyrwał się z chwilowego odrętwienia.

– Muszę najpierw znać twoją odpowiedź, zanim zdradzę ci szczegóły.

Rozdział 12

Warszawa – wiosna 2017

– Dziękuję, że tak szybko odpowiedziałeś. Przez ten czas w Londynie grzebałam trochę w archiwum i przygotowałam dla ciebie wszystkie dane i szczegóły sprawy. Zapakowałam je do koperty, którą schowałam... w toalecie za rezerwuaem – powiedziała Caroline i wskazała głową w kierunku drzwi z napisem „WC”.

– Zaskakujesz mnie! Przyzwyczajenia zimnowojenne, Caroline? Ale żartujesz, prawda? – odpowiedział Marcin.

– Wiedziałam, że to docenisz. Skoro mamy mikrokropkę w sprawie, to i stara, wypróbowana łączność bezosobowa też pasuje do tego oldskulu... Oczywiście, że żartuję. Tu masz wszystko. – Z lekkim uśmiechem wyjęła z torebki zaklejoną, plastikową, tak zwaną bezpieczną kopertę i wręczyła ją Łodynie. – Musimy coś zrobić z łącznością.

Marcin pokiwał głową i schował kopertę do wewnętrznej kieszeni niebieskiej, sportowej marynarki.

Kelnerka postawiła na ich stoliku dwie parujące kawy, których aromat rozniósł się szybko po wnętrzu restauracji Maska. Obok znalazł się dzbanuszek ze śmietanką.

– Słodzisz? – zapytał, a kobieta przytaknęła. – Jedną, dwie?

– Jedną. Śmietankę też poproszę... Marcin. Są tam wszelkie dane, zarówno te natury bardziej historycznej, jak i współczesne. Świnoujście, Lidzbark Warmiński, Berlin, La Digue, nazwiska... – zrobiła pauzę. – Zwróć uwagę na sprawę naszego oficera, a w zasadzie waszego oficera, który uzyskał kiedyś informacje wiążące się może jakoś z naszą sprawą. Odkrył w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na zamku w Lidzbarku Warmińskim tak zwaną dziupłę, w której znajdowały się dzieła sztuki, poniemieckie złoto, ale również kosztowności zrabowane Żydom na Suwalszczyźnie i Podlasiu.

– Wasz i nasz oficer? Trochę to załatuje...

– ...historią? Tak! To był pułkownik waszej londyńskiej dwójki, którego przrzuciliśmy do Polski w latach pięćdziesiątych. Zainstalował się w Warszawie jako nauczyciel w szkole przyzakładowej przy miejscowej hucie...

– Huta Warszawa – wtrącił Łodyna, a Caroline przytaknęła.

– Jest tam jego informacja o tak zwanej mafii żydowskiej w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, potem w SB, której członkowie robili szwindle na pożydowskim mieniu. Tak jak mówiłam, nie wiem, czy to ma jakiś związek z naszą sprawą, ale ten wątek z muzeum na lidzbarskim zamku przewija się w informacji od Duńczyków sprzed kilku lat.

– Ciekawe. Ale czy wolno to łączyć ze sobą? Może to tylko zbieg okoliczności, czyli ślepa uliczka w waszych poszukiwaniach?

– Zrozum, Marcin, sprawdzamy każdy detal, każdy szczegół, nawet najmniej prawdopodobny. Tak jak ci mówiłam ostatnio, od czasu, jak utknęliśmy ze sprawą trzy lata temu, zaczęliśmy... *to clutch at a straw*.

– Chwytać się brzytwy jak tonący w przysłowiu – przetłumaczył Marcin.

– Tak. O to mi chodziło.

– Dobra... – zawiesił głos po raz kolejny. – A co on robił w tej okolicy? Nie powiesz mi chyba, że interesowaliście się wówczas w MI6 takimi sprawami! – Wypił łyk kawy.

– Ten oficer byłej dwójki?

– Pytam z czystej ciekawości, bo tak jak mówiłem, na pierwszy rzut oka ze sprawą to raczej nie ma związku.

– Okej, powiem ci. Ten oficer obsługiwał do początku lat siedemdziesiątych naszą agenturę w Związku Radzieckim.

– Jeździł do ZSRR?

– Nie! Odbierał znad granicy i przekazywał drogą radiową zaszyfrowane informacje.

– Hmm... To już wiem, dlaczego dziwili się kiedyś w naszej bezpiece, czemu Brytole z ambasady w alei Róż jeżdżą w tym kierunku. Tym bardziej że nic tam nie było ciekawego wywiadowczo. – Uśmiechnął się.

– Przeczytasz o jego ustaleniach. Tam jest kilka nazwisk. Może znajdziesz coś, co wydaje się mieć choćby hipotetycznie związek z naszą aktualną sprawą, co wskaże jakiś kierunek... – przerwała, zastanawiając się, czy czegoś nie pominęła. – Aha. Zwróć uwagę na mężczyznę imieniem Andrij. Prawdopodobnie ze Lwowa.

– Jakie imię? Skąd? Ze Lwowa?

– Andrij. Tak, ze Lwowa. A czemu się tak dziwisz?

– Czekaj... Coś kojarzę. Ale to może być jedynie jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności. W dodatku wychodzi na to, że już kolejny.

- Andrij to zapewne popularne imię na Ukrainie – stwierdziła Caroline.
- Tak, tylko że ja kojarzę właśnie pewnego Andrija ze Lwowa.
- Marcin, we Lwowie to bez wątpienia także często spotykane imię.
- Tak, ale ten Andrij, którego ja kojarzę, związany był z handlem dziełami sztuki. A to już jest coś! To więcej niż imię i miejsce.
- Był? – zdziwiła się.
- Tak, był, bo go rosyjski wywiad odstrzelił parę lat temu.
- O cholera! To może być to! Informacja o nim pochodziła z dwa tysiące pierwszego roku. To dość dawno. A kiedy ten twój Andrij został... zlikwidowany?
- W dwa tysiące czternastym, jakoś zaraz po zajęciu Krymu. Rosjanie zapewne realizowali wtedy na Ukrainie wiele różnych operacji specjalnych, również tych związanych z likwidacją niewygodnych świadków czy nawet współpracowników. Muszę to w takim razie obczaić...
- Co zrobić?
- No... sprawdzić. Ale podkreślam, może to być mimo wszystko przypadek, Caroline. Więc nie nastawiałbym się jeszcze w tej chwili jakoś specjalnie na ten trop. To ledwie poszlaka albo, jak już mówiliśmy, cholerny zbieg okoliczności.
- Rozumiem. I jeszcze jedna ważna sprawa, Marcin. Ustaliłam coś. – Kobieta zrobiła wyraźną przerwę i spojrzała na Łodynę. – Ten wasz od spraw wewnętrznych i rosyjski agent...
- Romańczuk – przypomniał jej Marcin.
- Tak, Romańczuk. On był w tej delegacji w Londynie.
- Kurwa! – rzucił Łodyna. – Tak myślałem. Ale nic. Jak mówiłem, to również sygnał, że Rosjanie przynajmniej wtedy nic nie znaleźli... Powiedz mi tak szczerze, Caroline... – Spojrzała na nią jakimś szczególnym wzrokiem.
- Tak, słucham?
- Dlaczego wróciliście do tego akurat teraz? Przecież nie wzmówisz mi, że czekaliście tyle lat, aż przejdę na emeryturę – zaśmiał się rubasznie.
- Pewnie, że nie. To był dla nas, jak to w Polsce mówią, łut szczęścia i zbieg okoliczności, jakaś koincydencja czasowa z twoją emeryturą. – Uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie, chwyciła palcami porcelanową filiżankę z kawą i delikatnie podniosła ją do ust. – Dostaliśmy w ubiegłym roku informację z Moskwy...
- Agenturalną?
- Powiedzmy, że agenturalną. Otóż Rosjanie wciąż poszukują tych dokumentów. A co ciekawsze, przyjęli założenie podobne do naszego, że kluczem

do ich odnalezienia są medaliony Sinożębego tudzież inne artefakty, którymi zapewne handlował Woronow.

– A widzisz, miałem nosa. Woronow podpieprzył coś i z tego żył. Przez to też wypłynął. Szkoda, że wam tych radzieckich i niemieckich dokumentów nie zhandlował. Jeśli one w ogóle są razem w kupie...

– Też żałuję. Może chciał? Tego się już nie dowiemy.

– Nie miał bezpiecznego dojścia do was. To zawsze jest w takich sytuacjach krytyczny moment.

– Być może – przyznała i zamilkła na dłużej. – Aha, Marcin, zapomniała-bym. W kopercie znajdziesz zdjęcia bardzo dokładnych rysunków tych medalionów wikingów i kawałka... Bursztynowej Komnaty. Opisane jest również, w jakich okolicznościach te rysunki powstały.

– Bursztynowa Komnata? Robi się ciekawie! Caroline, trzeba było od razu o tym. To w sumie ważniejsze niż jakieś złote świecidełka brodatych wikingów. Przynajmniej dla nas w Polsce. Ślad Bursztynowej Komnaty i rysunek jakiegoś jej elementu! Jestem pod wrażeniem – ekscytował się. – Ale wiesz, że to podbija stawkę u Rosjan, dodaje sprawie podbudowę emocjonalno-honorową.

– Myślisz?

– Ja to wiem! Znam ich. To już drugi element w tym... przedsięwzięciu, który będzie zacierać obraz intencji kierownictwa SWR. Mówiłem ci o tym ostatnio. Pamiętasz?

Caroline kiwnęła niepewnie głową. Widząc to, Marcin zaczął tłumaczyć:

– Tak w ogóle, to postawiłbym pytanie, czy za tą sprawą stoi kierownictwo wywiadu, czy może decydenci i koterie oligarchów skupionych wokół Putina z wpływami w rosyjskich służbach specjalnych. A może to pomysły pojedynczych oficerów, którzy zwięszyli dobry interes, niekoniecznie służbowy?

– Tak. To ciekawe, co sygnalizowałaś wcześniej i co znowu mi mówisz. Nikt u nas w centrali w Vauxhall Cross o tym nie pomyślał. Bardzo ciekawe...

– Może trochę otrzeźwiejecie w tym waszym... Londongradzie!

Przy stoliku zapadła cisza. Oboje patrzyli przed siebie – Caroline w kierunku ulicy, Marcin na tablicę ze zdjęciami z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

– Dobra, Caroline. Przejdźmy się na krótki spacer okolicznymi uliczkami: Poselską, Zakopiańską, Bajońską, zakamarkami Koreańskiej. Dalej przy Saskiej jest parking takich taksówek i ich *old fashion* kierowców. Oni jeżdżą bez aplikacji, bez śladów w sieci, tylko gotówka. – Caroline spojrzała na niego badawczo. – Tak dla naszego psychicznego komfortu przejdźmy się. Nigdy nie

realizowałem trasy sprawdzeniowej z kobietą oficerem obcej służby – szepnął i uśmiechnął się. – Zwłaszcza pod rękę – dodał i mrugnął okiem.

– Oczywiście. Po drodze pogadamy też o łączności. Bo tutaj w Masce... już nie powinniśmy się spotykać. I w związku z tym mam coś dla ciebie. – Poklepała swoją dużą, skórzaną torbę na ramieniu.

– Zgadzam się z tobą. Zostawmy Maskę w naszym... systemie jako miejsce zapasowe, do wykorzystania w sytuacjach nadzwyczajnych.

Kobieta przytaknęła.

– To w takim razie ruszajmy. Jest piękna pogoda, prawie lato, Saska Kępa. Poza tym mam jeszcze do ciebie parę spraw – rzuciła krótko.

– Może taki spacer nasunie nam także jakieś pomysły? I oby tylko bez ruskich w okolicy – powiedział Marcin i ponownie mrugnął okiem.

Po chwili wyszli z restauracji i zaraz skręcili w prawo, w boczną uliczkę.

Rozdział 13

Berlin – wiosna 2017

– Odbierzesz dziś Laurę z przedszkola? – zapytała Doreen, ubierając się do wyjścia.

– A ty nie dasz rady? Mam do skończenia na dzisiaj rozdział do *Art History*. Muszę się na tym skupić. Poza tym jadę później na spotkanie – odpowiedział Lars.

– Kochanie, a ja muszę jeszcze przed wyjazdem do Petersburga załatwić kilka spraw.

– Akurat dzisiaj? Nie możesz z tym chwilkę poczekać? Co cię tak nagle przycisnęło z tym wyjazdem?

– No wiesz, jak jest. Nagle znalazł się chętny na zakup tego obrazu, o którym ci ostatnio mówiłam. Jeśli transakcja ma dojść do skutku, a dostanę za to sporą prowizję, to muszę dla porównania obejrzeć z bliska inne dzieła tego samego autora w Ermitażu. To chyba oczywiste dla ciebie?

Lars pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Rozmawiałam już o tym u nich w dyrekcji. Wiesz, jak trudno to tam załatwić. Proszę cię, odbierz Laurę. Będę miała spokojniejszą głowę.

– Mam nadzieję, że jak będziemy lecieć w przyszłym miesiącu do Moskwy, to też będziesz taka...

– Jaka, kochanie?

– Nakręcona.

– Przesadzasz. Dla mnie to po prostu niezwykle ciekawa sprawa.

– A ja widzę, że od kilku dni, od kiedy opowiedziałem ci, że chyba coś drgnęło z tymi medalionami Sinożębego, jesteś jakaś podekscytowana. Trochę żałuję, że przekazałem ci tę informację z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie.

– Ależ, kochanie, to przecież sprawa ważna. Wyjątkowa. Sam kiedyś o tym mówiłeś!

– No tak. Żebyś wiedziała, jak poruszony jest nasz premier. Kolega mi napisał. Odnalezienie tych medalionów czy całego skarbu ociepliłoby wizerunek naszego rządu. Poprawiłoby też nasze notowania w Unii Europejskiej. Wiesz, że Dania i Polska są coraz bardziej osamotnione w batalii z Niemcami i Rosjanami o Nord Stream 2. Nie wspomnę o stosunkach z innymi krajami – roześmiał się.

– Ale wspominałeś, że rząd Danii dostał to oficjalną drogą z Londynu przez ich Foreign Office, a nie z londyńskiego muzeum.

– No tak, w sumie tak... Dzisiaj mam spotkanie właśnie z nimi – zmieszał się Lars.

– Nie mówiłeś mi, że z nimi. Z kimś z Foreign Office z Londynu? Czy z muzeum?

– No... to jest oficjalne spotkanie z przedstawicielami obu instytucji... – Lars poczuł, że niezręcznie się tłumaczy. – Może poproszę sąsiadów, i tak nasze dziewczynki są razem w grupie. W końcu w ubiegłym tygodniu ja odbierałem ich córkę.

– Dobrze już, dobrze – urwała temat Doreen. – Wracając do tych medalionów, kochanie, pamiętasz, że one nas kiedyś jakby... połączyły? Kto wie, czy to nie dzięki nim w ogóle jesteśmy razem. Może mają jakąś ukrytą, magiczną moc? – zaśmiała się.

– A ja myślałem, że chodziło ci o mnie i mój tyłeczek podczas gotowania w kuchni.

– O to też... Lars! Wiesz, tak myślę, kochanie, ja ci pomogę w tej sprawie. Mam tyle różnych kontaktów w Europie czy w Stanach. Mogą się chyba jakoś przydać? Zaproponuj to tam u ciebie w Kopenhadze.

– A wiesz, że to dobry pomysł. Że też wcześniej na to nie wpadłem. Po twoim powrocie i tak muszę polecieć do Kopenhagi, by ustalić, co dalej robimy i jakie mają plany. Być może powołają w końcu coś w rodzaju zespołu eksperckiego? Wtedy zaproponuję ciebie. W końcu już w tej sprawie pomagałaś!

– Po prostu przekazałam ci informację od tego biednego Artmana, którego zamordowano.

– To też. Ale twoje rysunki medalionów i panelu Bursztynowej Komnaty trafiły u nas na biurka wielu osób. Były świetne. Takie szczegółowe. Dobrze, że nie wpadły w ręce tego szwedzkiego archeologa celebryty, który zrobił zamieszanie z tym, jak to mówił Artman, dyskiem znalezionym przez dziecko.

– Całe szczęście, kochanie. Pamiętasz, co się w mediach działo w dwa tysiące trzynastym i czternastym roku w Szwecji? Cudownie byłoby razem pracować, szukać takiego skarbu. To wręcz podniecające! Prawda?!

– No dobrze już, dobrze, kochanie, mój ty poszukiwaczu zaginionych medalionów. Widzę to błagalne spojrzenie. Okej, odbiorę z przedszkola moje drugie kochanie. – Lars uśmiechnął się, podnosząc wzrok znad ekranu komputera w ich gabinecie będącym zarazem pokojem córki.

Doreen podeszła i mocno uściśliła Larsa, całując go jednocześnie namiętnie w usta.

– A jak pojedę, to nie zapomnij, żeby w końcu zamówić tę ekipę do przebudowy. Laura musi mieć swój pokój, nie możemy tak żyć. Ja musiałam się wynieść ze sztalugami do salonu, ty siedzisz jej na głowie. Proszę, pamiętaj o tym.

– Mówiłem ci już, jutro ściągnę kierownika tych budowlańców z Polski. Jak wrócisz pojutrze, wszystko będzie dopięte. Idź już, bo naprawdę nie mogę się skupić. – Dotknął dłonią jej pośladków opiętych krótką, czerwoną spódniczką.

Doreen uśmiechnęła się i wyszła z apartamentu w Steglitz-Zehlendorf.

Lars Holm i Doreen Rothewald nie pobrali się formalnie. Choć początkowo ona na to nalegała, zdecydowali oboje, że zorganizują jedynie ceremonię ślubną na tropikalnych wyspach. Że to będzie taka ich przysięga. Doreen zaproponowała wyspę Praslin w archipelagu Seszeli. Do hotelu Britannia przyjechało z Europy jedynie kilkoro ich przyjaciół. Towarzyszyła im także już prawie dwuletnia Laura. Sama uroczystość, z bramą zbudowaną z kwiatów i liści filodendronów, odbyła się na plaży Grand Anse, a przyjęcie weselne w hotelowej restauracji. Spędzili tam cały miesiąc, podróżując po większych i mniejszych wysepkach, odwiedzając zagubione pośród wielkich owalnych skał bezludne plaże.

Wcześniej Lars musiał długo się tłumaczyć u siebie w firmie, kim jest Doreen. Kobieta była wielokrotnie sprawdzana, co go irytowało. Za to Doreen przyjmowała to z wyjątkowym spokojem, myśląc, że Lars pracuje dla duńskich instytucji rządowych. Miał czasem wrażenie, że Doreen podejrzewa, iż jest oficerem służb specjalnych. Jednak ona zwykle obracała to wszystko w żart. Nigdy go o to nie pytała, nie nagabywała w tej sprawie. Pozornie zupełnie ją to nie interesowało. Dla niej liczyła się córeczka, on jako partner i praca. Te trzy sprawy wydawały się determinować jej życiowe wybory. To, że się formalnie nie pobrali, z czasem stawało się coraz mniej istotne. Doreen przestała w ogóle na ten temat mówić. Cieszyła się tym, co było. Zaczęli nawet planować, że może wyremontują dom po rodzicach Larsa w Helsingør, gdzie znajduje się słynny zamek Kronborg, w którym Szekspir umieścił akcję *Hamleta*. Że będą tam w przyszłości mieszkać, kiedy im się znudzi berliński gwar. Lubiała to miejsce. Ilekroć byli w Danii, zawsze znajdowali czas, aby się tam zatrzymać.

Po niepowodzeniu sprawy z poszukiwaniem medalionów Sinozębego oficer prowadzący Larsa, Ole Jensen, został oddelegowany do Aalborga, on natomiast przeszedł do duńskiego wywiadu wojskowego FE – Forsvarets Efterretningstjeneste. Tutaj miał większą swobodę działania i był doceniany. Tym bardziej że praca Doreen umożliwiła mu częste wyjazdy do Rosji i nawiązywanie tam ciekawych kontaktów, co szczególnie zainteresowało brytyjską MI6, z którą realizowano kilka wspólnych, udanych przedsięwzięć na kierunku wschodnim. Powoli stawał się jednym z kluczowych oficerów zachodnich wywiadów w Rosji. Sukcesy, jakie odnosił w zakresie rozpoznawania zdolności militarnych Rosji, dawały mu dużo satysfakcji. Jego pozycja zawodowa rosła.

Rozdział 14

Warszawa – lato 2017

Marcin wyszedł z domu trzy godziny przed planowanym spotkaniem z Anitą i Sebastianem. Przedpołudniowy ruch na ulicach po porannym szczycie nieco zelżał. Michał był u dziadków na Żoliborzu, Ewa miała całonocny dyżur w szpitalu na Wołoskiej. Częste pobyty wnuka u rodziców Marcina zaczęły się, gdy pochodząca z Ukrainy Ewa przeprowadzała nostryfikację swojego dyplomu i intensywnie uczyła się polskiego przed specjalistycznym egzaminem językowym. Później, gdy Ewa miała już za sobą wszystkie procedury, dziadkowie – choć Michałek wciąż często u nich bywał – nieraz żartem mówili, iż to wielka szkoda, że jej się udało, bo okres, gdy mogli spędzać tyle czasu z wnukiem, należał do najcudowniejszych w ich życiu. Wtedy też Ewa przekonała się ostatecznie, że jest akceptowana w rodzinie Marcina. Ze strony jego rodziców zaznała nie tylko ogromnej pomocy, ale i wiele ciepła, którego brakowało w jej rodzinnym domu w Kijowie.

Ten lipcowy dzień był naprawdę słoneczny i napawał go jakimś optymizmem. Szedł powoli, odwiedzając znane mu na Saskiej Kępie miejsca. Na Zakopiańskiej usiadł na chwilę w swojej ulubionej cukierni na kawę i szarlotkę, która przypominała mu trochę tę wiedeńską u Heinera przy Kärntner Strasse. Na gorąco, z dużą ilością bitej śmietany i lodami.

Z Caroline ustalili, że da jej znać, kiedy zacznie działać. Obiecał, że nastąpi to w ciągu miesiąca. Uprzedził ją jednak, że najpierw musi porozmawiać ze swoimi przyjaciółmi, że potrzebne mu jest ich wsparcie. Początkowo Caroline nie była do tego pozytywnie nastawiona, ale Łodyna ją przekonał. W czasie ostatniej rozmowy, podczas spaceru, ustalili jeszcze, iż trzeba ocenić, na jakim etapie są Rosjanie. Czy wiedzą, że sprawa ruszyła i że wciąż zajmuje się nią brytyjski wywiad? Na koniec Caroline poinformowała go o kolejnym spotkaniu w Berlinie, na którym być może pojawią się jakieś nowe informacje. Marcin trochę się dziwił, dlaczego w Berlinie, a nie w Kopenhadze, ale nie drażył tematu. Niemniej podejrzewał, co może być tego powodem.

Teraz, kręcąc się po swoich ulubionych zakamarkach, zastanawiał się, czy standardowe sprawdzenia wystarczą? „Czy Rosjanie byliby na tyle naiwni, żeby założyć mi obserwację towarzyszącą na naszym terenie? Próbowaliby na szybko dotrzeć do mnie agenturalnie? Wyłapanie ich aktywności nie stanowiłoby tutaj w Warszawie większego problemu. Wtedy mógłbym wyciągnąć odpowiednie wnioski. Wiedzielibym, że są. To samo z Caroline. Namierzylibyśmy, czy się nią interesują” – rozważał, wchodząc na kładkę dla pieszych i rowerzystów pod mostem Łazienkowskim. „Może sami się wyłożą na czymś, ale czy nie będzie wtedy za późno?” – zastanawiał się, idąc po szarej nawierzchni.

Miał jeszcze dwie godziny, które postanowił wykorzystać na spacer po parku Ujazdowskim, pośród jego ulubionych fińskich domków na Ujazdowie i po parku Łazienek Królewskich. Taki długi marsz zawsze go dobrze nastrajał i pomagał w rozwiązywaniu różnych służbowych zagwozdek, które towarzyszyły mu przez ostatnie ćwierć wieku.

* * *

– Cześć! Jak zawsze jesteś zaczytana – rzucił Marcin do siedzącej przy kieliszku czerwonego wina Anity. – Pracujesz i pracujesz. Interesują cię echa ostatniego zamachu na ajatollahów w Teheranie czy coś innego?

– Aaaa, cześć, Marcin. – Pocałowali się w policzki. – Siadaj. Od miesiąca podniecają się u nas na Szucha tym, że Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych wybrało Polskę na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa. Straszny mi sukces! Zarzucają nas z placówek mailami pełnymi różnych, mało przydatnych komentarzy.

– Widzę, że wdroyłaś się do roboty w MSZ, ale nie zaakceptowałaś jej. – Usiadł koło niej.

– No wiesz, przez pięć lat wypadałoby się wdroyć... Ale to nie to, co normalna robota operacyjna. Nie lubię tego prowincjonalnego środowiska w naszej dyplomacji. Ludzie, którzy pracowali w jakichś urzędach wojewódzkich, powiatowych czy w telewizji, teraz na przykład zajmują się bezpieczeństwem dyplomatycznym.

– Fakt. Strach pomyśleć, że to oni mają odpowiadać za koordynowanie działań kryzysowych w polskich placówkach zagranicznych w przypadku zamachu, ewakuacji, wojen czy katastrof naturalnych.

– Żebyś wiedział. Nie masz pojęcia, co się dzieje, jacy ludzie tam teraz są, kto wyjeżdża za granicę.

– Wstyd, co?

– No wstyd, i to jaki. Do tego co chwila polowanie na współpracowników służb, absolwentów MGIMO³, a nawet na zwolenników poprzedniego ministra z tej samej opcji politycznej. – Anita pokręciła z rezygnacją głową.

Kątem oka zauważyła wchodzącego do Lotosu Sebastiana, który na ich widok uśmiechnął się szeroko.

– Co się tak szczerzysz? – zapytała Anita, kiedy podszedł do stolika.

– Nieźle się prezentujesz. Apetycznie. Taka... do schrupania. He, he, he...

– Jak zwykle ten głupawy śmiech – skomentowała. – Opowiadajcie, co u was.

– Co u nas? Sebastian, może ty najpierw, bo się spóźniłeś.

– To za karę mam być pierwszy?

– No właśnie – potwierdziła Anita.

– No dobra, niech wam będzie – westchnął. – Jakiś czas temu wróciłem z Kijowa. Jak zwykle z wielkim zapasem wolnych dni do odebrania. Lada chwila mam wyjechać na półroczną delegację do Lwowa, do konsulatu.

– Ale bez rodziny, jak się domyślam – wtrącił Marcin.

– Zamówmy jakąś flaszkę? Bo ile razy o tym wspomnę, to szlag trafia. Zostawiam żonę z rozgrzebanym remontem domu.

– Remontem nowego domu, Sebastian? – zdziwił się Marcin.

– Nowy to on był przed wynajęciem, kiedy wyjeżdżaliśmy na placówkę do Kijowa... Nigdy już, kurwa, nie wynajmę domu nieznanym osobom. Nie macie pojęcia, jaki zastaliśmy syf. Kaucja na gówna starczyła... Gdzie ta kelnerka? – denerwował się Sebastian, w końcu wstał i skierował się do bufetu.

– A co u ciebie, Anita? – zapytał ściszym głosem Marcin.

– U mnie? – odpowiedziała pytaniem, szepcząc. – Chyba ze zdrowiem u mnie nie za wesoło. Słabo się jakoś czuję, jakby mi siła ubyła. Kurwa, jakaś za wczesna menopauza czy co? Do tego trochę problemów z córką. Ten mój były jak ma czas opieki, nastawia Dominikę przeciwko mnie. Do tego odbiera ją czasem ode mnie po pijaku, a ona musi na to patrzeć. Nie chce mi się czasem żyć. – Zakryła dłońmi twarz i zaczęła cicho popłakiwać.

Marcin objął ją ramieniem i pogłaskał po głowie.

– Co się dzieje? – zapytał Sebastian, który wrócił do stolika.

– Nic, chłopaki, nic. Już dobrze. – Wytarła chusteczką policzki.

– Ma problemy.

– Jakie? Możemy jakoś pomóc? – zainteresował się Sebastian.

Anita jakby nie słyszała pytania. Zaczęła szukać w torebce jednorazowych chusteczek, bo łzy wciąż napływały jej do oczu. Tymczasem kelner postawił na stoliku zmrożoną butelkę wyborowej i trzy kieliszki. Anita po dłuższej chwili opanowała się i powiedziała już spokojnym głosem:

- Miałam jechać do Moskwy, do Wydziału Politycznego Ambasady, ale...
- Coś ci jest? – przerwał jej Marcin.
- Chyba nic... Tak jak mówiłam, czasami brakuje mi na to wszystko sił.
- O kurwa! Ty, Anita?! – rzucił Sebastian.
- Tak, ja. Wyobraź sobie... Jakbym miała mało kłopotów, to od dłuższego czasu u nas znowu wypytują o mojego byłego. Chyba powołali nawet jakiś zespół. Są w nim ci ze wschodniego i z wewnętrznego.
- Przecież w końcu definitywnie się rozeszliście!
- No tak, ale w sumie mamy ze sobą bliski kontakt. Jak nie pije, to jest nawet całkiem znośny. Odnotowuję nawet wtedy u siebie przebliski empatii w stosunku do niego. A może czegoś więcej? Bo różne myśli chodzą mi wtedy po głowie. Wście, jak to jest. Poza tym to ojciec mojego dziecka...
- A co naszych interesuje? – zapytał Marcin.
- Chyba, kurwa, nie te jego kury, gęsi czy kaczki – dołączył się do pytania Sebastian.
- Mów, Anita. To może być ważne.
- Anita jakby się ocknęła. Spojrzała na Marcina, potem na Sebastiana, który zastygł w bezruchu, wpatrując się w kolegę. Zapadło milczenie. Marcin nalał wódkę do kieliszków.
- Mów, Anita, to zaraz ja też wam coś opowiem.
- Pytali o jego kontakty z dużym biznesem w Rosji. O znajomych, którzy podobno mają dojsie do Kremla. O ludzi, z którymi robi jakieś interesy, a którzy byli związani z tamtejszymi służbami specjalnymi. O handel dziełami sztuki. Sporo tego. Interesują ich wszelkie szczegóły, dane teleadresowe. No wiecie sami... – zrobiła pauzę. – Chodzi nawet o sprawy sprzed kilkunastu lat. Wypytywali też o to, dlaczego do niego wróciłam. Czy on na to nalegał? A jeśli tak, to dokładnie kiedy? Czy się zmienił, czy nie? Czy ma jakieś inne telefony? Czy używa wielu kont mailowych?
- O kurwa! To poważna sprawa. Napijmy się! – rzucił Sebastian i wychylił kieliszek, a w jego ślady poszli pozostali. – A wiecie... Hmm... Coś sobie przypomniałem. Mnie też maglowali, ale krótko po powrocie z Kijowa, o moje stare kontakty i układy w tym moskiewskim muzeum. Co jest grane?
- Anita, a mówiłaś kiedyś o tym niby-włamaniu do ciebie do domu? – spytał niespodziewanie Marcin.
- Mówiłam. I co?
- Pamiętam, jak opowiadałaś, że twój były miał klucze do domu i szyfr do alarmu... Teraz to przepytывanie w firmie. Popatrz, czasowo wszystko składa się idealnie.

– No tak. Facet miał dojście do twoich telefonów, komputera, maila, rozkładu zajęć, terminów wyjazdów zagranicznych, zdjęć. No, kurwa, do wszystkiego! – spuentował Sebastian.

– Mówiłem wtedy, kilka lat temu, żebyś mi wszystko opowiedziała ze szczegółami. Miałem nosa. Ty jednak miałaś jakieś opory. A teraz widać, że sprawa się rozwinęła.

– Marcin, a co byś wtedy zrobił? Nic. Odsunęli nas od centrali i od siebie na ładnych parę lat... Poza tym jest też coś więcej – powiedziała. – Ostatnio mój były jakby się zmienił, a dokładnie w ostatnich tygodniach. Przychodzi po Dominikę trzeźwy, interesuje się, co u niej w szkole, jest bardziej aktywny w relacjach ze mną, pyta często, czy mi może pomóc, także finansowo. Propozował nawet jakiś wspólny wyjazd w te wakacje do Turcji albo Chorwacji.

– A nie na Krym albo do Soczi? – wtrącił z przekąsem Sebastian.

– Sebastian! Daj, kurwa, spokój – rzucił Marcin.

– Jak daj spokój?! Nie widzicie, że on jest pieprzonym, rosyjskim kretem?!

– Tego to my nie wiemy na pewno – odparł Marcin. – Choć zgadzam się z tobą, że wszystko na to jak na razie wskazuje.

– Żebyście mnie dobrze zrozumieli. Wiem, co wam chodzi po głowie. Też wydaje mi się to oczywiste, że może pracować dla Rosjan. Ale zauważyłam, że on chce być bliżej z jakichś innych powodów. Nie wiem. Tak po prostu czuję. Może po tym, jak się dowiedział, że mam problemy ze zdrowiem, coś w nim drgnęło, coś ludzkiego...

Przez chwilę cała trójka siedziała w milczeniu.

– To teraz ja wam coś powiem. Smartfony macie wyłączone? Te służbowe także? – Oboje kiwnęli głowami. – Pytam tak na wszelki wypadek – powiedział Marcin.

– Za kogo nas masz?! – rzucił Sebastian i teraz on rozlał wódkę do kieliszków.

– Jak pamiętacie, byłem jakiś czas w Iraku. Jeszcze przed wyjazdem wrobiono mnie w te sprawy związane z dziełami sztuki, w całą tę dyplomację kulturalną i publiczną. Wiesz, o co chodzi, Sebastian, zajmowałeś się tym. – Zapytany mężczyzna przytaknął. – Ale w końcu wyszło mi to na zdrowie, jak później pokazało życie. Następnie z pozycji centrali realizowałem parę przedsięwzięć specjalnych. Jak pewnie wiecie, w ubiegłym roku odszedłem dość nagle na emeryturę. Ale nie pytajcie, z jakiego powodu.

– Tak, słyszałem u nas w kadrach. A dlaczego mamy nie pytać? – drążył Sebastian.

– Jak i wy odejdziecie na emeryturę, to może wam opowiem.

– Tylko czy ja tego dożyję? – wtrąciła ze smutkiem Anita.

– Anita! A co to za depresyjne myśli?! Z takimi pięknymi cyckami i takim zgrabnym tyłeczkiem jeszcze nas przeżyjesz. He, he, he – zażartował w swoim stylu Sebastian.

– Głupi jesteś. – Uśmiechnęła się lekko.

– I jeszcze ci powiem, Anitko, że zajełabym tego twojego byłego. Marcin, spalmy mu ten jego agrobiznes, czy co on tam ma, w jedną noc. He, he, he.

– Sebastian, bądź poważny – skomentowała Anita.

– Dostaniemy w dodatku medale za zlikwidowanie ruskiego szpiona. Nie, Marcin? – Mężczyzna jednak nic nie odpowiedział.

Kolejny już raz zapadła przy ich stoliku cisza. Anita utkwiała wzrok w zakorkowanej tradycyjnie Belwederskiej i znowu popłynęły jej po policzkach łzy. Marcin stukał bezwiednie palcem w opróżnioną do połowy butelkę po wódce, a Sebastian zaczął się dyskretnie rozglądać, czym zwrócił uwagę swojego kolegi.

– A ty co, szukasz obserwacji z ABW czy SKW?

– Nie! Oni mogą mnie obserwować, nawet ci mistrzowie z CBA. Choć w ich wypadku szkoda zachodu i środków budżetowych... Ale wiesz, odkąd wszedłem, mam takie wrażenie, że gdzieś tutaj są ruskie. Nie umiem tego wytłumaczyć racjonalnie. Nabawiłem się takiej przywary zawodowej jeszcze u nich, w Rosji.

– Poczieszę cię: niewykluczone, bo ja też mam takie przeczucie. W dodatku od samego rana. Ale to tylko przeczucie. Kręciłem się trzy godzinny i niczego nie wyłapałem.

– Technika u nich poszła do przodu. Ta inwigilacyjna też. Wykradają technologie informatyczne z Izraela, Stanów, Chin... i sami też coś pewnie majstrują. Wziąłbym to poważnie pod uwagę – stwierdził Sebastian.

– I słusznie. Nie wolno nie doceniać ich siermiężnej, ale czasem skutecznej techniki. Zwłaszcza w związku z tym, co chciałbym wam powiedzieć.

Anita spojrzała na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami, a Sebastian znowu omiół wzrokiem wnętrze Lotosu, nim zatrzymał spojrzenie na Marcinie.

– Posłuchajcie: zwrócili się do mnie koledy z zaprzyjaźnionej służby z prośbą o pomoc.

– Co, kurwa? Ktorzy? I o co się zwrócili? – Sebastian popatrzył ze zdziwieniem na kolegę.

– Wiesz, że to stąpanie po cienkim lodzie – wtrąciła Anita.

– Wiem. Dlatego by był ten lód grubszy, chciałbym, żebyście mi pomogli.

– A dlaczego nasza kochana Agencja się tym nie zajmie? Może zwróć się z tym do twojej ulubionej szefowej Magdy Sierpeckiej? Albo do twoich

z byłego Wydziału.

– Dzięki za radę, Sebastian, ale ona się nie wychyli, zwłaszcza na swojej obecnej pozycji zawodowej. A inni? Są, jak by to powiedzieć, za bardzo widoczni, i stanowią zbyt oczywisty wybór, jeśli ktoś zainteresowałby się tym w firmie. Wy zaś jesteście daleko od codziennych zmagania centrali. Ty, Sebastian, cały czas za granicą, Anita wciąż pracuje na zewnątrz... – zawiesił głos.

– Marcin, powiem tak: to zależy, o co chodzi. Ja, jeśli mi zdrowie pozwoli, to mogę ci jakoś pomóc – stwierdziła Anita. – Ale zdradz najpierw, co to za sprawa?

– Kurwa, jak się w coś wpiardolimy, to mi moje dziewczyny nogi z dupy powyrywają. No dobra, zaryzykuję. Mów – powiedział Sebastian i znowu rozejrzał się po lokalu.

– Naprawdę świetnie się składa, że wyjeżdżasz do Lwowa i że masz kontakty w Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina w Moskwie. – Spojrzał na Sebastiana. – A twój rosyjski i niemiecki też się bardzo przydadzą. – Przeniósł wzrok na Anitę. – Od tego bym zaczął – podsumował.

Rozdział 15

Świnoujście – lato 2017

W dniu 30 marca 1949 roku, w godzinach wieczornych, przyjąłem od szypra miejscowego kutra rybackiego obywatela Szytka Stefana meldunek. W czasie pobytu na łowisku zaginął na morzu jeden z jego załogantów – mechanik pokładowy obywatel Roppel Eryk. Według relacji obywatela Szytka w czasie wykonywania swoich obowiązków na pokładzie kutra (wydawanie sieci) R.E. wypadł za sterburtę. Było to następstwem niespodziewanego uderzenia wyjątkowo spiętrzonej bocznej fali, która spowodowała mocne szarpnięcie jednostki pływającej. R.E. nie zdołał chwycić się żadnego stałego elementu na pokładzie i wpadł do wody. Przez niesprzyjające warunki atmosferyczne nie udało się go podjąć. Stan morza w momencie wypadku wynosił około pięciu stopni w skali Beauforta. Według szypra prędkość zachodnio-północnego wiatru wahała się między dziewięć a dziesięć metrów na sekundę. Zapewne szum morza i gwizd wiatru uniemożliwiły usłyszenie nawoływania zaginionego. Długie, co najmniej metrowe fale utrudniały obserwację powierzchni wody. Sprawy urzędowe związane z zaginięciem na morzu wziął na siebie szypra Szytk.

Nadmieniam, iż obywatel R.E. był narodowości niemieckiej. Z posiadanych informacji wynika, że przed wojną miał on być pastorem jednej z miejscowych parafii (brak bliższych danych). Na terenie naszej odpowiedzialności nie odnotowano prowadzenia przez R.E. działalności antypaństwowej czy posiadania przez niego związków z imperialistycznymi i reakcyjnymi ośrodkami dywersyjnymi albo marynarzami z krajów kapitalistycznych. Jednakże w związku z jego niewyjaśnionym kontaktem z konsulem szwedzkim w Szczecinie R.E. był objęty przez miejscowy Urząd Bezpieczeństwa kontrolą operacyjną.

Zastępca Komendanta d/s Zwiadu
46 Batalionu Ochrony Pogranicza
Strażnica Portowa numer 72 w Świnoujściu

(podpis nieczytelny)

Uwaga.

Udało mi się ustalić nazwisko zastępcy, który sporządził powyższą notatkę. Z materiałów archiwalnych wynika, że zwolniony dyscyplinarnie z nieujawnionych powodów przeniósł się w 1951 roku do Lidzbarka Warmińskiego, a rok później zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Z jego kadrowych dokumentów wnioskuję, że wyjechał tam z rodziną – żoną i dwójką dzieci (syn i córka). Jest adnotacja, że przeszedł do służby w MO (Milicja Obywatelska). Jego żona wyszła ponownie za mąż i ona oraz jej dzieci przyjęły nowe nazwisko: Zender, dlatego nie można było ich znaleźć. Jego syn Karol Zender mieszka obecnie w Lidzbarku Warmińskim. Ustaliłem jego adres. Natomiast wymienieni w notatce Stefan

Szytk i jego żona Zofia nie żyją. Odszukałem ich pasierbicę. W dokumentach rodzinnych znalazłem i zeskanowałem akt zgonu R.E. Również przesyłam.

Marcin

Łodyna przeczytał kolejny już raz na dużym tablecie notatkę, którą zeskanował w archiwum Straży Granicznej w Szczecinie, oraz swoją uwagę. Siedział teraz i delektował się podwójnym espresso tudzież widokiem na otwarty Bałtyk z czternastego piętra sky pool baru na najwyższym piętrze, pachnącego jeszcze nowością hotelu Radisson Blu Resort. Nikogo poza nim tu nie było. „Pewnie wszyscy po śniadaniu ruszyli na plażę” – pomyślał. Po kilku minutach wyjął z czarnego plecaka S.O.C. mały tablet w solidnej obudowie, który przekazała mu Caroline. Połączył go kablem z dużym i uruchomił, po czym odblokował go sześciocyfrowym kodem. Gdy na ekranie pojawiła się klawiatura, wbił osiemnastocyfrowe hasło, potem jeszcze raz je potwierdził. Na dużym tablecie znalazł ikonę *Transfer* i kliknął w nią, wybierając zeskanowaną notatkę, akt zgonu Roppela i swoje uwagi. Po chwili na małym tablecie pojawił się komunikat *Received message*. Łodyna schylił się ponownie do plecaka i wyjął z niego telefon satelitarny. Otworzył grubą antenę i zalogował się do sieci Inmarsat. Następnie połączył telefon z małym tabletem, gdzie kliknął w ikonę *Forward*. Odczekał tyle czasu, ile zajęło mu wypicie dwóch łyków kawy i przeciągnięcie się na białym leżaku. Dezaktywował i rozłączył urządzenia, po czym schował je. Ponownie dyskretnie się rozejrzył, ale poza kilkoma osobami w oddali zmierzającymi z ręcznikami na basen wciąż w barze był tylko on.

Rozkoszował się słonecznym dniem i widokiem na linię horyzontu. Z dołu, z nieodległej szerokiej piaszczystej plaży, która zapełniała się amatorami wody i słońca, dochodził do niego gwar ludzkich głosów. Dokończył niespiesznie kawę, wstał, zarzucił plecak na ramię i skierował się do windy. „Jak to dobrze podtrzymywać stare kontakty z dziewczynami i chłopakami ze Straży Granicznej, no i oczywiście z kolegą z naszego dawnego referatu w Świnoujściu. Ale to były czasy! Ale tu się realizowało akcje. Hmm... Muszę mu się jakoś odwzajemnić”. Tak rozmyślając, dotarł do swojego pokoju. Odwrócił zawieszkę z napisem „Nie przeszkadzać” na drugą stronę. Przyłożył kartę do zamka i nacisnął drzwi. Wszedł. Rozejrzył się po pomieszczeniu. Był taki sam bałagan, jaki zostawił. Choć z natury lubił porządek, w czasie wyjazdów służbowych zawsze robił w pokojach hotelowych większy miszmasz niż zwyczajny przy codziennym użytkowaniu. Z kilku przedmiotów rozrzuconych na biurku podniósł maszynkę elektryczną do golenia Philipsa. Nacisnął na dwa przyciski. Oskoczyła obudowa. Wyjął z niej niewielki, cyfrowy dyktafon z uruchomioną funkcją *Voice*.

– Zobaczymy, czy ktoś był u mnie – powiedział pod nosem i wcisnął przycisk *Start*.

Na nagraniu usłyszał najpierw, jak zamyka drzwi. Potem startowało następne rozpoczynające się odgłosem ponownego ich otwarcia. Ale to nie był on. Przysłuchiwał się uważnie zarejestrowanym dźwiękom, stojąc twarzą do okna z widokiem na morze. Usłyszał, że ktoś przeszukuje jego pokój, otwiera zamek walizki, przegląda rzeczy na biurku, podnosi elektryczną maszynkę do golenia, zagląda do komody i szafek obok łóżka, następnie wchodzi do łazienki. Zalega cisza. A potem znów słychać odgłosy poszukiwań. W pewnym momencie Łodyna zorientował się, że czuje wokół siebie jakiś dziwny, nieznan mu zapach. Jego nos zaczął intensywnie pracować. „Kurwa. To nie mój Hermès, to jakieś obce perfumy męskie” – skonkludował. Mocno wciągając powietrze, zaczął chodzić po pokoju. Nagle usłyszał w dyktafonie: „*Jebanyj chuj. Niczego niet!*”, a po chwili trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Spojrzał na wyświetlacz. Startowało kolejne nagranie.

– A to już chyba ja – powiedział pod nosem, słysząc swoje wejście do pokoju, potem odgłosy podnoszenia golarki, jej otwierania i manipulacji przy dyktafonie.

Wyłączwszy urządzenie podsłuchowe, Łodyna spakował szybko swoje rzeczy, zarzucił plecak na ramię i wyszedł z pokoju. Zjechał do recepcji. Tam poinformował, że w jego pokoju ktoś był, mimo że on wywiesił plakietkę „Nie przeszkadzać”.

– Ależ proszę pana, to niemożliwe – powiedziała młoda recepcjonistka. – Jeszcze nie było godziny sprzątania, a poza tym taka wywieszka jednoznacznie wskazuje, żeby nie wchodzić do pokoju.

– Proszę pani, jestem tego pewien. Proszę sprawdzić.

– Już telefonuję do szefowej działu *housekeeping* – odpowiedziała nieco wystraszoną głosem recepcjonistka i wybrała numer w wewnętrznym telefonie.

Po wyjaśnieniu, o co chodzi, podziękowała za informację.

– Tak jak mówiłam, sprzątaczką nie wchodziła do pana. Ale proszę poczekać, jeszcze sprawdzę w systemie rejestracji wejść i wyjść. To chwilę potrwa.

– Jasne, poczekam – odrzekł.

– Nie rozumiem. Faktycznie – odezwała się po chwili dziewczyna, wklepując jakieś dane w komputer. – Ktoś był w pokoju podczas pana nieobecności. Otworzył drzwi kluczem, to znaczy kartą typu *master key*. Chwileczkę, skontaktuję się z szefem ochrony. Proszę, niech pan usiądzie w lobby. Może kawy? Coś do picia? – zaproponowała wyraźnie zdenerwowana dziewczyna.

– Tak, poproszę. Może tym razem *latte*... Mógłbym skorzystać z telefonu?

– Oczywiście.

Łodyna spojrział na swój smartfon i wybrał numer na aparacie hotelowym.

– Cześć, to ja. Marek, mam problem. – Łodyna odwrócił się bokiem i dodał mocno ściszoneg głosem: – Miałem jakieś tajne przeszukanie w pokoju. Znasz szefa ochrony tego hotelu? Tak, bardzo pilne. Rozumiem. Świetnie. To widzimy się wieczorem. Pewnie. Opowiem. Pogadamy o dawnych, dobrych czasach. A, dziękuję. Okej. Wymelduję się. Twój adres znam – odpowiedział, po czym odłożył słuchawkę i skierował się ku fotelom stojącym bliżej wyjścia głównego.

Zajrzał do smartfona i otworzył folder *Pobrane*, upewniając się, o której godzinie ma jutro pociąg powrotny do Warszawy. Tak minęło kilkanaście minut. Był w połowie picia kawy, kiedy podszedł do niego mężczyzna w średnim wieku i przedstawił się jako szef ochrony. Zaczął od przeprosin za zaistniałą sytuację.

– Rzeczywiście. Ktoś był u pana w pokoju. Mamy zapis z hotelowego monitoringu. Czy coś panu zginęło?

Łodyna pokręcił głową.

– W zasadzie powinienem wezwać policję... – zaczął szef ochrony, nie dokończył jednak, bo Łodyna przerwał mu, wstając z fotela:

– Wasz hotel działa od niedawna. To dosłownie jego pierwsze dni. Przyjmijmy, że chodzi o błąd systemu. To wasza wewnętrzna sprawa, jak to rozwiążecie. Policja nie ma tu nic do roboty. Ale... – zawiesił głos. – Chciałbym zobaczyć nagranie. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

Szef ochrony kiwnął głową.

– Proszę za mną.

Po kilku minutach Łodyna stał przed monitorami hotelowego systemu CCTV.

– O, to ten! – powiedział szef ochrony, wskazując na szczupłego mężczyznę średniego wzrostu, i jeszcze bardziej intensywnie zaczął wpatrywać się ekran. – Widać, że jest w dobrej formie fizycznej. Jasny kapelusz, okulary, błękitna koszulka polo. Zakrywa się. Nie widać go z przodu. Potem w lobby tak się ustawiał, żeby kamery nie zarejestrowały jego twarzy. Na oko wygląda na około czterdzieści parę lat. A teraz wychodzi na zewnątrz i wtapia się w grupę osób idących na plażę. Potem gdzieś skręca.

– Moment! – wtrącił Łodyna. – Proszę cofnąć. Zaraz po wyjściu z wind.

– Tak, już. Proszę.

– O, teraz! Stop! – Nagranie zatrzymało się. – Widzi pan? – Łodyna wskazał palcem na przedramię nieznanego intruza. – Spod rękawka koszulki wystaje mu tatuaż. Niech pan ten fragment powiększy.

– Już – odpowiedział szef ochrony.

– Można to wydrukować?

– Pewnie, że można. Dla znajomego Marka wszystko. – Uśmiechnął się. – Znamy się z nim jeszcze z dawnych lat. Pracowałem w Delegaturze UOP w Szczecinie. Proszę. – Wręczył Łodynie wciąż wilgotne zdjęcie z drukarki. – Coś panu to mówi?

Łodyna pokiwał przytakująco głową. Na zdjęciu widoczny był fragment skrzydła nietoperza, zarys wysokich gór i stylizowany celownik. „Jak oni mnie tu znaleźli? W sky pool barze nikogo poza mną nie było. Musieli mnie jakoś pilnować. Jak, kurwa? Barman? Nie! Mogłem przecież iść do kawiarni niżej albo na basen. Czyli jak? Nie poszliby tak na żywioł. A jak zdobyli klucz uniwersalny?” – przez głowę przelatywało mu szereg pytań.

Jego rozważania przerwał głos szefa ochrony.

– Sprawdzam jeszcze monitoring z okolic plaży, z zewnętrznych kamer. Ale nic. Jakby się rozplynął. Pewnie wszedł w martwe pole. Zmienił ubranie i pozamatane. Prawda? – Spojrzał na Łodynę, a ten przytaknął. – Zawodowiec.

Rozdział 16

Lidzbark Warmiński – lato 2017

Po prawie czterech godzinach jazdy Łodyna zatrzymał swoją grafitową toyotę RAV4 nieopodal ogrodzenia jakiejś szkoły, tuż obok cmentarza komunalnego nazywanego leśnym. Przeszedł pod bramą z krzyżem i niemieckim napisem w gotyku. „Raczej powinni go nazwać cmentarzem ogrodowym. Faktycznie, pięknie tu” – pomyślał. Po kilku minutach marszu pod górę dotarł w okolice najwyższego punktu nekropolii. Stał przed zadbanym grobem. „Dlaczego przesłali do Szczecina, do WOP-u informacje o jego śmierci pod Lidzbarkiem Warmińskim? Musieli zakładać, że to mogło być istotne dla wcześniejszych spraw czy mieć z nimi związek. Tyle że ani w archiwum SG, ani w IPN-ie nic o nim więcej nie ma... O tym byłym niemieckim pastarze także nic” – rozmyślał, patrząc na pomnik.

– Broniąc polskości Warmii i Mazur, zginął w walce z bandami reakcyjnego podziemia w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku – przeczytał na głos.

„Świeże kwiaty, znicze. Ktoś się opiekuje grobem towarzysza porucznika. Syn, córka, a może obydwójce? Żona pewnie już zmarła” – skonstatował, po czym szedł w kierunku bramy głównej.

* * *

Marcin wszedł do samochodu. Na ulicę Warszawską miał z cmentarza przez centrum miasta zaledwie kilka minut. Jadąc, cały czas gubił się w domysłach. „Wopista i jego przeniesienia dyscyplinarne w inny region kraju, próba ucieczki Roppela z Polski i jego zaginięcie na morzu, ten szwyer kutra rybackiego, który uchodził za osobę majątną. Czy to w ogóle ma jakiś związek z dokumentami KGB i niemieckiego wywiadu SD, Bursztynową Komnatą, tymi medalionami wikingów? A gdzie w tym wszystkim Seszele, ci ruscy na La Digue, ten zabity w Berlinie antykwariusz? Skoro jednak Rosjanie mnie

znaleźli i posunęli się do takiego działania w hotelu, zakładając, że to naprawdę była robota Rosjan, te wszystkie moje wątpliwości nie mają sensu! To musi się ze sobą wiązać!” – skonkludował na koniec swoich rozważań.

Spojrzał na nawigację w smartfonie. Był już blisko. Samochód wjechał w wąską osiedlową uliczkę, przy której dominowały przedwojenne jeszcze, przeważnie jednopiętrowe domy z wysokimi dachami krytymi czerwoną dachówką. Obok większości z nich poukrywane były urokliwe ogródki pełne krzewów, drzew i kwiatów. Ale Łodyna dostrzegł także typowe dla małych miast na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych obskurne, nieremontowane, zapuszczone domy, blaszane garaże, jakieś komórki, nieuporządkowane podwórka pełne rupieci. W pewnym momencie usłyszał komunikat nawigacji, że jest na miejscu. Zatrzymał się. Sprawdził numer domu. Zgadzało się. Wysiadł.

Stał przed ładnym budynkiem z wykuszem na dachu. Sama posesja sprawiała wrażenie zadbanej. Trawnik przycięty i rabaty z kwiatami. Podeszedł do furki i nacisnął klamkę. Wszedł. Stanął przed drzwiami i wcisnął przycisk dzwonka. Potem jeszcze raz. Drzwi się otworzyły. Zobaczył w nich około osiemdziesięcioletniego mężczyznę w jasnej koszuli i amarantowej apaszcze z kwiecistym wzorem pod szyją.

– Słucham pana – odezwał się ten z uśmiechem.

– Dzień dobry. Czy pan Karol Zender?

– Tak. A o co chodzi?

– Nazywam się Marcin Łodyna. Przyjechałem z Warszawy. Jestem dziennikarzem. Pracuję dla duńskiej gazety „Berlingske”. – Trzymał się przyjętej legendy. – Chciałbym z panem porozmawiać na temat związany... z zaginionymi dziełami sztuki.

– Tak, słucham.

– Wiem, że pracował pan przez wiele lat na zamku, w tutejszym muzeum, a potem był ekspertem w Ministerstwie Kultury i Sztuki – kontynuował Łodyna. – Zresztą właśnie tam, na Krakowskim Przedmieściu, skierowali mnie do pana – blefował.

– Z Warszawy. Dla Duńczyków! I jeszcze pamiętają mnie w ministerstwie!

– odpowiedział Zender i wyszedł przed drzwi. – Mogę się domyślać, o co chodzi. Proszę wejść.

Mężczyźni podali sobie dłonie.

– Wie pan, wprawdzie mam już swoje lata, ale śledzę cały czas, co się dzieje w tej tematyce na świecie. Mam komputer i internet. To wspaniałe wynalazki! – powiedział Zender, wchodząc z Łodyną do środka. – Może przejdziemy do ogrodu. Jest takie przyjemne przedpołudnie.

– Oczywiście, z wielką chęcią – odpowiedział Łodyna.

Przeszli przez salon zastawiony starymi meblami. Łodyna przypuszczał, że mogły należeć do przedwojennych mieszkańców domu bądź okolic. Komody, stół, etażerka, szafka kuchenna z marmurowym blatem i wyciąganą deską do krojenia nadawały temu miejscu specyficzny klimat. Na oko pochodziły z końca dziewiętnastego wieku. „Może z fabryki w Radzynie Podlaskim? Znowu one, znowu stają na drodze mojego życia” – pomyślał Marcin i uśmiechnął się. Ściany zawieszono były obrazami olejnymi i pastelami pod szkłem, głównie o tematyce florystycznej i krajobrazowej. Po chwili usiedli w wygodnych ogrodowych fotelach.

– Napije się pan herbaty? Takiej trochę owocowej, trochę ziołowej. Sam ją komponuję. Przed chwilą zaparzyłem, jakbym wiedział, że będę miał gościa. – Uśmiechnął się.

– Tak, bardzo proszę. Nic nie piłem od wyjazdu z Warszawy – odpowiedział Łodyna.

Zender zaczął nalewać gorący napój z porcelanowego imbryka z wizerunkiem sikorek. Jego ręce lekko drżały. W pierwszym odruchu Marcin chciał go wyręczyć, ale starzec sobie poradził. W tym momencie Łodynie przez głowę przeleciało wspomnienie z wyjazdu do RPA, kiedy to siedzieli z Anitą i panem Tadeuszem, dawnym oficerem wywiadu, w ogrodzie pięknego domu Godlewskich w Constanti. „A potem ruszy na La Digue na Seszelach” – dokonał dziwnego skojarzenia i jakoś bardzo posmutniał.

– Mam rodzinę w Szwecji, to znaczy to są dzieci i wnuki mojej siostry. Trochę się przez to interesuję sprawami skandynawskimi. Kilkanaście lat temu, kiedy byłem jeszcze w dobrej formie, pojechałem do Danii, do znajomego w Kopenhadze. Byliśmy nawet razem w Vikingemuseet Lindholm Høje koło Aalborga. Miałem potem z nimi jakiś kontakt. Ale pan wie, jak to jest. Prawie wszyscy już poumierali... – zadumał się. – To mówi pan, że chodzi o zaginione dzieła sztuki?

– Tak. Ale nie tylko. To dość skomplikowana historia. Jeszcze z końca wojny i pierwszych lat powojennych. Dlatego się nią zajmujemy.

– Ja lubię takie historie. Bardzo lubię. Jestem, jak to się mówi, starym kawalerem i nie mam nikogo poza tą rodziną w Szwecji. Matka zmarła dawno temu. Ojciec trochę wcześniej. Zapił się. Pan wie, jak to bywa w małych miasteczkach. Szare i nudne życie. Dobrze je czymś wypełnić, bo...

Łodyna pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Ojciec czy ojczym? – rzucił.

Zender popatrzył na niego badawczo i pociągnął łyk owocowej herbaty z nutą mięty.

– Panie Karolu, tak jak zaznaczyłem, sprawa jest skomplikowana. Byłem niedawno w Świnoujściu – powiedział Marcin i spojrzął na swojego rozmówcę, który dłonią zlizował apaszkę.

Mężczyzna milczał, ale Łodyna widział, że się zdenerwował. Twarz zrobiła mu się lekko czerwona.

– Czego pan ode mnie chce? Mówił pan, że chodzi o dzieła sztuki, a potem opowiada o moich sprawach osobistych – zapytał i wcześniejszy uśmiech zniknął mu z twarzy. – Skąd pan w ogóle to wie?

– Panie Karolu, zaraz wszystko wyjaśnię... Czy mówi panu coś nazwisko Roppel, Eryk Roppel, kiedyś podobno pastor w jednej z parafii na Wolinie. Albo Stefan Sztyk, szyper kutra rybackiego.

Zender nabrał powietrza. Zwiesił trochę głowę.

– Dużo pan wie, panie...

– Marcin Łodyna – przedstawił się.

– A tak. Dużo pan wie, panie Marcinie. Powiem coś panu. Pod koniec wojny i zaraz po jej zakończeniu różne rzeczy się działy na Ziemiach Odzyskanych. Kiedyś, parę lat po studiach, gdy wróciłem do Lidzbarka, zorientowałem się, że tutejsze muzeum to była jakaś dziupla do przechowywania kosztowności. Stali za tym ludzie z bezpieki, w tym mój ojczym. Podobno Żyd z pochodzenia...

– Wskazywałyby na to nazwisko – wtrącił Łodyna ściszym głosem.

– Tak... Zapił się na śmierć po tym, jak go wyrzucili ze służby. Wcześniej prawie wszystko przepił. Matka znowu została sama. Mówiło się wtedy po cichu, że to mafia żydowska w UB, że on był jej członkiem. Trudno dziś to orzec. To były lata sześćdziesiąte. Pan wie, jaką wtedy wszczęto nagonkę na osoby pochodzenia żydowskiego. Ja to dobrze pamiętam, w końcu w tym czasie studiowałem na uniwerku w Warszawie. Mi też wytykano to nazwisko. Ale...

– Co to były za kosztowności przechowywane na zamku? – drążył Łodyna.

– Nie tylko kosztowności. Również dzieła sztuki odebrane uciekającym z tych terenów autochtonom czy Niemcom. Wiem, że istniała dokumentacja związana z porzuconymi majątkami, domami, kamienicami, głównie żydowskimi, na Podlasiu i Suwalszczyźnie. Podobno ci z owej mafii z UB robili jakieś machlojki. W zasadzie do dzisiaj to temat tabu tutaj, ale i w ogóle.

– Rozumiem.

– Byłem dzieckiem, a więc wszystko znam tylko z opowieści matki. Kiedy przyjechaliśmy do Lidzbarka, ojciec przeniósł się do MO. Jakby chciał się odciąć od jakichś spraw ze Świnoujścia. Tak mi się z perspektywy lat wydaje. Rok później został zastrzelony przez bandytów podczas inspekcji w terenie. Ale ludzie mówili, że załatwili go swoi...

– Swoi, czyli kto? Po wojnie to była bardzo złożona sprawa, kto jest swój, a kto obcy.

– Ci z UB! Podobno coś odkrył, coś związanego z dziuplą na zamku. Może to, co ja po wielu latach? Krążyły w Lidzbarku różne opowieści o tym, jak osoby związane z zamkiem, z muzeum ginęły czy były mordowane. Stare kobiety plotły różne farmazony o kłątwie. Inni gadali, właściwie wciąż gadają, że jacyś cudzoziemcy kręcili się i kręcą koło tych spraw do dzisiaj. Ach... – Machnął ręką.

– Faktycznie ginęli ludzie?

– Panie Marcinie, mam na ten temat swoją teorię. Doszedłem do tego po wielu latach. Według mnie to ci z bezpieki pozbywali się niewygodnych świadków, jak w przypadku mojego ojca, albo usuwali współników. I oto cała prawda o owej kłątwie, tak myślę...

– A co działo się z pana matką?

– Matka, kiedy wyszła za mąż za mojego ojczyma, to zmieniła nazwisko, bo jak mówiła mi potem, chciała mnie i siostrę ochronić. – Zender wsunął się głębiej w fotel.

Był wyraźnie zmęczony. Łodyna patrzył na niego, popijając herbatę. Po dłuższej chwili zapytał:

– Przed czym czy przed kim?

– Tego nie wiem.

– A te nazwiska Roppel, Szytk mówią coś panu?

– Panie Marcinie. Ja jestem już stary. Mam początki parkinsona czy nawet demencji starczej. Jestem tego świadom. Niemniej moja głowa wciąż dobrze pracuje. Skoro pan robi coś dla duńskiej gazety, to obaj wiemy, że chodzi o ten cholerny medalion Sinozębego, o którym było tak głośno, prawda?

Łodyna przytaknął.

– Trzeba było tak od razu. Od razu...

– Tak, ma pan rację. Przepraszam. Tyle że chodzi tu nie tylko o ten medalion.

– Wie pan, przez wiele lat matka uważała go za przeklęty, mówiła, że przynosi jej pecha. A ja go tyle razy ścisnąłem, był moim talizmanem. Uważałem, że mnie jakoś strzeże. Kiedy siostra zdecydowała się na ucieczkę do Szwecji, tuż przed stanem wojennym, dałem go jej na szczęście. A resztę pan zna.

– Tak.

– Wnuczka go znalazła i stąd ta cała afera w Szwecji i Danii.

– Czy matka panu opowiadała, skąd pochodził ten medalion?

– Tak. Od Roppela. To była łapówka za wypuszczenie go z Polski przy pomocy ojca. Dogadali się z tym szyprem Szytkiem. Ojciec dostał od niego ten

medalion i zapewne jeszcze parę świnek. Pan wie...

– Tak... Ale proszę – Łodyna wyjął z kieszeni marynarki wydruk skanu aktu zgonu Roppela – on zginął, wypadł za burzę.

– Co pan nie powie! Ale właśnie chyba w związku z tą sprawą ojca wywalili z WOP-u. Bo bezpieka drążyła temat Roppela. Musiało być w tym jeszcze coś niejasnego. Może ta śmierć na morzu?

– W końcu to był Niemiec – rzucił Łodyna.

– Tak. Wiadomo, jaki był do nich po wojnie stosunek. Wszystkich do jednego worka... Co to ja chciałem powiedzieć? A, wiem. Matka opowiadała, że ci z bezpieki nic konkretnego na ojca nie znaleźli, musiał jednak opuścić Świnoujście. A Roppel prysnął do Danii. Ten Sztyk mu pomógł.

Teraz z kolei Łodyna głębiej wsunął się w fotel. Zaczął coś analizować w myślach. Zender przyglądał mu się i znowu wrócił mu na twarz lekki uśmiech.

– Tego pan szukał? Takich informacji?

– Tak... A matka mówiła panu coś więcej o tym Roppelu?

– Mówiła. Ten szyper przyjaźnił się z moim ojcem. Często przesiadywali u siebie. Roppel, zanim go Sztyk odstawił na morzu na duński kuter rybacki, opowiedział mu o grobowcu Sinozębego w Wiejkowie, czyli po niemiecku w Gross Weckow, gdzie był pastorem. O jakimś transporcie specjalnym, który organizowało SS czy SD.

– No i wiedza nie przepadła, jak słyszę. A wiadomo coś więcej o tym transporcie specjalnym?

– Z tego, co pamiętam, jeśli matce nic się nie pokręciło, mieli wywozić z Wiejkowa kosztowności i jakieś dokumenty. Ale nic poza tym nie wiem. Przynajmniej matka nic więcej o tym nie mówiła. Może Roppel sam nie wiedział dokładnie, co tam było – zastanawiał się. – Aha, koordynował to jakiś wysoki niemiecki oficer. Odlecieli z ładunkiem, znaczy z tymi rzeczami, samolotem.

– A matka wymieniała może jakąś miejscowość, jakieś miejsce, gdzie mieli lecieć? Coś ten Roppel mówił o tym?

– Pamiętam, że wymieniała nazwę Passendorf. A Roppel miał mówić Sztykowi, a ten z kolei mojemu ojcu o jakimś kościele, w którym miał kiedyś pełnić posługę duszpasterską. I chyba o wodospadzie w tej okolicy.

– Wodospadzie?

– Tak... Ale nie wiem dokładnie, gdzie to jest. Nigdy się tym nie interesowałem. Pewnie mu o tym opowiedział, bo chciał, żeby ktoś to wiedział, żeby ta wiedza nie przepadła. Albo zmyślił, jak to się mówi, na odczepkę. A może mama coś pokręciła czy przekręciła nazwę bądź inne fakty?

– Lotniska tam w Wiejkowie w czasie wojny nie było, więc musiał być to nieduży samolot, który nie potrzebuje specjalnego lądowiska. Dlatego za wiele tego nie mogli zabrać – skomentował na głos Łodyna.

– Ale może to, co zabrali, było bardzo cenne. – Zender zawiesił głos.

Nagle usłyszeli dzwonek do drzwi. Staruszek ożywił się.

– To z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Taki sympatyczny, przystojny, młody człowiek przychodzi mi pomóc w domu albo zawozi na badania lekarskie do przychodni. Te ostatnie akurat wypadają dzisiaj. Cholerna cukrzyca. Potem mam rehabilitację. Miło mi się z panem rozmawia. Tak dawno mnie nikt nie odwiedzał. Tak dawno...

Marcin pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Proszę tu do ogrodu! – krzyknął Zender.

Przybysz po chwili zjawił się w ogrodzie.

– Panie Karolu, to ja czekam w samochodzie – poinformował swego podopiecznego.

– Już się zbieram. Już się zbieram. Pożegnaj tylko mojego gościa – odrzekł Zender, a opiekun dyskretnie się wycofał.

– Panie Karolu, mnie także było miło poznać pana. Pan jest prawdziwą skarbnicą wiedzy – stwierdził Łodyna.

– Może odwiedziłby mnie pan później? Ale wieczorem. Bardzo pana proszę. Może tak około dziewiętnastej? Dwudziestej? – zaproponował Zender.

– Bardzo chętnie. Nie będzie z późno?

– Panie Marcinie, mam kłopoty ze spaniem. Czasem pół nocy przesiedzę... Pokażę panu parę zdjęć, nawet ze Świnoujścia. Na strychu są różne dokumenty. Po ojczymie też. Ale i po ojcu. Może coś przeoczyłem, może znajdzie pan coś do tego swojego artykułu. A kiedy on się ukaze?

– Pewnie w przyszłym miesiącu. Nie wiem dokładnie. Zależy to od wydawcy. Ale dam panu znać. – Łodyna trzymał się wciąż legendy, choć źle czuł się z tym, że musi oszukiwać starszego, ufnego człowieka. „Odwykłem od takich metod” – pomyślał.

– To proszę mi dać znać. Podam panu mój numer telefonu. Siostra by się ucieszyła. To już kilka lat, jak nie żyje. Niech pan pisze – powiedział Zender, a Łodyna wyjął smartfon i wpisał numer jego telefonu.

– Oddzwonię do pana. Będzie miał pan mój numer. Rozumie pan, jak to działa? – zapytał Łodyna, a Zender przytaknął i zapytał zaraz:

– A ma się pan gdzie zatrzymać?

– Tak. Znajomy ma dom koło Reszla. To niedaleko stąd. Pojadę teraz do niego. Wieczorem wrócę, to jeszcze porozmawiamy. Do widzenia.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Łodyna poszedł w kierunku samochodu.

– Panie Marcinie! Coś sobie jeszcze przypomniałem.

Łodyna cofnął się od furtki.

– Tak?

– Ten Roppel, o którego pan pytał... To chyba nie było jego prawdziwe nazwisko. Tak mi się wydaje. Jak przez mgłę.

– Cóż, mógł zmienić. Nie dziwiłbym mu się. – Łodyna ponownie ruszył do wyjścia. – Do zobaczenia.

Będąc na ulicy, minął chłopaka z MOPS-u czekającego w białym busie. Wsiadł do samochodu i powoli ruszył. Przejechał przez centrum miasta i most na Łynie. Po kilku minutach jazdy zatrzymał się na poboczu. Wyjął z plecaka telefon satelitarny i mały tablet. Wyszedł na zewnątrz i oparł się o maskę samochodu. Po chwili odczytał wiadomość od Caroline: „Jak sprawy? Czy coś ustaliłeś na miejscu? Daj znać”.

– Jak sprawy? Hmm... – mruknął pod nosem.

„No to chyba już wszystko jasne. Po wieczornym spotkaniu z Zenderem muszę jej wszystko opisać. Może on coś jeszcze sobie przypomni, może coś znajdę w dokumentach? Jedno jest pewne: na razie medalion ze Szwecji to ślepy zaułek; ale z drugiej strony ów trop prowadzi do tych z wywiadu SD” – rozważał, rozłączając urządzenia. Nagle usłyszał niedaleko strzały. Odruchowo chwycił za pasek i kaburę ze swoim rewolwerem Smith & Wesson. Po kolejnych odgłosach zorientował się jednak, że gdzieś w pobliżu musi być strzelnica.

* * *

Łodyna spojrzął na zegar na wyświetlaczu w samochodzie. Był kwadrans po dwudziestej. Do Lidzbarka miał jeszcze ze dwadzieścia minut drogi. Po głowie cały czas chodziły mu różne domysły i przypuszczenia. „Skoro mnie jakoś w tym Świnoujściu znaleźli, to teraz też mogą. O kurwa! Że też ja o tym wcześniej nie pomyślałem!” – przeklął w myślach. Wziął do ręki smartfon i w pierwszym odruchu chciał go wyłączyć. „A jak Zender zadzwoni? Teraz to już nie ma znaczenia” – pomyślał i wcisnął pedał gazu.

Przejechał stary wiadukt i zatrzymał się przy jakimś sklepie. Do domu Zendera miał ze sto, może sto dwadzieścia metrów. Przed wyjściem z samochodu sprawdził broń. Wrzucił garść nabojów do kieszeni marynarki. Mimo że cały dzień była piękna pogoda, akurat wieczorem niebo zasnuło się ciężkimi chmurami i nadchodziła burza, której pohukiwania szybko się przybliżały. Zrobiło się ciemno. Łodyna szedł wolnym krokiem, obserwując każdy ruch, każdy samochód, każdego przechodnia uciekającego przed nieuchronną nawałnicą.

Zatrzymał się przed furtką i dyskretnie rozejrzał. Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Spojrzał w niebo. Błysnęło i za moment rozległ się huk. Nie zastanawiając się wiele, nacisnął klamkę furki i wszedł do środka. Zadzwoił i odczekał chwilę. Potem znowu i znowu. Ale nikt nie otwierał drzwi. Wyjął smartfon i wybrał numer do Zendera. Za drzwiami usłyszał przytłumiony dźwięk dzwonka. Rozłączył się po kilku sygnałach. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Zrobił krok do przodu. Coś go zaniepokoiło. Powoli wyjął broń.

– Panie Karolu, jest pan tutaj? Proszę się odezwać! Panie Karolu! – krzyknął.

Za oknem rozszalała się burza. Błyski rozświetlały wnętrze salonu, co w połączeniu z widokiem starych, ciemnych mebli tworzyło złowrogi nastrój. Do tego doszedł lekki zapach stęchlizny, który dopiero teraz, pod wpływem wilgoci z zewnątrz, uaktywnił się w starym domu. Nagle w świetle jednej z błyskawic Łodyna dostrzegł w fotelu Zendera z opuszczoną głową. Podszedł do niego ostrożnie. Mężczyzna siedział nieruchomy. Marcin wyjął z kieszeni spodni małą latarkę i włączył ją. Delikatnie uniósł głowę mężczyzny. Zauważył odrobinę piany na jego ustach, a na twarzy jakiś dziwny grymas. Źrenice miał nienaturalnie rozszerzone. Sprawdził na skroni, czy jest puls, a potem drugi raz na przegubie dłoni. Nic nie poczuł. Zender nie żył. Obok fotela na podłodze leżał aplikator z insuliną. „Przesłuchiwali go? Nie wygląda na to. Biedny, stary człowiek. Może przed śmiercią nie cierpiał?” – przeszło mu przez głowę.

Marcin zaczął się rozglądać po mieszkaniu. Nie miał wątpliwości, że zostało splądrowane. Wspiął się po schodach na poddasze. Tam też wszystko było w nieładzie. Schował broń do kabury. Zszedł na dół i skierował się ku drzwiom domu. Burza jak nagle przyszła, tak nagle odeszła, ale wciąż jeszcze padał deszcz. Rozejrzał się. Jakies dwadzieścia metrów dalej stało czarne bmw serii 3. Nie zwróciliby na nie uwagi, gdyby nie poruszające się w nim miarowo wycieraczki. Ktoś obserwował go z wnętrza auta. Łodyna zaczął iść w jego kierunku. Samochód w tym momencie gwałtownie ruszył w dół ulicy bez włączonych świateł. Lekko skręcił w stronę Marcina, ten jednak odskoczył na bok, między zaparkowane wzdłuż Warszawskiej samochody. Oparł się dłonią o mokrą maskę jednego z nich, lecz dłoń ześlizgnęła się, co sprawiło, że się zachwiał. Czarne bmw minęło jego stopy dosłownie o kilka centymetrów. Kątem oka, przez boczną szybę, Marcin dostrzegł starszego mężczyznę w marynarce i okularach w metalowych oprawkach, a obok kierowcę, czterdziestoparolatka w czarnej koszulce polo. Pobiegł za autem. Jednak bmw zniknęło mu z oczu na lekkim łuku ulicy skręcającej w prawo. Dobiegł do swojego samochodu, minął go, stanął na rozwidleniu ulic i spojrzał w kierunku wiaduktu, a potem ulicy biegnącej wzdłuż parkingu przed sklepem, ale nic nie

dostrzegł. Zmoknięty wsiadł do swojej toyoty. Ze złością uderzył kilka razy dłońmi w kierownicę.

Wkrótce jechał powoli pustymi już o tej porze ulicami Lidzbarka. W pewnym momencie zatrzymał się na moście na Łynie. Wyjął smartfon otrzymany od Caroline. Wyciągnął z niego minikartę SIM. Złamał ją. Uchylił boczną szybę i wyrzucił ją do rzeki. Potem to samo zrobił ze smartfonem.

Po kilku minutach włączył swój prywatny smartfon i wybrał numer telefonu do Ryszarda, byłego funkcjonariusza Centralnego Biura Śledczego Policji, obecnie właściciela firmy detektywistycznej. Po krótkiej rozmowie z nim ruszył w kierunku Olsztyna. Minęły niespełna trzy godziny, kiedy mijając Płońsk, Łodyna otrzymał od niego informację, żeby następnego dnia podjechał do jego biura w Wilanowie. „W takim razie Caroline musi jeszcze poczekać na mój raport do jutra” – pomyślał.

Rozdział 17

Warszawa – lato 2017

Łodyna, stojąc na balkonie, oglądał zdjęcie ze stop-klatki miejskiego monitoringu w Lidzbarku Warmińskim, które otrzymał od Ryszarda. Na fotografii widać było czarne bmw serii 3 na niemieckich numerach rejestracyjnych – to samo, które stało pod domem Zendera na Warszawskiej, i to samo, które chciało go przejechać. Łodyna studiował niewyraźne ujęcia pasażera – starszego mężczyzny – oraz lepsze kierowcy. Zastanawiał się, skąd zna tę twarz, tę sylwetkę.

– Już wiem. Ewa! – krzyknął w pewnym momencie.

– Co już wiesz?! Bądź cicho. Michałka obudzisz. – Ewa podeszła do niego i objęła go w pasie. – Co to za kolesie? Jacyś gangsterzy czy co?

– Nie, nie. Dobrze by było, gdyby chodziło o gangsterów...

Żona Marcina popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

– W co ty się znowu wpięprzyłś? Miałeś się zająć show-biznesem, filmami, scenariuszami. A ci raczej nie wyglądają na polskich filmowców czy gwiazdy telewizji – powiedziała z przekąsem.

– W nic się nie wpięprzyłem, kochanie.

– Ja cię znam. Nie oszukasz mnie. Proszę cię, uważaj na siebie, a najlepiej daj już sobie z tym spokój.

– A nie chciałabyś się wybrać na jakieś tropikalne wyspy?

– Słucham? Co ty bredzisz? Jakie wyspy? Mieliliśmy przecież jechać we trójkę do Grecji.

– Tak tylko pytam – odpowiedział i poszedł do pokoju po plecak.

– Idziesz spać czy będziesz jeszcze coś robił? Ja mam jutro od szóstej dyżur w szpitalu. Muszę się wcześniej położyć.

– Zaraz przyjdę. Pamiętasz, że jutro przychodzi do nas Piotruś Bałtożak z żoną i chłopakami?

– Tak, pamiętam, więc tym bardziej chcę się wyspać. – Głos Ewy doszedł do niego już z sypialni.

Marcin usiadł na krześle na balkonie i zaczął spinać swój sprzęt do łączności.

* * *

– Tak. Jak mi to napisałeś trzy dni temu, to wyjęłam kartę SIM, zламаłam ją i wrzuciłam do Tamizy. To samo zrobiłam ze smartfonem. Nie chciałam go trzymać ani chwili dłużej, za duże ryzyko. Teraz nasi w technice sprawdzają mi jeszcze inne smartfony. Zwłaszcza ten, który miałam w Berlinie i Kopenhadze. Wstępnie ocenili, że jest zainfekowany czy w zasadzie zhakowany. Sprawa oczywista – stwierdziła Caroline.

– Ale to znaczyłoby, że namierzili cię tam, w Berlinie albo Kopenhadze – powiedział Marcin.

– Albo w Polsce... Tak, to właśnie to znaczy.

– Ciekawe, co to jest za system, który zhakował twój i prawdopodobnie mój smartfon? Wiesz coś o tym? Mówili ci o jakichś jego funkcjonalnościach? – dopytywał Marcin.

– Od końca lat dziewięćdziesiątych nasi amerykańscy sojusznicy z NSA ⁴ i CIA pracowali nad systemem, który infekuje telefon. Podobno Izraelczycy i Chińczycy też poszli w tym zakresie do przodu. Taki smartfon nie tylko wysyła wszystko, co w nim jest, ale może cię podsłuchiwać, podglądać, lokalizować dokładnie twoją pozycję.

– A to chyba to, co niektórzy moi koledzy w technice, w Agencji zaczęli nazywać bronią cybernetyczną nadchodzących czasów... A to jest po prostu zaawansowany system inwigilacji – stwierdził Marcin. – Pewnie i Rosjanie zaczęli coś majstrować z takimi rozwiązaniami. Coś ukradli, coś kupili i jak to oni, poskładali po swojemu. Czasami im coś wyjdzie w technice. To teraz już mam jasność, jak mnie przypilnowali w Świnoujściu i namierzili w Lidzbarku... No i w rezultacie załatwili biednego pana Karola. – Łodyna zawiesił głos i wyraźnie posmutniał.

– A właśnie. Wiesz może, jak on zmarł?

– Miejskowa policja i prokuratura uznały to za zwykły rabunek, w dodatku na tle seksualnym. A śmierć Zendera za naturalną.

– Nie rozumiem.

– Pan Karol był gejem. Policja przyjęła, że to jakieś porachunki między gejami, zazdrość, jakieś rozliczenia... – zrobił pauzę. – Wiesz, jakie jest podejście do osób o innej orientacji seksualnej w takich środowiskach, we wsiach, w miasteczkach, zwłaszcza w Polsce... Szkoda gadać. Ale znajomy popchnął temat i w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji ustalili, że

w ciele ofiary była jakaś substancja chemiczna, w której skład wchodzi śladowa ilość atropiny – relacjonował Marcin.

– Ciekawe. Jak to działa? Wiesz?

– Wywołuje zatrzymanie akcji serca i częściowy paraliż. Jej działanie spowodowało, że ofiara nie była zdolna do żadnych ruchów. Charakterystyczną cechą stanowi to, że owa substancja bardzo szybko rozkłada się w organizmie i potem zgon wygląda na naturalny.

– Co na to policja czy prokuratura? Bo to załatuje Moskwę i ich metodami – skomentowała Caroline.

– Zgadza się. To jednak było nieoficjalne badanie w ramach jakiegoś szkolenia. Tak to zostało załatwione. Więc tematu nie ma. Ale wiesz, ja już spotkałem się kiedyś z podobnym przypadkiem.

– Gdzie? – zaciekawiła się kobieta.

– Caroline, zapytajcie sojuszników zza oceanu. Może coś powiedzą. Ale to na pewno Rosjanie. Poza tym ten koleś, spójrz – Łodyna położył przed nią zdjęcie ze Świnoujścia i z Lidzbarka – to według mnie ten sam gość.

– A ten stary?

– Słabo widoczny. Nie wiem. Trudno mi powiedzieć. Twarz nie jest mi obca, jakbym go już kiedyś gdzieś spotkał. Ale może to złudzenie. W każdym razie nie kojarzę go dokładnie. – Łodyna zasępił się i dokończył swoje piwo. – Chcesz jeszcze jednego guinnessa?

– Tak, proszę. Gorąco dzisiaj. Dobrze, że wybrałeś to miejsce nad Wisłą.

– Tu przy porcie, na Cyplu Czerniakowskim zawsze chłodniej. Słońce schowane od zachodu i jest cień od drzew – powiedział Marcin i skierował się do baru.

Po chwili wrócił z dwiema szklankami ciemnego piwa.

– Tak czy inaczej, jest jednak w końcu dowód, że Rosjanie też szukają dokumentów.

– I skarbów. Pamiętasz, co ci o nich mówiłem. Zawsze mogą jeszcze kombinować jakąś prywatę na boku, co...

– ...zamaże faktyczny obraz sytuacji i intencji moskiewskiej centrali – dokończyła Caroline i uśmiechnęła się. – Powiedz, dlaczego należy wiązać jakieś skarby z grobowca wikingów, Bursztynową Komnatę, spis niemieckiej agencji z czasów wojny z dokumentami radzieckiego wywiadu po wojnie?

– Nie wiem. Ale jakiś wspólny mianownik między tymi elementami na pewno istnieje. Ja znam ruskich. Passendorf to teraz po polsku Pasterka. Leży w Górach Stołowych w Sudetach. Do dzisiaj krążą legendy, że Niemcy przed zakończeniem wojny ukryli tam wiele skarbów.

– O co tu chodzi? – zamyśliła się Caroline.

– Może odpowiedziałby nam na to pytanie Roppel albo ktoś z jego bliskich lub znajomych, komu powierzył tak jak Szytkowi swoją tajemnicę? Jeśli to prawda... Bo pan Karol mówił mi, że Roppel mógł konfabulować. Jego matka, to znaczy Zenderowa, też coś mogła pokręcić. To może nas zmylić i doprowadzić donikąd.

– A może ten Roppel wiedział coś więcej, coś, czego nie ujawnił przed ucieczką z Polski? – wtrąciła kobieta.

– Masz rację i można by go o to zapytać... Tylko jest jeden problem. Roppel musiałby mieć teraz ze sto dziesięć lat, Caroline – powiedział z lekkim przekąsem. – On na pewno już nie żyje.

– Oj, Marcin, wiem. Chodzi o to, że zostaje jego rodzina, znajomi, może jakieś zapiski? I zapewne masz rację. Roppel, a w zasadzie to, co po nim zostało, to też jakiś trop. Tyle że, jak mówiłeś, to nie było jego prawdziwe nazwisko. – Napiła się piwa.

– I ta Pasterka. Nie zapominaj.

– Tak, i ta Pasterka – powtórzyła.

– Słuchaj, Caroline. Muszę pojechać do Krakowa, do mojego byłego przełożonego pułkownika Tortaka. On ma zwykle dobry ogląd sytuacji i świetną pamięć. Pokażę mu te zdjęcia. Może coś podpowie. Poza tym moja koleżanka także chciała się z nim spotkać.

– Koleżanka? Czy ta, z którą byłeś na Seszelach dwadzieścia lat temu? – zapytała Caroline, a na jej twarzy pojawił się dwuznaczny uśmiech.

– Tak. Jakbyś zgadła. To ta... I tu pojawia się poważny problem. Tym razem z mojej strony.

Następnie Łodyna opowiedział Caroline o byłym mężu Anity i jego domniemanych związkach z rosyjskimi służbami specjalnymi. Nawet o podejrzeniach graniczących z pewnością, choć niedających wciąż jednoznacznej, stuprocentowej odpowiedzi.

– Czyli miał dostęp do różnych danych. Była z nim w Moskwie? – spytała, a Łodyna przytaknęła. – To by pasowało. Spotykaliście się co jakiś czas? – Przytaknęła ponownie. – Cholera. To może też być odpowiedź na to, jak nas namierzili. Najpierw was, ciebie i potem mnie. Ale jest w tym wciąż jeszcze dużo znaków zapytania.

– Ano zapewne jest. Na razie traktowałbym męża Anity jako jeden z elementów układanki tłumaczących tę sytuację.

– No tak... – zadumała się. – Kiedy jedziesz z nią do tego Krakowa?

– Za kilka dni. Najdalej za tydzień. – Pociągnął spory łyk piwa. – Ja tak myślę, że powinnaś na pewien czas zostać w Polsce. Pamiętam, w Belo Horizonte mówiłaś mi, że lubisz chodzić po górach. Mam znajomą. Prowadzi

schronisko turystyczne na Przegibku. W sumie to niedaleko Krakowa, w Beskidzie Żywieckim. Tam mogliśmy się spotkać.

– Hmm... Może to i dobry pomysł. Ale następnym razem, Marcin. Muszę jeszcze jechać do Berlina. – Spojrzała na zegarek. – Za dwie godziny jest pociąg. Mam tam spotkanie, a potem muszę szybko wrócić do Londynu i wszystko zrelacjonować u nas na górze.

– Uważaj na siebie w tym Berlinie. Mam jakieś dziwne przeczucia... A z kim się tam spotykasz? W jakim celu? Możesz powiedzieć?

– Na razie nie. Kiedyś ci pewnie powiem – odparła i zaczęła się nad czymś intensywnie zastanawiać. – Marcin, kilka dni myślałam o tej sygnałnej informacji i o tym duńskim dziennikarzu, który miał kontakt z jakimś potomkiem czy znajomym wnuka pastora z Wiejkowa. Pamiętasz. Miałaś to w notatce ode mnie.

– Tak. Jakiś podejrzany handlarz dziełami sztuki bodajże z Salzburga. Krause się nazywał. Zapamiętałem, bo pierwszy mój przełożony w firmie nosił takie nazwisko.

– No właśnie. Postanowiłam to sprawdzić. Czasem warto wrócić do niepotwierdzonych i niewiarygodnych informacji. Z perspektywy czasu nabierają one innego znaczenia.

– I po to jedziesz do Berlina?

– Tak. Po to też... A ty uważaj z tą Anitą. Bo jak jej były pracuje dla rosyjskiego wywiadu, to... Rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem – odpowiedział Łodyna.

Rozdział 18

Berlin – lato 2017

Zaraz po wejściu do apartamentu w Steglitz-Zehlendorf Doreen spojrzała na zegarek. Stwierdziła, że sąsiedzi powinni wkrótce przywieźć jej córkę Laurę z basenu. Kobieta była po długim, tradycyjnym spacerze wzdłuż rzeki Haweli i przez las Grunewald. Lars siedział na spotkaniu służbowym z delegacją z Londynu. Miał wrócić dopiero wieczorem.

Przyniosła sobie z kuchni butelkę piwa, otworzyła ją i postawiła na stoliku. Usiadła na niebieskiej kanapie, z którą od kilku lat wiązała wyjątkowo miłe wspomnienia. Podciągnęła nogi i oparła brodę o kolana. Patrzyła na surowe, ceglane ściany, które w czasie ostatniego remontu pomalowano na biało, zatrzymując wzrok na wykonanych niegdyś przez siebie rysunkach z motywami roślinnymi. Po chwili wzięła ze stolika piwo i wypila kilka łyków. Była wyczerpana tym dniem. Przez głowę przebiegały jej dziesiątki obrazów i słów. Intensywnie myślała: „Do czego doszłam? Czy było warto? Co mam dalej robić?”. Z zadumy wyrwał ją dźwięk otwieranych drzwi wejściowych.

– Laura?

– Tak, mamusiu, to ja. Zaczął padać deszczyk. Mam bardzo mokre włoski. Pójdę je sobie sama wysuszyć w łazience. Jestem już przecież duża, prawda, mamusiu? No powiedz. Prawda? – mówiła dziewczynka.

– Tak, kochanie. Jesteś już duża i sama wysuszysz sobie włoski – odpowiedziała Doreen i spojrzała w kierunku szklanego dachu.

Niebo zasnuło się ołowianymi chmurami, a krople, które uderzały o szyby, były coraz większe i liczniejsze. Doreen podniosła się i zapaliła grube świece ustawione na podłodze w ażurowych, metalowych lampionach. Po salonie rozeszło się ciepłe światło. Utkwiła wzrok w ich drgających płomieniach. Znowu usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

– Lars?! – krzyknęła.

– A kto inny miałby to być? – Mężczyzna wszedł do salonu. – Czy coś się stało?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Przecież widzę.

– Nie, wydaje ci się, kochanie. Głodny jesteś czy jedliście coś na tym spotkaniu z gośćmi z Londynu?

– Jedliśmy. Ale możemy czegoś się napić. Kupiłem po drodze hiszpańską cavę. Jest okazja na bąbelki. – Zaczął zdejmować garnitur i rozwiązywać krawat.

– A co to za okazja?

– Zaraz ci wszystko powiem, kochanie. Tylko rozbiorę się i naleję wino do kieliszków – powiedział, potrząsając butelką trzymaną w dłoni.

Lars poszedł do sypialni, a zaraz potem zniknął w kuchni. Po chwili dał się stamtąd słyszeć wystrzał korka. Wróciwszy do salonu, mężczyzna postawił na stoliku dwa wysokie, napełnione winem kieliszki i butelkę. Spojrzał w górę.

– Uwielbiam ten szum deszczu, te rozbijające się o szklany dach krople. I wszędzie te kwiaty. Jakbym był w tropikach, w jakiejś dżungli... – zawiesił głos. – Jak one urosły, odkąd się znamy.

– Tak. To już prawie drzewa... Pamiętasz nasz pierwszy raz, Lars?

– Oczywiście. Ten widok błękitnego nieba, zieleni za oknem... Nigdy nie zapomnę tych chwil. – Spojrzał na kanapę. – I ty nade mną poruszająca się rytmicznie, ten twój wzrok... Może Laura pójdzie dzisiaj wcześniej spać? – Uśmiechnął się do Doreen i usiadł obok.

– Nic się nie zmieniło. – Przechesała dłonią jego włosy. – Twoje zdrowie, kochanie.

– Nasze. – Stuknął kieliszkiem o jej kieliszek.

Pili w milczeniu, patrząc na siebie i nasłuchując szumu deszczu. Pierwsza odezwała się Doreen:

– To opowiesz mi, co cię tak dzisiaj podekscytowało? Spotkanie z Anglikami?

– Tak – przyznał. – Chodzi o tę sprawę sprzed kilku lat, z twoim znajomym... Artmanem. Rozmawialiśmy nawet niedawno o nim. Pamiętasz?

Kobieta kiwnęła głową.

– Czasem sobie o tym przypominam, wciąż jednak nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. Pamiętasz, opowiadałam ci, że wtedy, w czasie przesłuchań próbowałam się czegoś dowiedzieć od policji. Myślę, że oni albo nie chcieli zdradzić, albo sami nie wiedzieli, kto tego dokonał. Bo dlaczego, to raczej jasne: zwykły, ordynarny rabunek, to oczywiste. Straszne, straszne...

– Tak... Wstrząsające, Doreen. A nie zastanawiałaś się nigdy, że to może nie był zwykły rabunek? Że tu chodziło o coś innego.

– Ale o co? Co masz na myśli, Lars? – Popatrzyła na niego badawczo.

- Z informacji uzyskanych dzisiaj wynika...
- Od tych z Londynu? – spytała Doreen, a Lars przytaknął.
- Wynika z nich, że było to na pewno związane ze sprawą owych medalionów Sinozębego. Ale proszę, nie pytaj o szczegóły. Przynajmniej na razie. Wiedzą o tym nieliczni.
- Dlaczego? W końcu miałam być członkiem tego zespołu naukowego badającego sprawę medalionów. Oznajmiałeś mi to znowu ostatnio. I co?
- Tak. To nie był zły pomysł, ale jak ci wtedy mówiłem, zdecydowano, że nie ma on sensu, ponieważ poszukiwania szybko utknęły w martwym punkcie. Poza tym medalionem znalezionym w Szwecji niczego więcej nie ustalono. Próbowałem dowiedzieć się czegoś w Polsce...
- W Polsce? Poważnie? I co?
- Poważnie. I wszystkie ślady rozmywały się. Trafialiśmy... hmm... to znaczy trafiałem za każdym razem w ślepią uliczkę. Ale teraz coś drgnęło. Do tych poprzednich, o których ci wspominałem przed twoim wyjazdem do Petersburga, doszły teraz nowe, obiecujące tropy.
- Nic konkretnego mi ani wtedy, ani potem nie powiedziałaś. Jedyne o tym biednym Artmanie – stwierdziła i usiadła okrzakiem na jego udach. – Biedaczysko. – Dłonią dotknęła delikatnie twarzy partnera. – Indiany Jonesa do pomocy ci brakowało w tej Polsce – zażartowała i pocałowała go.
- A żebyś wiedziała. Tym bardziej że jak ci mówiłem, Angole z Muzeum Historii Naturalnej bardzo zainteresowali się tematem... i ich władze także.
- Rzeczywiście tak mówiłeś, ale uważałeś również, że mogło chodzić nie tylko o kosztowności u Artmana, ale i o jakieś inne ważne rzeczy.
- Tak wtedy sądziłem? No może, ale to były jedynie przypuszczenia – zmieształ się Lars. – Tylko pamiętaj, to tajemnica, Doreen.
- A komu miałabym o tym opowiadać, Lars!
- No dobrze już, dobrze... Słuchaj dalej. Pamiętasz, jak wybuchła ta afera medialna w Szwecji w związku z medalionem Sinozębego? – Doreen kiwnęła głową i upiła łyk zimnego wina. – Ustalono wtedy, że trafił on do Szwecji w dziwnych okolicznościach. Ta historia wiązała się między innymi z tym miastem w Polsce... Heilsberg, czyli teraz... Lidzbark Warmiński.
- Jasne, pamiętam to wszystko, bo notatki po spotkaniu z Artmanem sama nie wiem ile razy czytałam. To było dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie. Znasz kogoś, rozmawiasz z nim... A potem nagle go nie ma. Zostają tylko jakieś zapiski...
- Artman opowiadał ci o pewnym pastorze.
- Tak. Z Gross Weckow.

– Ten pastor z Gross Weckow, czyli z obecnego Wiejkowa, nazywał się naprawdę Eryk Krause. Ustalono, że to on pomagał wywieźć z Wolina pod koniec wojny jakieś rzeczy, między innymi prawdopodobnie te, o których mówił ci Artman. Wyobraź sobie, że znaleźliśmy jego rodzinę i...

– Jak to: my? – przerwała mu Doreen.

– No my... – zawałał się – w sensie ci Brytole z Muzeum i nasze władze duńskie, no wiesz. – Kobieta powoli przytaknęła. – A kuzynem tego pastora był wysoki oficer niemieckiego wywiadu SD. I do jego potomków też dotarliśmy – mówił z pewną ekscytacją i nutą triumfu w głosie Lars. – Było go zresztą o tyle łatwo namierzyć, że jeden z członków rodziny zajmuje się handlem dziełami sztuki, choć, zdaje się, nie zawsze legalnego pochodzenia. Ale to zupełnie inna sprawa. Może go nawet znasz, może słyszałeś o nim. Też nazywa się Krause.

– Nie, nie spotkałam się z tym nazwiskiem. Mogę sprawdzić, ale raczej nie. Powiedz mi, Lars: skarby wikingów, Bursztynowa Komnata, tajemnicza śmierć starego berlińskiego antykwariusza... O co tu chodzi? Gubię się w tym. Co to wszystko ma ze sobą wspólnego?

– Idzie o to, że poza skarbami z Wolina tym samym transportem wywieziono także pewne niezwykle istotne rzeczy.

– Czyli? Wydusisz to z siebie w końcu? – niecierpliwiła się Doreen.

– Dokumenty niemieckiego wywiadu, które są cenne do dzisiaj. Wiele krajów, a w zasadzie różnych instytucji, szuka ich bardzo intensywnie.

– Niemieckie dokumenty?

– Niemieckiego wywiadu SD – sprostował Lars.

– No dobrze, niemieckiego wywiadu – powtórzyła za nim Doreen. – Ale nie rozumiem, co może być w nich aż tak ważne do dzisiaj? Ważniejsze niż Bursztynowa Komnata czy skarb wikingów.

– Naprawdę nie rozumiesz?

– Tak, nie rozumiem.

– Na przykład spisy ludzi – wyjaśniał Lars – którzy ukryli się po wojnie w różnych zakątkach świata, a którzy mogli mieć związek z różnymi sprawami wpływającymi na obecny kształt relacji międzynarodowych czy na przykład na decyzje gospodarcze.

– Naprawdę? Tyle lat po wojnie? Lars, przecież to odległa historia. Jakie to mogły być sprawy? Konkretnie, jakieś przykłady – drążyła.

– Och, jest tego multum. Nie chcę zresztą już o tym rozmawiać. Skończmy na tym, proszę.

– Skoro masz jakieś tajemnice, to nie zaczynaj o nich mówić. Ja tak samo ci nie powiem, jak będziesz się dopytywał o wyjazd do Petersburga albo Moskwy

czy o wysokość prowizji za pośrednictwo w sprzedaży obrazów. Też cię tak zbęde! – zachnęła się i zesza z jego kolan.

– Kochanie, posłuchaj. Szczegóły nie są aż tak istotne. Najważniejsze, że teraz wiemy dokładnie, gdzie Niemcy je schowali. I te dokumenty, i skarb. Chciałem powiedzieć, gdzie je ukrył odpowiedzialny za ewakuację tych przedmiotów oficer SD.

– Czekaj, czekaj... – Doreen już się nie dęsała. – Czyli Artman dostał od kogoś współczesne zdjęcia artefaktów z tego ukrytego skarbu. Logicznie rozumując, znaczyłoby to, że już go nie ma tam, gdzie go pierwotnie ukryto... No tego skarbu...

– Zakładam, że były to tylko jakieś próbki. Może ten oficer SD nie miał możliwości zabrania ze sobą z Więjkowa wszystkiego?

– Chcesz powiedzieć, że prawdopodobnie wziął jedynie parę artefaktów. Resztę, w tym dokumenty, pozostawił w pierwotnej skrytce. I to wciąż tam jest. A może w jednym miejscu jest wszystko, a w drugim nie ma nic?

– Tak... W każdym razie znamy dwie dokładne możliwe lokalizacje ukrycia tych rzeczy: dokumentów, kosztowności, a może i jakichś wartościowych artefaktów – wyjaśnił Lars.

– No dobrze. Teraz już rozumiem... – zawiesiła na chwilę głos.

– Cieszę się – odpowiedział.

– To gdzie to jest ukryte, powiesz mi w końcu, kochanie? – Uśmiechnęła się zalotnie i przysunęła do Larsa. – Ale ty tajemniczy dzisiaj jesteś. – Dotknęła stopą wewnętrznej części jego uda. – Laura po basenie pójdzie szybko spać – szepnęła, wsunęła swoją dłoń pod krótką spódniczkę i zaczęła posuwistymi ruchami pieścić swoje łono. – Wiesz, że prawie cały dzień pracowałam w domu i byłam... jestem bez majteczek i stanika.

– Cały dzień byłaś w domu?

– Prawie. Zrobiłam sobie tylko krótki spacer. Ale cały dzień bez bielizny.

– Trudno mi się skupić, jak robisz coś takiego. – Spojrzał na nogi kobiety. – I tak sobie myślę, że musimy tam razem pojechać.

– Gdzie? – odpowiedziała szeptem i rozchyliła szerzej uda, cały czas wpatrując się w Larsa.

– Tam, gdzie zdążyliśmy pojechać tylko raz, a potem już jakoś nie było okazji. I powiem ci... Pojechałbym tam z tobą i pieprzylibyśmy się gdzieś na jakiejś polanie w tych Heuscheueberge. A dokładnie...

– A dokładnie to jestem taka wilgotna, że jest mi wszystko jedno, gdzie mnie będziesz pieprzył. Lecz te góry to może w przyszłości. Choć podnieca mnie myśl, że przeleciałbyś mnie w takim miejscu, gdzie został ukryty ten skarb.

– Może nie dokładnie tam...

– A dlaczego?

– Bo jedno to miejsce obok kościoła i grobowców. Nie wypada zakłócać zmarłym wiecznego spoczynku i naruszać powagi sanktuarium. A drugie miejsce jest przy wodospadzie, przy jakimś kamiennym moście. Jeszcze byś się przeziębila. Pokażę ci zdjęcia...

– Co do grobowców zgoda. Ale przy wodospadzie, czemu nie. Jestem zahartowana. I taki wodospad to bardzo romantyczne miejsce. Ale teraz nie chcę oglądać żadnych zdjęć, chcę czuć, jak wchodzisz mocno we mnie... Tak jak lubię – szepnęła i szybciej zaczęła masować dłonią swoje łono.

– Chodźmy do łazienki. Laura na pewno już jest w łóżku i pewnie coś ogląda na laptopie. A wtedy świata wokół siebie nie widzi.

– Chodźmy, bo już nie mogę – odpowiedziała i lekko westchnęła.

* * *

Po kilkunastu minutach Lars i Doreen wrócili z łazienki ubrani w białe szlafroki. Usiedli zmęczeni na kanapie. Ona wycierała jeszcze swoje mokre włosy. On dolał wina do kieliszków, po czym wyjął z torby laptopa i włączył go.

– Popatrz tutaj. – Wskazał na wykonane zimą zdjęcie, które przedstawiało nieduże wzniesienie i biały kościół z czterokątną wieżą nakrytą podłużną, lekko pękatą kopułą. – Tutaj to ukryli: po lewej stronie drogi, naprzeciwko lasu, nad tym ciemnym domem z dwuspadowym dachem, tam gdzie zaznaczono kółkiem.

– Aha, to jest to pierwsze miejsce. Jak ta wieś się nazywa?

– Pasterka. Kiedyś Passendorf. A tu, popatrz, Doreen, drugie. Wodospad i kamienny most z takimi łukami, wokół skały, miejsce zaznaczone strzałką, bardzo dokładne wskazanie.

– Lars... – zaczęła się zastanawiać. – Wciąż jeszcze czegoś nie rozumiem. Kto i gdzie znalazł potomków tego pastora i tego oficera?

– Powiedzmy, że pewne instytucje u nas i u Brytoli.

– I ludzie z tych tajemniczycy instytucji ot tak sobie pojechali do... Lars, gdzie oni właściwie pojechali? Gdzie spotkali tych potomków i tego handlarza dzieł sztuki?

– Salzburg w Austrii.

– Ach tak! Przyjechali sobie do tego pięknego Salzburga i tak po prostu poprosili o te wszystkie informacje i zdjęcia! I zapytali, gdzie jest ukryty skarb o olbrzymiej wartości? – mówiła z sarkazmem Doreen. – Nie wierzę! Słyszysz? Nie wierzę!

– Doreen. Mówiłem ci, że to...

– Tajemnica. Wiem, wiem, mówiłeś – przerwała mu poirytowana.

– No tak, tajemnica... – zawiesił głos. – Po prostu ich... po prostu mocno ich przycisnęli. Inaczej mówiąc, znaleźli odpowiednie argumenty...

– Jak to: mocno ich przycisnęli? Jakie argumenty? O czym ty mówisz? – drążyła. – Przecież to... to nie Bliski Wschód czy Ameryka Południowa! To chyba nie szwadrony śmierci czy jakaś arabska bezpieka?

– Nie znam szczegółów i nie chcę ich znać. Zdaje się, że... mieli coś na nich. Jakieś haki czy coś takiego – odpowiedział Lars, nieco bezradny wobec słów partnerki.

– Hmm... Haki? Czy coś takiego? Czyli stary poczciwy szantażyk? Okej. Idę zobaczyć, czy Laura wyłączyła już film w laptopie. – Doreen wstała i ruszyła w kierunku przedpokoju.

Zatrzymała się jednak i odwróciła:

– Lars, jeszcze jedno. Co w tym wszystkim tak naprawdę robisz ci Brytole?

– Słucham?

– No to muzeum w Londynie. Rozumiem, że mogą się tym interesować jako placówka naukowo-muzealna. Ale takie akcje?! Tego raczej nie robią kustosze i muzealnicy czy nawet urzędnicy Foreign Office. Prawda?

– Doreen, i tak ci już za dużo powiedziałem. Po prostu są w tej sprawie, i tyle! Uczestniczą w niej. Takie były decyzje w Kopenhadze i Londynie. Nie wnioskuję w to. I proszę cię, nie pytaj już o to.

– A czy ja pytałam? Sam z tym wyszedłeś. Ponieważ po powrocie do domu byłeś taki... podekscytowany, myślałam, że chodzi ci o mnie, że jesteś na mnie napalony, że chcesz mnie pieprzyć tu na kanapie, jak kiedyś. Ale skoro zacząłeś o tym mówić, to chciałam dowiedzieć się wszystkiego ze szczegółami. Taka jest natura historyka sztuki. Chyba mnie rozumiesz?

– Kochanie, przepraszam. Oczywiście, że cię rozumiem, ale zrozum i ty mnie...

– A poza tym... – zrobiła przerwę i wskazała palcem na Larsa. – A poza tym gdyby nie ja i gdybym ci nie opowiedziała, co mi Artman przekazał, to głównie byście wiedzieli. Ty, ci twoi w Kopenhadze, ci tajemniczy osobnicy z Londynu... Tyle w temacie. – Odwróciła się i poszła do przedpokoju.

– Doreen, kochanie, przecież... – Lars próbował coś jeszcze wyjaśniać, ale ona go już nie słuchała.

Rozdział 19

Kraków – lato 2017

Marcin i Anita wysiedli z pendolino, które kończyło tu swój bieg na trasie z Gdyni. Wyglądali jak typowi turyści udający się na pobliski dworzec autobusowy, skąd mogliby pojechać w góry. Trekkingowe buty, plecaki, termoaktywne koszulki i takie same spodnie z suwakami i kieszeniami, a na głowach ciemne bejsbolówki z białymi znaczkami Under Armour. Był szczyt sezonu letniego. Przez krakowski Dworzec Główny przewalały się tłumy polskich i zagranicznych turystów. Jedni spokojnie wychodzili z pociągów, inni spieszyli się na nie. Pogoda była piękna, choć południowe słońce nie grzało tak silnie jak w lipcu. Podziemnym przejściem wyszli na ulicę Topolową i weszli do parku Strzeleckiego.

– Marcin, gdzie my idziemy? Przecież umówiliśmy się z Tortakiem w hotelu Polonia. To w drugą stronę.

– No tak, ale przecież mamy jeszcze ponad dwie godziny. Zobacz, jak tu ładnie. Siądziemy na chwilę na ławce. Mówiłaś, że jesteś zmęczona.

– Fakt. Nie za dobrze się czuję. To osłabienie, pamiętasz, mówiłam wam. Muszę chyba zrobić jakieś badania hormonalne.

– Może trzeba było zostać w Warszawie?

– Pieprzysz. Chciałam się z nim spotkać. Nie rozumiesz? Poza tym zaintrygowała mnie ta twoja sprawa. Odpocznę i przejdziemy się na Rynek. Zawsze dobrze mnie nastroja pobyt w tym miejscu. Mam fajne wspomnienia z tutejszej starówki jeszcze z okresu szkolenia w OKKW.

– Dobra. Przejdziemy się tam – przytaknął. – Zapomniałem cię spytać, Anita: nie będziesz miała kłopotów w firmie przez ten wyjazd ze mną?

– Po tym, jak mnie w trybie natychmiastowym odwołali z MSZ, na razie jestem w dyspozycji szefa. Zakładam, że wiąże się to z moim byłym. Coś musi być na rzeczy. Ale pieprzyć to.

– Próbowałem dowiedzieć się czegoś od Sierpeckiej. Nie chciała jednak nic zdradzić... Ale masz rację. Z tego, jak zareagowała na moje pytanie o ciebie

i twojego byłego, wnioskuję, że sprawa jest poważna. – Anita pokiwała głową. – O, tutaj będzie dobrze. Na słonku. – Łodyna wskazał na ławkę, popatrzył w górę i rozejrzał się po okolicy.

– Co ty kombinujesz? Znam cię. Sprawdzasz się? Poważnie?

– Anita. Wiesz, jak jest. Ostrożności nigdy za wiele – zaśmiał się. – Zobaczymy, czy wyłapiemy naszą obserwację z Delegatury ABW w Krakowie, z SKW czy może rosyjską z SWR?

– To wcale nie jest śmieszne, Marcin.

– Przechodziłem przez to nieraz. Z naszymi także. Pamiętasz, jak ostatnio widzieliśmy się we trójkę w Lotosie, przed wyjazdem Sebastiana do Lwowa? Miał takie przeczucia, że jest obserwacja. Ja też je miałem.

– I kto to był?

– Nie wiem. Sebastian też nie wiedział. Ale czuję, że to może łączyć się z tym, o czym ci opowiadałem. Z tym, po co tu przyjechaliśmy. Trzeba się pilnować na wszelki wypadek. Odpocznij, a ja sprawdzę, czy nie dostałem jakieś wiadomości.

Łodyna spał mały tablet z telefonem satelitarnym. Zalogował go do sieci Inmarsat.

– Skąd to masz? – zapytała Anita i spojrzała podejrzliwie na kolegę. – Ten telefon, tablet w pancерnej obudowie...

– Nie pytaj – odpowiedział, wprowadzając hasła. – Od przyjaciół. Delektuj się – zerknął na zegar na wyświetlaczu telefonu satelitarnego – naturalnym południowym solarium.

Anita zdjęła czapkę, poprawiła dłonią włosy, zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Tymczasem po odblokowaniu hasłami na ekranie tabletu wyskoczyła ikona *Received* informująca, że przysłała wiadomość. Marcin wszedł w folder *Odebrane* i zaczął czytać:

1. Udało nam się ustalić w Salzburgu, że znany nam z informacji duńskiego dziennikarza handlarz dziełami sztuki jest potomkiem Sturmbannführera SD Rolf'a Krause, który zorganizował lotniczy transport specjalny z Wiejkowa na Wolinie do Pasterki. Pomagał mu w tym jego kuzyn, miejscowy pastor Eryk Krause, czyli nasz Eryk Roppel (Roppel to nazwisko panięńskie jego żony). Dotarliśmy także do wnuka Eryka. Z udostępnionych nam materiałów (w tym zdjęć) wynika, że miejscami, w których mogą być ukryte interesujące nas rzeczy, są: skłón za kościołem w Pasterce i miejsce nazywane kiedyś Wasserfalle oraz rejon kamiennego mostu. Dokładne wskazania mamy naniesione na skanach zdjęć.

Uwaga: dane na temat jakiegoś oddziału SS, który od zimy przebywał w Pasterce, potwierdziliśmy w trakcie kwerendy przeprowadzonej w archiwum w Bayreuth w Niemczech. Wzmiankuje o tym w przesłuchaniach kilku wysiedlonych stamtąd mieszkańców wsi.

2. Uchwycony przez kamerę monitoringu w Lidzbarku Warmińskim samochód bmw zarejestrowany jest na firmę budowlaną realizującą zlecenia na terenie Niemiec na rzecz wykonawców gazociągów Nord Stream 1 i 2. Firma ta prowadzi odwierty i różnego rodzaju

prace ziemne i fundamentowe również w kilku krajach Europy Środkowo-Wschodniej: Polska, Czechy, Słowacja. Uwaga: wymieniony samochód został tydzień temu zgłoszony policji niemieckiej jako skradziony.

*Pozdrowienia z Błękitnej Kotwicy. Do zobaczenia.
Caroline*

„Czyli Caroline jest już w Londynie. Dlatego tyle dni się nie odzywała. Tylko ona mogła mi przypomnieć miejsce nawiązania kontaktu z Hanserem pod pubem Blue Anchor w Londynie. Angielski czarny humor, kurwa!” – pomyślał i pokręcił głową. „A to »nam« to kogo oznacza? MI6, BND ⁵, CIA, Duńczyków? Kto w tym jeszcze siedzi? I ten potomek oficera SD czy wnuk Eryka tak bez problemów wszystko powiedzieli? Tacy chętni byli do współpracy? Nie. Musieli ich przycisnąć. Pewnie coś mieli na tego potomka oficera SD, może jakieś nielegalne transakcje na rynku dzieł sztuki... Może obrót zrabowanymi w czasie wojny artefaktami?” – rozważał Marcin, rozłączając urządzenia.

Schował telefon oraz tablet do plecaka i też wystawił twarz do słońca.

– Dobrze czy złe wiadomości? – zapytała Anita, nie otwierając oczu.

– Frapujące i dające do myślenia. Zwłaszcza gdy dostajesz pozdrowienia z miejsca, które niespecjalnie miło wspominasz.

Zapadło milczenie. Oboje siedzieli nieruchomo na ławce. Nie wyróżniali się niczym specjalnym od innych osób odpoczywających w tym parku. Po kilku minutach Marcin odezwał się pierwszy:

– A nie masz ochoty skoczyć w góry? Znam takie fajne miejsce w Beskidach na Przegibku. To koło Zwardonia. Buty, widzę, masz odpowiednie. – Spojrzał na Anity czarne, trekkingowe terexy Adidas.

– Słucham?

– Spieszysz się do Warszawy?

– Gdybym tylko miała czas i była w lepszej formie, Marcin, to z wielką przyjemnością.

– Przecież dobrze wyglądasz. Nie widać po tobie, żebyś źle się czuła. Poza tym... jesteś w dyspozycji szefa. Masz czas. Mówiłaś, że Dominika jest u rodziców męża.

– Jutro jadę z mamą na Wawelską do Centrum Onkologii. Ma umówione badania. Pewnie położy się tam na kilka dni. Muszę być przy niej. Może to jej ostatni czas?

Łodyna nic nie odpowiedział. Przeszedł go zimny dreszcz, poczuł uścisk w żołądku. Był zmieszany. Nie wiedział, jak zareagować. Wszystko, co mógłby powiedzieć w tym momencie, wydawało mu się banalne i bez znaczenia. Poczł suchość w gardle. Wyjął butelkę zimnej wody mineralnej z plecaka

i wypił kilka sporych łyków, po czym zaczerpnął do płuc wątpliwej jakości krawkowskiego powietrza.

– Chcesz też? Mam drugą butelkę.

– Nie, dziękuję.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. A o której zawozisz mamę?

– Muszę być na dziewiątą. O tej godzinie są przyjęcia.

– Wiesz co, ja chyba mam tam znajomego. Coś mi ostatnio mówił, że się przenosi z Instytutu Onkologii na Ursynowie. Jakbyś potrzebowała jakiejś pomocy...

– Dziękuję. Zobaczę, co lekarze powiedzą...

– Odpoczęłaś już? Jeśli tak, to chodźmy na ten twój ukochany Rynek.

* * *

– A pamiętasz, z kim tu się kiedyś spotykał Tortak? – zapytał Marcin, otwierając przed Anitą ciężkie drzwi zbudowanego w neorenesansowym stylu hotelu Polonia.

– Pamiętam, a jakże! – roześmiała się. – Z Chrobakiem vel Kaferem. To musiały być trudne rozmowy – dodała.

Weszli do stylowego, niewielkiego lobby i skierowali się do hotelowej restauracji. Przeszli przez szklane drzwi. Stanęli na podłodze w czarno-białą szachownicę. W głębi restauracji, przy oknie siedział były oficer polskiego wywiadu Mieczysław Tortak. To on, kiedy kończyli szkolenie, wybrał ich do realizacji złożonej operacji wywiadowczej. Kiedyś pełen energii, teraz wyglądał na przygnębionego. Ale kiedy zobaczył swoich dawnych podwładnych, jego twarz nagle się rozpromieniła i ożywiła. Podniósł rękę, pomachał do nich i wstał z krzesła. Anita i Marcin podeszli do niego i serdecznie się z nim przywitani.

– Jak ja się cieszę, kochani, że was widzę. Nawet nie wiecie – mówił Tortak.

– My też, panie Mieczysławie, się cieszymy – odpowiedziała Anita ściskana przez Tortaka.

– Siadajcie, proszę. – Dłonią wskazał krzesła przy stole.

Cała trójka usiadła.

– A wy co tak turystycznie wyglądacie? W góry się wybieracie czy co? – spytał z uśmiechem Tortak.

– Chciałem. Planowałem skoczyć w Beskid Żywiecki, ale... – Marcin się zawahał – ale jak to z planami bywa, nie zawsze da się je zrealizować. Następnym razem, panie Mieczysławie. Prawda, Anita? – Puścił oko do koleżanki.

– Zaraz zamówimy coś do jedzenia. Wiecie, ja teraz wcześniej wstaję. Żona robi mi śniadanie, obiad i kolację, to jadam regularne posiłki, ale w waszym towarzystwie chętnie je uzupełnię. Opowiadajcie, co u was? Co robicie? Co słyhać w firmie? Gdzie jest Sebastian i dlaczego go tu nie ma? Co u niego? Mówcie, mówcie – zachęcał Tortak z ekscytacją w głosie.

Anita z Marcinem opowiedzieli, co robią. Marcin, że jest na emeryturze; ona, że pozostaje w dyspozycji szefa; a o Sebastianie, że pojechał na Ukrainę. Mówili o tym, jak wyglądają relacje w Agencji Wywiadu, jak Sznajder, szef Anity, próbuje utrzymać i ochronić to, co jeszcze można. Że ci z ABW robią zakusy na firmę i że wygląda ona jak samotna wyspa smagana falami i wiatrami oceanu, ale wciąż trzyma fason i jakość w porównaniu z innymi służbami specjalnymi w Polsce. Mówiąc to, oboje posmutnieli. W ich głosach dało się wyczuć nuty zawodu, rozczarowania, momentami obojętności, a nawet rezygnacji.

– Przykro tego słuchać... Ale nie dziwi mnie to. Bo wielu kolegów mówi to samo. Rozumiem Marcina. Takie odejście po latach służby, oddania, spędzeniu tylu lat wśród tych samych ludzi i ścian na pewno jest bardzo przykre. Kiedy podpisujesz coś w kadrach, na bramie oddajesz identyfikator i stajesz się dla firmy nikim, to czujesz rozżalenie.

– Tak. Nagle po prostu cię nie ma. I wydaje się, że nikogo to nie interesuje – wtrącił Marcin.

– Zgadza się. A jeszcze niedawno myślałeś, że jesteś niezastąpiony. Znam to uczucie. Bardzo przykre. – Spojrzał na Anitę wpatrującą się przez okno w budynek Dworca Głównego i jakby nieobecna.

– Tak, panie Mieczysławie. To bardzo przykre. Ale cóż, póki mam siły, zdrowie – Marcin znowu się zawahał, bo pomyślał o Anicie – staram się coś zmieniać, coś robić. Nie poddawać się.

– Anitko. A ty jak sobie z tym radzisz?

Anita jakby ocknęła się z letargu. Uśmiechnęła się lekko i spojrzała na Tortaka.

– Jakoś daję radę. Żeby tylko zdrowie dopisywało, panie Mieczysławie. Córnka rośnie. Poukładałam sobie powoli to moje popieprzone życie.

– Ale ty miałaś męża, prawda? Jakiegoś plantatora czy hodowcę z Lubelszczyzny.

– Tak. Jednak w końcu definitywnie się z nim rozeszłam, choć próbowałam jeszcze ratować ten związek. A teraz... – Głos zaczynał jej się łamać, oczy robiły się szkliste.

– Poczekaj, Anita! Zamówimy coś najpierw. Na głodniaka to żadna rozmowa – przerwał jej zdecydowanym głosem Marcin. – Panie Mieczysławie,

jest pan naszym gościem. Proszę. – Wskazał głową menu. – Żadnej azjatyckiej ani bliskowschodniej kuchni tu zapewne nie ma. – Uśmiechnął się do niego, pamiętając o jego preferencjach kulinarnych.

Po wybraniu dań i złożeniu zamówienia Anita już jakby spokojniejszym i opanowanym głosem zapytała:

– A co u pana słyhać? Słyszałam, że po śmierci pierwszej żony ciężko panu było, ale znalazł pan w końcu po latach kogoś, z kim dzieli pan życie. Wcześniej jednak pojawiły się problemy z synami, tak? – zapytała Anita.

– Tak. Nigdy się nie spodziewałem, że może mnie coś takiego spotkać. Przecież synowie powinni być szczęśliwi, że po śmierci ich matki trafiłem na nową, kochającą mnie kobietę, z którą jestem szczęśliwy, która się mną opiekuje i o mnie dba.

– A do tego jest atrakcyjna i mądra, panie Mieczysławie – wtrącił Marcin, a Tortak przytaknął z uśmiechem.

– Tak, to wspaniała kobieta... – zamyślił się. – Czy w takiej sytuacji dzieci nie powinny cieszyć się moim szczęściem? – powiedział Tortak.

– Oczywiście. Chociażby ze względów egoistycznych. Nie będą musieli zajmować się samotnym ojcem – wtrącił Marcin.

– Jak oni mogli tak pana urządzić? Pamiętam, jak pan opowiadał o swoich planach. Jak je powoli wdrażał w życie. Najpierw zakup tej działki koło Wieliczki, potem zbudowanie tam domu z widokiem na Beskidy, potem mieszkanie w Krakowie dla jednego i drugiego syna. I co się stało z tą synowską miłością?!

– Nie wiem, Anitko. Przed ślubem namówili mnie, żebym wszystko przepisał na nich. Ufałem im. A jak się ocknąłem, zrozumiałem, że mnie wykorzystali i pozbawili tego, na co pracowałem przez całe życie.

– Panie Mieczysławie, a może to synowe nakręciły temat. Mówię panu, często tak bywa.

– Może. W każdym razie zostałem prawie z niczym. Jedynie trochę pieniędzy na koncie. Żyjemy obecnie w niewielkim, dwupokojowym mieszkaniu żony tu w Krakowie. Ale najważniejsze, powiem wam, że jesteśmy szczęśliwi.

– Ma pan rację, to najważniejsze – powiedziała Anita.

– Chcemy się jednak stąd wyprowadzić. Mamy zamiar sprzedać to mieszkanie. Oglądaliśmy już fajny domek w Jurze, niedaleko Złotego Potoku. I Często-chowy.

– To taka, można powiedzieć, ucieczka od przeszłości – powiedziała Anita i westchnęła.

– W kodeksie cywilnym sytuację, jaka zaistniała między panem a synami, nazywają chyba rażąca niewdzięcznością, panie Mieczysławie. Można by spró-

bować powalczyć, ale to nie będzie takie proste. I zapewne okaże się przykre – skomentował Marcin, a Tortak tylko pokręcił głową i machnął ręką.

– O, idzie już pierwsze danie – rzuciła Anita. – Trochę zgłodniałam. Nic nie jadłam od rana.

Nie minęła minuta, jak cała trójka w milczeniu pochylała się nad żurkiem. Zza okna co chwilę dochodził pisk tramwajów przecinających skrzyżowanie ulic Basztowej, Pawiej, Lubicz i Westerplatte. Z nieodległego dworca kolejowego docierały ledwie słyszalne zapowiedzi z megafonów przeplatane charakterystycznym odgłosem odjeżdżających i przyjeżdżających pociągów. Od strony krakowskiego Rynku ciągnęły całe tłumy turystów. Na placu przed wejściem do Galerii Krakowskiej panował duży ruch. Niektórzy ludzie gdzieś się spieszyli, inni szli wolniej z torbami wyładowanymi zakupami, jeszcze inni robili sobie zdjęcia albo siedzieli na murkach, odpoczywając.

– Marcin, mówiłeś przez telefon, że masz do mnie sprawę – powiedział Tortak, odstawiając talerz po zupie. – A jak tak mówi oficer wywiadu, no, były oficer, to wiem, że nie chodzi tu o pomoc prawną dla mnie z zakresu kodeksu cywilnego. – Mrugnął okiem do Anity. – Coś się dzieje?

– Jak by tu zacząć? Hmm...

– To dotyczy również mnie i moich spraw, powiedzmy, natury osobistej – wtrąciła Anita.

– O, to tym bardziej ciekawe. Mówcie.

Marcin opowiedział Tortakowi o spotkaniu w Brazylii Caroline pracującej dla brytyjskiego wywiadu, o tym, dlaczego MI6 zgłosiło się do niego, o medalionie Sinozębego, o dziwnym zabójstwie antykwariusza związanego kiedyś ze Stasi, o Roppelu oraz Szytku i w końcu o swoim pobycie w Świnoujściu i Lidzbarku oraz o tragicznej śmierci Karola Zendera. Anita uzupełniła to swoimi wątpliwościami i podejrzeniami dotyczącymi jej byłego męża, również tymi wysuwanyymi przez pion bezpieczeństwa wewnętrznego Agencji Wywiadu. Na koniec Marcin wspomniał o Sebastianie i ich przecuciach co do prowadzonych wobec nich działań obserwacyjnych.

– Wiecie co, kochani, to wszystko, o czym opowiadacie, jest niezwykle intrygujące. Ale nie jestem ani zdziwiony, ani jakosć specjalnie zaskoczony. Moim zdaniem układa się to w pewną logiczną całość – stwierdził Tortak, wychylając kieliszek wódki, którą kelner tymczasem postawił na ich stoliku. – Dobra, zmrożona. Taką lubię najbardziej.

– Ale to nie koniec, panie Mieczysławie. Jest jeszcze coś, co dotyczy naszej wspólnej operacji specjalnej z przeszłości – powiedział Marcin.

Tortak zastygł na moment w bezruchu, trzymając pusty już kieliszek. Popatrzył na Marcina, a potem na Anitę, która przytaknęła słowom Marcina.

– O kurwa! Przepraszam, Anita – rzucił po dłuższej chwili Tortak.

– Też tak zareagowałam, panie Mieczysławie, jak się o tym dowiedziałam. I zdecydowałam się pomóc Marcinowi. Zresztą Sebastian również.

– A nie będziesz miała problemów w firmie? – zapytał Tortak.

– A co mi teraz mogą zrobić? Najwyżej pójdę na emeryturę, a najlepiej na zwolnienie! Niech mnie spróbują sami wyrzucić. – Machnęła ręką i wypila resztę wódki. – Nalej jeszcze!

– Możesz pić tyle alkoholu, jak się słabo czujesz? – zapytał z troską Marcin.

– Pierdolę to!

Tortak spojrział na Anitę i pokiwał głową.

– Wiecie co, dokończycie swoją opowieść po kacze z jabłkiem, którą nam właśnie niosą – zarządził, jakby wciąż był ich przełożonym, a oni jego podwładnymi.

Tak jak pierwsze, tak i drugie danie cała trójka jadła w milczeniu. Podświadczenie robili to szybko, jakby spiesząc się na ciąg dalszy historii. W końcu po kilkunastu minutach uporali się z głównym daniem. Marcin wyjął butelkę stojącą w wiaderku z lodem i nalał wódkę do kieliszków. Kelner, widząc, że skończyli drugie danie, podszedł i sprzątnął ze stołu zastawę i sztućce.

– No to teraz możemy z pełnymi żołądkami kontynuować. Co masz na deser, Marcin? Nie ukrywam, zaskoczyłeś mnie ostatnim stwierdzeniem, że to dotyczy również tej sprawy, przecież sprzed lat!

– Najpierw coś panu pokażę – odpowiedział Marcin i schylił się do stojącego obok niego plecaka S.O.C.

Wyjął z niego duży tablet i uruchomił go. Po odblokowaniu sprzętu najechał kursorem na folder ze zdjęciami. Wybrał najpierw to z Lidzbarka, z samochodem, który o mało go nie potrafił.

– Poznaje pan jednego albo drugiego? – Spojrzął na Tortaka, który pochylił się nad ekranem.

– Czekaj, wyjmę okulary.

Po chwili, już z okularami na nosie, ponownie nachylił się nad ekranem.

– Powiększ go.

– Tego kierowcę? Mam jeszcze ujęcie ze Świnoujścia, ale...

– Nie kierowcę – przerwał mu Tortak. – Tego starszego faceta obok. Tego pasażera.

Łodyna powiększył ujęcie i spojrzął na Tortaka. Ten w swoim stylu opuścił okulary niżej na nos, a potem popatrzył na Marcina i Anitę.

– Widzę po waszych minach, że nie wiecie, kto to jest. Marcin, ty też nie wiesz? Nie kojarzysz?! – zapytał.

– Twarz jakby znajoma, ale pan wie, tylu ludzi się poznało, spotkało. Nie bardzo pamiętam – odpowiedział.

Tortak wyprostował się na krześle. Tym razem on rozlał wódkę do kieliszków. Anita z Marcinem patrzyli na niego. Nawet się nie poruszyli.

– Napijcie się za spotkanie po latach... z nim. – Wskazał głową w kierunku zdjęcia. – To pułkownik Igor Klimow. Oficer, zapewne były już oficer, ale cholera ich tam wie, Pierwszego Głównego Zarządu KGB, a potem Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej.

Anita i Marcin popatrzyli na siebie, potem na Tortaka, potem na zdjęcie. Milczeli, a wyraz ich twarzy wskazywał na zdziwienie i niedowierzanie.

– No to co? – rzucił Tortak. – To napijmy się za spotkanie ze starym *razwiedzikiem* – powiedział. – To ten, który zlecił zamach na papieża Polaka. Ten, który ścigał naszego Chrobaka vel Kafera za to, że nie odpalił ładunków wybuchowych w kościele w Rzymie. Ten sam, kochani, ten sam. To bardzo dobry i inteligentny oficer. Niebezpieczny przeciwnik... Mimo swojego wieku.

Marcin i Anita wciąż jakby do końca nie rozumieli, co Tortak do nich mówi. Marcin nabrał powietrza w usta i wypuścił je powoli. Anita wyjęła z kieszeni paczuszkę jednorazowych chusteczek i jedną z nich wytarła czoło.

– Wypijcie, wypijcie, kochani. Według mnie Klimow ma już z siedemdziesiąt parę lat. Dobrze się trzyma, skurwiel. Widzę, że ja też muszę wziąć się za siebie.

Wszyscy troje, choć Anita i Marcin niczym w letargu, podnieśli kieliszki i wypili.

– Co jeszcze? Już ochłonąłeś, Marcin? Co tam masz? – zapytał z lekką ironią Tortak.

– Wiedziałem, że go skądś znam. Wtedy w Zakopanem widziałem go w hotelu Kasprowy przy barze. Jak go Chrobak vel Kafer urabiał. Potem szybko zniknął z Polski.

– Zniknął po aferze szpiegowskiej w dziewięćdziesiątym piątym. Pamiętacie? – przypomniał Tortak. – Podejrzewam poza tym, iż czuł, że chcemy go wystawić Amerykanom – dodał.

– Cholera! Że też go nie poznałem. Zaćmienie jakieś czy co?! – Kliknął na następne zdjęcie. – To jeszcze kolejna rzecz, do kompletu prawdopodobnie.

Na ekranie wyświetliła się fotografia pocztówki znalezionej w antykwariacie zamordowanego Artmana. Łodyna przeczytała na głos: „Serdecznie pozdrawiam. Woronow” i „Seszele. Dwa tysiące dziesiąty rok”.

– O kurwa, jeszcze jeden! Był w zespole razem z Klimowem. To nie przypadek!

– Tak, ten sam. I zgadzam się, panie Mieczysławie: nie przypadek. Dodam tylko, że Woronow został później zamordowany. Wychodzi, że jakoś niedługo po wysłaniu tej pocztówki. Przed śmiercią go torturowano. Według miejscowych śledczych chodziło o zwykły rabunek. Założyli, że zamieszana była w to jego dziewczyna, Kreolka, i że to ona to zorganizowała.

– Szukali jej, ale przepadła jak kamień w wodę. No i śledztwo utknęło w martwym punkcie – wtrąciła Anita.

– A według tych z MI6? – zapytał Tortak.

– To robota zawodowców. Tylko tyle – odpowiedział Marcin.

– Coś zginęło?

– Nie wiadomo. Sejf był w każdym razie pusty. Czysty. I tak jak mówiła Anita, tej dziewczyny nie znaleźli. Jakby rozplynęła się w powietrzu.

– Czyli było tam lub miało być coś, czego napastnicy szukali. I co musi być bardzo ważne nie tylko dla Rosjan, ale i dla Brytoli. Skoro Brytole poprosili ciebie o pomoc, a wiesz, że mamy umowy, że nie ruszamy się wzajemnie nawet po przejściu na emeryturę, to może iść o jedną tylko sprawę. Domyślasz się o co?

– Tak. Doszedłem do tego. Chodzi o dokumenty.

– Ale i te niemieckie z SD, i te, które mogły wyjechać z Woronowem na początku lat czterdziestych z moskiewskiej centrali wywiadu – stwierdził Tortak, a Łodyna pokiwał kilka razy głową. – Bo pomyślcie, czego innego by tak szukali?

– Klimow dużo dawał, żeby się dowiedzieć, gdzie się ukrył jego Andriej. Ale im się urwał, zgubili ślad. Na to wychodzi – uzupełnił jego słowa Marcin.

Tortak zaś po kilku sekundach zastanowienia dodał:

– No właśnie. Już wtedy, w połowie lat czterdziestych, Klimow tropił swojego byłego kolegę ze służby. Chodziło mu pewnie i o te dokumenty, i o artefakty, których sprzedaż, jak należy założyć, proponował różnym handlarzom na świecie, również temu w Berlinie. Tak na niego trafili po latach.

– To teraz przynajmniej wiemy, za co żył na tych Seszelach. No i, Marcin, być może jesteśmy ostatnimi Polakami, którzy go widzieli żywego – spuentowała sarkastycznie Anita.

Zapadło milczenie. Cała trójka wpatrywała się beznamiętnie w puste kieliszki. Marcin stuknął paznokciem w szkło, Tortak kręcił naczynkiem, Anita jeździła po swoim palcem.

– A wracając do tej pocztówki, tej z Seszeli – przerwał milczenie Tortak – ciekawa jest jej treść. Coś mi przypomina. Jest taka... jak by to powiedzieć, taka mocno hasłowa. Zapewne te słowa coś oznaczają. Ich układ. – Pokiwał głową.

– Zapewne. I na koniec, panie Mieczysławie, niech się pan teraz trzyma! Tortak popatrzył na byłego podwładnego ze zdziwieniem.

– Pod znaczkiem na tej widokówce, jedynie pod tym jednym, była... mikro-kropka.

– O cholera! Co ty mówisz?! – Tortak się ożywił. – Rozkuli to?

– Tak. Nawet ci z NSA pomagali.

– I co? Co tam było?

– Gamy, które nic nie mówiły. Przypadkowy dobór liter. Może to podwójny szyfr? Jakaś nakładka nie do złamania. Nie wiem. Oni też nie wiedzą.

– Nie, to nie to – odpowiedział Tortak. – Znów: to nie przypadek, Marcin. Mikro-kropka bez treści wielokrotnie szyfrowanej, bo tak to widzę, u antykwariusza w Berlinie na kartce od byłego oficera radzieckiego i rosyjskiego wywiadu ukrywającego się na Seszelach? To coś oznacza. Ale co? Myślę, że to właśnie może być kluczem do sprawy.

– Tak pan uważa? Możliwe... – Marcin na moment zawiesił głos. – Panie Mieczysławie, były jeszcze inne pocztówki. O, proszę! – Zaczął wyświetlać następne zdjęcia. – Ze Lwowa, z Krakowa, z Sztokholmu. I znowu ze Lwowa, jak widać po charakterze pisma, od tego samego nadawcy. Ale na tej ostatniej jest korespondencja po niemiecku i podpis. Facet z Ukrainy pisze coś o transakcjach i o jakichś nowych możliwościach: „Pozdrowienia. Schöne Grüsse. Andrij”.

– Czyli ten sam facet pisze w dwa tysiące pierwszym i dwa tysiące dziewiątym, ze Lwowa.

– Aha – rzucił krótko Marcin.

– I coś z tego wynika?

– Chodzi o to, że kiedyś spotkałem w czasie jednej operacji we Lwowie pewnego Andrija.

– To popularne imię. Wiesz, ilu takich Andrijów może być? – wtrąciła milcząca dotąd Anita.

– Wiem, już mi coś podobnego ci z MI6 powiedzieli – odpowiedział lekko podniesionym głosem. – Ale ten, którego spotkałem, był antykwariuszem i handlował dziełami sztuki. Miał kontakty z KGB, później z SWR. A potem...? A potem zamordowano go tak samo jak tego Artmana w Berlinie. Sądzę, że to nie przypadek.

– To jest to, Marcin! Poszedłbym tym tropem. Czyli Lwów. Takich przypadków to raczej nie ma. Mówię wam. Tak czuję.

– Czyli Sebastian – stwierdziła Anita, a Tortak popatrzył na nią pytającym wzrokiem. – Sebastian pracuje tam od niedawna w naszym Konsulacie Generalnym.

– A ja bym sprawdził też najpierw firmę budowlaną z Niemiec, której samochodem poruszał się Klimow z tym drugim. Czy ona ma w Polsce jakiś oddział? Czy coś robią? – zasugerował Marcin.

– Masz jak? – zapytał Tortak.

– Aha, kumpel, były funkcjonariusz CBŚP, pomoże. Ma firmę detektywistyczną i różne kontakty. Zajmuje się takimi sprawami. Wprowadzie trochę to będzie Brytoli kosztować. Ale nie ma czasu i przestrzeni na oszczędzanie.

– Dobra, Marcin, zamów następną połówkę – powiedział Tortak. – A my pomyślny, co może mieć wspólnego z tą sprawą twój były. – Anita przytaknęła i lekko się uśmiechnęła.

– Chyba raczej ma – rzucił, odchodząc, Marcin. – Rozmawiałem z kimś. Zaraz wam opowiem. Chciałem zostawić coś na deser.

Tortak i Anita spojrzeli na niego pytającym wzrokiem.

Rozdział 20

Warszawa – lato 2017

Łodyna poczuł w kieszeni drganie i po chwili usłyszał dźwięk smartfona. Wyjął go, spojrzął na wyświetlacz, przeczytał pod nosem: „Ryszard. Detektyw” i nacisnął na zieloną słuchawkę.

– Cześć, Marcin.

– Cześć, Rysiu. Pewnie masz coś dla mnie w ostatnim temacie?

– Mam. Lokalizację i dokładne miejsce. Nawet udało się ustalić, jak to załatwili i z kim.

– Na pewno? – zapytał Łodyna.

– No tak. Dawni koledzy z zarządu to ogarnęli, tam na miejscu. Mogę ci...

– Rysiu! Czekaj! – przerwał mu Łodyna. – Nie przez telefon. Jadę do ciebie. Będę najdalej za godzinę. Wszystko mi opowiesz.

– Okej.

– Wiesz, jak jest.

– Siema.

– Na razie. – Łodyna rozłączył się i zaraz wybrał numer innego kolegi. – Cześć, Horhe. Potrzebuję pilnie twojego wysłużonego land rovera.

– Na długo? – zapytał kolega.

– Najwyżej na kilka dni. Zostawię ci moją toyotę.

– A co, znudziła ci się?

– Nie. Po prostu... Nie mam wyjścia, Horhe. Jak wrócę, to ci opowiem.

– Dobra. Ale jestem jeszcze w domu na Karolinki. Wiesz, ten remont mi się przeciąga. Czekam.

– Dzięki. Jadę. – Rozłączył się i wybrał tym razem numer Anity.

– Anita?

– Tak?

– Posłuchaj, jedziemy dzisiaj w góry. Ale najpierw powiedz mi, jak mama? I jak ty się czujesz?

– Ja w miarę dobrze. Mama ma badania, stan na szczęście bez zmian. Zobaczymy. Lekarze są dobrej myśli.

– To się cieszę.

– Gdzie dokładnie jedziemy?

– Wszystko ci opowiem w samochodzie. Będę u ciebie, powiedzmy, za trzy godziny, o pierwszej. Starczy ci tyle czasu na przygotowanie się? O odpowiednim ubraniu, jak rozumiem, nie muszę ci przypominać?

– Nie musisz. Pamiętaj jednak, że nie wcześniej niż za trzy godziny.

– Jasne. Ale...

– Pa. Będę gotowa. Nie martw się – przerwała mu. – Idę teraz wysuszyć włosy.

* * *

Po około dwóch godzinach Łodyna mocno zdenerwowany wracał z biura detektywistycznego kolegi, który przekazał mu rezultaty szybkich, ale bardzo owocnych ustaleń. „Muszę napisać do Caroline, bo to wszystko dynamizuje nasze poszukiwania, i to znacznie. I, kurwa, skąd te jebane kacapy dowiedziały się, gdzie to jest ukryte. Kurwa, kurwa!” – przeklinał w myślach i uderzył kilka razy w kierownicę wysłużonego discovery. Po drodze, na Mokotowie, zamienił się samochodem z kolegą. Wiedział, że jego toyotę Rosjanie mogli namierzyć w Lidzbarku, a może nawet udało im się umieścić w niej lokalizator GPS. „Kurwa, dlaczego pomyślałem o tym dopiero teraz?! Teraz to ja już nie mam czasu tego sprawdzać” – szybko skonkludował.

Minął stadion Legii Warszawa. Zjeżdżając przed mostem Łazienkowskim na Wisłostradę, spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. „Może teraz napiszę do niej? W końcu to bardzo ważny sygnał. Będą mieli niezłą zagwozdkę. Mam jeszcze chwilę. Anita będzie się pieklić, że za wcześnie jestem” – pomyślał i przyhamował, skręcając na parking na wysokości Portu Czerniakowskiego i Płyty Desantu. Zatrzymał samochód. Wziął plecak ze sprzętem i poszedł w kierunku bulwaru wiślanego.

Mimo ciepłych dni pierwszej połowy września i ładnej południowej pogody ludzi nie było tu zbyt wielu. Usiadł na jednym z leżaków stojących przy barze. Wyjął laptop i zaczął pisać informację dla Caroline. Następnie sięgnął po tablet szyfrujący, połączył go z telefonem satelitarnym i wysłał wiadomość. Spojrzął na zegarek. Miał jeszcze dwadzieścia minut. Przymknął na chwilę powieki. Przelatywały mu przed oczami różne obrazy: martwa twarz pana Karola, zamazany wizerunek Klimowa i lubiącego się w koszulkach polo faceta z tatuażem rosyjskiego Specnazu na ramieniu. Powracały też migawki z przeszłości, z dzi-

kiej plaży na La Digue, z kolonialnej rezydencji w Constanti w Kapsztadzie, z Iraku, z gór Kurdystanu, z Bukaresztu, ze Lwowa, z Wenezueli czy w końcu z Wiednia i z Belo Horizonte. Jakby w tle słyszał głos swojej Ewy, która prosiła go, by w końcu z tym skończył. Żeby zajął się czymś, o czym kiedyś tyle mówił. Żeby realizował też inne plany, nie tylko te związane ze służbą w wywiadzie. Że powinien zamknąć definitywnie ten rozdział życia. Że to będzie lepsze i dla niego, dla jego zdrowia, i dla ich związku, no i dla dziecka. Łodyna poczuł przypływ zmęczenia i apatii. „Może ona ma rację, może w końcu trzeba odciąć się od przeszłości. Ale czy da się tak do końca? Jak? Co dalej robić w życiu? Czy moje plany będą na tyle atrakcyjne, żebym się nie nudził?” – rozważał, grzejąc się w promieniach słońca. Po kilku minutach wrócił do rzeczywistości.

– Kurwa – powiedział i otworzył oczy. – Nawet nie zdążyłem czegokolwiek przełknąć przez tych ruskich. Staniemy na żarcie po drodze – mruknął pod nosem, podniósł się z leżaka i skierował do samochodu.

* * *

– Jadłeś śniadanie? – zapytała Anita.

– Nie, nie zdążyłem – odpowiedział Łodyna wpatrzony w szosę. – Zatrzymamy się gdzieś przed Mszczonowem na stacji BP. Coś zjem i przy okazji dotankuję.

– Nie trzeba. Wzięłam ci kanapki. Takie jak lubisz. Z sałatą, żółtym serem, rzodkiewką, szynką konserwową i majonezem. Nawet zesłałam do sklepu po świeże kajzerki.

– O rany! Kochana z ciebie dziewczyna.

– Nawet twój ulubiony kefir z Krasnegostawu kupiłam. Aha, kanapki oczywiście ze świeżo i grubo mielonym pieprzem.

Łodyna uśmiechnął się do niej.

– Pamiętajtaś. Dziękuję. W takim razie zatrzymamy się dopiero za Częstochową, żeby rozprostować nogi.

– Trudno nie pamiętać waszych śniadaniowych marzeń ze stołówki w OKKW, kiedy razem z Sebastianem grzebaliście w przysmażonych rumuńskich kotlecikach czy gdy patrzyliście sceptycznie na tłustą kiełbasę z cebulą – roześmiała się. – Ale to były czasy!

– Aha.

– Czyli mówisz, że jedziemy do tej Pasterki. Góry Stołowe. – Marcin przytaknął. – Jako dziecko byłam w tej okolicy z rodzicami na wczasach. Gdzieś na obrzeżach Kudowy.

– Pięknie tam i tajemniczo. Nie dziwię się, że Niemcy wybrali tę okolicę na ukrycie swojego archiwum i tych wszystkich swoich skarbów.

– Marcin, to pewnie, że ta firma jest związana z Rosjanami?

– Podejrzewam, że to w ogóle jest firma przykrywkowa rosyjskiego wywiadu. Żadne „związana”. Pewnie podobne zainstalowały się w dużej liczbie w Niemczech przy tych gazowych inwestycjach – wyjaśnił jej Łodyna. – Jak chcesz, to sobie przeczytaj wszystko. Nawet ustaliłem, z kim załatwili ten deal, że w Pasterce koło kościoła mogą prowadzić jakieś prace ziemne i poszukiwawcze.

– Z kim?

– Jak to z kim? Tam obok jest nawet ośrodek wypoczynkowy Archidiecezji Wrocławskiej.

– Czyli z kurią we Wrocławiu?

– Oczywiście. Jak im powiedzieli, że jeszcze kasiora z tego będzie i że chodzi o wody termalne, to szybko dostali zgodę. Pewnie wyłożyli też gotówkę na biurko biskupa. Wiesz, jacy oni są pazerni w Kościele. I teraz ruscy mają dostęp do całego ich terenu.

– Ale jak Rosjanie doszli do tego, że tam jest coś ukryte? Przecież o tym wiedziało niewiele osób.

– No właśnie, Anita! Kurwa, od rana o tym myślę! A wiesz, co to znaczy?

– To znaczy, że jest przeciek!

– Właśnie! Jak mi kolega wymienił dzisiaj nazwę Pasterka, to mnie aż zmroziło i tak... – Marcin nagle przerwał. – Anita, powiedz mi, wspominałaś cokolwiek swojemu byłemu, cokolwiek, co można by...

– Marcin, pojechało cię? Co ty kombinujesz? Ja z nimi nie rozmawiam o takich sprawach!

– Smartfon masz wyłączony, jak prosiłem?

– Mam. Nie musisz mi o tym przypominać – zachnęła się Anita.

– Przepraszam. No bo jak się inaczej dowiedzieli?

– Nie ode mnie i nie od Tortaka.

– A może Tortakowi też zhakowali telefon tym nowym systemem, o którym opowiadali mi ci z MI6?

– Może. Ale jeśli tak, to byłoby to do zrobienia dopiero po spotkaniu. My przecież we trójkę mieliśmy wszystko wyłączone. Co niekoniecznie ratowało nas przed namierzeniem. Ten kurewski system tak podobno działa. Poza tym musieliby namierzyć nas z nim. Chociaż tak sobie myślę, że w sumie jest to możliwe. Przypomnij sobie te twoje i Sebastiana podejrzenia, że was obserwują. Ja niczego takiego nie zauważyłam.

– Ciebie nie musieli obserwować. Mieli informacje... bieżące.

– Marcin, co sugerujesz? Naprawdę tak jak Tortak myślisz, że mój były... że on dla nich pracuje? A może Rosjanie też... no nie wiem, jakoś ustalili to miejsce?

– Może, ale to mało prawdopodobne. Za duży zbieg okoliczności. Fakty są, jakie są. Będziemy się nad tym potem zastanawiać. Teraz już tylko czas się liczy. Z tego, co mój kolega ustalił, dopiero ogrodzili teren przed rozpoczęciem prac, ale zrobili to bardzo szybko. Widać, że się spieszą.

– Przecież potrzebne są jakieś zezwolenia, a to potrwa.

– Na ogrodzenie terenu, badanie georadarem, jakieś kopanie dziur w ziemi nie trzeba żadnych pozwoleń. Mogli jedynie wystąpić o nie w ramach legendowania. Nie muszą czekać. Wystarczy, że pokażą w kurii złożone dokumenty i potwierdzenie tego z Wydziału Geodezji. Zresztą jak się lokalne urzędaszy dowiedziały, że Kościół to popiera, to zaraz pewnie się obsrały i obyło się bez pytań.

– Masz jakiś plan?

– Tak. Gdzieś w Polanicy albo w Dusznikach zjemy obiad. Podobno są tam klimatyczne knajpki.

– Ale ja nie o jedzeniu, tylko o tym, co na miejscu.

– Wiem, gdzie mieszka ekipa. Dom wypoczynkowy czy teraz już pensjonat Szczelinka. W każdym razie nazwa pozostała bez zmian.

– A my gdzie będziemy mieszkać?

– My niedaleko. W niezwykle urokliwym schronisku w Pasterce, gdzie można zostawić swe serce – zaśmiał się.

– Słucham?

– Tam jest na polanie taki pomnik... pomnik pozostawionego serca. Zarezerwowałem pokój na piętrze. Dwa osobne łóżka. Wielkiego komfortu nie ma, ale damy radę. Dobrze, że się udało zaklepać to lokum... W wierzchniej kieszeni plecaka – Marcin wskazał głową na tylne siedzenie – jest wszystko, co kolega ustalił w sprawie tej firmy. Weź i poczytaj sobie. Są nawet jakieś skany dokumentów po niemiecku.

– Marcin, a poinformowałeś o przecieku tych, no, Brytoli?

– Tak! Przed przyjazdem do ciebie. Pewnie mają szczkę po tej wiadomości. Sprawdzę po dotarciu do Pasterki, co oni na to.

– A dużo kosztowały takie ustalenia? – zapytała, sięgając do plecaka na tylnym siedzeniu.

– W złotówkach jakieś pięć–siedem tysięcy.

Anita wyjęła zadrukowane kartki z informacjami od Ryszarda i zaczęła uważnie je studiować.

– Marcin... – powiedziała po kilku minutach czytania.

- Tak, słucham, co cię tam zaciekało?
- Zapomniałam cię spytać. Wtedy w Krakowie, jak mówiłeś o moim byłym...
- Tak?
- Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś?
- Że są pewne dowody na jego współpracę z wywiadem rosyjskim? – dopytał Marcin.
- No właśnie.
- Nie jestem tego taki pewien. Z jednej strony to trzyma się kupy, a z drugiej nie. Czasami sam nie wiem, co o tym myśleć. Może niepotrzebnie wam wtedy o tym mówiłem.
- Nie rozumiem.
- Posłuchaj, Sierpecka, jak z nią rozmawiałem, dała mi do zrozumienia, że są SMS-y, rozmowy i maile twojego byłego, które jednoznacznie świadczą o jego działalności... szpiegowskiej.
- No tak. Mówiłeś o tym w Krakowie.
- Ale to nie wszystko... Tak jak już wcześniej wspominałem, ci z MI6 twierdzą, że istnieją pewne nowe systemy inwigilujące, nazywane nawet bronią cybernetyczną, którą Rosjanie mogli kupić czy wykraść z Izraela albo Chin.
- Tak, pamiętam.
- Może nie zwróciłaś uwagi, ale to są takie systemy, które mogą nie tylko cię inwigilować, ale wszystko wgrać, wpisać w twój sprzęt. Mogą się pod ciebie podszyć. Czyli mogą zrobić wszystko, czego potrzebują do realizacji swojego celu. Rozumiesz?
- Jakoś w miarę. Ale to oznaczałoby, że mój...
- Że twój były jest wrabiany przez rosyjski wywiad. Że to są działania dezinformujące, odciągające nas od rzeczywistego ich agenta.
- Myślisz, że to możliwe?
- Technicznie tak. Ale to wcale nie musi być prawda. On może po prostu być ich agentem. Więc widzisz sama...
- A może mnie podejrzewasz? Czy podejrzewacie... Ty i ci z MI6?
- Marcin spojrział na koleżankę i pokręcił z dezaprobatą głową.

Rozdział 21

Góry Stołowe, Pasterka – lato 2017

Wyjechawszy z Kudowy-Zdroju, Marcin i Anita skierowali się do Karłowa. Zielony land rover discovery piął się szybko w górę. Robiła się szarówka. Droga zaczynała być coraz bardziej kręta. Reflektory samochodu rozjaśniały wąską szosę.

– Proszę, tylko nie pędź tak po tych zakrętach – rzuciła Anita. – Choć spacer w Parku Zdrojowym w Kudowie trochę mi pomógł, to po obiedzie w Dusznikach jestem wciąż jakaś pełna.

– Czyli nabrałaś sił w Dusznikach? Co? Jak, nie przymierzając, kiedyś Chopin – roześmiał się.

– Marcin, jestem ci wdzięczna za tę Kudowę. Taka podróż do lat dziecięcych. Park, Dom Zdrojowy, siarkowy zapach wody ze źródła, cisza, zwolniony rytm życia, spacerujący spokojnie ludzie, nikt nigdzie się nie spieszy... Takie obrazy Kudowy miałam w pamięci. Teraz one wróciły. Niesamowite uczucie. Że też od tamtego czasu nigdy tu nie przyjechałam. Dziwię się sobie. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Poza tym... dobrze się złożyło: wytraciliśmy czas. Lepiej wjechać do Pasterki po zmroku. Na wszelki wypadek.

Gdy przejechali Karłów, szosa zaczęła wić się jeszcze bardziej. Przejechali obok jednej, potem drugiej olbrzymiej skały, między które wciskała się nitka asfaltowej nawierzchni. Nie ulegało wątpliwości, że mijanie się samochodów na tym odcinku musi być wielce problematyczne i bez zjechania na pobocze w jakimś dogodnym miejscu właściwie niemożliwe. Na szczęście od Karłowa nikogo na drodze nie spotkali, co było zapewne związane z zakończonymi bez mała dwa tygodnie temu wakacjami. Pierwsze oznaki jesieni zaledwie delikatnie dawały znać o sobie. Było już prawie ciemno. Wysoki las pokrywający masyw Wielkiego Szczelińca nadawał temu miejscu szczególną atmosferę. Drzewa, strome stoki i skalne ostańce zbijały się w jedną, mroczną, czarno-zieloną ścianę po jednej stronie, a czeluść po drugiej.

– Tam gdzieś po prawej, na dole, jest ten Wasserfälle, czyli wodospad Pośny.

– Tak, zgadza się – odpowiedziała Anita porównująca wydruk z przedwojennej mapy oraz zdjęcia z zaznaczonymi miejscami ukrycia ze współczesną mapą Gór Stołowych. – Zimą to tu jest zupełnie inaczej. Poza tym wtedy, parędziesiąt lat temu, nie było tutaj tyle lasu – powiedziała i wyłączyła latarkę.

– No tak. Ale wciąż wszystko łatwo odszukać w terenie. Front tędy nie przechodził. Zniszczeń nie było.

– Wiesz, Marcin, że w tych okolicach do dzisiaj są stare oznaczenia szlaków i dróg. Na takich kamiennych słupkach. Pamiętam moje zdjęcie przy jednym z nich, jak byłam tu z rodzicami na wczasach – wspomniała Anita.

– Ostatnio narzekałaś na zdrowie. Jak się w tej chwili czujesz? – spytał Marcin i prawą ręką czule pogłaskał towarzyszkę po głowie.

– Dobrze. Dziękuję za troskę... Chyba zaraz będziemy na miejscu?

– Aha, teraz bądź czujna.

Wyjechali na jakąś polanę i zobaczyli pierwsze zabudowania wsi. Zwolnili.

– Spójrz, Anita! Po lewej najpierw ten ośrodek archidiecezji, zaraz obok, nieco wyżej, kościół, schowany trochę w drzewach. Poniżej jakieś pomniki czy grobowce.

– Nie zwalnij, Marcin. Za drzewami, z tyłu za kościołem jest chyba jakieś ogrodzenie i stoi za nim samochód ciężarowy. Nie widzę stąd dokładnie. Za ciemno!

– Tak. Zaraz po prawej będzie pensjonat, w którym mieli się zatrzymać ci z tej firmy niemieckiej. Jest! Są jakieś zaparkowane samochody od frontu. Patrz! – Kiwnął głową w prawo, wskazując na dwa volkswageny passaty i jednego transportera blaszaną.

– Wszystkie na niemieckich numerach rejestracyjnych. Nie mają żadnych oznaczeń firmowych. Jedź, nie zwalnij! – powiedziała lekko podekscytowanym głosem Anita.

– Nie zwalniam. Lukaj, może coś jeszcze zobaczysz.

Zielony land rover minął kolejne budynki. Po prawie trzystu metrach skręcił w prawo, w szutrowo-kamienistą drogę prowadzącą pod górę. Z lewej minęli kilka zaparkowanych samochodów na różnych rejestracjach polskich. Zatrzymali się.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Marcin, wyłączył silnik i wyszedł z samochodu.

Anita po chwili też zwinnie wyskoczyła z pojazdu i trzasnęła drzwiami. Stali oboje przed dużym domem, którego jasnozielony parter kontrastował z ciemnym drewnem pierwszego piętra i poddasza. Wysoki, spadzisty dach

z dużym wykuszem i białymi ramami okien dodawał schronisku niewątpliwego uroku. Przy kamiennych schodach prowadzących do budynku stało dwóch turystów popijających piwo. Rozmawiali z dwiema kobietami siedzącymi przy drewnianym stole o wrażeniach z całodziennej wycieczki w góry.

– Zobacz, jak tu cicho i pięknie. Tam – Marcin wskazał dłonią przed siebie – gdzie te światełka, to Szwajcarka, schronisko na Wielkim Szczelińcu.

– Wiesz co, wydaje mi się, że z tej polany będzie dobry widok przez lotnetkę na kościół i pensjonat – powiedziała Anita.

– Raczej z następnej. Z mapy wynika, że za tą jest taki... niewielki jar. Trzeba będzie podejść bliżej lasu. Ale zobaczymy na miejscu. I tak później trzeba okrążyć wieś i od tyłu podejść do kościoła. Tam, gdzie postawili to ogrodzenie. Chodź. Bierzymy bagaże, ogarniemy się, zrobimy jakieś piwo i działamy.

* * *

– Rozmawiałem trochę z dziewczynami z obsługi – powiedział półszepsem Marcin, stawiając dwie zimne butelki z piwem na drewnianym stole przed schroniskiem.

– No tak, jak zawsze na twojej drodze pojawiają się chętne do pomocy kobiety. A już się niepokoiłam, że cię tak długo nie ma. Siadaj. – Przesunęła czarny plecak S.O.C.

– One mówiły mi, że ta firma niemiecka w ramach dobrej współpracy z lokalną społecznością zobowiązała się poprawić drogę dojazdową do schroniska i wyremontować parking przy wodospadzie. Wiesz którym?

Dziewczyna przytaknęła głową.

– A skąd one się tak szybko o tym dowiedziały? Przecież tamci prowadzą tu prace zaledwie od kilku dni.

– Chłopak jednej z nich pracuje w parku narodowym. A o drodze sami im powiedzieli. Był tutaj jakiś facet mówiący dobrze po polsku. – Pociągnął spory łyk piwa.

– Czyli nie ma czasu. Jak się trochę uspokoi w schronisku...

– Nie uspokoi się, bo zaraz zaczyna się ognisko – wszedł jej w słowo Marcin. – Nawet mnie pytali, czy będziemy, bo można kupić u nich taczkę drewna i dorzucić się do składki. Po zastawionym obficie butelkami stole spodziewam się, że będzie wesoło.

– To może i dobrze. Nikt nie będzie się kręcić po drodze czy na polanie, bo będą zajęci.

– W sumie tak. Kończymy piwo i idziemy. Aha, dziewczyny zostawią dla nas w lodówce naleśniki z serem. Wyglądały na pyszne. Pewnie będziemy głodni, jak wrócimy.

Po kilkunastu minutach Marcin i Anita szli ścieżką prowadzącą na rozległą polanę.

– Spójrz! – Marcin wskazał na szarą, zakończoną owalnie kamienną płytę.

– „RIP. Serce pozostawione w Pasterce” – przeczytała Anita szeptem i uśmiechnęła się.

Szli w milczeniu, przedzierając się przez wysoką trawę mokrą od wieczornej rosy. Byli w najwyższym miejscu polany. Zaczęli schodzić, przemykając między drzewami. W odległości około stu metrów od siebie dostrzegli jakieś zabudowania kryte czerwoną dachówką. W końcu zatrzymali się.

– Tu będzie dobrze... Cholera, te stare drzewa przysłaniają mocno widok. Musimy zejść bliżej. Będziemy mieli wtedy obiekt bardziej po lewej – szepnął Marcin. – Za daleko na noktowizor. Spróbuj, może uda ci się mimo to coś wypatrzeć przez lornetkę, a ja zobaczę, co mi odpowiedzieli Brytole na ostatnie rewelacje o przecieku – dodał i schylił się do plecaka.

Po chwili uruchomił urządzenia do łączności. Była nowa wiadomość. Na ekranie tabletu pojawiła się informacja przesłana przez Caroline:

Zgadamy się z twoją oceną sytuacji. Też uważamy, że to przeciek. Nie ma wątpliwości, zwłaszcza po zastosowaniu dodatkowych środków bezpieczeństwa w zakresie łączności i komunikowania się. Według nas są dwie opcje. Jedną już u nas sprawdzamy, ale zajmie to trochę czasu, ponieważ rozszerzamy poszukiwania na naszych sojuszników. Ustalamy dokładną listę osób, które znają sprawę. Po twojej stronie zostaje tylko jedna możliwość. Sprawdź ją. To bardzo ważne. Czekam na wyniki działań. Informuj mnie na bieżąco. Powodzenia i uważajcie.

Uwaga. Nie wykluczamy również opcji ustalenia miejsc w sposób niezależny od naszych działań. Jednak oceniamy taką możliwość na niezwykle niską, związaną z nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności.

Caroline

– Co piszą? – zapytała Anita wpatrzona w zimne szkła lornetki.

– Że może to z twojej strony jest przeciek. Wiesz... Twój były – powiedział beznamyślnie Marcin, nie patrząc na koleżankę, rozłączając i chowając sprzęt do łączności.

– Czyli oni teraz już jednoznacznie tak uważają. A ty co myślisz?

– Na razie nic nie myślę. Przecież już dzisiaj o tym rozmawialiśmy. Jedno jest pewne: wyprzedzili nas. Są o krok przed nami... – zawiesił głos. – Zauważyłaś coś?

– Za kościołem nic nie zobaczyłam. Ogrodzenie, ta zaparkowana ciężarówka... Żadnego ruchu. Poza tym ciemno. Trzeba tam podejść z przeciwnej strony. Od skłonu. Za to w pensjonacie, w zasadzie na jego tyłach w ogrodzie, zauważyłam paru facetów. Spójrz sam. – Podała mu ciężką lornetkę w zielonej gumowej obudowie.

– Faktycznie. Trzeba jeszcze poobserwować. Zobaczymy, o której pójdą spać.

– Nie widać, żeby się zbierali. Siedzą i rozmawiają przy stole. Co chwila ktoś wstaje i gdzieś idzie. Ale nic ponadto.

– Poczekajmy – powiedział i przygniótłszy wcześniej trawę dłonią, rozłożył czarną karimatę. – Odpocznij i popatrz w gwiazdy. Jasna noc dzisiaj. Ja zostanę na posterunku z lornetką.

Po kilku minutach Anita, leżąc na plecach, szepnęła:

– Zawsze jak patrzę tak w gwiazdy, a zwłaszcza w górach, skąd widać ich więcej, zastanawiam się nad nieskończonością wszechświata.

– Ja pierdolę! – odpowiedział Marcin, nie odrywając wzroku od lornetki.

– No właśnie. Też bym tak to ujęła. Bo co człowiek może zrobić w zderzeniu z czymś takim jak...

– Anita, tam! Chodź, zobacz!

Na dźwięk tych słów poderwała się z ziemi i szybko podeszła do Marcina.

Rozdział 22

Góry Stołowe, Pasterka – lato 2017

Marcina i Anitę obudziły odgłosy kroków turystów schodzących na śniadanie albo już o poranku wyruszających w góry. Łodyna rozglądał się, jakby w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Bywało tak nieraz za granicą, iż budził się w hotelu i miał problem z lokalizacją. Niekiedy upływało kilka minut, zanim doszedł do siebie, a ściślej – uświadomił sobie, co to za miejsce. Czasem zdarzało mu się to w domu. Raz nawet nie poznał Ewy leżącej obok, tak że aż zapytał: „Kim pani jest? I co pani tu robi?”. Zapewne było to związane ze zmęczeniem, zmianą stref czasowych, adrenaliną w czasie realizacji działań wywiadowczych. Dzisiaj ów stan trwał zaledwie kilkanaście sekund.

Spojrzał na stolik między łózkami, na którym stały talerze po zjedzonych w środku nocy naleśnikach. Zerknął na zegarek. Było około dziewiątej. Położył się znowu i wyprostował.

– Nie śpisz już? – odezwała się Anita.

– Właśnie się obudziłem. Trudno dłużej spać, kiedy tupią i trzaskają drzwiami. Ale i tak czas już wstać. A tak w ogóle to dzień dobry – odpowiedział.

– Dzień dobry. Jak to w schronisku. Do tego zapach jajecznicy na kielbasie, przypalonego na kuchni mleka... Marcin. Zorganizujesz kawę? Ja w tym czasie ogarnęłabym się.

– Jasne. Byłaś wczoraj, właściwie dzisiaj, taka dzielna i spostrzegawcza, że nawet śniadanie zorganizuję ci do pokoju. – Przeciągnął się. – Jak wyjdiesz na korytarz do łazienki, to zamknij drzwi na klucz, proszę. A ja w tym czasie może się jeszcze czegoś dowiem od tych sympatycznych dziewczyn na dole.

Łodyna wstał, wciągnął na siebie krótkie spodenki i koszulkę. Wsunął na stopy japonki i poszedł na dół. Wrócił po dwudziestu minutach, zastając Anitę już po kąpieli, opasaną białym ręcznikiem, z drugim mniejszym zawiązanym na głowie, i robiącą makijaż.

– Proszę. Na kolację naleśniki, na śniadanie naleśniki. Tak ci smakowały, że... – Marcin zawiesił głos i spojrzął na koleżankę. – Ale się prezentujesz, jak kiedyś w hotelu w Rabacie. Ach... – dodał i postawił talerze. – Idę po obiecanej kawę.

Wkrótce był z powrotem w pokoju.

– Marcin? Czy jesteś pewien, że ten facet, którego widzieliśmy przy pensjonacie, to ten sam, który zrobił ci tajne przeszukanie w Świnoujściu i jechał z Klimowem w Lidzbarku? – zapytała, patrząc w lusterko i kończąc poprawiać tusz na rzęsach.

– Mówiłem ci. Ten sam *chrien*, który chciał mnie przejechać! Przecież jeszcze w nocy porównywałaś w laptopie zdjęcia z hotelu i monitoringu miejscowego. Skąd teraz nagle takie wątpliwości?

– Nie, nie wątpliwości. Musimy być pewni, prawda? Może powinniśmy się wstrzymać? Dłużej ich poobserwować? – Odstawiła lusterko i zdjęła ręcznik z głowy. – No, skończyłam – powiedziała i zabrała się do jedzenia naleśników.

– Niestety, nie mamy na to czasu. Teraz się liczy każdy dzień. Skoro jeszcze tu są, to znaczy, że niczego nie znaleźli. Myślę, że do penetracji miejsca przy wodospadzie nie zdążyli się jeszcze zabrać. Mam nadzieję...

– Skąd wiesz?

– Bo tak czuję! Czemu zrobiła się z ciebie taka hamulcowa?

– Chyba po prostu bardzo mi się tutaj podoba. Mogłabym posiedzieć sobie przy tym stole z piwem, pochodzić po górach, popatrzeć wieczorami w ognisko... – Wzięła do ust pierwszy kąsek.

– Rozumiem cię, ale nie po to tu przyjechaliśmy. Mamy załatwić sprawę z tymi ruskimi, to chyba oczywiste? O właśnie! Dziewczyny powiedziały mi, że są tam między nimi dwaj Polacy, ale mówiący z wyraźnym, wschodnim akcentem. Przypuszczają, że to pewnie robotnicy z Ukrainy. Pozostali mówią tylko po niemiecku.

– Dużo wiedzą jak na kilka dni działań tej firmy.

– Anita, nie bądź znowu taka podejrzliwa. Nie wiesz, jak to jest? Obcy we wsi to zawsze... sensacja. Tutaj przecież każdy każdego zna. Wszyscy się wszystkim interesują. Bo co mają innego do roboty? – tłumaczył. – Chyba nie jesteś o nie zazdrosna? Jesteś! – roześmiał się, a dziewczyna popukała się palcem w głowę.

– Jakie mamy plany? – zapytała i stanęła w otwartym oknie.

Zaczęła poprawiać mokre, posplatane włosy. Parę razy przeczesła je dłonią, parę razy odrzuciła do tyłu. Marcin obserwował, jak przebijają się przez nie promienie słońca. Na tle widoku gór tworzyło to wyjątkowo piękny obraz.

– Na razie odpoczywamy. Kiedy ludzie już wyjdą i przewali się ten poranny ruch, no i kiedy w końcu wysuszysz włosy... – znów się zaśmiał – ruszymy niebieskim szlakiem. Obejdziemy od góry kościół i przyjrzymy się dokładnie, czy już grzebią w ziemi. W nocy nic nie zobaczyliśmy. Może będą coś robić teraz? W końcu w jakimś celu ta ciężarówka z plandeką tam stoi.

– A pensjonat? A może do kościoła zajdziemy?

– Pensjonat, hmm... O nim za wiele nie wiemy. Ale mam pomysł: ty wrócisz przez wieś, ja pójdę z powrotem tym samym szlakiem górą. Pokręcisz się tam trochę, tylko nie za długo. Może coś zauważysz. Coś, co może nas zainteresować... Aha. Ustal rozkład pomieszczeń w pensjonacie. Musisz improwizować. Nic teraz nie wymyślimy i nic ci nie podpowiem.

* * *

Siedząc przy drewnianym stole na wolnym powietrzu, Łodyna spoglądał niecierpliwie na zegarek. „Powinna już być. Smartfon na pewno ma wyłączony, więc tą drogą niczego się nie dowiem. I dobrze. Oni mogą przecież używać jakiegoś skanera”. Znowu zerknął na zegarek. „Cholera, może coś jej się stało?” Przez głowę przelatywały mu różne myśli. Z jednej strony martwił się o Anitę, a z drugiej cały czas powracały pytania o przeciek. Kto się za tym kryje? Kto pracuje dla Rosjan? Od powrotu do schroniska zaliczył już dwa piwa, a wzrok miał cały czas utkwiony w drogę prowadzącą od strony wsi. Trzecie piwo stało jeszcze nienaruszone. Jakby czekało na Anitę. Wiedział, że nie może iść jej szukać. Po zmroku mieli znowu ruszyć. „Warto, żeby przed tym trochę odpoczęła. Przecież ostatnio słabiej się czuła”. Popatrzył na stojący obok niego na ławie plecak. Godzinę wcześniej wysłał informację do Caroline. „Kurwa. Oni chyba tam w Londynie też się denerwują. Pewnie czekają jak na szpilkach”. Kolejny raz nerwowo zerknął na zegarek. Dochodziła siedemnasta. W końcu zauważył Anitę, która poklepując jakiegoś psa, szła powoli pod górę. „Skąd ona wystraszyła tego psa? Niezły kamuflaż” – uśmiechnął się w myślach. Po kilku minutach dziewczyna usiadła obok niego.

– Już się niepokoiłem. Zmęczona?

– Trochę. Brakuje mi chyba kondycji...

– Co to za kundel? – Wskazał głową czarnego kudłatego psa z białym pyskiem, krawatem i brązowymi łapami.

– To żaden kundel – obruszyła się. – To berneński pies pasterski. Miejscowy. Oprowadza turystów po okolicy. W pensjonacie mówili, że jest z pobliskiej owczarni i że co jakiś czas ucieka na dłuższe szlajanie. Potem go szukają i zazwyczaj tutaj go odnajdują.

Łodyna jeszcze raz spojrzął na psa i też go poklepał.

– Ustaliłaś coś?

– Tak. Zamówisz mi piwo?

– Weź moje. Wychodzi na to, że czekało na ciebie. – Odkapslował butelkę.

– Zamieniam się w słuch.

– Pamiętasz ten transporter wczoraj przed pensjonatem? – spytała. Łodyna kiwnął głową. – Widziałam, jak wnosili z niego jakieś skrzynie do budynku.

– Skrzynie?

– No właśnie. Wyglądały tak, jakby byli raczej ekipą filmową niż zwykłymi robotnikami od prac ziemnych. Wiesz: duże plastikowe paki, niektóre aluminiowe z zamkami. Mieli też ze sobą ubrudzone szpadle. I jak tam stałam, rozmawiając z właścicielem o tym psie – Anita poczochnała po głowie swego czworonożnego kolegę, który cały czas leżał koło ich stołu – to... nie słyszałam w ogóle, żeby ci robotnicy ze sobą rozmawiali lub choćby wymieniali jakieś krótkie uwagi. Wyglądali na dość zgraną ekipę działającą według ściśle ustalonego planu.

– Ciekawe obserwacje.

– I oczywiście był tam ten twój koleś w koszulce polo. Poznałam go. Mówi dość dobrze po polsku, choć ma wyraźny, charakterystyczny akcent. Jak na moje oko to wschodnia Ukraina, pogranicze z Rosją, czyli jakiś... Donbas? Aha, mieli dwie torby, takie na ramię, na duże laptopy.

– A co z terenem za kościołem? Coś zauważyłaś teraz po południu? – pytał dalej Marcin.

– Gdy w nocy z góry patrzyliśmy na ten teren i dzisiaj w południe, to za ogrodzeniem niczego jeszcze nie było. A teraz jest tam sporo niewielkich wykopów, jak, nie przymierzając, w Bieszczadach po akcjach poszukiwaczy z wykrywaczami metalu. Dużo rozgrzebanej ziemi.

– Czyli szukali albo wciąż szukają. A może już znaleźli i się zwijają? Szybko. Musielibyśmy się z nimi dzisiaj dosłownie minąć – snuł hipotezy Łodyna.

– Może. Choć zachowywali się tak, jakby się w ogóle nie spieszyli. Zanieśli wszystko na górę. Potem przebrali się w klapki, krótkie spodenki. Pełny relaks. Ten w koszulce polo niósł z bagażnika z passata karton wódki. Pewnie do ogrodu – relacjonowała.

– Nie widziałaś Klimowa?

– Nie. Chyba go tam nie ma. Nie zauważyłam nikogo w takim wieku. Aha, i drugiego passata też nie było, a wcześniej, jak razem obserwowaliśmy teren w południe, jeszcze był.

– Super. Pożegnaj się teraz ze swoim nowym czworonożnym kolegą. Musimy odpocząć przed robotą.

Już na schodach schroniska Marcin zapytał:

– A rozkład pokoi znasz? Gdzie oni mieszkają?

– Tak. Właściciel był bardzo miły. Oprowadził mnie nawet po budynku. Wynajęłam pokój obok tego, gdzie prawdopodobnie trzymają skrzynie. Jego okna wychodzą na tyły posesji.

– A ty?

– Co ja?

– Czy byłaś tak samo miła jak wtedy dla tego recepcjonisty w hotelu w Rabacie? Ile to już lat?

– Golden Tulip Farah... Dwadzieścia dwa lata, Marcin. Dwadzieścia dwa – powtórzyła.

– Wtedy dałaś popis kobiecego uroku... Chodźmy, opowiesz mi o pensjonacie i wszystko narysujesz, bo zaraz tam jedziesz, jak rozumiem.

– Tak. Skoro wynajęłam pokój...

– Będziesz miała ze... dwie i pół godziny na rozpoznanie na miejscu. Za moment zniosę plecaki. Twój wrzucę do bagażnika, niech tam na wszelki wypadek będzie. A właśnie, właściciel nie był zdziwiony, że się stąd przenosisz?

– Nie. Mówiłam mu, że jest tu z rana straszny hałas i nie mogłam się wyspać. Poza tym narzekałam na kolejkę do łazienki, na niewygody. Takie tam babskie gadanie.

– Są jacyś inni goście?

– Tak, kilkoro. Polacy i Czesi. Ale jak się zorientowałam, to turyści, którzy rano ruszają na szlak. Więc zapewne wcześniej położą się spać.

* * *

Było po dwudziestej pierwszej. Niebo zasnuło się chmurami, a Góry Stołowe pogrążyły się w ciemności nocy. W ogrodach pensjonatu przy ognisku trwała biesiada. „Trochę dziwna, zbyt cicha. Przy takiej ilości lejącej się wódki” – myślał Łodyna obserwujący przez lornetkę teren.

– Faktycznie zdyscyplinowana ekipa... Czas na mnie – mruknął pod nosem do siebie.

W tym momencie Marcin przypomniał sobie realizowaną kilka lat wcześniej z CIA operację w Wenezueli. „Zupełnie jak kiedyś na Margaricie z Sierpecką, kiedy wchodziliśmy do nadmorskiej rezydencji w La Asunción, do tej dziupli rosyjskiego wywiadu. I ten cholerny Janek, który miał na imię Walerij i nie był

z Estonii, tylko z Moskwy. Pieprzony *komandir*. Alebyśmy się wtedy wpięprzyli. Prawie nas nakryli”.

Jak wczoraj, szedł po mokrej od wieczornej rosy łące. Szybko zbliżał się do pensjonatu. Był już blisko. Przykucnął, wyjął noktowizor i zaczął lustrować otoczenie. Spojrzał jeszcze na lekko uchylone okno pokoju Anity i po chwili ruszył dalej.

* * *

– To ty! O rany, ale się przestraszyłam – powiedziała do Łodyny Anita wracająca z toalety do pokoju.

– A kto inny wchodziłby do ciebie w ten sposób? – odpowiedział nieco zziązany Marcin, przekręcając klamkę w oknie, którym właśnie dostał się do środka. – Ustaliłaś coś więcej?

– Tak. Sprzęt trzymają tu obok, w pokoju. W sumie niedawno zaczęli imprezę, więc mamy trochę czasu. Niekiedy chodzą po pensjonacie, ale do pokoju ze sprzętem nie zagląдают. Wykręciłam żarówkę na korytarzu. Tak jak przypuszczałam, inni goście są już w łóżkach. W ich pokojach panuje cisza, czasem tylko dochodzi stamtąd chrapanie. Podśluchiwałam pod drzwiami.

– Dobra, to bierzemy się do roboty. Nie ma czasu – powiedział i zaczął rozpinąć suwaki w plecaku. – Zanim wszystko wyjmę, upewnij się, jak tam... impreza – dodał i sprawdził w kaburze swój rewolwer.

– Jasne. – Anita wyszła z pokoju.

Po kilku minutach była z powrotem.

– I co?

– Bez zmian. Siedzą, coś szepczą. Piją wódkę, jedzą mięso z grilla. Na parkingu dwa samochody. Ta blaszanka i passat. Akumulatory w moim aparacie naładowane. Możemy iść. – Poklepała się po kieszeni bluzy.

Marcin wrzucił na ramiona plecak i po cichu opuścili pokój. Po chwili Łodyna kucnął przed drzwiami pomieszczenia ze sprzętem i włożył do zamka łamak. Mocno go przekręcił. Zamek puścił. Weszli do środka. Włączyli latarki. Zimne snopy światła omiotły czarne, plastikowe skrzynie. Marcin otworzył jedną z nich, potem drugą.

– Poznajesz? – szepnął do Anity.

– Tak. Podobne do tych, z którymi po Bieszczadach chodzą poszukiwacze wszelkiego złomu ukrytego w ziemi.

– Aha.

Nagle z podwórka, prawie pod oknem pokoju, w którym byli dobiegł ich dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu. Spojrzeli na siebie, ale nic oprócz

tego nie usłyszeli. Wrócili do przeszukiwania magazynu.

– A tutaj? – Otworzył największą ze skrzyń z aluminiowym okuciem. – Hmm... To chyba georadar.

– Zobacz, na stoliku leżą jakieś dokumenty – szepnęła Anita i zaczęła je przeglądać. – Po niemiecku. Stare, przedwojenne, ale i jakieś współczesne. Chyba z czasów NRD. Jakieś mapy, plany. Jest też coś po rosyjsku i po ukraińsku. Zaraz zrobię zdjęcia, tylko jeszcze się rozejrzę.

Łodyna chciał otwierać następną skrzynię, kiedy Anita tym razem głośno szepnęła:

– Marcin! Patrz tutaj!

Zaczęła przesuwac światłem z latarki po dużych zdjęciach przyklejonych do ściany, z naniesionymi symbolami, kółkami, strzałkami.

– O kurwa, to zdjęcia, to znaczy powiększenia zdjęć, które dostałem od Brytoli. Ale... – zawiesił głos ze zdziwienia.

Oboje popatrzyli na siebie i w tym momencie usłyszeli, jak ktoś próbuje włożyć klucz do zamka, a następnie naciska na klamkę drzwi. Zgasili latarki. Anita schowała się za skrzynie ustawione jedna na drugiej. Marcin odskoczył w narożnik pokoju.

Do środka wszedł starszy mężczyzna. Nie mieli wątpliwości, kto to jest. Niespodziewany gość chciał włączyć światło i w tym momencie Łodyna ruszył do niego z niewielkim, czarnym rewolwerem w dłoni. Obalił go na podłogę. Ten próbował się szarpać i krzyczeć. Ale Łodyna natychmiast usiadł na nim, zakrył mu usta dłonią w rękawiczce i przyłożył lufę rewolweru do głowy.

– Klimow, nawet nie drgnij! – rzucił.

Mężczyzna patrzył na niego przerażony.

– Zaklej mu japę taśmą. Nogi i dłonie też – rzucił do Anity.

Ta szybko rozwinęła kawałek szarej power tape i zakleiła Rosjaninowi usta, a potem skrępowała nogi w kostkach i dłonie w przegubach.

– No i co, Klimow? Znowu się spotykamy. Ty pewnie mnie nie pamiętasz, ale ja ciebie owszem. Widzieliśmy się już kiedyś w Zakopanem. A teraz niedawno chciałeś mnie przejechać, ty ruski złamasie – powiedział i złapał go mocno za siwe włosy. – I otruliście tego biedaka w Lidzbarku, wy gnoje.

– Marcin, zaraz może ktoś przyjść! – wtrąciła Anita.

– Rób zdjęcia dokumentom. I tym fotografiom na ścianie też! Weź jego okulary. – Wskazał na leżące obok drzwi szkła optyczne w metalowych oprawkach. – Biorę go do nas. Albo nam coś powie, albo...

– Co ty chcesz z nim zrobić?! Chyba nie chcesz go...

– A jak myślisz? Masz pięć minut. Pospiesz się. Sfotografuj wszystko! Słyszysz?! Wszystko. Nie wiadomo, co nam się przyda – nakazał koleżance.

Anita zaczęła w pośpiechu, ale metodycznie wykonywać zdjęcia wszystkiemu na ścianie, dokumentom na stole, skrzyniom.

– A ty, *razwiedzczik, nu, wstawaj*. Idziemy – zwrócił się do Klimowa i pomógł mu się podnieść.

Spod taśmy słyhać było jakieś niezrozumiałe dźwięki wydawane przez przerażonego mężczyznę. Klimow, podskakując, zbliżył się do drzwi. Łodyna otworzył je. Na ciemnym korytarzu nie było nikogo. Panowała cisza. Wziął Klimowa pod ramię i pomógł mu doskoczyć do drzwi ich pokoju. Otworzył je i popchnął mocno mężczyznę do przodu. Ten, broniąc się przed upadkiem na twarz, przekreślił się i przewrócił się na ramię. Jęknął.

– To teraz powiesz mi, *towariszcz pułkownik*, czego tam za kościołem szukacie? I przy wodospadzie też. Tylko żadnych krzyków, jeśli ci życie miłe.

Powolnym ruchem odkleił usta mężczyźnie, a ten łapczywie zaczerpnął powietrza.

– Chyba mnie z kimś mylisz. Jestem obywatelem Federacji Rosyjskiej. Pracuję dla niemieckiej firmy prowadzącej wiercenia w... – Nie dokończył, bo Łodyna przycisnęła mocno wylot krótkiej lufy rewolweru do policzka mężczyzny.

– Co ty mi tu pierdolisz, Klimow? Ja nie jestem z kontrwywiadu, a ty nie jesteś żaden budowlaniec. Zrozumiałeś?

– Złożę skargę na ciebie do naszej ambasady... – Mężczyzna przerwał, bo Łodyna tym razem włożył mu lufę broni do ust.

– Słuchaj. Mam w dupie twoją ambasadę, umowy, konwencje dyplomatyczne i co tam jeszcze chcesz. Klimow, kurwa, albo mówisz, albo twój mózg zabrudzi tę piękną podłogę.

– To napad. Zgłośzę na policję. Złapią cię i będziesz siedział – bełkotał więzień.

– Klimow. Nie doceniasz mnie. Jak będziesz mógł cokolwiek zgłosić z moźgiem na zewnątrz twojej głowy? Mam śrut w nabojach, więc ciężko będzie namierzyć tę broń. Zatem...

Do pokoju weszła Anita.

– Masz wszystko?

– Mam. – Spojrzała na Klimowa i Marcina. – Co ty mu robisz? Powaliło cię? To starszy człowiek.

– Anita, kurwa, ten starszy człowiek otruł niedawno innego starszego człowieka... – przypomniał, ale wyjął lufę rewolweru z ust Rosjanina.

– To nie ja zabiłem, nie było takiego polecenia. Czasami nadgorliwość... Poza tym nie ja wydaję tu rozkazy.

– A to jednak się nie pomyliłem, Klimow. – Łodyna uśmiechnął się sarkastycznie. – Wiesz co? Pierdolisz, bo chcesz się ratować. Nie kupuję tego. – Znowu przycisnął mocno wylot lufy do policzka Klimowa.

– Marcin, przestań! Proszę!

– Co „przestań”! Co „przestań”! Przecież...

Nie skończył. Anita przewróciła się na podłogę, upadając obok Klimowa.

– Anita! Anita, co ci jest?! – krzyknął Marcin, schował broń, chwycił leżącą za ramiona i zaczął nią potrząsać.

– Straciła przytomność. Rozwiąż mi ręce! Mam przeszkolenie medyczne. U nas to było obowiązkowe dla każdego... – Klimow zrobił pauzę i popatrzył na przestraszonego, bezsilnego Łodynę. – Dla każdego oficera – dokończył.

Łodyna wyjął szczyryk Spyderco, przeciął taśmę na rękach i nogach Rosjanina. Potem wyjął z bluzy Anity jego okulary i podał mu. Klimow założył je i nachylił się nad kobietą. Przyłożył palce do skroni, potem chwycił przegub jej dłoni.

– Oddycha. Szybkie tętno, ale słabo wyczuwalne. – Jeszcze raz przyłożył palce do skroni.

Zdenerwowany Łodyna obserwował Klimowa, celując jednocześnie w jego głowę.

– Co to oznacza?

– Może krwotok wewnętrzny? Nie wiem dokładnie. Na pewno stres i wysiłek miały na to wpływ. Ale źrenice reagują – odpowiedział, podnosząc palcami powieki Anity. – Posłuchaj. – Popatrzył na Łodynę. – Mam w tamtym pokoju apteczkę i ciśnieniomierz. W czerwonej torbie w szafie. Idź, zostanie przy niej. Policzę dokładnie tętno. No idź!

Marcin opuścił broń, schował ją za pasek i pobiegł do pokoju. Po kilkudziesięciu sekundach był z powrotem. Podał Rosjaninowi czerwoną torbę. Ten wyjął ciśnieniomierz i założył opaskę na ramię Anity. Brzęczenie spowodowane napełnianiem powietrzem opaski wydawało się Łodynie nieskończenie długie. W końcu ustało i powietrze powoli zaczęło uchodzić. Po chwili rozległ się jakiś dźwięk.

– Niedobrze. Osiemdziesiąt na czterdzieści. Tętno prawie sto dwadzieścia. Musisz ją natychmiast zawieźć do szpitala. Ten land rover to wasz? – Łodyna kiwnął głową. – Zrobią jej morfologię. Pamiętaj, jeśli hemoglobina poniżej sześciu, to...

– To co?

– To poziom alarmowy. Lekarz ci powie. Muszą jej natychmiast zrobić przetaczanie krwi i diagnostykę niedokrwistości. Jedź, nie ma czasu. Pomogę ci.

Łodyna jakby się zawahał, ale rzucił do Klimowa:

– Chodźmy.

Wziął Anitę na ręce. Po kilku minutach Klimow i Łodyna kładli kobietę na tylnym siedzeniu samochodu.

– Dlaczego mi pomagasz, Klimow?

– Dlaczego? – Wzruszył ramionami. – Może dlatego, że słyszałem o tobie od kolegów, a może przez... zawodową solidarność? Poza tym ja już i tak mam pewne rzeczy w dupie.

Łodyna, kładąc zwiniętą bluzę pod głowę koleżanki, spojrział na Klimowa pytającym wzrokiem.

– Co? Dziwisz się, że w starym *razwiedzniku* pozostały jakieś ludzkie odruchy... No to, żebyś się jeszcze bardziej dziwił, coś ci zdradzę. Nic tu nie znajdziecie. My też nie znaleźliśmy. Schowki są puste. Nul, zero.

– Jak to puste?!

– Znaleźliśmy tam tylko jakieś pozostałości po Niemcach: zakonserwowane pistolety maszynowe, trochę amunicji do nich, egzemplarze „Schlesische Tageszeitung” ze stycznia czterdziestego piątego, spory zapas konserw, parę skrzynek alkoholu, chyba z miejscowej gorzelni w Wünschelburg, po polsku... Radków. Jakby ktoś zaraz po wojnie tam zaglądał, tobyśmy teraz tego nie znaleźli – stwierdził. – Możesz nie wierzyć. Twoja sprawa, ale pierdol te medale. Zajmij się koleżanką, czy... kochanką. *Wsio ryba*.

– Jakże medale? Medaliony chyba?

– Jedź już! Nie ma czasu!

* * *

Pikanie aparatury na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu w Kłodzku miarowo pobrzmiwało w sterylnym pomieszczeniu. Na szczęście po przeprowadzonej w ostatniej chwili transfuzji Anita wracała do siebie. Łodyna siedział przy jej łóżku. Nie chciał od niej odejść, choć kilkakrotnie go o to proszono. Wyniki i diagnoza lekarza dyżurnego sugerowały, że jej obecny stan spowodowany jest chorobą nowotworową. Wszystko wskazywało na raka jelita grubego, konieczne jednak były natychmiastowe, specjalistyczne badania.

Po tej przerażającej diagnozie Łodyna w nocy zatelefonował do swojego kolegi Radka ze szpitala przy Wawelskiej w Warszawie. Ten z opisu potwierdził przypuszczenia kłodzkich lekarzy. Cudem udało mu się załatwić już na rano transport medyczny do stolicy. Teraz zostawało mu tylko czekać. „Kurwa. Wyszło na to, że ten jebany Klimow miał rację. Co za przewrotność losu. I to on właśnie uratował jej życie. W takiej sytuacji” – powtarzał kolejny raz w myślach Łodyna.

– Marcin! – usłyszał nagle zmęczony głos koleżanki, który przerwał jego rozważania.

– Tak, Anita.

– Co się stało? Zasłabłam? – zapytała.

– Tak... Ale jesteś już bezpieczna.

– Gdzie ja jestem?

– W szpitalu. W Kłodzku.

– Ale jak ja się tu znalazłam? Pamiętam tylko, że przesłuchiwałeś tego... Klimowa. I nagle wszystko mi się urwało.

– Bo straciłaś przytomność, Anita. Dlaczego mi nic nie mówiłaś, że możesz być chora, wtedy, kiedy pytałem, jak się czujesz?

– Nie miałam pewności. To były tylko podejrzenia. Wyniki badań wydawały się wprawdzie niepokojące, ale chciałam ci pomóc.

– Rozmawiałem z moim kolegą, który jest lekarzem, mówiłem ci o nim niedawno... – przerwał.

Anita zaczęła ciężko oddychać.

– Niech pan już pójdzie. Bardzo proszę. Ona musi teraz odpoczywać. Rano zabiorą ją do Warszawy. Telefonowali już do nas – usłyszał za plecami głos pielęgniarki.

– Marcin. – Szept Anity dotarł do niego, kiedy wstawał z fotela.

– Tak, Anita.

– Czy w kieszeni bluzy miałam aparat?

– O czym ty mówisz, Anita?

– Czy miałam? Odpowiedz mi. I co z Klimowem? – zapytała, przysmykając oczy.

– Puściłem go wolno, pomógł mi ciebie uratować. Aparatu nie miałaś. Zupełnie o nim zapomniałem. Teraz to nie ma znaczenia.

– Marcin, Klimow go zapieprzył. Tam były dowody na to, że... – Zamilkła, jakby jej zabrakło sił. – Wracaj po niego. On w chuja cię zrobił, mówię ci. Wracaj.

– Razem wrócimy, jak dojdiesz do siebie. Klimow nie ucieknie. Pieprzyć go – odpowiedział, tymczasem Anita znowu opuściła powieki i wydawało mu się, jakby zasypiała.

– Panie Marcinie, proszę... – usłyszał znowu za sobą miły głos pielęgniarki.

Wstał i wyszedł na korytarz. Czuł zamęt. Ale wiedział, że musi wziąć się w garść i jak najszybciej wracać do Warszawy. Skierował się do wyjścia. W pierwszym odruchu chciał napisać informację dla Caroline, ale zrezygnował. Podszedł do land rovera, odpalił silnik i ruszył. „Muszę sobie to wszystko poukładać w głowie. Oni nic nie mają, my nic nie mamy. To kto ma? Potomko-

wie Eryka i Krausego kłamali? Jeden i drugi? Nie, nie kłamali. Przecież oba schowki istniały. I ktoś je opróżnił. Ktoś, kogo nie interesowała broń, amunicja ani inne rzeczy mające jakąś wartość, szczególnie po wojnie. Zabrał tylko dokumenty i skarb. Czyli wiedział, czego tam szukać. I po latach to wypłynęło, również w kontekście współczesnych radzieckich czy rosyjskich dokumentów” – rozmyślał, kierując się szosą do Złotego Stoku i dalej na Nyse.

Zaczął się robić coraz jaśniej.

Rozdział 23

Lublin – lato 2017

– Pachnie nowością. Ale mam szczęście w tym roku. Znowu jestem w takim obiekcie, który dopiero co uruchomili – stwierdził Łodyna, stojąc w oknie czwartego piętra hotelu Hampton by Hilton. – Powiedz mi, Caroline, dlaczego akurat tutaj, w Lublinie?

– Z trzech powodów. Po pierwsze, masz po drodze. Po drugie, zbieg okoliczności...

– Jakich okoliczności?

– Isabelle, moja siostra, jest jednym z dyrektorów do spraw rozwoju w Hilton Worldwide. Co jakiś czas robią inspekcję swoich obiektów w formule *inco-gnito*. A ja przyjechałam z nią jako osoba towarzysząca, tak dla niepoznaki.

– Nie wierzę! To ona tu jest?! – zapytał zdziwiony Łodyna.

– Tak. To jest ta niespodzianka, o której ci napisałam. Zresztą jak skończy obchód po salach konferencyjnych i restauracji, zje z nami kolację. – Spojrzała na zegarek. – Czyli tak za godzinę, około dwudziestej. Aha. Isabelle ma dla ciebie pozdrowienia od Winnickich z Brazylii, list od Philippe’a i coś jeszcze.

– Naprawdę? – Łodyna odwrócił się, przestając obserwować samochody zjeżdżające po łuku szerokiej ulicy i hamujące przed skrzyżowaniem z aleją Solidarności.

– Naprawdę.

– A po trzecie? – zapytał, choć jego myśli krążyły cały czas wokół Anity i niedawnych wydarzeń.

– A po trzecie... – zaczęła. – Lepiej, żebyśmy nie spotykali się w Warszawie, sam wiesz. Aha. Pokój dla ciebie zarezerwowałam na moje nazwisko. A teraz przejdźmy do naszych spraw.

Łodyna usiadł na sofie koło Caroline. Wziął w dłoń stojącą na szafce obok łóżka szklanę z whisky. Napił się i głęboko odetchnął. Chciał coś powiedzieć, ale Caroline go ubiegła.

– Widzę, że wciąż myślisz o niej i o tym, co się wydarzyło tam w górach. – Łodyna kiwnął głową. – Jak ona się ma?

– Rzeczywiście, ciężko mi się skupić... Anita dzisiaj miała operację. Rozmawiałem z jej byłym mężem. Oczywiście na wszelki wypadek z telefonu mojej żony. Lekarze mówili, że jak dotąd wszystko idzie zgodnie z planem. To rak kątnicy. Ale wiesz, jak to z rakiem jest. Uderzyć może znowu w najmniej spodziewanym momencie.

– Już uderzył – powiedziała pod nosem Caroline. – Marcin, przepraszam, że w takim momencie, ale wiesz, jakie to ważne. Ten jej były o coś pytał, interesował się czymś? Wiesz, co mam na myśli.

– Tak, i to bardzo. – Łodyna znowu upił łyk ze szklanki. – Pytał, co tam robiła. Gdzie to dokładnie było? Dlaczego wyłączyła smartfon? Narzekał, że nie miał z nią kontaktu. Że próbował dzwonić do mnie i nie mógł się połączyć... Dziwił się też, że ze szpitala dzwoniłem do niego z automatu. Miał pretensje, że ją gdzieś zabrałem, choć ostatnio słabo się czuła. Tłumaczyłem mu, że Anita prosiła mnie, by zawieźć ją w miejsca, które pamiętała z dzieciństwa, do Kudowy, Dusznik. Ale nie wiem, czy uwierzył. Był wyjątkowo podejrzliwy.

– Może to taki typ człowieka?

– Może.

– Rozumiem, że tak jak pisałeś, wcześniej rano jedziesz pociągiem do Rzeszowa, Przemyśla i stamtąd do Lwowa.

Łodyna przytaknął:

– Tak. Przed szóstą mam pociąg. Długo tej nocy nie pośpię – stwierdził z uśmiechem. – Maksymalnie dwa dni tam będę. No, może trzy. Poczekaj tu na mnie. Da się to załatwić z Isabelle?

– Tak. Jutro po południu mamy podjechać do Rzeszowa do hotelu Hilton Garden Inn. Isabelle ma umówione jakieś spotkanie. Więc pojutrze będę już czekać na ciebie tutaj.

– Okej.

– Marcin, a pisałeś coś koledze we Lwowie?

– Tak, ale tylko tyle, że będę pilnie... turystycznie. Na pewno zrozumiał, o co mi chodzi.

– Gdy mi przedwczoraj wysłałeś informację, zaraz zatelefonowałam do siostry. To ona podpowiedziała mi, żeby przyjechać tutaj. I tak miała jechać do Polski na inspekcję kilku hoteli. Więc miałam trochę szczęścia. Już nie pierwszy raz mi pomaga.

Łodyna popatrzył na Caroline nieco podejrzliwie i powiedział:

– Tak, szczęście najważniejsze w tym fachu. Mam pewną teorię z tym związaną... Mniejsza o to.

Caroline zaczęła poruszać szklanką z whisky, tak że kostki lodu dzwoniły o szkło. Zmierzyła Marcina wzrokiem. Dopiero teraz zauważyła, że wygląda jak turysta jadący w góry. Uśmiechnęła się.

– Z tego, co mówiłeś, wynika, że albo Klimow blefował, albo rzeczywiście nic tam nie było. Z drugiej strony ten aparat Anity, który jej zabrał... Cholera, w takim momencie. Patrz, ile znaczą rutyna i przyzwyczajenia zawodowe.

– Klimow to zawodowy kłamca, ale w tym przypadku jakoś mu wierzę. Nie umiem tego wytłumaczyć. To może trochę irracjonalne. Było w nim coś takiego... prawdziwego. W tym, co mówił, i w tym, co robił.

– Targały tobą emocje. W takich chwilach człowiek potrzebuje wsparcia drugiej osoby. Może dlatego tak pozytywnie go oceniłeś.

– W każdym z nas tkwi przecież coś ludzkiego. Myślę, że w Rosjanach też. – Zamilkł i tępy wzrokiem patrzył w pustą już szklankę. Po chwili ciężko westchnął: – I wiesz, kiedy mi rzucił, że on tym nie kieruje, to w jego słowach, w tym, jak to powiedział, był jakiś zawód, może nawet rezygnacja.

– Co masz na myśli? Może to wyrafinowana gra?

– Sądzę, że gdyby do końca realizowała to SWR czy nawet GRU, to inaczej poprowadziliby takie działania za granicą. Coś mi się tu nie składa. Jakby z jednej strony koordynowała to centrala w Moskwie, a z drugiej byli też jacyś inni gracze i inne cele.

– FSB, otoczenie Putina na Kremlu, prywatne interesy? – zapytała Caroline.

– No właśnie. Już od kilku lat ci z FSB rozpychają się łokciami za granicą. Wchodzą w buty obu wywiadów. I to wszystko zapewne za aprobatą Putina. Do tego oligarchizacja władzy czy ośrodka decyzyjnego w Moskwie.

– Ciekawa koncepcja.

– Jak rozumiem, Caroline, zgadzasz się z tym, że jedynymi, którzy mogli opróżnić schowki w czasie wojny czy zaraz po jej zakończeniu, byli Sowieci.

– Tak. Z naszych rozmów z wnukiem pastora i tym handlarzem dzieł sztuki wynika, że to wszystko było ukryte właśnie tam. Kierujący akcją Sturmabführer SD Rolf Krause zapisał w swoim dzienniku, że jego pododdział rozproszył się w pierwszych dniach maja czterdziestego piątego. On sam kilka dni później, bodajże ósmego, w ostatniej chwili opuścił... Pasterkę, uciekając w kierunku Pragi i amerykańskich patroli.

– Wynika z tego, że za wiele ze sobą nie mógł zabrać.

– Raczej nie. Tyle, co zmieści się zaszyte w ubraniu... i czego przy pobieżnej rewizji się nie znajdzie.

– Czyli żadnej większej liczby dokumentów czy kosztowności, żadnych skrzynek, walizek – stwierdził Marcin.

– Zgadza się. Może jakieś drobiazgi, pojedyncze diamenty, złote monety czy coś takiego.

– Na przykład medaliony wikingów...

– Tak. To też wchodziłoby w grę – potwierdziła Caroline.

– A powiedz mi, jak tych w Salzburgu przekonaliście do wyjawienia tego wszystkiego?

– A mogę mieć przed tobą jakąś tajemnicę? – odpowiedziała nieco sarkastycznie Caroline.

– Możesz, czemu nie. Zresztą po twojej minie i pewności co do tego, że informacje od nich są wiarygodne, wnioskuję, że argumenty były solidne.

Caroline pokiwiała kilka razy głową i powiedziała:

– Dobra. Posłuchaj: i jeden, i drugi Krause mają dość solidne konta w jednym z banków londyńskiego City. Środki zgromadzone na nich pochodzą zapewne z handlu dziełami sztuki tudzież kosztownościami zrabowanymi w czasie wojny i wywiezionymi do Austrii.

– To wystarczyło?

– Zapewniam cię, że perspektywa natychmiastowej utraty przez nich tych pieniędzy była wystarczająco przekonująca i naprawdę realna. Sprawa jest u nas traktowana priorytetowo.

– No dobra, rozumiem. – Łodyna zrobił pauzę. – Tak jak pisałem do was, we Lwowie muszę głębiej sprawdzić wątek tego antykwariusza Andrija. Skoro ci z SÄPO potwierdzili, że to on spotykał się w Szwecji z Artmanem z Berlina, u którego była korespondencja od Woronowa, to jest to obecnie nasz jedyny ślad.

– Ale Rosjanie pójdą tym samym tropem.

– Caroline, ja myślę, że oni już nim poszli... Co więcej, myślę, że oni w ogóle od tego zaczęli. Zakładając, że to ten sam Andrij, którego poznałem i który współpracował z radzieckimi, a potem rosyjskimi służbami, a którego trzy lata temu oni odpalili, to znali sprawę. Trzeba zatem sprawdzić, kim on w ogóle był, z jakiej rodziny pochodził, jakich miał znajomych. Albo...

– Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

– Ja też nie wszystko jeszcze rozumiem, ale to właśnie może wskazać nam początek całej historii. Początek, który znaję Rosjanie, a my nie – przekonywał Marcin.

– Czy chcesz powiedzieć, że to jest od początku jakaś ich gra? W jakim zakresie?

– Nie wiem. To tylko przypuszczenie, Caroline. Niczym nieoparte. W każdym razie liczymy na łut szczęścia. Może się coś wykluje w trakcie? Nie uwa-

żasz na przykład, że trochę zadziwiający jest brak koordynacji działań rosyjskich związanych z tym obrotem dziełami sztuki?

– Jakby jedna ekipa z tej samej służby nie wiedziała o operacjach drugiej. Nie mówiąc o tym, że różni zainteresowani z różnych służb mogą w tym tkwić. Sam to sygnalizowałeś – wtrąciła kobieta.

– Tak. Ale przecież to u nich typowe, taka kremlowska walka buldogów pod dywanem.

Caroline kiwnęła głową, popatrzyła w skupieniu na Łodynę, wychyliła do dna szklankę i powiedziała:

– To na koniec, na deser mamy sprawę... również ważną. Nawet bardzo. Wiesz, o czym myślę?

– Tak... Przeciek i sprawa aparatu Anity. Co w sumie się ze sobą wiąże...

Kobieta przytaknęła.

– Klimow podpierdolił aparat, czyli nie chciał, żebyśmy mieli informacje nie tylko o tym, co było na stole, ale i na temat tego, co wisiało na ścianie, żebyśmy dysponowali twardymi dowodami... Wszystko w jego zamyśle ma sprowadzać się jedynie do waszych obserwacji, a tych nie da się sprawdzić laboratoryjnie. Chodzi zatem o to...

– Żebyśmy nie posiadali namacalnego dowodu, tak jak mówiłaś, i wskazywałki co do kierunku zagrożenia – uzupełnił Łodyna.

– Tak, o tym myślę. Bo przecież gdybyśmy mieli zdjęcia fotografii ze ścian pokoju w pensjonacie, to można by je porównać z tymi, którymi już dysponujemy, czy nie są aby takie same, i dzięki temu określić źródło przecieku, a więc to, kto może być ich agentem.

– I zdaje się o to chodziło Klimowowi, kiedy podpieprzał Anicie aparat. Wykorzystał nadarżającą się okazję – spuentował Marcin.

– Aha.

– Jednym słowem, na pokładzie naszego okrętu mamy rosyjskiego szpiega. Może dwóch? Tylko gdzie? – Popatrzył na Caroline. – Odpowiedź na to pytanie należy raczej do ciebie. Czy rosyjski kret jest u was, czy u Duńczyków, czy u Niemców, czy u Szwedów? Może jeszcze gdzieś indziej? Sami przecież wiecie, kto dysponował tymi zdjęciami. Komu je udostępniłiscie.

– Rozumiem, że wykluczasz byłego męża Anity? – zapytała Caroline.

– Tak, choć wciąż nie do końca. Co do tego typu mam mocno mieszane uczucia.

Rozdział 24

Lwów – lato 2017

Jadąc po łuku skracającym w prawo, pociąg zbliżał się powoli do dworca kolejowego we Lwowie. Tory rozchodziły się i za każdą zwrotnicą ich przybywało. Co chwila spod kół wagonów dochodził łomot. Łodyna spojrzął jeszcze raz na list od Philippe’a Winieckiego, syna Armanda, który pisał, że oficjalnie przywiózł do Londynu colta jego ojca Piotra. Zostawił go w specjalnym depozycie, z którego ma go odebrać Caroline i przekazać jemu. Prosił, aby Łodyna zabrał go do Polski i złożył broń w Muzeum Wojska Polskiego z odpowiednim opisem, którego treść pozostawił do jego decyzji.

Od czasu przekroczenia granicy Marcin cały czas myślał o tym, czy uda mu się cokolwiek ustalić. Nie chciał mówić o tym Caroline, ale przed wyjazdem przekazał Sebastianowi informacje, które wiązały się ze Lwowem – żeby ten dyskretnie poczynił wstępnie potrzebne ustalenia.

Pociąg rozpoczął hamowanie. Marcin przez okno zobaczył okazały biały budynek o stylizyce neorenesansowo-secesyjnej. Skład zatrzymał się pod ażurową konstrukcją z metalu i szkła. Łodyna wziął plecak z półki i skierował się wraz z innymi pasażerami do wyjścia. Zeskoczył ze schodów wagonu. Stał na peronie i zaczął uważnie się rozglądać.

– Witaj, kochany Lwowie! – powiedział szeptem do siebie i nagle usłyszał za sobą głos Sebastiana.

– Po stroju i turystycznym plecaku widzę, że wybiera się pan na górską wędrówkę w Karpaty. Cześć!

– Cześć, brachu! – odpowiedział Łodyna.

– Jak podróż? Rozumiem, że nie staliście za długo na granicy. Bo pociąg przyjechał prawie punktualnie.

– Tak. Obyło się bez problemów. W końcu w tę stronę nie ma żadnych huc z przemysłem. Ustaliłeś coś?

– Tak... I to i ile! Dzięki temu, że krótko po przyjeździe nawiązałem kontakt z byłym zastępcą szefa regionalnego departamentu Służby Bezpieczeństwa

Ukrainy ze Lwowa. Ma jakieś dalekie polskie korzenie. Zna tu każdego. Jego ojciec, on zresztą też, pracował jeszcze w lokalnym KGB. Więc i dawna wiedza przeszła z ojca na syna.

– Można mu zaufać?

– Na pewno. Ale wiesz, że będzie to kosztowało?

Marcin przytaknął.

– Chodźmy. Zaparkowałem przed budynkiem – powiedział Sebastian, a po chwili z poważnym wyrazem twarzy zapytał: – Marcin, co z Anitą?

– Opowiem ci dokładniej później. Na razie tyle: wczoraj rano miała operację: nieszczelności zespolenia jelitowego. Na szczęście laparoskopowo. Jak się będzie dobrze czuła, to za dwa dni wyjdzie.

– Wkrótce wyjeżdżam na jakieś szkolenie w centrali MSZ. Odwiedzę Anitę, przytulę.

– Zrób to koniecznie, na pewno się ucieszysz. Teraz zawieź mnie do hotelu. Daj mi ze dwie godziny. Ogarnę się trochę, podzwonię i działamy, bo nie ma czasu. Zaraz będzie wieczór.

– Znowu hotel George? Też go lubię – powiedział Sebastian, a Marcin pokiwał głową.

– W samochodzie dam ci kartkę z dodatkowymi danymi do ustalenia. Postaraj się to jak najszybciej załatwić. Jeśli potrzebujesz już teraz jakichś środków, to mów.

– Ile mam czasu?

– Mówiłem ci.

– Dwie godziny.

– Tak. Wystarczy ci?

– To niewiele, ale musi wystarczyć. Dawny kagiebiści czeka już w blokach startowych. Poczł trochę kasy, to wiesz...

Wkrótce schodzili szybko do przejścia podziemnego.

* * *

Po załatwieniu spraw w recepcji Łodyna wspinał się na górę dobrze znanymi mu schodami. Na półpiętrze minął namalowany na szkle wizerunek długowłosej kobiety z przymkniętymi oczami, odzianej w lekką suknię w stylu secesyjnym. Przypomniał sobie, jak trzy lata temu Rosjanie próbowali go tu zlikwidować. Gdyby nie sprawne działanie jego znajomego Oleksija z Grupy Specjalnej „A” SBU, potocznie nazywanej Alfa, mógłby już nie żyć. Kiedy wcześniej, kilka lat temu, na przyjęciu w ambasadzie Ukrainy w Bagdadzie przedstawiono

mu Oleksija – dowódcę ochrony, nie przypuszczał, że ich losy w przyszłości splotą się dwukrotnie.

Dotarł w końcu na trzecie piętro. Przeszedł obok pokoju, który wtedy zajmował. Wszedł do następnego. Rozebrał się, wziął szybki prysznic i położył się w ręczniku na łóżku. Z plecaka wyjął niewielki telefon, włożył do niego nową kartę SIM, tym razem słowacką, i wybrał numer zapisany w aparacie.

* * *

Po około półtorej godziny Łodynę obudziło głośnie pukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek. „Czy to Sebastian? Trochę za wcześnie. Tak szybko by załatwił temat?” – pomyślał i przeszedł go lekki dreszcz. Zerwał się z łóżka.

– Zaraz. Chwila – krzyknął i zaczął się pospiesznie ubierać.

– To ja. Nie żadna *krasawica*... He, he, he. – Marcin usłyszał głos Sebastiana.

Łodyna uspokoił się, podszedł do drzwi i otworzył je.

– Jakby była z nami Anita, to wiesz, co by ci powiedziała?

– Że znowu się durnie śmieję – odrzekł i wszedł do środka.

– Szybki jesteś. Załatwiłeś wszystko? – zapytał Marcin, zawiązując buty.

– Tak.

– To bardzo dobrze. Chodźmy gdzieś na zewnątrz usiąść. Pogadamy. Tylko po drodze jeszcze coś muszę zobaczyć. Coś kupić – powiedział Marcin i zarzucił plecak na ramię.

Po wyjściu z hotelu George skręcili w prawo, w prospekt Szewczenki. Przeszli kawałek i wstąpili do dużego sklepu z alkoholem.

– Szukam ulubionej wódki mojej Ewy: Otamańska z fabryki w Żytomierzu. Ona tylko tę toleruje – powiedział Łodyna i szybko dostrzegł na półce ceramiczne, półlitrowe butelki w kolorze indygo ze złotymi napisami.

Kupił cztery.

– Będziesz to dźwigał? Może do samochodu to wrzucę?

– Nie. Niech plecak wygląda jak plecak turysty górskiego. Wiesz... ciężki.

– Mrugnął okiem i dyskretnie się rozejrzał. – A jak znowu będę musiał szybko stąd wyjechać? I nie zdążę, to co?

Skierowali się ku ulicy Wałowej, a następnie na Halicką.

W końcu dotarli do znanej Łodynie kawiarni Lwowska Manufaktura. Zamówili po pucharze mrożonej kawy z czekoladą i usiedli. Tym razem to Sebastian dokładnie zlustrował pomieszczenie i wchodzących tu po nich ludzi. Jednak tak jak Marcin wcześniej, niczego niepokojącego nie dostrzegł.

– Mów, Sebastian, co dotychczas ustaliłeś? Co ten z SBU mówi? – zaczął Marcin i spróbował mrożonej kawy.

– Ten Andrij Kuzniecowa, co go, jak twierdzisz, ruskie z SWR odpaliły...

– Nie „jak twierdzą”, tylko takie są fakty – przerwał mu Marcin z nutą dezaprobaty w głosie.

– Słuchaj, w aktach sprawy nie ma żadnego szpiegostwa, tylko zwykły rabunek i mord.

– No dobra, przepraszam. Pewnie tak to zalegendowali dla zakamuflowania sprawy. Może to i lepiej. Ale mów.

– Kuzniecowa w przeszłości pracował tutaj w Muzeum Narodowym i Muzeum Historycznym Miasta Lwowa. Potem przeszedł na emeryturę i zajął się swoim antykwariatem.

– Mogłem tak przypuszczać. Co w tym odkrywczego? I pewnie powiesz mi, że współpracował z rosyjskimi służbami. To też wiem. – Marcin wypił kolejny łyk zimnego napoju.

– Ale nie wiesz tego, że Kuzniecowa przyjechał do Lwowa zaraz po upadku Związku Radzieckiego, na początku dziewięćdziesiątego drugiego. I posłuchaj, wcześniej pracował w magazynach Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina w Moskwie.

– Na pewno?

– Na pewno. Ten z SBU podał nawet kilka nazwisk, które jeszcze ja pamiętam. Ale to szczegół. Ponadto Kuzniecowa współpracował nie tylko z SWR, ale wcześniej z KGB. Informacja potwierdzona. W lokalnych strukturach KGB nie było jednak po tym śladu – relacjonował Sebastian.

– To skąd ten emeryt SBU o tym wie?

– Mówiłem ci, on ma stare kontakty jeszcze z okresu służby. Kiedy trzy lata temu zamordowali Kuzniecowa, to miejscowi dokonywali różnych ustaleń, nawet w Moskwie. No i dotarli do jakiejś szcztąkowej, ale potwierdzonej informacji o jego współpracy z KGB.

– Rozumiem. I co dalej? Skąd się w ogóle ten Kuzniecowa tutaj we Lwowie wziął? – dopytywał Łodyna.

– Z jego akt wynika, że miał ojca Rosjanina, ale matkę Ukrainkę i stąd przyjazd do Lwowa. Ale ja myślę, że chodziło o robienie dalej interesów z dziełami sztuki. Wiesz, tu był bliżej granicy, bliżej Europy Zachodniej, miał więcej potencjalnych nabywców.

– To się trzyma kupy.

– A teraz najważniejsze: Kuzniecowa wcześniej stracił ojca. Mieszkał z matką w Kijowie i opiekował się nim stryj, który był enkawudzystą. Ten stryj w czasie wojny pełnił służbę w jakiejś jednostce Pierwszego Frontu Ukraińskiego i brał

udział w tak zwanym oczyszczaniu i zabezpieczeniu tyłów frontu. Jego przełożonym był... poczekaj, zapisałem nazwisko. – Sebastian wyjął z kieszeni kartkę i przeczytał: – Generał Nikołaj Aleksiejewicz Osietrow.

– Czekaj, czekaj, Sebastian. Pierwszy Front Ukraiński to Dolny Śląsk. Pasałoby do układanki.

– I to jak! Sprawdziłem tego generała czekistę. Do lipca czterdziestego piątego był szefem Zarządu Kontrwywiadu Smiersz Frontu Ukraińskiego, a potem do czterdziestego ósmego szefem kontrwywiadu Kijowskiego Okręgu Wojskowego. Następnie przeniesiono go do Moskwy.

– To jesteśmy bliżej.

– Zaraz będziemy jeszcze bliżej. Kuzniecowa nigdy nie miał żony ani dzieci.

– Tak, wiem, sprawdzaliśmy to nawet kiedyś.

– Ale nie wiesz, że ma siostrzeńca. Nazywa się Oleksandr Chmarin. – Marcin spojrział na kolegę badawczo, gdy ten wymienił nazwisko. – Chmarin mieszka tutaj, we Lwowie. Tu masz jego dane i adres. – Sebastian wyjął drugą kartkę i dał ją Marcinowi. – Ładna kamienica przy Salomei Kruszelnickiej. Sprawdziłem po drodze, jadąc do ciebie. To jakiś kilometr od twojego hotelu.

– Coś więcej o nim wiadomo? Pewnie też pociotek, wnuk czy syn jakiegos innego pieprzonego czekisty.

– Tego to ja nie wiem. Niewykluczone. Z informacji od naszego emeryta wynika, że facet jest dość zamożny. Ma w domu sporo starych mebli i obrazów. Ale nie obnosi się z tym. Ma firmę handlową, która do aneksji Krymu w dwa tysiące czterdnastym miała swój oddział w Sewastopolu. Generalnie często podróżuje do Niemiec. W Berlinie mieszka jego żona z dziećmi. Jest tam przedstawicielem owej firmy – opowiadał Sebastian.

– Ciekawe. Przechodził gdzieś w kontekście Rosjan?

– Tego to nasz czcigodny emeryt nie wie. Ale rozumiem, co masz na myśli. Trudno określić, czy pracuje dla nich, czy ma z nimi jakieś kontakty.

– Sebastian, ile ci jestem winien dla tego emeryta?

– Wiesz... co laska, ale nie mniej niż pińcet euro.

– Daj mu siedemset. – Marcin sięgnął do plecaka i po chwili wsunął koledze do kieszeni marynarki siedem złożonych banknotów po sto euro. – Ale ma o sprawie zapomnieć.

– Jasne, Marcin. To porządny stary kagiebiata. – Sebastian uśmiechnął się i mrugnął okiem. – Kontakt z nim przejąłem od mojego poprzednika. Przydaje się... Żeby tylko nie miał u nas przejebane. Bo jak się to wyda...

– Jak się wyda? Nawet Brytole nie wiedzą, jak to załatwiam. Wiedzą tylko, że się znamy i że cię... odwiedzam, no i że mi pomożesz, jakby zaszła potrzeba. Reszty mogą się jedynie domyślać.

– Marcin, kurwa, sam wiesz, co się u nas dzieje – rzucił Sebastian, wypił do końca kawę i odstawił puchar na szklany spodek. – Zresztą... Wrócę na stałe do Polski dopiero za kilka lat. Bo już mi zapowiedzieli ostatnio, że delegacja w normalną rotację placówkową się przeistoczy. Do następnego badania na wariografie zapomnę o tej koleżeńskiej przysłudze. Co zamierzasz?

– Odwiedzić siostrzeńca Kuzniecowa. Tylko mi ustal, czy jest teraz we Lwowie.

– Już ustaliłem. Jest. Zwykle wraca późno z biura, które mieści się gdzieś przy Iwana Franki. Emeryt tłumaczył mi, że to niedaleko jakiejś dawnej fabryki wódek i likierów. Może dwa, trzy kilometry od jego domu.

– Jestem pod wrażeniem. Nie wychodzisz z formy wywiadowczej, Sebastian.

– No wiesz... – zaśmiał się. – Powiedz mi, jak chcesz go skłonić do rozmowy, tego Chmarina?

– Jest pewien sposób. Dzisiaj już nie zdążę, ale pewnie jutro rano się uda.

– Uuuu, ty też jesteś w dobrej formie. – Sebastian nagle posmutniał. – Opowiedz mi w końcu, co się dzieje z Anitą?

– Chodźmy stąd. Znajdziemy jakieś kameralne miejsce, dla odmiany z mrozoną wódką, to o tym pogadamy.

Rozdział 25

Lwów – lato 2017

Oleksandr Chmarin zerwał się z łóżka obudzony bardzo głośnym pukaniem. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Założył szlafrok i podszedł do drewnianych, solidnych drzwi. Spojrzał przez wizjer. Na klatce stał mężczyzna, który trzymał jakąś legitymację. Chmarin przetarł oczy, przyłożył ponownie oko do szkiełka i w tym momencie usłyszał głośny krzyk:

– *Służba Bezpeki Ukrainy. Widczyniť dweri. Nehajno!*

Chmarin na moment zamarł. Wziął głęboki oddech i zaczął otwierać solidne zasuwę jedną po drugiej. Uchylił drzwi. Mężczyzna z legitymacją popchnął go.

– Oleksandr Chmarin?

– Tak – odpowiedział, wyraźnie przestraszony.

– *Order na obszuk.* – Chmarin jakby nie rozumiał i patrzył zaspamym wzrokiem. – Mamy nakaz przeszukania mieszkania. To decyzja sędziego śledczego.

– Ale...?

– Może się pan zapoznać z odpisem zezwolenia na przeszukanie – odpowiedział przybyły i znowu lekko go popchnął.

Za nim weszli do mieszkania dwaj mężczyźni, a na końcu Łodyna stojący dotąd na schodach. Marcin podszedł do prowadzącego przeszukanie i szepnął mu:

– Oleksij, a jak będzie chciał zatrzymać ten nakaz?

– Nie martw się. Śledczy, który go wystawił, to ojciec mojej żony. Sprawa załatwiona. Odpalisz mu z tysiąc euro i będzie w porządku. Poza tym spójrz na to mieszkanie. – Wskazał ręką. – Zapewne sporo tu kradzionych czy pozyskanych nielegalnie rzeczy. Nie będzie chciał podskakiwać. A w dodatku... ma rosyjskie korzenie i rodzinę. Prowadził firmę w Sewastopolu. Może to jakiś *kacapskij szpygun*. – Oleksij uśmiechnął się i klepnął Marcina w ramię, a ten pokiwał ze zrozumieniem głową.

– O... o co jestem oskarżany? – powiedział przestraszony Chmarin, lekko się jękając.

– O nic pan nie jest oskarżany... Jeszcze. Widzi pan tu kolegę. – Wskazał na Łodynę. – To policjant z Biura Interpolu w Kijowie. Chodzi o przemysł dzieł sztuki i starych dokumentów. Ma pan takie?

– Mam dzieła sztuki. Ale dokumenty. Bo ja wiem... No... – wahał się Chmarin.

– Ma pan czy pan nie ma?

– Może jakieś stare pamiętniki, notatniki – wtrącił po rosyjsku Łodyna.

– Słucham? – zdziwił się Chmarin, jakby wciąż jeszcze nie do końca się obudził.

– Czego pan nie rozumie? *Zapysnyk, błoknot, szczodzennyk* – wyjaśnił Oleksij.

– No mam różne. Ale to rodzinne dokumenty.

Odwrócił się i skierował do biedermeierowskiej komody z czterema szufladami. Wysunął środkową. Oleksij skinął na Łodynę, aby ten podszedł do Chmarina.

– Proszę. Mam tylko takie stare dokumenty – powiedział do stojącego obok Łodyny.

Marcin zaczął je przeglądać. Odłożył na blat dwa albumy ze starymi zdjęciami. Przejrzał je pobieżnie. „Tak jak myślałem. Sami pieprzeni czekałsi i krasnoarmiejcy w rodzinie” – przeszło mu przez myśl. Były pliki jakichś starych papierów udziałowych polskich spółek przedwojennych, *buchhåters'ka knyha*, kilka radzieckich świadectw maturalnych z lat sześćdziesiątych, jakieś zobowiązanie z godłem ZSRR pisane czerwonym drukiem, duże bruliony z pożółkłymi stronami – spisy z inwentaryzacji z jakiegoś radzieckiego muzeum, gruby plik spiętych kilkudziesięciu kart z napisem „K.K. Bezirksgericht” i kilkana niemieckimi pieczęciami urzędowymi. W końcu Łodyna w rogu szuflady znalazł szary, gruby zeszyt z podwójnym, czerwonym paskiem i napisem „*Błok-knyżka*” datowany na lata 1945–1946. Otworzył go i zaczął uważnie przeglądać. Zatrzymał się na zapisie maj–lipiec 1945. Przetarł dłonią czoło. Poczul dreszcz emocji, owo charakterystyczne podniecenie, jakby zaraz miało się wszystko wyjaśnić. „Coś jest. Ale ja mam, kurwa, szczęście do tych pamiętników” – Łodyna przypomniał sobie, jak w dawnym domu Godlewskich w RPA znalazł pamiętnik generała Gano, szefa polskiego wywiadu w czasie drugiej wojny. Spojrzał na Chmarina, potem na Oleksija, ku któremu kiwnął głową. Ten podszedł do niego.

– Mam. Muszę zrobić smartfonem zdjęcia tego notatnika. A wy pogrzebiecie trochę, żeby wyglądało to na porządne przeszukanie. Ja jeszcze poszperam w tych dokumentach.

Oleksij przytaknął i zwrócił się do kolegów:

– Sprawdzajcie napisy z tyłu obrazów. Jak coś będzie po polsku albo niemiecku, to informować mnie! A pana, panie Chmarin, poproszę o dokument tożsamości.

– Panie kapitanie, a na jakiej zasadzie ten pan, ten policjant z Interpolu, robi tu przeszukanie? To mi się nie podoba, złożę... – powiedział Chmarin takim tonem, jakby odzyskiwał pewność siebie, jednak nie zdołał dokończyć.

– Ma pan również obywatelstwo rosyjskie? – rzucił Oleksij, przerywając mu.

– Tak, ale...

– Ale to mnie osobiście się nie podoba, rozumie pan? – Oleksij przeglądał dalej paszport mężczyzny. – O! Ma pan polską wizę długoterminową, wydaną przez... – Oleksij nachylił się – Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie.

– A co to ma do rzeczy?

– W sumie nic – wtrącił Łodyna. – Ale mogą ją panu w każdej chwili cofnąć. Nawet teraz. – Pokazał trzymany w dłoni smartfon. – Rozumiemy się? I skończą się wyjazdy do żony i dzieci do Berlina. Bo jak pana Polacy zablokują w systemie wizowym Schengen, będzie miał pan kłopot. A my może przyjrzymy się bliżej pana interesom – wtrącił Oleksij.

– Proszę panów, prowadzę legalnie firmę handlową, płacę podatki. Nie mam żadnych problemów z organami celnymi czy skarbowymi. Nie rozumiem pana insynuacji.

– Albo pana interesom... w Sewastopolu! Teraz, kurwa, Chmarin, rozumiecie?! – powiedział podniesionym głosem Oleksij.

Chmarin, jak wcześniej odzyskał pewność siebie, tak teraz szybko ją stracił. Patrzył to na dowodzącego akcją, to na Łodynę. Usiadł w końcu w dużym fotelu w stylu art déco, wyjął z kieszeni szlafroka paczkę papierosów i zapalił. Oparł łokieć o szeroki, drewniany podramiennik. Przez moment był jakby nieobecny. Milczał.

– Czyj to notatnik? – zapytał po dłuższej chwili Łodyna.

– Wujka, a w zasadzie jego stryja. Wujek zginął kilka lat temu w czasie napadu rabunkowego. Reszta w tych szufladach to też jego rzeczy... i stryja. Niewiele mi po wujku Andriju zostało. On miał przy Archiwalnej antykwariat, taki sklep ze starociami i dziełami sztuki.

– Niewiele? A te rzeczy, te obrazy, dywany, meble. To chyba w części było jego? – wtrącił Oleksij.

– Tak. To też. Ale większość z jego sklepu poszła na spłatę długów. Uwielbiał pływać promami po Bałtyku i spędzać czas w kasynach. Pożyczał pieni-

dze. A potem... Rozumiecie. Więc to w sumie niewielka część tego, co znajdowało się przy Archiwalnej.

– To akurat się zgadza – powiedział Łodyna, a Chmarin spojrział na niego badawczo. – A gdzie jeszcze stryj podróżował?

– Stryj Andrij... Berlin, Kopenhaga, Sztokholm, Helsinki, Warszawa, Gdańsk, Kraków, Praga. Tyle wiem.

– A gdzieś daleko? Indie, Daleki Wschód, Afryka? Jakieś egzotyczne wyspy? – drążył Łodyna.

– Nie! Gdzie tam. Jedynie Europa Centralna.

– A jakaś korespondencja po nim pozostała? Listy, pocztówki?

– Było coś, ale w sklepie. Nie wiem, co się z tym stało. Pewnie zostało wyrzucone. Nie kojarzę, żebym coś takiego widział, choć byłem przy likwidacji sklepu. Wiem, że korespondował z antykwariuszami z tych miast, o których wspominałem. Ale nic ponadto... Ale chwileczkę, czy was interesuje stryj, czy... – zawiesił głos, patrząc na Oleksija i Łodynę.

– Nas interesuje wszystko, co wiąże się ze sprawą. A branża pana zmarłego tragicznie stryja się z tym wiąże. Prawda? Przyzna pan? – powiedział Oleksij, Chmarin zaś przytaknął i zaciągnął się papierosem.

– Aha, coś jeszcze... – Chmarin zrobił pauzę. – W ostatnich latach stryj miał sporo przedmiotów srebrnych, połączanych czy nawet złotych pochodzących z polskich posiadłości magnackich czy szlacheckich. To wyglądało, jakby cały czas mu ktoś coś dowoził z kolejnych miejsc. Ale szybko się tego pozbywał. Pewnie miał na to nabywców.

Łodyna słuchał i starał się wszystko dokładnie zapamiętać. Spojrział na zegarek. Było już po siódmej. Koledzy Oleksija wydawali się lekko znudzeni udawaniem rewizji. Podeszedł do dowodzącego i cicho powiedział:

– Ja mam już wszystko. Zdjęcia zrobione. Możemy kończyć. Ty załatw z nim rzecz formalnie. A może lepiej nieformalnie. Czyli żeby po naszej wizycie nie było żadnego śladu. On to chyba zrozumie. Nie jest głupi. Zjeżdżamy stąd. Po tysiącu dla chłopaków i... teścia. Dla ciebie dwa. Jesteśmy rozliczeni?

Oleksij przytaknął głową.

– Oleksij, podrzućcie mnie do hotelu. Zjem śniadanie. Potem mam jeszcze jedno spotkanie, a pociąg do Przemysła o jedenastej.

– Czyli kończysz?

– Tak. A co?

– Tak tylko pytam. Poczekaj z chłopakami w samochodzie. Ja z nim pogadam, żeby trzymał język za zębami. Też mi się wydaje, że facet jest inteligentny i nie będzie robił problemów. Jak powiedziałeś o tej wizycie i możliwości

cofnięcia jej przez telefon, to się obsrał, jak słowo daje. – Oleksij pokręcił głową i się uśmiechnął.

Rozdział 26

Lublin – jesień 2017

15 maja 1945. Żeleźno koło Kłodzka.

Patrol naszego 103 Oddziału Manewrowego w miejscowości Wünschelburg odnalazł na terenie miejscowej gorzelni ciężko rannego oficera niemieckiego z zaawansowaną gangreną w nodze. Po wstępnym przesłuchaniu okazało się, że jest to SS-man w stopniu Hauptsturmführera. Wraz z kilkoma innymi złapanymi w okolicy żołnierzami został przywieziony do naszego obozu. Informację o nim przekazałem do naszego Zarządu do spraw Jeńców Wojennych i Internowanych oraz do sztabu.

17 maja 1945. Żeleźno koło Kłodzka.

Przywieziony dwa dni wcześniej Hauptsturmführer w wyniku intensywnej przesłuchań prowadzonych przez naszych oficerów Smierszcz zeznał, że w wiosce Passendorf i w rejonie pobliskiego wodospadu (poniżej miejscowości) ukryty został jakiś skarb. Wskazał nawet dokładne lokalizacje. Ponieważ SS-man mówił o tym i o wielu innych sprawach niezwiązanych z przebiegiem służby w stanie agonicznym, nie ujęto tego w protokole przesłuchania. Tego samego dnia, w godzinach nocnych przesłuchiwany zmarł.

– I teraz posłuchaj, bo to jest najważniejsze – powiedział Łodyna do Caroline siedzącej obok na sofie. – To według mnie sporo wyjaśnia – dodał i otworzył zdjęcie kolejnej strony z szarego zeszytu znalezionej w mieszkaniu Chmarina.

Caroline, słuchając słów Marcina, cały czas analizowała i dopasowywała te dane do posiadanych przez siebie informacji. Nie spodziewała się, że poza poszukiwaniem niemieckich i radzieckich dokumentów natrafi na rosyjską agenturę. Wraz z przełożonymi z Vauxhall Cross zastanawiała się, gdzie ulokował się kret. U nich czy u sojuszników, może w Polsce? W związku z powyższym presja na nią i realizację całego zadania wzrosła. Ale poszerzeniu uległ przy tym zakres poszukiwań, zwiększyły się środki i siły brytyjskiego wywiadu przeznaczone na osiągnięcie celu.

– Aha, i do tego wszystkiego, o czym ci mówiłem, dodam, że jakoś nadzwyczaj sporo przewija się w rodzinie Kuzniecowa i Chmarina dawnych czekistów. Pamiętaj, że to była taka tradycja. W służbach radzieckich czy rosyjskich funk-

cjonowały całe klany powiązane ze sobą nieformalnymi stosunkami... No dobra, kontynuując:

18 maja 1945. Wieś Passendorf.

Trzema samochodami i z obstawą wydzieloną z 218 Pułku Pogranicznego udaliśmy się do wskazanych i opisanych przez SS-mana miejsc. Ujawniłem tam dwa dobrze zakamuflowane schowki. Wyjęliśmy z nich niewielkie, solidnie zabezpieczone skrzynie amunicyjne. Mimo pokusy zabrania ze schowków kilkudziesięciu butelek miejscowej wódki nie pozwoliłem nic więcej wziąć. Kazałem zasypać schowki i zamaskować je. Po powrocie na miejsce kwaterowania zgłosiłem do sztabu konieczność natychmiastowego przeniesienia członków obstawy uczestniczącej w akcji do innych jednostek. Wskazałem Pomorze i Prusy Wschodnie.

20 maja 1945. Żeleźno koło Kłodzka.

Zgodnie z przyjętymi zasadami całość ładunku przywiezionego z miejscowości Passendorf wysłałem do Moskwy jako odzyskane dzieła sztuki narodowej.

– Czyli zgadza się? – skomentowała Caroline.

– Wiesz, zaraz jak wsiadłem do pociągu we Lwowie, napisałem maila do znajomego historyka z Opola, który ma na bieżąco dostęp do zbiorów w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie. Tam jest między innymi Kolekcja Akt z Archiwów Rosyjskich. Ten znajomy ma też kontakty w archiwach niemieckich. Interesuje się Dolnym Śląskiem czy generalnie sprawami niemieckimi. Na szybko poszperał i posprawdzał.

– I co? – wtrąciła Caroline z pewną niecierpliwością.

– I to, że te wszystkie dane z pamiętnika... zgadzają się. Napijesz się?

– Tak, proszę.

Marcin nalał im po pół szklanki whisky ze stojącej na szafce butelki.

– Jest okazja, to chyba jasne – stwierdził.

– Tak. Pozostaje pytanie, gdzie to trafiło, skoro Rosjanie tego teraz szukali?

– Jakiś magazyn w Moskwie, choćby w tym ich Muzeum imienia Puszkina? Albo gdzieś poza stolicą? To niezliczone zbiory zrabowane w czasie wojny i po niej. U nas, w Niemczech, w Czechach, w Austrii, gdzie się dało – mówił Marcin.

– I nie znaleźli tego? Nie rozumiem.

– Caroline, ja podejrzewam, że ten stryj Kuzniecowa wysłał to formalnie do Moskwy, a odebrał znajomy czy ktoś z rodziny i ukrył w magazynie na lata. Potem zmiany polityczne w ZSRR, zimna wojna i tak sobie to wszystko leżało, aż... ożyło. I wyjechało z dokumentami radzieckiego wywiadu oraz pewnie z innymi rzeczami z jakiegoś magazynu razem z Woronowem. I ślad się po tym urwał.

– No tak. Skoro oni tego nie znaleźli u Woronowa w sejfie, to gdzie to jest? Zorganizowali przecież poszukiwania na dużą skalę w Europie i tam, na tych pięknych Seszelach.

– Nie wiem. Ale myślę, że odpowiedź znajdziemy właśnie tam.

– Czyli gdzie? – zapytała Caroline.

– Na tych pięknych Seszelach – powtórzył Łodyna i napił się alkoholu.

– Chyba masz rację.

– Chyba? Na pewno!

– À propos Seszeli, dzisiaj rano otrzymałam pewną informację...

Caroline łyknęła whisky, wstała z sofy i podeszła do szafy. Z walizki pokładowej wyjęła tablet, taki sam, jaki dała Łodynie. Usiadła na łóżku i uruchomiła go.

– Coś ci przeczytam:

Wczoraj, w wyniku prowadzonych ponownie poszukiwań, odnaleźliśmy dziewczynę mieszkającą z Woronowem, która była świadkiem napadu na jego dom. Zamieszkuje wraz z mężem, obywatelem Estonii, w stolicy kraju Victorii. Ma zmienione imię i nazwisko. Obecnie nazywa się Jeanine Kirsipuu, a jej mąż Michael Kirsipuu. Prowadzą sklep w centrum miasta. Brak jakichkolwiek podejrzanych kontaktów. Uchodzą za ludzi dobrze sytuowanych, ale nieszczególnie bogatych. Zgodnie z poleceniem prowadzimy jedynie dyskretną obserwację. Bez podejmowania kontaktu bezpośredniego.

– Michael, mówisz.

– Tak. Ze wstępnych informacji, żadnych podejrzeń.

– Michael, Michael. Estonia. Hmm... – Łodyna zamyślił się.

Wychylił szklanekę do dna, odstawił ją na stolik i zakrył dłońmi twarz, po czym potarł ją kilka razy.

– Poznałem kiedyś na Karaibach jednego Estończyka.

– I co z nim? – Caroline też wychyliła do dna szklanekę.

– Okazał się Rosjaninem, oficerem Służby Wniesznej Razwiedki.

– Tylko że nie każdy Estończyk przechodzący w sprawie to od razu oficer rosyjskiego wywiadu.

– Ale jak to mówicie na Wyspach: *history repeats itself*.

– Owszem, historia lubi się powtarzać, ale nie zawsze – skomentowała Caroline.

– Czekaj, czekaj, Caroline. Michael... – Marcin zawiesił głos, ale zaraz jakby się ożywił. Wstał. Sięgnął po butelkę i ponownie nalał whisky do szklanek. – No to chyba jesteśmy w domu. Mam!

Caroline popatrzyła na niego zdziwiona.

– Dzisiaj stawiasz kolację. I wyjazd na Seszele. Daj znać Isabelle, żeby już wracała do hotelu z tego spaceru po starówce. Poza tym prawie nic nie jadłem od śniadania w George’u we Lwowie. Jestem strasznie głodny.

– Powiesz mi, co odkryłeś?

– Caroline: Michael, czyli Michał, czyli... Misza.

– Tak. I co?

– Jak byliśmy wtedy z Anitą w latach dziewięćdziesiątych na La Digue, to Woronow wołał do tego drugiego ruska, który nas przeganiał z wyspy, Misza. Czyli zdrobnienie od Michaiła, czyli Michaela.

– Ciekawe, ale bez przesady. Może to jednak przypadek?

– Za dużo tych przypadków, Caroline. Trzeba z tymi ludźmi jak najszybciej pogadać. I to poważnie. Myślę, że to nas doprowadzi do tego, czego szukamy.

– *Don't count your chickens before they hatch*, czyli jak to się w Polsce mówi...

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu – dokończył Łodyna i roześmiał się.

– Tak! Ale zdajesz sobie sprawę, że trzeba wyjaśnić jeszcze coś innego.

– Ruski agent. Cholera, jakie to polskie!

Caroline przytaknęła.

– Wiesz, coś mi przyszło do głowy. – Teraz ona zamilkła i zaczęła intensywnie myśleć.

– Kogoś już namierzyliscie? Macie kogoś na oku?

Caroline kiwnęła głową dwa razy, wciąż jednak milczała, zastanawiając się nad czymś.

Rozdział 27

Warszawa–Victoria, wyspa Mahé, Seszele – jesień 2017

– Kiedy przedwczoraj rano Anita do mnie zatelefonowała i powiedziała mi o silnych bólach brzucha i o tym, że gorzej się czuje, kazałam jej natychmiast przyjechać do nas na Wołoską, na SOR i powołać się na mnie, aby ją zawieźli od razu na izbę przyjęć – powiedziała Ewa.

– W końcu minęły ponad dwa dni, coś już powinno być wiadomo – obruszył się Marcin.

– Dzisiaj rano telefonowałam do kolegi. Przenieśli ją na oddział intensywnej opieki medycznej.

– Teraz mi mówisz?! Przecież to...

– Posłuchaj. Na OIOM-ie będzie pod stałą obserwacją i diagnostyką – odpowiedziała, przerywając mu. – Nie martw się, kochanie, będzie dobrze.

– Obiecujesz?

– Żaden lekarz nigdy nic nie obiecuje. Mówię tylko, że jest pod dobrą opieką. Był u niej, jak zorientowałam się na oddziale, Sebastian. Kolega mówił mi, że uparł się siedzieć przy niej do rana. – Ewa pocałowała go w policzek i po chwili zapytała: – Kiedy podają jakiś lunch? Może obiad? Rano zdążyłam tylko wypić kawę i przygotować Michałowi śniadanie przed przyjściem twoich rodziców. Robię się powoli senna. Przespałabym się w końcu po nocnym dyżurze. Mieliśmy zgon po transplantacji trzustki i jeden wyrostek. Na szczęście laparoskopowo usunęliśmy.

Łodyna spojrzął na zegarek. Była piętnasta. Od półtorej godziny lecieli samolotem linii Emirates do Victorii na Seszelach z przesiadką w Dubaju.

– Powinni niedługo coś podać. Albo zapytam się tej czarnulki. – Marcin wskazał na czarnoskórą stewardesę w czerwonym mundurku.

– Nie musisz. Chyba zaczynają się już krzątać za zasłonkami.

– A właśnie. Nawet nie zdążyłem zapytać. Ordynator był bardzo niezadowolony z twojego nagłego urlopu?

– Kiedy zatelefonowałeś trzy dni temu i powiedziałeś, żebym wykorzystała teraz zaległe wolne, to myślałam, że chodzi ci o tę Grecję. Mieliśmy przecież jakoś na dniach tam jechać – przypomniła. – Nie, pan profesor nie narzekał. Miałam ostatnio tyle dyżurów, że wyrobiłam normę z nawiązką. Mój urlop tydzień wcześniej nie zrobił nikomu wielkiej różnicy. Sam mówił, że powinien odpocząć – odpowiedziała i spojrzała przez owalne okienko. – A ty mnie tak zaskoczyłeś. Bardzo.

– Czujesz? Chyba miałaś rację z tym krzątaniem się za zasłonkami. Zaraz podadzą posiłek.

Ewa chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Łodyna nagle wstał i sięgnął do schowka nad głową. Po chwili ciężko usiadł, trzymając w dłoni gruby brulion oprawiony w ciekawą skórę. Wsunął go do kieszeni w fotelu przed sobą. Zamknął na chwilę oczy i głęboko odetchnął. Zaczął wsłuchiwać się w monotony szum silników samolotu. Jego twarz oświetlały wpadające przez okienka boeinga promienie słońca. Czuł ciepło. Wydawało się, że zasypia, ale ocknął się i spojrzał na Ewę.

– Ty także jesteś zmęczony, kochanie. Zjemy coś i prześpiemy się. Przecież na te Seszele to wyprawa przez pół świata. Dolecimy tam dopiero rano. Musimy być w dobrej formie. Mamy z pięć godzin na transferze w Dubaju. – Zamilkła, jakby zastanawiała się nad czymś, i po chwili dodała: – Skoczymy do miasta?

– Oczywiście. Wprawdzie to środek nocy, ale za to będzie chłodniej. Przy czym nastaw się na dużą wilgotność.

– Tak, wiem. Czytałam... Marcin, powiedz mi, skąd ten nagły pomysł z Szeszelami? Mam nadzieję, że to *last minute*, a nie żadne twoje dawne sprawy zawodowe?

Łodyna nic nie odpowiedział. Znowu zamknął oczy i wsłuchiwał się w szum silników przerywany stukaniem szafek z cateringiem.

– A! Czyli nie *last minute*. Obiecałeś mi...

– Ale Ewuniu, kochanie, muszę coś dokończyć. To ważne.

– I ciągniesz mnie ze sobą?!

– Przy okazji chciałem być z tobą w takim... pięknym miejscu.

– A tam, chrzaniś! Mało miałam kiedyś z tobą atrakcji w Iraku?! A potem w Warszawie. To przeszukanie, te problemy w pracy, kiedy zabrali mi mój komputer! I twoje powroty, zmęczenie, nocne zrywanie się z pytaniami, gdzie jesteś. I to, jak musieliśmy w nocy uciekać z domku w górach przed jakimiś kacapskimi kilerami. Wiozłeś mnie w ciężych wertepach i bocznymi drogami do Warszawy. Nie pamiętasz?! Miałam nadzieję, że po tym Wiedniu się uspokoi. Emerytura. Ale nie, nie uspokoiło się – mówiła z wyrzutem jak nakręcona, aż

w końcu przerwała, oparła się mocno w fotelu i głośno opuściła zasłonkę w oknie.

– To już naprawdę ostatni raz. Obiecuję, kochanie.

– Kochanie, kochanie... A robisz swoje – powiedziała ściszone, ale wciąż jednak podniesionym głosem, po czym zamknęła oczy.

Milczeli oboje, wsłuchując się w stukot otwieranych stolików i delikatny turkot wózków z jedzeniem pchanych przez stewardesy.

* * *

Kilkugodzinny pobyt w gorącym mimo środka nocy Dubaju był miłym przerwaniem w ich długiej podróży. Taksówką zdążyli dotrzeć pod najwyższy budynek na świecie, popłynęli dżonką na Targ Złota i pojechali do zbudowanego od nowa starego miasta Madinat Jumeirah, gdzie zjedli w restauracji przy plaży kolację. Jakże miło się zdziwili, kiedy w menu zobaczyli znaną im z Brazylii paellę z homarem i krewetkami.

Jeszcze w samolocie Ewa odpuściła. Nie chciała psuć sobie przyjemności pobytu w tropikach, zwłaszcza po solennych obietnicach Marcina, że to naprawdę już ostatnia taka jego operacja. W środku czuła, iż trudno mu będzie dotrzymać słowa – po kilku latach małżeństwa miała świadomość, że natura oficera wywiadu jest silniejsza od niego. Swoje robił też niespokojny charakter Marcina i jego żywa wyobraźnia, zdolność zaskakiwania otoczenia coraz to nowymi pomysłami. Wydawało się obojgu, że będzie to procentować w showbiznesie, którym Marcin pragnął zająć się po odejściu z firmy. Niejeden raz Ewa zadawała sobie jednak pytanie, czy on rzeczywiście chce to robić, a także ile czasu będzie trzeba, by jej mąż z wiecznego szpiega zmienił się w zwykłego Marcina – i czy w ogóle kiedyś to nastąpi? Z drugiej strony takim, jaki był, go pokochała i kochała. Bo w końcu kocha się mimo czegoś, nie za coś.

Teraz znowu lecieli samolotem, jednak poza mrugnięciami czerwonych lamp sygnalizacyjnych na końcach skrzydeł nic więcej nie widzieli przez okienko. Znajdowali się już nad Oceanem Indyjskim. Marcin otworzył brulion oprawiony w skórę, którego nie zdążył jeszcze przestudiować w czasie lotu z Warszawy do Dubaju, bo razem z Ewą po zjedzeniu posiłku zasnęli, budząc się, dopiero gdy kapitan ogłosił zbliżanie się do lotniska i obniżył lot.

Sprawa zamachu na pułkownika Cz.

„Czyli chodzi o Romualda Czakuckiego” – pomyślał Łodyna.

...prawdopodobnie zemsta ludzi związanych z Sowietami lub pracującymi dla nich. Według ustaleń policji w Plymouth w sprawę zamieszanych było trzech mężczyzn: niejaki Hryczko, Ukrainiec z przedwojennych lwowskich batiarów, N.N. mężczyzna ps. Lwowiak i Szlomo Bronstein, żydowski złodziej ze Lwowa. Cała trójka miała poznać się w obozie w Tanganice. Handlowali tam deficytowym towarem, głównie alkoholem. Mieli też na koncie drobne wymuszenia w polskich obozach dla uchodźców. Informację o polskich oficerach w Lizbonie Lwowiak wyciągnął od portugalskiego policjanta, który za łapówki sprzedawał różne informacje, w tym te o dwóch Polakach (podkreśl. nasi oficerowie), którzy wsiadli na frachtowiec do Plymouth (podał im nazwę statku).

– Co czytasz, kochanie? – zapytała Ewa, tuląc się do ramienia Marcina.

– To pamiętnik pewnego generała z czasów wojny. Kiedyś ci muszę o tym opowiedzieć. On pisze w nim o przełożonym Filipa Godlewskiego, ojcu Caroline i Isabelle, oraz Piotrze Winnickim, ojcu Philippe’a.

– Naprawdę?! – rzuciła pytająco. – Bardzo serdeczni ludzie. Tak nas wtedy przyjęli w Belo Horizonte, jakby nas znali pół życia – powiedziała Ewa.

– Tak, zgadza się.

Marcin odłożył brulion i w jego myślach pojawiły się te osoby. Zobaczył twarze pana Mieczysława Kleinerja, sędziwego Piotra Winnickiego, jego syna, córek Filipa. Przed oczami stanął mu *Portret młodzieńca* Rafaela Santi, którego poszukiwania zaowocowały poznaniem tych wszystkich ludzi. I jej, jego kochanej Ewy. Łodyna zasnął. Obudził się po półgodzinie. Nie otwierał przez parę minut oczu. Ewa, wciąż o niego oparta, spała pod granatowym kocykiem. Znowu otworzył brulion i zaczął czytać.

...w dokach Plymouth Lwowiak znalazł naprawiany frachtowiec i jego załogę. Pod legendą poszukiwania kolegów z wojska dowiedział się, że obaj pasażerowie byli żołnierzami. Poznał nawet ich nazwiska i cel podróży, czyli Londyn. Jeden z portugalskich marynarzy za kilka funtów przypomniał sobie, że ci żołnierze rozmawiali o powrocie do Plymouth. Hryczko i Bronstein na polecenie Lwowiaka opłacili barmanów, kelnerów i recepcjonistów w pubach i hotelach, żeby dawali znać, gdy się ta dwójka pojawi w mieście. Obydwa dysponowali wykonanymi z ukrycia fotografiami poszukiwanych.

Uwaga. Sprawa do wyjaśnienia (podkreślone)!!! Lwowiak po postrzale przez policję na melinie mówił Hryczce w agonii coś o sierocińcach, że każdy, kto coś odkryje na ten temat, ma zginąć. Mówił też, że ktoś z Londynu kontaktuje się z nim. Jakiś zaufany człowiek, który dużo wie i dużo może.

Łodyna odłożył pamiętnik i zaczął analizować. „Jaki wniosek płynie z tej historii?” – zastanawiał się. „Że Rosjanie nie odpuszczają, że zawsze znajdzie się jeszcze ktoś, kto wskaże im drogę, dostarczy informacji. Jakiś ich pieprzony, zaufany człowiek, po prostu agent. Czy coś się zmieniło w tym zakresie w ich działaniu? Niewiele. Doszła tylko technika”. Kiedy o tym myślał, przypomniał sobie mikrokropkę i to, o czym mówił Tortak – że właśnie w tym może tkwić

klucz do sprawy. „W końcu stąd wysłana, a czy tu spreparowana? A jeśli nie tutaj, to gdzie? Może po prostu spreparowana od początku do końca, łącznie z miejscem nadania. Po co? Żeby zwrócić uwagę na tę właśnie pocztówkę z rajską plażą na Seszelach? W jakim celu? Czy to ma w ogóle sens?” Jednostajny szum silników spowodował, że znowu przysnął.

* * *

Ewa obudziła się pierwsza. Wzięła z dłoni Marcina brulion i wsunęła go do kieszeni w fotelu przed mężem. Potem pocałowała go w policzek.

– Pobudka, zbliżamy się do rajskich wysp – szepnęła.

Marcin, który wcześniej mamrotał coś przez sen, lekko drgnął w fotelu. Po chwili w kabinie zaświeciły się lampy i zrobiło się jasno. Pasażerowie powoli budzili się. Ewa podciągnęła do góry zasłonkę w oknie. Zobaczyła błękitne niebo z pojedynczymi chmurami, a w dole bezkres szmaragdowego oceanu. Widok był tak bajkowy, że aż zastygła. Z zachwytu wyrwał ją komunikat kapitana oznajmającego, że za godzinę zacznie się schodzenie do lądowania na lotnisku w Victorii. Marcin zaczął przecierać oczy i przeciągać się.

– Widać jakiś ląd? – zapytał Ewy, która odwróciła się i ścisnęła go za dłoń.

– Zrobiło się cicho. Samolot leci już jakby na zwolnionych obrotach. Prawie jak szybowiec. Zawsze mam takie wrażenie, kiedy zbliża się czas lądowania.

– Jeszcze nic nie widać. Pewnie za wcześniej – odpowiedziała i do ich uszu dotarł charakterystyczny dźwięk wózków ze śniadaniem pchanych przez stewardesy. – Niezbyt spokojnie spałeś.

– Chodzą mi po głowie różne rzeczy. Czasem realne, czasem zupełnie surrealistyczne... Zostawmy to – powiedział i znowu spojrzął w okienko. – Zgłódniałem. O! Jedzie już do nas jedzonko.

Nie minęło wiele chwil i dziewczyna w czerwonym mundurku podawała im zapakowane w folię ceramiczne talerze z posiłkiem, częstując ich przy tym małymi bułeczkami, druga natomiast serwowała gorące i zimne napoje.

Parę minut po śniadaniu ponownie odezwał się pilot, informując, że wkrótce nastąpi lądowanie, należy więc włożyć rzeczy do schowków, pozostać na miejscach i zapiąć pasy. Usłyszeli również, że temperatura na lotnisku w stolicy Seszeli wynosi dwadzieścia sześć stopni Celsjusza, zachmurzenie jest częściowe, a warunki do lądowania są korzystne. Olbrzymi boeing obniżył wyraźnie lot i zatoczył duży krąg. Na pustym dotąd oceanie pojawiły się wyspy otoczone białymi wianuszkami plaż. Minęło kolejnych kilka minut. Samolot wysunął podwozie. Mimo że pogoda był dobra, jego wielkie cielsko lekko wahało się pod wpływem turbulencji. Zielona, górzysta wyspa była coraz bli-

żej. Morze zrobiło się bardziej niebieskie, rysowały się na nim grzebienie fal. Po prawej stronie maszyny, przeciwnej do tej, po której siedzieli Marcin z Ewą, widać było zarośnięte gęsto stoki, a poniżej dziesiątki domów krytych czernono-rudymi dachami. Po paru chwilach koła samolotu dotknęły betonowej nawierzchni. Szarpnęło, zaczęło się gwałtowne hamowanie. W końcu boeing zatrzymał się, po czym zaczął powoli kołować w kierunku International Arrival Terminal – Międzynarodowego Portu Lotniczego Seszele.

* * *

Po krótkiej odprawie polegającej na okazaniu rezerwacji hotelu, biletu powrotnego, kart kredytowych i paru setek amerykańskich dolarów urzędnik wbił im do dokumentów pieczętki z wizerunkiem morskiej palmy kokosowej. Ponieważ mieli jedynie bagaż podręczny, od razu poszli w kierunku wyjścia. Po drodze minęli sklep wolnocłowy, którego turkusowe regały wypełniały rzędy butelek z kilkoma gatunkami miejscowego specjału – rumu marki Takamaka. Na ten widok Marcin przypomniał sobie o Anicie, z którą ponad dwadzieścia lat temu był na tym lotnisku. Ogarnął go jakiś smutek. Nachylił się do Ewy i szepnął:

– Zatrzymajmy się. Napisz maila do twojego szpitala i zapytaj o Anitę. Bardzo cię proszę. To ważne dla mnie. Tu na pewno jest wi-fi.

Ewa kiwnęła głową i wyjęła z torebki smartfon.

– Dobrze, że o tym pomyślałeś. Ja też jestem ciekawa, jak ona się czuje. – Znalazła sieć i zaczęła wystukiwać na klawiaturze treść maila. – Dobra. Wysłałam. Gdzie idziemy?

– Mieli czekać na nas przed terminalem, przed głównym wyjściem. Ale się tu zmieniło...

– Czytałam, że teraz tutaj kończy się pora sucha i powoli zaczyna deszczowa. Już czułam tę wilgoć w powietrzu, jak schodziliśmy po trapie.

Na zewnątrz ponownie okleiło ich gorące i wilgotne powietrze. Marcin rozejrzał się. Kilkanaście metrów dalej stał biały bus ozdobiony rysunkiem kolorowego żółwia, palmy i niebieskiego morza z napisami „Sey Discovery Tour” oraz „Sedito!”. Za jego kierownicą siedział uśmiechnięty Kreol w niebieskich, przeciwsłonecznych okularach i żółtej koszuli. Na zewnątrz oparta o samochód stała Caroline ubrana w białą, przewiewną sukienkę i kapelusz tego samego koloru z wielkim rondem i czarną wstążką. Ona też miała na nosie okrągłe, przeciwsłoneczne okulary, które zdjęła na ich widok.

Marcin i Ewa ruszyli w jej kierunku.

– Caroline, co za niespodzianka! – krzyknęła Ewa i uściskała kobietę. – Marcin, dlaczego mi nie powiedziałeś, że się spotkamy?

– Nie pytałaś. Poza tym chciałem właśnie zrobić ci niespodziankę – odpowiedział Marcin.

– I zrobiłeś.

– Cześć, Ewa. Miło mi znowu cię zobaczyć. I to ponownie w tropikach! Wprawdzie nie jest to Brazylia, jak parę miesięcy temu, ale też parno i gorąco... Wchodźcie. Za dwadzieścia minut będziemy w centrum.

– Udało ci się wszystko zorganizować? – zapytał Marcin i przesunął drzwi, zamykając je od wewnątrz.

– Tak. Jak wiesz, mamy swoich ludzi tutaj na miejscu. Jedziemy teraz do pensjonatu Blue Hill Guest House. To miejsce trochę na uboczu, ale z basenem oraz pięknym widokiem na ocean i góry, w stylu lekko kolonialnym – odpowiedziała Caroline.

– Mówisz: kolonialnym... Tak. No jakżeby inaczej – skomentował Marcin i uśmiechnął się.

– Pomyślałam, że będziecie chcieli odświeżyć się po podróży. – Mrugnęła okiem do Ewy, a samochód w tym samym momencie ruszył.

Marcin nachylił się do przodu i cicho zapytał Caroline:

– Jakie mamy plany?

– Zobaczymy, jak pójdzie nam rozmowa z Jeanine Kirsipuu – odrzekła prawie szeptem.

– A z Miszą też porozmawiamy?

– Zakładasz, że to jednak on? Ochroniarz Woronowa?

– Tak uważam. Zobaczysz. Mam przecucie, że to on. Mówię ci, Caroline, ruska wyczuwam na odległość.

– Okej. Najpierw zobaczymy, co ona powie.

– Caroline, nie uważasz, że nasz Misza czułby się mocno zdziwiony, gdyby mnie znowu spotkał? To mógłby być niezły element zaskoczenia dający nam przewagę w rozmowie z nim.

– Zapewne tak... Państwo Kirsipuu mają sklep niedaleko Sir Selwyn-Clarke Market. To samo centrum miasta, niedaleko tego słynnego zegara – wyjaśniła Caroline.

Samochód wyjechał na ruchliwą o tej porze dnia Providence Highway.

– Caroline, jeszcze dwa pytania.

– Tak?

– Kto wie o moim, naszym przyjeździe tutaj? Rozumiesz, o czym myślę.

– O twoim i Ewy przyjeździe wiem ja oraz dwie osoby w naszym ścisłym kierownictwie w Londynie. Masz tu wizytówkę do pewnego człowieka w Victorii. Jeśliby coś się stało... Rozumiesz? Zostaw ją Ewie – szepnęła. – Jesteś moją tajną bronią – zaśmiała się krótko.

– Wasz rezydent tutaj?

Przytaknęła.

– A drugie pytanie?

– Kto jeszcze jest zaangażowany w tę operację? Oczywiście poza tym... rezydentem i zapewne jego miejscowymi aktywami osobowymi.

– No jest tu jeszcze ktoś. Też ledwo zdążyli. Na szczęście na miejscu jesteśmy przygotowani sprzętowo. Szczegóły później – powiedziała.

Marcin oparł się wygodnie, po czym objął ręką Ewę, która dyskretnie nie spytała, o czym tak z Caroline szepotali, i wpatrywała się przez boczną szybę busa w gęstą dżunglę porastającą góry.

Rozdział 28

Victoria, wyspa Mahé, Seszele – jesień 2017

Niewielkie, białe suzuki swift o numerze rejestracyjnym S10225 podjechało przed wejście do pensjonatu Blue Hill Guest House. Łodyna czekał w drzwiach. Sprawdził godzinę. Była punktualnie piętnasta. Jak przystało na przeciętnego turystę, miał na sobie błękitne dżinsy i lnianą, granatową, rozpiętą do połowy koszulkę w małe palmy. W dłoni trzymał zieloną butelkę piwa z niebiesko-czerwoną naklejką i napisem „SeyBrew”. Jedyne wnikliwy obserwator mógłby dojść do wniosku, że nieco nie pasują do tego stroju trekkingowe półbuty Timberland. Gdy drzwi się otworzyły, Marcin nachylił się i spojrzął na kierowcę. Była nim Caroline, tym razem w kolorowej koszuli z wywiniętymi rękawami, w białych dżinsach i białych sneakersach. Marcin pociągnął łyk piwa i zbliżył się do samochodu.

– Zapraszam – rzuciła kobieta, opuszczając jednocześnie swoje okulary typu Ray-Ban Aviator w złotych oprawkach z przyciemnianymi szklami.

– Niewielkie wyspy, niewielki samochodzik – skomentował Łodyna, siadając obok Caroline.

– Niewielki, nierzucający się w oczy, a w dodatku ponad sto trzydzieści koni mechanicznych w silniku. – Uśmiechnęła się i zapytała: – Odpoczęliście trochę?

– Tak. Nawet zrobiłem kilka basenów. Pokój fantastyczny. Widok fantastyczny. Ewa siedzi teraz na basenie z połówką tego specjału, lodoicji seszelskiej, wypełnionego sałatką z krewetkami, kalmarami i cholera wie czym jeszcze. Popija to jakimś drinkiem w przeciętym kokosie z parasolką i fioletowym kwiatkiem. W każdym razie jest zadowolona.

– Lodoicja seszelska to najcięższy owoc świata. Czasami bywa wielka jak dynia.

– Tak. Obsługa zdążyła nam już to wyjaśnić. Dziękuję ci, Caroline, za to miejsce. Wiesz, mieliśmy ostatnio z Ewą...

– Nie ma sprawy. Rozumiem – przerwała. – Posłuchaj: W schowku masz smartfon z miejscową kartą i zapisanym numerem jedynie do mnie oraz kopertę z pieniędzmi. Powinno starczyć. Jest tam również broń. Niewielki glock 42, najmniejszy pistolet, jaki tu mamy, no i dwa magazynki. Więc w sumie niewiele, bo osiemnaście naboji. Ale to ostateczność, jak rozumiesz.

– Rozumiem – odpowiedział, wyjął smartfon, kopertę i pistolet.

Broń wcisnął za grubą, cordurowy pasek, który towarzyszył mu od pobytu w Iraku na każdym wyjeździe, nie tylko służbowym.

– W torbie za tobą jest sprzęt, o którym rozmawialiśmy w Lublinie.

Łodyna odwrócił się i sięgnął za swoje siedzenie. Wyciągnął stamtąd dużą torbę z płótna żeglarskiego w granatowe pasy i szmaragdowe wzory z wielkim wizerunkiem żółwia w tej samej kolorystyce.

– W takiej torbie taki sprzęt?

– Przynajmniej nie rzuca się w oczy. Tu każdy z taką idzie na plażę albo z plaży wraca – powiedziała i uśmiechnęła się.

– Zatrzymajmy się na chwilę. Pomożesz mi zapiąć mikrofon z mikroportem. O, są też dwie kamery z rejestratorami. Trzeba będzie jakby co zrobić kamuflaż. Ale to już *ad hoc*, w zależności od warunków terenowych. Skaner z tabletem, podręczny wykrywacz metalu, kable łączące, ładowarki, tubka kleju szybkoschnącego – wymieniał, przeszukując wnętrze torby.

– Zastanawiałam się, czy naprawdę to wszystko jest potrzebne.

– Skoro szukamy skarbów... – zaśmiał się i nasunął na nos swoje przeciwsłoneczne okulary Mont Blanc z granatowymi szklami. – Może nieodzowne będą zakupy narzędzi typu łom, szpadel, maczeta. Na co liczę – dodał już pod nosem.

Caroline przyhamowała na wysokości kilkupiętrowego budynku z czerwonym, czterospadowym dachem. Minęli Victoria Clock Tower – wskazówki na białym cyferblacie pokazywały kilka minut po piętnastej.

– Jest wolne miejsce! – rzuciła i zatrzymali się pod sklepem Creole z szyldem ozdobionym wielkim, białym kwiatem.

– Zostawimy tu samochód. Do ich sklepu mamy niedaleko, ze dwieście jardów. Przejdziemy przez pasaż. Między straganami na wszelki wypadek się sprawdzimy. Teraz pomogę ci z tym mikroportem – powiedziała Caroline.

– Ustaliliście coś wcześniej? – zapytał Marcin, poprawiając ukryty mikrofon.

– Cały czas obserwujemy ten sklep. Jej męża, czyli tego twojego... Miszy, tam nie ma i dzisiaj nie będzie. Tak wynika z ostatnich ustaleń. Za to ona jest na miejscu – odpowiedziała. – Spójrz na to. – Caroline pokazała na wyświetlaczu smartfona zdjęcia około trzydziestoletniej Kreolki.

– To ta Jeanine? – spytał. Caroline przytaknęła. – Piękna kobieta. Naprawdę piękna. Ładnie zbudowana. Nie dziwię się temu Miszy, że się nią zaopiekował.

– Jest po paru zabiegach chirurgicznych w Dubaju...

– Czyli było ją na to stać. Hmm... Znaczy, biedy nie ma.

– To co, ruszamy?

Otworzyła drzwi i oboje opuścili samochód. Szli nagrzanym od słonecznych promieni betonowym trotuarem, mijając co chwila turystów mówiących w różnych językach, odwiedzających liczne sklepy z szyldami typu „Gifts & Souvenirs”. Z głównej arterii skręcili w boczną uliczkę, gdzie szum stojących w korku samochodów był mniej słyszalny. W końcu doszli do pasażu. Tamtędy, klucząc między kolorowymi straganami pełnymi owoców i warzyw sprzedawanych przez korpulentne Kreolki, dotarli do bud oferujących niebieskie i zielone ręczniki z wizerunkiem znanego już Marcinowi zółwia. Przeciskając się wśród lad zawałonych wzorzystymi szaszetkami, torbami i workami, nagle się zatrzymali. Marcin rzucił do Caroline:

– Czekał, kupię ten mały worek żeglarski. Zobacz, jakie ma piękne kolory. Może mi się przyda. – Dał jej ledwie widoczny znak głową.

Oglądając inne przedmioty, dyskretnie lustrował otoczenie, w czym sekundowała mu Caroline. Złożywszy zakupiony worek, Marcin i Caroline po chwili ruszyli dalej. Przy straganie z czerwonymi i niebieskimi plecionymi koszykami skręcili w prawo.

– Już dochodzimy – powiedziała Caroline. – Gówniane było to sprawdzenie. Powinniśmy się bardziej przyłożyć. Ale czas nas goni. Zresztą może to sprawdzanie się jest w ogóle niepotrzebne? – dodała.

– Zawsze jest potrzebne. Też mnie to martwi. Dwadzieścia minut w takich warunkach to raczej symbol, tylko dla naszego lepszego samopoczucia, a nie po to, by wykryć ewentualną obserwację. A ci twoi sprzed sklepu nic nie wyłapali?

Caroline pokręciła głową i powiedziała:

– Daliby znać. Jak będziemy wewnątrz, mają być szczególnie czujni.

– Jak ważki – powiedział pod nosem i włączył mikrofon.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów stanęli przed witryną dużego sklepu, nad którym widniał napis na niebieskim tle „Folies des Iles”. Marcin szybko się zorientował, że nie był to zwykły kram z pamiątkami z wysp. Jego wystrój oraz wystawione za szybą przedmioty stawały go w hierarchii wyżej od widzianych dotychczas na ulicach Victorii.

Dochodziła piętnasta trzydzieści. Caroline i Marcin weszli do środka.

Ubrana w białą, obcisłą sukienkę Jeanine Kirsipuu krzątała się wewnątrz, pokazując coś dziewczynie stojącej za ladą, która układała w rzędzie opatrzone czarnymi nakrętkami brązowe słoiczki z kremem z oleju kokosowego. Nad obfitym biustem Jeanine, na złotym łańcuszku błyszczał wisiorek w kształcie wyspy Mahé. Z głośnika dała się słyszeć przeciągła zapowiedź-przerywnik lokalnej stacji radiowej: „Paradise FM, Paradise FM”, a potem popłynęła charakterystyczna muzyka przypominająca Marcinowi tę znaną mu z Karaibów.

– W czym mogę państwu pomóc? – zapytała z uśmiechem Jeanine po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem. – Może *virgin coconut oil* albo szampon czy odżywkę tej samej firmy Mahe Bleu? – Z wdziękiem wskazała na rząd słoiczków oraz butelek takiego samego koloru.

– Nie, dziękujemy. Interesuje nas... – Caroline urwała i spojrzała na kobietę.

– Może złota biżuteria firmy Sesel. Oryginalna... *made in Seychelles*. Taka na przykład. – Przyłożyła delikatnie dłoń do dekoltu, wskazując swój wisiorek.

– Ładnie się prezentuje na takim... tle – wtrącił Marcin. – Ale może są również inne kształty? Na przykład wyspy La Digue.

Kreolka spojrzała na Łodynę, uśmiechnęła się zalotnie, wysunęła szufladę i zaczęła szukać. Po chwili wyjęła i położyła na drewnianym blacie wisiorek o kształcie wskazanym przez Marcina.

– Proszę mi pokazać, pani...?

– Jeanine. Proszę się tak do mnie zwracać.

– Proszę mi pokazać, pani Jeanine Kirsipuu... – Marcin zawiesił głos i spojrzał na lekko zaskoczoną kobietę. – Proszę mi powiedzieć, wskazać – dotknął wisiorka palcem – w którym miejscu na La Digue znajdował się dom... Andrieja Woronowa?

Uśmiech zszedł z jego twarzy. Caroline także nie uśmiechała się już miło.

– Ale... ale... nie rozumiem, o czym państwo mówicie. Ja nie znam nikogo takiego. Czego...

– Jasne, że go nie znasz... już, bo nie żyje – przerwał jej Łodyna. – Byłaś może nawet świadkiem tego, jak zginął. Zapewne również widziałaś, jak był torturowany.

W wielkich oczach Kreolki pokazały się łzy, które po chwili spłynęły po policzkach. Patrzyła tępo przed siebie. Była jakby sparaliżowana. Caroline nachyliła się do niej lekko i szepnęła:

– Jeanine, proszę się uspokoić. Nic pani z naszej strony nie grozi. Niech pani zawoła sprzedawczynię i zrobi jej godzinną przerwę. Bardzo proszę – powiedziała Caroline i podała jej jednorazową chusteczkę.

Marcin zaczął rozmawiać ze sprzedawczynią, prosząc ją o podanie dwóch słoiczków oraz dwóch butelek z szamponem i odżywką. Ukradkiem zerkał na

rozmawiające kobiety. Po chwili sprzedawczyni została przywołana przez Jeanine. Właścicielka coś jej powiedziała, a ta szybko wyszła ze sklepu.

– Możemy gdzieś usiąść? – zapytała Caroline.

– Tak, proszę za mną – powiedziała Jeanine już spokojniejszym głosem. – Tu kiedyś była restauracja. Postanowiliśmy z Michałem zostawić jej część na zapleczu...

– Raczej z Miszą – ironicznie wtrącił Marcin, ale kobieta najwidoczniej nie zrozumiała.

W pomieszczeniu, do którego weszli, znajdowały się trzy stoliki z blatami o nieregularnych kształtach zrobionymi z litego drewna. Przy nich stały po cztery krzesła wykonane z takiego samego drewna. Marcin pomyślał, że wnętrze sprawia wrażenie żeglarskiego klubu, jakiejś mesy w marinie. Popatrzył na lampy sygnalizacyjne zapewne ze starych statków, jachtów czy kutrów, zamienione teraz na lampy oświetleniowe, a potem na kamienną podłogę i na drewniane kratki w oknach zastępujące żaluzje. Podszedł do wyjścia na pełne soczystej zieleni patio z ciężkimi drzwiami prowadzącymi zapewne na sąsiednie podwórko. Nacisnął klamkę. Były zamknięte. Wrócił i przysiadł się do kobiet.

– Nikogo nie ma. Z patia jest przejście na inne podwórko, jakby co – powiedział oschle.

Jeanine miała spuszczoną głowę. Znowu płakała. W pewnym momencie powiedziała:

– Ale ja nie zamordowałam Andrieja. Nikogo nie wynajęłam. To wszystko nieprawda. Oszczerstwa miejscowej policji, z którą Andriej miał jakieś kontakty... Jeszcze sprzed wielu lat... Zanim mnie poznał... – Zaczęła pociągać intensywnie nosem. – Nie zabiłam nikogo. Te pieniądze... – przerwała.

– Posłuchaj, nie interesuje nas, czy zabrałaś jakieś pieniądze z domu Woronowa i ile ich było. Szukamy czegoś, czego...

– ...czego szukali tamci? – Tym razem to Kreolka wciąła się w słowo.

– Tak! Tego samego. Powiedz nam, o co pytali i co zabrali z domu?

– Zabrali jakieś kosztowności, jakieś obrazy, które znajdowały się w sejfie. Nie wiem dokładnie.

– Skąd wiesz, że obrazy? – zapytał Marcin.

– Andriej czasem mi je pokazywał. Wydawały się stare, niektóre przedstawiały jakichś świętych.

– Były zawsze te same?

– Nie, różne. I różne medaliony, z jakimiś niewyraźnymi rysunkami na nich. I pamiętam, o takich nierównych krawędziach. Miał tam też męskie pierścionki. Nazywają się chyba... sygnety. Prosiłam, żeby mi jeden dał, ale nie chciał.

– To skąd one się tam brały? Te rzeczy – drążył Marcin.

– Nie wiem. Miał je po prostu. Może ktoś mu przysyłał? Może miał je gdzieś ukryte i sam przywoził? Naprawdę nie wiem.

– A wracając do tego, czego szukali ci...

– ...Rosjanie – dokończyła Jeanine.

– Skąd wiesz, że Rosjanie?

– Mówili tym samym językiem co Andriej. No i Michael też tak twierdził.

– Jeanine, powiedz mi, czy w domu, w łóżku też mówisz do niego Michael, czy raczej Misza? – zapytał poirytowany Marcin. – Wiesz, kim on jest?

– Pochodzi z Estonii.

– Tak, ze... sroni – rzucił po polsku, a Kreolka i Caroline spojrzały na niego pytającym wzrokiem. – Ten twój Michael był ochroniarzem Andrieja? – Kreolka kiwnęła głową. – No i widzisz, Jeanine, wszystko jasne.

– Pamiętasz, o co pytali Woronowa? – powiedziała Caroline i dotknęła delikatnie jej dłoni.

– To było straszne. Naprawdę straszne. Co oni mu robili, co mi robili. Do dzisiaj mam koszmary. Michael wtedy, tego dnia, akurat pojechał do portu sprawdzić, czy nic się nie stało z jachtem po ostatniej burzy. Choć jacht to zbyt dużo powiedziane. Taki stary, dwumasztowy, drewniany kecz. Koło La Digue Marina mieliśmy niewielki magazyn, taki murowany domek z blaszanym, czerwonym dachem, ale bez okien, tylko z trojgiem drzwi. Zaraz przy przystani, po lewej stronie, blisko sklepu i stacji benzynowej. Widać go nawet z wody. Trzymaliśmy tam żagle, benzynę, różne zapasy na rejsy, jedzenie w puszkach, wodę w butelkach, ubrania... – Znowu pociągnęła parę razy nosem. – Andriej mówił, że jakby coś...

– Jakby co? – rzuciła Caroline.

– No jakby trzeba uciekać, to właśnie tym jachtem. Klucz do magazynu był schowany pod kamieniem, z tyłu budynku. I po tym wszystkim ja właśnie tam uciekałam. Najpierw do tego magazynku. Potem spotkałam Michaela. Opowiedziałam mu o tym, co się zdarzyło. On nawet pojechał do domu samochodem, ale tamci już zniknęli. A potem...

– Skupmy się na razie na zabójstwie Woronowa. O co pytali ci zabójcy?

– Nie jestem pewna, ale mówili coś podobnego do słów angielskich i francuskich *documents*, tylko z inną końcówką, inaczej. I chyba... chyba coś podobnego do *archives* czy *les archives*. Ale on im nic nie powiedział. Tak mi się wydaje. – Rozplakała się.

– Jeanine, a gdzie jest teraz twój mąż? – zapytała spokojnie Caroline.

– Poleciał na Praslin i La Digue po towar do sklepu. Będzie pojutrze rano, bo ja mam umówionego lekarza w tym czasie. – Uśmiechnęła się ledwie

widocznie i wskazała dłonią na swój lekko wypukły brzuch. – Przepraszam, może podam coś do picia.

Wstała i poszła do lodówki przy dawnym barku.

– Caroline, słyszałaś, gdzie Misza poleciał? Na La Digue. A może oni jednak coś odkryli z tą lalunią, tylko gdzie indziej. I teraz czasami podbierają to i owo, żeby sprzedać. Ale widać, że Misza jest myślący i nie rusza na razie trefnego towaru, który wskazały na nich.

– A może właśnie ruszył, gdzieś to wyszło i informacja dotarła do Rosjan. Tylko nie wiedzieli, gdzie się ukryli, i dalej szukali tropów... – przerwała, bo Jeanine szła z tacą, na której był dzbanek z sokiem ze świeżo wyciskanych owoców i trzy szklanki.

– Jeanine, wracając do tematu, może on, twój mąż, powie nam więcej? Może on coś wie o tych dokumentach? – kontynuowała Caroline.

– Może. Nie wiem. Przed sprzedażą domu Andrieja przeszukaliśmy go dokładnie. Nic nie znaleźliśmy. Z tydzień szukaliśmy. W każdym zakamarku. Michael kupił nawet wykrywacz metalu...

– Słyszysz? – przerwał jej Marcin i popatrzył na Caroline. – Przepraszam, mów dalej, Jeanine.

– Zrywaliśmy podłogę, wszystko, co się dało. Dom i tak był w złym stanie i później go rozebrali. Michael asystował nawet przy tej rozbiorce. Dogadał się z nowym właścicielem, mówiąc, że ma do tego miejsca sentyment, że chce być przy jego końcu i takie tam. – Pociągnęła nosem.

– A Woronow nigdy nic ci nie opowiadał o tych dokumentach czy o ukrytych kosztownościach? Może czasami mówił coś, czego nie rozumiałaś? – zapytał tym razem Marcin.

– Bo ja wiem... – Jeanine wysmarkała nos w kolejną chusteczkę. – Andriej, jak czasem mocno popił, to zawsze mówił tak niezrozumiale, brzmiało to jak *t'a la gniaque* albo *niquer*?

– A co to znaczy? – Marcin spojrzał na Caroline, a ta nachyliła się do jego ucha i po polsku powiedziała:

– To po francusku. Pierwsze wyrażenie, brzmiące jak *talniak*, znaczy, powiedzmy: „jesteś genialny”, a drugie, *nik*, oznacza „pierdolić”.

Marcin kiwnął głową i spojrzał na Jeanine.

– Obstawiam to ostatnie. W każdym razie wszystkie drogi prowadzą na La Digue. Tak myślę. Tam coś musi być... – Potem, mówiąc cały czas do Caroline po polsku, dodał szeptem: – Trzeba pogadać z jej mężem. Misza się ucieszy, jak znowu się ze mną spotka.

Godlewski kilka razy powoli, wręcz flegmatycznie potaknęła, wyginając przy tym usta w charakterystycznym grymasie. Potem zwróciła się do Kreolki:

– Jeanine, proszę nikomu nie mówić o naszej wizycie. Będziemy tu pojutrze rano... – Nagle urwała i sięgnęła do torebki po smartfon, wyjęła go, nacisnęła zielone kółko i przyłożyła komórkę do ucha. Po sekundzie szybko zerwała się z krzesła, ruszyła w kierunku wejścia do sklepu i stanęła metr przed witryną. Po chwili dołączył do niej Marcin. Caroline rzuciła do telefonu:

– Zrozumiałam. Wychodzimy – spojrzała na zegarek – nie wcześniej niż za pięć minut. Czekajcie. – Potem zwróciła się do Marcina: – Nasi na *cover site* zaobserwowali dwóch facetów w czarnej kii sportage i kolejną dwójkę w granatowej hondzie civic. Podjechali, jak weszliśmy do sklepu. Według nich obserwują nas. W tym pierwszym samochodzie siedzi starszy mężczyzna w metalowych okularach, a obok jako kierowca czterdziestolatek w czarnej koszulce polo.

– Kurwa. Klimow i ten koleś ze Świnoujścia, Lidzbarka i Pasterki – rzucił Marcin.

Caroline przytaknęła i powiedziała:

– Później to wszystko sprawdzimy. Każdego z nich.

– Później to będzie... Rozumiem, że już macie konkretne wskazania, kto jest ich agentem. Jak was znam, to teraz potrzebujecie jakiegoś definitywnego dowodu – stwierdził z przekąsem. – Załatwi się – dodał już do siebie pod nosem, wyjął zza paska pistolet, sprawdził magazynek i schował broń ponownie.

Caroline wróciła w tym czasie do zupełnie zdezorientowanej Jeanine.

– Co się dzieje? – spytała zaniepokojona kobieta.

– Jeanine, kiedy my wyjdziemy ze sklepu, ty wymknij się przez patio.

– Ale dlaczego? Nie rozumiem! Dlaczego?

Caroline złapała ją za ramiona:

– Jeśli chcesz żyć, nie przychodź do sklepu i nie wracaj też do domu. Skontaktuj się z Michaelem, ale nie ze swojego telefonu. Pamiętaj, nie ze swojego! Powiedz mu, żeby się gdzieś ukrył. Przekaż mu też, że ci, którzy zabili Andrieja, wrócili. Niech wyłączy swój telefon. Ty również nie korzystaj ze swojego po rozmowie nim.

– Co?! – Jeanine zaczęła płakać i trząść się.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Zadzwonił za trzy dni na ten numer telefonu, ale też nie ze swojego smartfona. – Caroline wręczyła kobiecie wizytówkę, taką samą jak wcześniej Marcinowi. – Wiesz, gdzie to jest? – Kobieta przytaknęła. – Aha, jeszcze jedno. Zatelefonuj także do swojej pracownicy. Powiedz, że musisz lecieć natychmiast do... Dubaju. Niech ona zastępuje cię przez kilka dni.

Caroline spojrzała na zegarek i powiedziała już spokojnie:

– Zaraz powinna tu być. Uciekaj. W tym krótkim czasie nikt nic stąd nie ukradnie. Czy wszystko zrozumiałaś?

– Tak. Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Uciekaj natychmiast. Pamiętaj, nie jesteś już sama. Żyjesz też dla dziecka, które nosisz pod sercem. – Caroline przytuliła ją, pogłaskała kilka razy po długich kruczoczarnych włosach i odwróciła się.

Po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi prowadzących na patio.

Rozdział 29

Victoria, wyspa Mahé, Seszele – jesień 2017

– Marcin, masz włączony telefon, który dostałeś ode mnie?

– Caroline, no co ty! W czasie roboty? W tych czasach? W ogóle go jeszcze nie odpaliłem.

– Ja dopiero tutaj, po wejściu do sklepu – odpowiedziała i pokręciła głową.

– Czyli mamy jasność – stwierdził Marcin. – Nie tyle doszli tu za nami, ile po prostu za tobą jechali. Ktoś cię wystawił. Potrzebujesz jeszcze jakiegoś dowodu?

– *Fuck! Fuck!* – powiedziała Caroline ze złością, uderzając we framugę wejściowych drzwi.

W tym momencie zauważyła sprzedawczynię idącą spieszenie w stronę sklepu. Spojrzała na zegarek. Minęło osiem minut od chwili, gdy dostała informację od ekipy obserwacyjnej.

– Skoro nas śledzą, to wyglądamy przynajmniej na turystów. Chociaż trochę ich zmylimy, w każdym razie tych z hondy civic – rzucił Marcin.

Jednym ruchem wziął z półki przy drzwiach białą poduszkę z wyhaftowanym pomarańczowym ptakiem przypominającym sikorkę i z kolorowym, stylizowanym napisem „Seyschelles”, po czym wręczył ją Caroline. Sam zabrał z blatu butelki i słoiki, które wcześniej oglądał, a które pozostały na ladzie. Popchnął drzwi i opuścili sklep.

Po kilkunastu metrach minęli sprzedawczynię. Przeszła obok bardzo szybkim krokiem, chyba ich nie poznała. „Może Jeanine już do niej telefonowała” – pomyślała Caroline.

Szli teraz do samochodu krótszą drogą. Starali się zachować równe tempo niewskazujące na to, że się spieszą. Marcin kątem oka zauważył Klimowa kryjącego twarz pod białym kapeluszem i za okularami oraz towarzyszącego mu kierowcę w czarnej koszulce polo. Gdyby nie informacja z punktu zakrytego, nie poznałby ich z tej odległości. Nie wykazywali żadnego zainteresowania ich obecnością. Siedzieli nieruchomo. Natomiast kierowca i pasażer hondy jakby

się ożywili. Widząc ich, uruchomili silnik auta. „To oni ruszą za nami albo na nas?” – przeleciało Marcinowi przez głowę. Trochę go ta myśl zmroziła. Przez moment poczuł jakąś bezradność, jakby ustawiono go na strzelnicy jako tarczę. Jak wtedy, kiedy wybiegł przed dom Karola Zendera i kiedy próbowali go przejechać, gdy biegł do samochodu i stanął bezradnie na skrzyżowaniu ulic. Czuł wówczas, że traci siły, że nic nie może zrobić, że to przez niego zginął pan Karol. Wszystkie te myśli o bezradności czy słabości powstrzymała jednak zaraz inna: o glocku tkwiącym za paskiem spodni. Spojrzał na Caroline ściskającą w dłoni poduszkę. „W torebce też pewnie trzyma coś konkretnego. To doświadczona oficer. Po matce, a zwłaszcza po ojcu ma to przecież w genach” – uznał i poczuł się nieco pewniej.

Dopiero teraz Marcin zwrócił uwagę, że zrobiło się parniej i cieplej. Ruch na ulicy jakby zelżał, choć wciąż sporo było spieszących się tu i tam małych samochodów wszelkich azjatyckich marek. Prowadząca ich obserwację granatowa honda civic mocno się wśród nich wyróżniała. To było dla obserwowanych duże ułatwienie. Przy Albert Street minęli po prawej centrum handlowe, po lewej zaś kolejny sklep z pamiątkami, który różnił się od innych tym, że miał większą ofertę kolorowych, drewnianych rzeźb przedstawiających ryby, koniki morskie, kraby czy żółwie. Zatrzymali się na moment przed wystawą.

– Jadą. Wyłapałem ich przy centrum handlowym – powiedział Marcin, a Caroline przytaknęła i wskazywała dłonią coś w witrynie.

– Musimy urwać się im za wszelką cenę. Bezwzględnie – rzuciła chłodnym, beznamiętnym głosem. – Już widzę nasz samochód. Oni wiedzą, że go mamy.

– Ale nie wiedzą, że my wiemy, że oni tu są... Przynajmniej jeszcze na tę chwilę – uzupełnił jej ocenę sytuacji Marcin.

Kobieta włożyła rękę do torby i wyłączyła znajdujący się wewnątrz smartfon.

– Dobrze, że teraz to robisz. Jeśli mają dostęp do tutejszej sieci poprzez ten ich nowy system inwigilacyjny, którym nas szpiegowali, a zakładam, że mają, to jest na to najlepszy moment – przyznał Marcin. – To nawet wprowadzi trochę zamieszania.

Po chwili ruszyli dalej. W końcu dotarli do skrzyżowania ze znaną im białą wieżą zegarową pośrodku. W pewnym momencie Marcin gwałtownie pociągnął za rękę Caroline, która nie kryła zaskoczenia.

– Marcin! Bo...

– Biegnij ze mną, między samochodami, jak miejscowi! Tamci zatrzymują się na skrzyżowaniu! To da nam w sumie z kilkadziesiąt metrów przewagi więcej ponad aktualny dystans! – wyrzucił szybko z siebie. – Jeszcze parę kroków.

Dotarli na chodnik. Po kilkunastu metrach byli przy suzuki. Caroline sprawnie wsiadła i uruchomiła od razu silnik. Marcin prawie wskoczył do środka. Ruszyli dosłownie w momencie zatrzaśnięcia przez niego drzwi. Ich auto, jadąc State House Avenue, oddaliło się od hondy na prawie sto metrów.

– Gdzie jedziemy? – spytał Marcin.

– W stronę gór, na parking ogrodu botanicznego. To niedaleko. Tą drogą ze dwa i pół kilometra, ale pojedę jeszcze wyżej, w kierunku rosyjskiej ambasady. Tam jest sporo małych, stromych uliczek między rezydencjami. Może ich zgubimy.

– Masz dobrą orientację w terenie. Pracowałeś już tutaj?

– Tak, jakiś czas temu.

– Kiedy wam się urwał temat z medalionami?

Przytaknęła.

– Poza tym... z Isabelle i naszymi rodzinami byliśmy tu na wakacjach ze dwa lata temu – wyjaśniła Caroline.

– Jak wy to nazywacie? *Operational environment*.

– Tak. Czyli po polsku... sytuacja wywiadowcza terenu. Tak określicie to wy, prawda? – spytała, a Marcin kiwnął głową. – Pościgamy się z towarzyszami *razwiedczikami*. Może na początek uda się ich zgubić... naturalnie. A potem zobaczymy. – Uśmiechnęła się pierwszy raz od wizyty w sklepie państwa Kirsipuu.

– Jasne.

– Marcin, przy Wildflour Café po drugiej stronie ogrodu botanicznego mam zaparkowany następny samochód. Taki był plan awaryjny na wypadek podobnej sytuacji – powiedziała, a stutrzydziestopięciokonny silnik suzuki zawył głośniej.

– Nie uprzedziłaś mnie o tym! – Marcin przekrzykiwał wycie wspinającego się wyżej auta.

– Nie było potrzeby. Zerknij, czy ich widać? – Caroline skrzyła ostro w prawo w Bel Air Road.

Marcin się obejrzał. Odruchowo spojrzął najpierw na ocean, na kilka rozrzuconych wysp, port ukryty za zielenią i niską zabudową, a dopiero potem jakby się ocknął i jego wzrok powędrował ku skrzyżowaniu, które niedawno minęli. Tam z podobnym jak wcześniej w ich wykonaniu wyciem silnika i odgłosem ostrego hamowania przed wejściem w zakręt pokazała się granatowa honda.

– Są. Jakieś siedemdziesiąt metrów za nami. Mocno dają po garach, pieprzeni towarzysze.

– Nie szkodzi. Z naszego samochodziku da się wycisnąć jeszcze więcej.

Na wysokości cmentarza wzięła ostry zakręt w lewo, ku niewielkiej serpentyinie.

– Zrobimy im teraz psikusa. Tak jak ci mówiłam, pojedziemy koło ich ambasady. Taka mała prowokacja.

– Ostra jesteś, Caroline. Jakies prywatne porachunki? Czy takie zadanie na tę okazję?

– Czasami tak trzeba. Sprawa dziedzictwa. Mama opowiadała mi kiedyś o waszych numerach z lat osiemdziesiątych, kiedy w Warszawie ganił się z waszą obserwacją.

Wyjechali na prostą, ale idącą w górę Serret Road.

– Z Betką, czyli Biurem B MSW, Wydział Drugi – skomentował Marcin.

– Jesteś historycznie zorientowany, jak widzę. – Znowu się uśmiechnęła.

– Pracowałem z niektórymi z tego Wydziału, to mi co nieco o was opowiadali... Także o waszych, a teraz już naszych sojusznikach, amerykańskich, niemieckich, a nawet duńskich.

– Ciekawe. Chętnie kiedyś posłucham – stwierdziła Caroline i znowu weszła ostro w lewy zakręt.

Marcin spojrzął w tylną szybę samochodu.

– Trzymają się nas cały czas. Dobry kierowca. Ale nie mogą nas na razie dopaść. Słuchaj, to mi wygląda coraz mniej na obserwację, a coraz bardziej na pościg. – Spojrzął na skupioną Caroline.

Po kilkunastu minutach ostrej jazdy wąskimi uliczkami zatoczyli prawie koło i skierowali się w stronę ogrodu botanicznego. Zwolnili i skręcili w prawo, a potem zaraz w lewo. Zatrzymali się na parkingu.

– Zabieraj wszystko ze sobą i idziemy. Tam z tyłu są dwie apteczki taktyczne. Pospiesz się. Może ich tutaj zgubimy.

Marcin bez namysłu rozwinął worek żeglarski i wrzucił do niego torbę z żółciem, kosmetyki i poduszkę Caroline, następnie apteczki oraz futerał ze zdjętym wcześniej mikroportem i mikrofonem. Wyjął z kieszeni dwa magazynki i też wrzucił do worka, żeby łatwiej mu było iść. Broń tym razem umieścił z przodu. Pasek worka przełożył przez ramię, a sam worek zarzucił na plecy. Miał wolne ręce. „Kamizelka z płytami pancernymi to nie jest, ale jakby co, zawsze trochę ochroni” – pomyślał, choć wydało mu się to strasznie głupie. Ruszyli wąską, asfaltową alejką prowadzącą wzdłuż palm i drgających na lekkim wietrze kęp wysokich ozdobnych traw wyrastających z równo przystrzyżonego trawnika. Marcin czuł, że powietrze jest tutaj lepsze, że jest czym oddychać, nie ma takiej wilgoci, a i wiaterek znad gór daje poczucie chłodu.

Posuwali się pod górę, udając co jakiś czas, że podziwiają te czy inne rośliny, zerkali z niepokojem w dół. Mijając przeszklony pawilon z wysokim,

dwuspadowym dachem, zauważyli na końcu alejki szybko idących, w zasadzie biegnących truchtem dwóch mężczyzn, którzy na moment przystanęli. Wyglądało, jakby się zagubili. Po chwili jednak dostrzegli Caroline oraz Marcina i ruszyli biegiem ich śladem.

– Co robimy? Oni chcą nas po prostu dopaść, nie obserwować! To chyba już dla ciebie jasne! – rzucił Marcin. – Nie odpuszczą Polaczkowi i egzaltowanej Angielce – dodał z sarkazmem.

– Na to wychodzi, Marcin. Coś się wydarzyło. Dostali jakąś informację. Musimy im się urwać albo...

– Albo oderwać się na stałe.

– Tak. Nie ma czasu. Skracamy w prawo – powiedziała i oboje pobiegli wąską ścieżką otoczoną tropikalną gęstwiną zieleni.

Marcin zdążył zauważyć, że prześladowcy zaczęli biec jeszcze szybciej i też ruszyli w zarośla.

– Caroline, jak nie załatwimy sprawy tutaj, to w kawiarni będzie dym, kiedy nas tam dopadną i kiedy zacznie się strzelanina.

– Dlatego albo teraz, albo będą problemy. – Wyciągnęła z torebki masywny pistolet SIG-Sauer P22 i dwa tłumiki. – Masz, jeden dla ciebie – krzyknęła i podała Marcinowi cylindryczny przedmiot. – Szybciej! Za tym wzgórzem powinien być staw!

– Caroline, wiesz, co to wszystko oznacza? – mówił, posapując. – Że wiedzą, z kim rozmawialiśmy, że wiedzą, iż Jeanine i Misza mogą coś ukrywać. To im się poskładało, tak jak nam.

– Zgadza się. I będą ich szukać aż do skutku – rzuciła, również ciężko oddychając ze zmęczenia.

Przebiegli przez łąkę niskich roślin z wielkimi liśćmi otaczających wystające z ziemi owalne głazy. Zatrzymali się, nasłuchując i jednocześnie dokręcając tłumiki do pistoletów. Oboje jakby na komendę przeładowali broń. Między dźwiękiem wydawanym przez liczne ptaki, jakimś kumkaniem dobiegającym ze stawu i pomrukami zbliżającej się burzy do ich uszu dotarł szelest rozchylanych gałęzi krzewów. Po chwili dołączyły do tego męskie głosy. Rozpoznali język rosyjski. Głosy mężczyzn stawały się coraz bardziej wyraźne. Marcin i Caroline spojrzeli na siebie. Marcin odsunął się od drewnianej, prowadzącej przez staw kładki w kierunku ciemnego głazu. Caroline podeszła kilka metrów do drzewa z wielkim pniem i ukryła się za nim. Nagle, całkiem blisko usłyszeli huk wyładowania atmosferycznego. „Zupełnie jak wtedy w Lidzbarku. Jaki zbieg okoliczności. Też było tak strasznie, nagle zrobiło się ciemno” – pomyślał Marcin i poczuł, jak spadają na niego pierwsze, wielkie, ciepłe krople deszczu. Potem szum kropli uderzających o grube i rozłożyste

liście gwałtownie się nasilił. Deszcz robił się z każdą chwilą chłodniejszy i intensywniejszy. Nie słyszeli już rozmowy Rosjan, mogli liczyć jedynie na to, że ich zobaczą. Ci jednak wciąż nie nadchodzili. Jakby coś ich zatrzymało.

Nagle podłużne liście bananowca i rosnące obok wysokie, czerwone kwiaty rozchyliły się. W strugach deszczu na kręty, kamienny chodnik wyszło dwóch ścigających. Jeden z nich trzymał w dłoni pistolet i uważnie się rozglądał, a drugi, nieco zdezorientowany, usuwał z twarzy kawałki liści, traw i błota. Wyglądało, że przed chwilą musiał się przewrócić. Przystanęli na moment, jakby się zawahali, gdzie dalej iść. Caroline i Marcin nie mieli wątpliwości, że byli to ich prześladowcy. Rosjanie zrobili kilka kroków w kierunku stawu i zrozumieli, że popełnili błąd. Ten pierwszy z pistoletem odwrócił się gwałtownie. Chciał podnieść broń, ale dwa strzały w pierś z sig-sauera odrzuciły go do wody. Upadł pomiędzy pokrywające całą powierzchnię stawu okrągłe liście i momentalnie zniknął pod wodą. Drugi mężczyzna zabloconą dłonią sięgnął pod wzorzystą, mocno ubrudzoną koszulę. Wyrwał zza paska taki sam pistolet, jaki miał jego kolega. Nie zauważył, że celuje w niego Marcin ukryty za owalnym głazem. Dwa głuche dźwięki i mężczyzna runął. Po chwili spod martwego ciała wypłynęły strużki krwi, mieszając się z namokniętą ziemią. „Zamiast ciebie powinien być tu koleś w koszulce polo” – pomyślał Marcin i spojrzał na Caroline, która tylko kiwnęła głową.

– Ruszamy. Szczęście nam sprzyja. Póki burza i ten deszcz... – przerwała.

Spojrzała w niebo, chowając jednocześnie broń do torebki.

– Rzeczywiście, można to nazwać szczęściem – stwierdził Marcin, odkręcił tłumik i podał go wraz z glockiem Caroline. – Weź tę broń. Masz coś jeszcze? Bo ta jest już trefna jak cholera. Przynajmniej na Seszelach.

– Tak, w samochodzie – odpowiedziała i ruszyli w kierunku Wildflour Café.

* * *

– Jak się rozpętała ta burza, to schowałam się pod dach na tarasie. Było cudownie, ten zapach świeżego powietrza, już bez tego okropnego gorąca. Widok ciężkich chmur przesuwających się nad oceanem i zielonymi wysepkami na horyzoncie – mówiła Ewa do wychodzącego spod prysznica Marcina. – Czy poświęcisz mi wieczór, czy sama będę napawać się tymi pięknymi widokami? – Wskazała dłonią na okno.

– Kochanie, nie wiem. Muszę coś przesłuchać. Daj mi, proszę, godzinę. Zamów coś do jedzenia do pokoju.

– A co chciałbyś? Bo widziałam menu. Poza sałatką w tej...

– Lodojcy – dokończył Marcin.

– Tak. Więc poza tym proponuję ci inną sałatkę: z ośmiorniczkami, wędzonym łososiem, jakąś lokalną rybą i mango. W końcu jesteśmy na tropikalnych wyspach. – Uśmiechnęła się, podeszła do Marcina i pogłaskała go po mokrych włosach.

– Niech będzie. Choć dzisiaj zjadłbym jakiegoś porządnego steka, wiesz, takiego od Mateusza, z grilla... – rozmarzył się. – Jak wrócimy do Polski, kochanie, to skoczmy nad Wisłę na grilla. Mamy jeszcze kilka steków w zamrażalniku po ostatniej jego wizycie u nas. A póki co zamów miejscowe specjały. I to tutejsze piwo.

– A które? Bo widziałam, że mają Mahe i La Digue. Naklejki prawie takie same, pewnie żadnej różnicy. Wezmę z sześć. Sama też się chętnie napiję dla odmiany po tych słodkich, kolorowych drinkach – stwierdziła i dodała: – Mógłbyś się mimo wszystko trochę mną zająć? W takim pięknym miejscu jesteśmy. Choć chwilę poświęć mi i temu, co chciałabym ci powiedzieć. Ciągnęłam mnie tyle tysięcy kilometrów, żebym poszła zamówić kolację albo przynieść ci piwo? Naprawdę? – mówiła z lekkim żalem w głosie.

Marcin wydawał się nie słyszeć pretensji żony, myślami był najwyraźniej w zupełnie innym miejscu.

– To mówisz La Digue. Hmm... – zawiesił głos. Patrzył gdzieś w kierunku okna i dalej na ocean. – Weź ich więcej! Dwanaście. Dwa kartony.

Nagle zerwał się z miejsca. Natychmiast zaczął podłączać mikroport do tabletu, aby rzucić nagranie ze sklepu Jeanine. Po chwili założył słuchawki i włączył odtwarzanie. Ewa nic już nie mówiła. Zbyt dobrze знаła swojego męża, ten jego wzrok, to zachowanie. Wiedziała, że jest na czymś skupiony, że intensywnie o tym czymś myśli. Należało przeczekać. Stała przed lustrem, przejechała dłońmi po swoich piersiach w pomarańczowym bikini, a potem po brzuchu. Na chwilę zatrzymała je tam. „W sumie nieźle się trzymam. Przez te kilka dni dojdzie jeszcze opalenizna. Wzbudzi na pewno zazdrość dziewczyn w szpitalu! A jak pięknie będzie kontrastować z białym lekarskim fartuchem! Panowie doktorzy na kawę po pracy będą zapraszać i zapraszać” – rozmyślała, cały czas patrząc na siebie. Po chwili spojrzała na nieobecnego Marcina. Założyła na biodra czarno-białą chustę z wzorem przedstawiającym bulwar na Copacabanie, którą kupiła kilka miesięcy temu w Rio de Janeiro, i poszła zamówić jedzenie.

Zmrok, jak zazwyczaj blisko równika, zapadł momentalnie, a nadchodził zawsze o tej samej godzinie. Siedząc po lekkiej kolacji na tarasie obok Ewy, Marcin przypominał sobie, jak długo się do tego przyzwyczajał, gdy pracował na placówce w Caracas, i jak go to irytowało. Nigdy chyba nie zdołał tego do końca zaakceptować. Był zmęczony całym dniem. Zasnął, trzymając zieloną

butelkę z niebieską naklejką ozdobioną jakimś widoczkim i białym napisem „La Digue” na czerwonym pasku. Obudziła go dopiero Ewa, która namówiła męża, aby przeniósł się do łóżka.

* * *

Od samego świtu Marcin siedział znów nieruchomo w fotelu, kolejny raz odtwarzając fragment, kiedy to Jeanine mówi o Woronowie i o rzeczach z sejfu. Jednocześnie jakby bezwiednie wyjadał resztki sałatki przyniesionej dzień wcześniej przez obsługę do pokoju. Co chwila pociągał też nerwowo łyk piwa. Po kilkunastu odtworzeniach i trzech wypitych butelkach krzyknął:

– Mam! Mam!

Zaniepokojona Ewa poderwała się z łóżka.

– Co się stało, kochanie?

– Mam, mam – powiedział już spokojniej. – To żaden *talniak* ani *nik*. Żadne „jesteś genialny” ani „pierdolić” – powtórzył po polsku.

– O czym ty mówisz? – pytała Ewa.

– To pieprzony *tajnik*, czyli schowek. On tam jest! Pieprzony, *siekrietnyj tajnik* urządzony przez Woronowa – rzucił i zaczął się ubierać.

– Czyli, jak widzę, wieczoru nie spędzimy razem?!

– Spędzimy, ale jeszcze nie ten. Muszę gdzieś... Muszę gdzieś jechać.

– A chciałam ci coś ważnego, coś o nas powiedzieć...

– Jutro, pojutrze będzie po wszystkim. Proszę, zrozum mnie.

– Napisali ze szpitala. Anita wciąż na OIOM-ie. Bez zmian – oznajmiła zrezygnowanym głosem Ewa.

Marcin jakby nie usłyszał, co powiedziała. Skończył się ubierać, zapakował wszystko do suchego już worka żeglarskiego i chciał wyjść. Zatrzymał się jednak, odwrócił do Ewy i mocno ją przytulił.

– Jeśli zjawi się Caroline, to powiedz jej, że musiałem... że musiałem gdzieś jechać.

– Nie rozumiem.

– No powiedz, że musimy mieć pewność. Ona to zrozumie. Jutro wrócę. Tylko tyle. Jakby co, to ja skontaktuję się na twój prywatny numer. Ale to ostateczność – powiedział.

– Jakby co? – zapytała Ewa powoli ściszym głosem.

– Nie wiem. Jakby nic. Cofam to. Po prostu – odpowiedział poirytowany i wyszedł.

Taksówka przyjechała szybko. Po chwili był na niewielkim lokalnym lądowisku, o którym dowiedział się od właściciela pensjonatu. Tak się równocze-

śnie złożyło, że ów właściciel znał pilota niewielkiej cessny 172, który za dwieście euro miał zabrać go na Praslin. Pierwsza myśl, jaka go naszła, to aby lecieć regularnym lotem Air Seychelles. Mimo że to lokalne połączenie, nie był jednak pewny, czy nie ma tam jakiejś kontroli bezpieczeństwa. A wykrycie jego sprzętu, nie mówiąc już o broni, w kontekście wczorajszej strzelaniny w ogrodzie botanicznym postawiłoby go, delikatnie mówiąc, w trudnej sytuacji.

Po ponad dwudziestu minutach lotu znowu znalazł się na tej wyspie, na której wylądował z Anitą ponad dwadzieścia lat temu. I dopiero teraz, kiedy czekał w malutkim hyundaiu stojącym na czerwonym świetle i przepuszczającym lądujący dwusilnikowy, niewielki samolot z kolorowym ogonem, przypomniał sobie słowa Ewy:

– Anita wciąż na OIOM-ie. Bez zmian.

Ogarnął go jakiś smutek, dopadło sentymentalne wspomnienie. Poczł, że oczy zrobiły mu się trochę wilgotne. Założył na nos swoje granatowe mont blanki, nabrał głęboko w piersi powietrza i uśmiechnął się do przeszłości. W tym momencie światło zmieniło się na zielone. Samochód ruszył do znanej mu przystani. Marcin co chwila pospieszał kierowcę, bo czekając na taksówkę w pensjonacie Blue Hill, sprawdził, o której ma prom na La Digue.

Po prawie półgodzinie znalazł się nad zatoką Sainte Anne. Spojrzał na zegarek. Było jeszcze kilkanaście minut do wypłynięcia szybkiego katamaranu. „Mam kupę szczęścia. Udało się. Jeszcze tylko krótki rejs i za kolejnych kilkanaście minut jestem na miejscu” – pomyślał, po czym pobiegł w kierunku granatowej jednostki z wielkim napisem Cat Cocos oraz umieszczonym poniżej dopiskiem Isle of La Digue Star.

Rozdział 30

Wyspa Praslin, Seszele – jesień 2017

– Marcin, możesz mi w końcu powiedzieć, dlaczego zniknąłeś? Nie było cię dwa dni, kurwa! Miałeś wyłączony telefon! Nie tak się umawialiśmy! – Caroline była wyraźnie poirytowana.

– A nie pomyślałaś, że nie co dzień odpala się ludzi?! Że człowiek musi jakoś odreagować. Zabiliśmy dwóch facetów. I nie ma znaczenia, że biegli za nami z bronią. Może wcale nie chcieli nas załatwić?

– Masz wątpliwości?

– Mam i nie mam... Co innego, jak walili do mnie w Kurdystanie, w górach, co innego zaś jak... A zresztą...

– Zostawmy to. Mieliśmy pogadać z Michaelem...

– I co, pogadałaś? Dało się? Przecież poleciłaś, by się ukrył – przerwał jej.

– Gdy cię nie było, Jeanine skontaktowała się z nami i powiedziała, że Michael jest z nią i że pływają tym ich jachtem. Zrobili z niego swoją kryjówkę. – Niewielki turbośmigłowiec Havilland Canada DHC-6, którym lecieli Caroline i Marcin, podchodził właśnie do lądowania w Iles de Palmes Airport na wyspie Praslin. – Wieczorem ma zatelefonować do naszego człowieka w Victorii i powiedzieć, gdzie się spotkamy – dodała kobieta.

Marcin odpowiedział dopiero po paru chwilach:

– I nie zastanawia cię fakt, że właśnie tu się schowali z Jeanine? Tu, tak blisko La Digue?

– Na razie nie widzę związku. Ale myślę, że dowiemy się, o co chodzi. – Zamilkła, a po chwili wróciła do sprawy nieobecności współnika. – Jak ta twoja Ewa może z tobą wytrzymać. Nie denerwowała się, że cię nie było prawie dwa dni?

– Ufa mi. A co najważniejsze, rozumie mnie. Choć często nie kryje irytacji tym, co robiłem... co wciąż robię. Parę lat życia z oficerem polskiego wywiadu trochę ją zmieniło. To dzielna, wspaniała dziewczyna – odpowiedział.

W okienkach samolotu mignęły auta stojące na światłach na skrzyżowaniu drogi z torem podejścia do lądowania.

– Jesteś chyba takim męskim odpowiednikiem *femme fatale* polskiego wywiadu. Głupie porażki i wielkie sukcesy – mruknęła pod nosem Caroline.

– Słucham?

W tym momencie koła podwozia uderzyły o płytę lotniska. Poczuli lekki wstrząs. Dwusilnikowiec kanadyjskiej produkcji w barwach Air Seychelles zaczął hamować.

– Słuchaj, słuchaj – odpowiedziała po chwili Caroline. – Pracuje się z tobą świetnie. Ale krążąca o tobie opinia, że lubisz chadzać swoimi ścieżkami i czasami się w coś wpierdolić, jest celna.

– Ha, ha, ha, chodzę swoimi ścieżkami... Jak polski wywiad za komuny, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wcale nie współpracował z KGB na poziomie operacyjnym. Daj już spokój. Skupmy się na tym, co mamy zrobić. Będziesz mnie jeszcze przeproszać, zobaczysz.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciała.

Samolot zatrzymał się, silniki zamilkły, słyszeli jeszcze tylko szum powietrza powodowany przez kręcące się coraz wolniej śmigła.

* * *

– To niedaleko od lotniska, ze dwa kilometry. Hotel Britannia, jakbyś nie zauważył naklejki na drzwiach tego samochodu – powiedziała Caroline, wsiadając pierwsza do pojazdu.

– Całe szczęście, że jedynie dwa, bo jazda w tych małych samochodzikach jest niespecjalnie wygodna. W ogóle mam wrażenie, że otaczają mnie na tych wyspach chmary małych aut – powiedział Marcin i zamknął drzwi kii piccolo. – Zapomniałbym spytać: z kim się widzimy? Rezydent? Ktoś od was z centrali z Londynu?

– Zobaczysz. Ktoś, kto zna się na sprawie.

– Czyli?

Caroline nie odezwała się. Marcin widział, że myśłami gdzieś uciekła. Oboje milczeli przez ponad minutę. Pierwszy odezwał się Marcin:

– To może mi powiesz, czy słyhać coś o tych dwóch, którzy... zostali w ogrodzie botanicznym.

– Nasi ludzie ustalili, że miejscowa policja prowadzi postępowanie pod kątem porachunków mafii rosyjskiej i czeczeńskiej. Tym bardziej że jeden z nich pochodził z Groznego. I tę wersję swoim kanałem będziemy wspierać. No chyba że...

– Że co?

– Że Rosjanie nie powiedzieli ostatniego słowa i będzie jeszcze z nimi problem podobnej natury. Nasi ludzie szukają Klimowa i tego drugiego... Jak go nazywasz?

– Koszulka polo.

– A tak. Zniknęli na razie – powiedziała.

Kia skręciła w wąską uliczkę i zwolniła przed wjazdem na hotelowy parking.

– Britannia Hotel, Creole Restaurant – przeczytał Marcin cicho stylizowany napis ozdobiony wizerunkiem jachtu, ryby i ośmiornicy.

Samochód zatrzymał się przed niewielkim murkiem. Obiekt składał się w zasadzie z kilku dużych pawilonów podobnych do siebie architektonicznie. Wszystko tonęło w tropikalnej zieleni. Wysiedli. Caroline spojrzała na Marcina.

– Biała koszula, lniane spodnie *écru*. Tylko ten twój czarny plecak... taktyczny. No ale w sumie wyglądamy jak prawdziwi turyści na tropikalnych wyspach.

Marcin przytaknął i powiedział:

– Twoja opalenizna, rozpuszczone blond włosy, kremowe spodnie, ta obcisła bluzka, buty na wysokim koturnie, wielka torba od Versace też nieźle współgrają. – Tu zrobił chwilę przerwy i delikatnie chwycił kobietę za ramię. – Caroline...

– Tak?

Kobieta przełożyła wielkie, czarne, okrągłe okulary z nosa na włosy i spojrzała na Marcina, którego twarz przybrała wyjątkowo poważny wyraz.

– Wiem, gdzie Woronow zorganizował swój schowek.

– *What?!* Słucham?!

– Pamiętasz, jak Jeanine opowiadała, co Woronow zwykle mówił po pijaku? Caroline pokręciła głową.

– Nie, nie bardzo pamiętam. Coś bredził.

Marcin streścił jej w ekspresowym tempie to, do czego doszedł w wyniku językowej analizy i na podstawie własnych przemyśleń.

– Niesamowicie z ciebie facet, Marcin. *Chapeau bas!*

– *Tajnik* znajduje się na La Digue. Wiem gdzie – powiedział i puścił ramię Caroline. – Zdaje się, że teraz jesteśmy już naprawdę blisko.

Skierowali się do jednopiętrowego budynku z podcieniami, przed którym rozstawiono wielkie donice z egzotyczną roślinnością. Przeszli obok recepcji i udali się prosto do restauracji. Zajmowała ona część otwartych podcieni. Minęli niskie ogrodzenie z drewnianych pieńków oddzielające lokal od hotelo-

wego lobby. Przy jednym ze stolików siedziało dwoje ludzi, którzy na ich widok wstali. Caroline i Marcin podeszli do nich.

– Dzień dobry – powiedziała Caroline. – Marcin, pozwól, że ci przedstawię. Doreen Rothewald, ekspertka w zakresie dzieł sztuki związana z berlińskim Altes Museum, a także współpracownik Ermitażu i moskiewskiego Muzeum Puszkina.

– Bardzo mi miło. Czyli słynne Stare Muzeum. Miałem kiedyś do czynienia z tą placówką. No i Muzeum Sztuk Pięknych imienia Puszkina... O nim jedynie dużo słyszałem. – Marcin uśmiechnął się szeroko.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy – powiedziała Doreen, odwzajemniając się równie pięknym uśmiechem.

– A to Lars Holm z Kopenhagi – kontynuowała prezentację Caroline. – Duński historyk sztuki związany choćby ze słynnym Vikingemuseet, ekspert instytucji rządowych. Jego zainteresowania to północna i wschodnia Europa, w tym Rosja.

– Miło mi – powiedział Marcin i ścisnął dłoń Duńczyka. – Jaki zbieg okoliczności, o tym muzeum również słyszałem kiedyś od mojej znajomej z naszej ambasady w Kopenhadze.

– A to Marcin Łodyna z Polski, który pomaga nam rozwikłać sprawę medalionów Sinozębego. Również tutaj...

– Dodaj, że głównie w Polsce – przerwał jej Marcin. – Tu na Seszelach jestem niejako przy okazji mojego urlopu. Takie połączenie przyjemności z... – szukał słów – ...z pomocą naszym przyjaciołom. W przeszłości na polecenie polskiego ministerstwa zajmowałem się trochę poszukiwaniem zaginionych dzieł sztuki, dlatego Caroline zwróciła się do mnie o wsparcie – wydeklował na gorąco przygotowaną legendę.

– Skoro mamy za sobą przywitanie, to może zamówimy coś na lunch. – Caroline wskazała głową na leżące na stole menu. – Zanim poinformuję was o odkryciu Marcina. – Uśmiechnęła się. – Może coś zaproponujecie? – zwróciła się do Duńczyka i Niemki. – Tak przy okazji, mówmy sobie po imieniu. Będzie nam łatwiej współpracować.

– Jasne – odpowiedział Lars. – Nie jedliśmy jeszcze nic od śniadania. Polecają tutaj *kari coco poul*, czyli kurczaka w sosie z curry i kokosu, albo coś z przystawek może...

– Sałatka z wędzonego marlina – uzupełniła Doreen, a Lars przytaknął.

– Do tego dobre będzie zimne piwo. Pewnie La Digue – dodał Duńczyk.

„Ta nazwa mnie prześladowa. Od tyłu już lat” – przeleciało Marcinowi przez głowę. Spojrzał kątem oka na Doreen. „Ładna kobieta jak na Niemkę. Taka słowiańska uroda. Jakby spokrewniona z Caroline. Przypominają te blondyneczki

ze starych zdjęć z albumu Kleinera czy z domu Winnickiego w Belo Horizonte” – uśmiechnął się w myślach.

Po kilku minutach stanęły przed nimi na stole talerze z posiłkiem i butelki zimnego piwa. Początkowo rozmawiali o wyspie, o miejscowych zwyczajach. Doreen i Lars opowiadali o ich uroczystości ślubnej, którą zorganizowali kilka lat temu na nieodległej plaży. Snuli z pewną ekscytacją w głosie opowieści o matach rozłożonych na piasku, prowadzących do ich „ołtarza”, o samym „ołtarzu” z białych kwiatów i wstążek, o pochodniach i ognisku z przyjaciółmi, o daniach podawanych na liściach bananowca.

– To mówicie, że byliście już tutaj? – zaciekał się Marcin. – Tylko tutaj odpoczywaliście czy odwiedzaliście także inne wyspy?

– Oczywiście. Curieuce, Cousin, La Digue – odpowiedział Lars.

– La Digue to podobno piękna wyspa. Cudowne dzikie plaże, wielkie owalne głazy wystające z morza i z piasków plaży. Oglądałem w internecie – wtrącił Marcin.

– Bardzo piękna, wręcz urokliwa – potwierdziła Doreen.

– O, już niosą główne danie – rzuciła Caroline.

Po chwili wszyscy zajęli się złotym posiłkiem. W międzyczasie korpulentna Kreolka doniosła z lodówki kolejne butelki miejscowego piwa. Jedli w milczeniu. Po skończonym lunchu Caroline przeszła w końcu do sprawy, mówiąc:

– Marcin. Może ty zacznij i opowiedz, co ustaliłeś.

– Powiem tak. Rozumiem, że jesteśmy wśród przyjaciół i nie mamy przed sobą tajemnic. – Wszyscy przytaknęli. – Z informacji uzyskanych w Polsce w połączeniu z tym, co ustaliła nasza brytyjska koleżanka, wynika, że medaliony Sinożębego wraz z innymi dziełami sztuki czy kosztownościami nieznanego pochodzenia trafiły prawdopodobnie właśnie na wyspę La Digue, która zrobiła na tobie takie wrażenie – powiedział i popatrzył na Doreen.

– Ale to już w przeszłości było przedmiotem naszych dociekań i ustaleń. Jak wiem, u osoby, która miała nimi dysponować na La Digue, a która tak tragicznie zginęła w wyniku napadu rabunkowego, nic przecież nie znaleziono. Coś się zmieniło w tej kwestii? Jest nowy ślad? – wtrącił Lars, a Marcin przytaknął.

– Mówmy o tym kimś po nazwisku. Chodzi o niejakiego Woronowa, obywatela byłego ZSRR i oficera byłego KGB, który, jak się okazuje, parał się nielegalnym handlem dziełami sztuki – powiedziała Caroline.

– Tak, właśnie jego mam na myśli.

– Czy informację dotyczącą La Digue można uznać za pewną? Z tego, co pamiętam, to nie jest niewielka wysepka. Musimy mieć bliższe wskazówki. Chodzi o jakieś konkretne miejsce? – zapytała Doreen.

– Tak. – Marcin spojrział na Caroline, a ta kiwnęła głową. – Według mnie ukryto wszystko w niewielkim magazynie. Jest to murowany domek z czerwonym, dwuspadowym dachem z blachy, bez okien, ma tylko troje drzwi. Znajduje się niedaleko tamtejszej mariny i portu. Podobno łatwo go znaleźć.

– Jak do tego doszedłeś? Powiedz mi. To musiało być fascynujące. – Lars prawie podskoczył z wrażenia.

– Po prostu przypadek i łut szczęścia. Nic więcej. No może jeszcze... znajomość języka rosyjskiego – odpowiedział Marcin.

– Znasz rosyjski? – zdziwiła się Doreen. – Mnie słabo idzie nauka tego języka, a tak by mi się przydał w pracy zawodowej.

– Znam. Jak większość Polaków w moim wieku. Może trochę lepiej.

– Kiedy tam płyniemy? – odezwał się Lars.

– Myślę, że... – zaczęła Caroline.

– ...że pojutrze – przerwał jej Marcin. – Caroline musi załatwić różne zgody przez ambasadę brytyjską w Victorii. Trzeba też powiadomić miejscową policję. W końcu wejście na czyjąś posesję nawet tutaj nie jest mile widziane. Prawda? – Popatrzył na Caroline, a ta niepewnie pokiwała głową. – Jutro może zwiedzimy Praslin. Odpocznimy po długiej podróży. Skarb Woronowa nie ucieknie. Zgadza się? – Spojrzął na Doreen i Larsa. – Bo ja nie wiem, kiedy trafię tu następny raz i czy w ogóle coś takiego mi się przydarzy. A ty? – zwrócił się do Caroline, ale ona nic nie odpowiedziała.

– To zapraszam na dobrego drinka na plażę Grand' Anse, to z trzysta metrów od hotelu. Tam mieliśmy z Doreen nasz jakże egzotyczny ślub – powiedział Lars.

– Lars, pozwólmy naszym przyjaciółom rozpakować się i odpocząć. Może najpierw basen dla relaksu? Za godzinę? – zaproponowała Doreen.

– W porządku – odpowiedziała Caroline i wszyscy wstali.

Marcin z Caroline podeszli do recepcji odebrać klucze. Caroline nic nie mówiła. Kątem oka widziała, że Doreen i Lars idą w kierunku niebieskiej tafli basenu. Kiedy straciła ich z pola widzenia, rzuciła z pretensją w głosie:

– Marcin, w co ty grasz? Jakie pozwolenie, jaka policja, jaka ambasada? Popierdoliło cię?

– Wcale mnie nie popierdoliło, jak subtelnie powiedziałaś. Zaufaj mi, Caroline. Czas tym razem pracuje na naszą korzyść. Jutro najpierw sami tam popłyniemy. Szybkim katamaranem to będzie moment. Przed śniadaniem skoczę zarezerwować bilety.

Rozdział 31

Wyspa La Digue, Seszele – jesień 2017

Granatowy dziób katamaranu Cat Cocos ciął długie fale. Zwinna jednostka pozostawiała za sobą na powierzchni biały warkocz wzburzonej wody. Na horyzoncie, na tle przesuających się po błękitnym niebie białych, postrzępionych chmur, z każdą minutą wyostrzał się kształt górzystej, zielonej wyspy La Digue. Coraz wyraźniej było widać charakterystyczne wielkie głązy wystające z plaż i wody oraz białe grzebienie fal omywających piaszczyste brzegi. Mimo że przebijające się przez chmury słońce mocno prażyło, wielki dach Cat Cocos chronił skutecznie pasażerów przed jego promieniami. W końcu katamaran zwolnił. Zbliżali się do portu, w którym na cumach bujały się białe, nowoczesne jachty, ale i te tradycyjne, drewniane, niebieskie, żółto-brązowe, pomarańczowe czy biało-granatowe jednostki. Zmiana szybkości wyrwała Caroline, siedzącą na ławce na najwyższym pokładzie, z chwilowego odrętwienia, w które wpadła, spokojnie wdychając morską bryzę. Spojrzała na Marcina, który jak jej się wydawało, intensywnie o czymś rozmyślał i co chwila robił zdjęcia swoim smartfonem oraz lustrował przez lornetkę rejon mariny.

– Pięknie tutaj. Nie dziwię się, że Woronow na miejsce ukrycia wybrał tę właśnie wyspę – rzuciła.

– Tak, choć pewnie nie ma już tutaj tylu dzikich plaż co kiedyś, gdy byłem tu pierwszy raz z Anitą. Ale mimo wszystko wyspa wciąż przypomina raj na ziemi – odpowiedział Marcin.

– A właśnie. Co słyhać u Anity? Jak stan jej zdrowia? – zapytała.

– Cały czas jest pod ścisłą obserwacją w szpitalu Ewy. Nie miałem o niej informacji od kilku dni. Ewa ma mi dać znać, jak dostanie jakąś wiadomość.

– Rozumiem... Zaraz zawijamy do portu. Wypatrzyłeś coś przez lornetkę? Mam nadzieję, że łatwo znajdziemy ten magazyn, to znaczy... jak to nazwałś?

– *Siekrietnyj tajnik*. O to się nie martw. Potrzebny sprzęt mam zabezpieczony – uspokoił ją Marcin i uśmiechnął się.

– Jaki sprzęt? – zapytała.

– Podręczny, przydatny w takich poszukiwaniach: łom, saperka, maczeta, piłka do metalu... Mówiłem ci.

– Nie powiesz mi, że masz to w tym... – Wskazała na jego czarny plecak S.O.C. – A w ogóle skąd to wszystko...

Marcin niczego nie wyjaśniał, tylko nachylając się do Caroline, przerwał jej i spytał szeptem:

– Czy nowy pistolet z pełnym magazynkiem włożyłaś mi do zewnętrznej kieszeni plecaka?

– Tak jak prosiłeś, kiedy wstałeś i obserwowałaś przez lornetkę wyspę.

– A skąd go wzięłaś? Przecież w samolocie go nie miałaś.

– Rano nasz człowiek przyniósł broń dla nas do hotelu.

– Okej – odpowiedział Marcin, przykucnął i dyskretnie wyjął pistolet, wiskając go za pasek. Zakrył go zaraz białą, luźną koszulą. – Nowy model, beretta APX! Nigdy z takiej nie strzelałem. I mam nadzieję, że nie będę musiał – dodał pod nosem, a potem głośniejszym głosem rzucił: – Schodźmy już na dół, bo zaraz dobijamy.

Katamaran powoli podpływał do nabrzeża pełnego żółtych odbojów wyglądających jak wielkie dynie. Pod dwuspadowym blaszanym dachem przygotowano schodki z poręczami do zejścia.

* * *

Mijając grupy przybyszów, niewielkie ciężarówki przewożące kolorowe skrzynki, półodkryte samochody dla turystów z trzema rzędami siedzeń oraz dzwoniących bez opamiętania rowerzystów, dotarli do dużego budynku z wysokim czterospadowym dachem, mieszczącego sklep. Zatrzymali się na moment w cieniu wielkiego rozłożystego drzewa, gdzie panował przyjemny chłód. Tłum mocno się rozrzedził. Nikt za nimi nie szedł. Jacyś miejscowi rybacy krzatali się przy biało-niebieskich łódkach i wieszali na pniach palm złowione ryby.

– To tam, spójrz! – Wskazał głową w kierunku wąskiej szutrowej uliczki odchodzącej w głąb wyspy. – Jest tutaj tylko jeden taki budynek. Reszta to domy drewniane. Idziemy! – zarządził Marcin.

Po chwili marszu zobaczyli na niewielkiej polance budynek otoczony gęstymi zaroślami i wysokimi palmami. Caroline wyjęła z torby pistolet i przeładowała go. Podeszli do pierwszych drzwi. Marcin spojrzął na kłódkę. Była przecięta. Wyjął z plecaka latarkę. Zerknął na Caroline i kiwnął głową. Dłonią popchnął ostrożnie drzwi. Zawiasy zaskrzypiały. Omiótł zimnym strumieniem światła pomieszczenie, a następnie skierował go na dół. Znieruchomiał. Obej-

rzał się, spoglądając na Caroline. Ta miała kamienną twarz niewyrażającą żadnych emocji. Patrzyła tylko tępo na podłogę z drewnianych, surowych desek, na której leżał około czterdziestoletni mężczyzna w czarnej koszulce polo. Pod nim widniała duża plama już zaschniętej krwi i mniejsza pod jego głową ze śladem po pocisku. Weszli oboje do środka. Poczuli zapach stęchlizny wymieszany z wonią oleju napędowego i smarów.

– Ten twój... koszulka polo – szepnęła Caroline i zaraz zapytała: – To twoja robota?

– Nie, nie moja i nie mam pojęcia czyja, ale zaraz będziemy wiedzieć – odpowiedział, a Caroline spojrzała na niego ze zdziwieniem. – Chodź! Tam w rogu, za beczką po paliwie, gdzie złożono takielunek... Pomóż mi!

– Co chcesz zrobić, Marcin?

– Zobaczysz. Świeć mi – odpowiedział szeptem.

Marcin podał latarkę Caroline i zaczął odrzucać na bok liny, żagle, dwie stare kotwice i pojemniki na smary. Po kilkunastu sekundach odsunął wszystko. Z plecaka wyjął łom i wsunął go między ścianę a podłogę. Nacisnął. Do góry uniosło się kilka desek tworzących pokrywę o wymiarach około metr na metr.

– Marcin! Kurwa! – szepnęła głośno Caroline. – Skąd wiedziałeś...

– Za chwilę, za chwilę – odpowiedział, przerywając jej, i wziął z plecaka saperkę.

Kilka energicznych ruchów wystarczyło, by usunąć dwudziestocentymetrową warstwę ziemi, która przykrywała metalową płytę. Uniósł ją i wstał.

– Pomóż mi go wrzucić do środka.

– Ale kurwa, Marcin, to jest ten schowek!

Ten przytaknął i chwycił martwego mężczyznę za nogi, Caroline zaś złapała zabitego za ręce.

– Odporny psychicznie jesteś – skomentowała.

– Bo ja wiem, średnio. Ale przypomniałem sobie biednego pana Karola w Lidzbarku, jego ufną i przyjazną twarz. I jakoś mi teraz... Mniejsza o to. Dawaj! Wrzucamy go do dziury.

– Nic tam nie ma? Pusty? – zdziwiła się. Marcin przytaknął. – Czyli ktoś go opróżnił przed nami. – Ponownie przytaknął, po czym martwe ciało głucho uderzyło o dno schowka. – *Bloody hell!* Czy ty mi w końcu coś powiesz? – spytała kobieta coraz bardziej zdenerwowana.

– Caroline, schowek, masz rację, jest opróżniony, ale nie przez ruskich... – Zamknął pokrywę.

Przyklęknął i przy użyciu saperki zaczął zasypywać pokrywę ziemią. Następnie delikatnie opuścił drewnianą podłogę i rzucił na nią takielunek.

Podeszwą buta zaczął intensywnie zacierać ślady ciągnięcia trupa i pozostałości krwi.

– No dobra. Teraz trzeba sprawdzić, kto koszulkę polo tak potraktował.

– Ten, kto opróżnił schowek – powiedziała dość stanowczym tonem Caroline.

– Nie. Schowek opróżniłem ja trzy dni temu. Zamknąłem go na moją kłódkę. Oryginalną wyrzuciłem.

– Co?!

– Jego zawartość, jak to się mówi, zabezpieczyłem i ukryłem w pewnym miejscu na Praslin. Miałem przy tym trochę farta. Opowiem ci później. Chodźmy. Lepiej się tu nie kręcić. Muszę teraz zdjąć ukryte na zewnątrz dwie kamery uruchamiane na ruch. Te od was – wyjaśnił.

Caroline stała nieruchomo i nie wiedziała, co powiedzieć. Wyłączyła latarkę i podała ją koleźce, który skończył pakowanie narzędzi. Wyszli. Marcin wyjął z plecaka nową kłódkę, którą zamknął drzwi.

– Czym później ktoś się tu dostanie, tym lepiej... Masz może zmywacz do paznokci na acetonie? – powiedział Marcin i cisnął klucz od kłódki między rosnące nieopodal krzewy.

– Słucham? – zapytała Caroline, wciąż zaskoczona rozwojem sytuacji.

– Żeby nie zostawić odcisków palców, pociągnąłem sobie na katamaranie dłoń bezbarwnym lakierem do paznokci, który wzięłem od Ewy – wyjaśnił.

Podszedł do palmy, a potem do drugiej. Zdjął z nich kamery ukryte w kamuflażu zrobionym przez niego z kawałków drewna i liści palmowych. Włożył je do plecaka.

– Tu obok jest nieduża knajpka. Siądziemy, zjemy lunch. Ja zgram materiał na tablet i zobaczymy, kto załatwił koszulkę polo. Bo już chyba nie masz wątpliwości, skąd koszulka polo dostał cynk o schowku Woronowa. Dlatego przyłączyliśmy tu sami.

Caroline patrzyła na niego, szukając odpowiedzi. „Jak Marcinowi udało się to wszystko poskładać” – pomyślała, nim ruszyli w kierunku uliczki i baru.

– O! Czujesz już? Jaki zapach! – Caroline, wciąż milcząc, kiwnęła głową. – Wiesz co, tylko mnie jedno niepokoi. Gdzie się podział Klimow?

* * *

Młody kelner podał im do stołu dwa talerze z *fish curry coco* i słodkimi ziemniakami w jakimś kreolskim sosie. Marcin cały czas obserwował postępy zgrzywania materiału na tablecie, popijając zimne piwo.

– Czy nie lepiej na czczo to oglądać? – rzuciła Caroline.

– Powinniśmy właśnie coś skosztować przed obejrzeniem, bo to, co zobaczymy, może spowodować, że nie będziemy mieli później czasu na posiłek... Za kilka minut materiał powinien być gotowy.

Oboje zajęli się jedzeniem, choć nie mieli specjalnego apetytu. Kiedy skończyli, prawie jednocześnie odsunęli talerze i spojrzeli na siebie. Kiwnęli głowami. Marcin wstał i usiadł z tabletem koło Caroline. Włączył odtwarzanie. Zatrzymali się przy pierwszym zapisie włączanym na ruch.

– Kto to jest? – zapytała.

– Zdaje się, że Misza. Trochę się zmienił. Patrz, znika i po chwili taszczy jakieś skrzynki. Chyba takie jak na ryby czy coś. Widziałem podobne w porcie. O, i przytacza beczkę, chyba po ropie. Patrz. Nie może wejść. Nie może otworzyć kłódki, mojej kłódki. Idzie do drugich drzwi. Szarpie, ale te, jak pamiętam, były zaryglowane od wewnątrz. Wraca. Zdaje się, że jest niezłe wkurzony. Gdzieś telefonuje.

Tu Marcin zatrzymał odtwarzanie i spojrzął na Caroline.

– Czyli choć Misza przyszedł tu rano, to nie do schowka. On nic o nim nie wie. Chciał po prostu skorzystać z magazynu – skomentowała Caroline, a Marcin przytaknął i dodał:

– Poczekajmy jeszcze. Zobaczymy, co dalej... Misza podchodzi do skrzynek i beczki. Zabiera wszystko. Beczkę toczy nogą. A teraz, spójrz na licznik: przez kilka godzin nic się nie dzieje... O! Patrz, to już wczorajsze późne popołudnie. Jest! Koszulka polo. Nie ma pewności, czy to właściwe miejsce. Ogląda je dokładnie. Szarpie po kolei za drzwiami. Lustruje wszystko dookoła. Nie przygotował się.

– Jak ty z łomem i piłką do metalu – wtrąciła Caroline.

– Obchodzi budynek. Zagląda wszędzie. Znika. Mija trzydzieści minut. Następne nagranie. Jest już wieczór. Znowu koszulka polo. Ma coś na plecach.

– Narzędzia – zauważyła Caroline.

– Tak. *Towaryszcz rubaszka* odrobił lekcję.

– Kto?

– No on, koszulka... Rozgląda się. Wyłamuje kłódkę. Wchodzi. Pewnie szuka wewnątrz schowka.

– Dostał informację o nim, to szuka – powiedziała Caroline, nie odrywając wzroku od nagrania.

– Patrz, patrz, Caroline, kto biegnie między krzewami, pod palmą z drugą kamerą. Teraz przebiega przez polankę. Misza! O kurwa. Trzyma w dłoni pistolet. Wbiega za koszulką do środka. Dwa błyski. – Marcin zatrzymał nagranie i spojrzął na Caroline. Chwytał butelkę z piwem i opróżnił ją do dna. – Mocne, kochana, mocne. To już wiemy, kto odpalił koszulkę polo.

Caroline kiwnęła powoli głową i też wypila swoje piwo do końca.

– Musiał go przyuważyć. Wiedział od Jeanine, że mogą się pojawić ci, którzy załatwili Woronowa. Tylko skąd on wiedział, że koszulka to... koszulka? Rzeczywiście, miałeś sporo szczęścia, Marcin – powiedziała Caroline.

– Miałem, jak widzę. On założył, że ktoś, kto pojawi się tutaj, będzie człowiekiem, który odpalił Woronowa lub działającym na zlecenie morderców. Ale tak sobie myślę, że Jeanine nie wiedziała wszystkiego. Misza mógł wtedy, siedem lat temu ruszyć w pościg za tamtymi czy gdzieś się na nich zasadzić. Miał samochód, znał wyspę i najkrótszą drogę odejścia w kierunku morza. Mógł z daleka albo całkiem z bliska ich obserwować. I teraz rozpoznał koszulkę.

– Wtedy jednak skalkulował, że się mu to nie opłaca lub że nie ma szans podjąć z nimi walki – dopowiedziała Caroline.

– Albo wszystko było kwestią jakiegoś zbiegu okoliczności, który dla nas akurat okazał się zbawienny. *Summa summarum*, Misza załatwił koszulkę, przy czym biorąc pod uwagę, że ciała nie ma, to sprawy też nie ma. Jak jednak kiedyś znajdą ciało w schowku, którego dysponentami byli państwo Kirsipuu, to w Moskwie mogą wywnioskować, że to robota... Miszy – roztoczył przed Caroline swoją wizję.

– Hmm... Chyba masz rację. Najlepiej, jakby ci państwo zniknęli na dłużej. Może wypłynęliby na jakiś rejs, może udali się na Malediwy i tam się osiedlili.

– Zgadza się. A śliczna Jeanine urodzi tam dziecko i będą żyli długo i szczęśliwie. Chyba że namiesza w tym... Klimow, który cały czas mnie niepokoi. – Marcin zawiesił głos.

– Odnotaliśmy w ostatnich dniach przylot rejsami z Moskwy, powiedzmy, hmm... paru dziwnych osób. Niepokoi to Londyn i mnie. Rosjanie mogą mieć tu zaangażowane znaczne środki osobowe i techniczne.

Marcin milczał i dopiero po kilku chwilach rzucił:

– To co, Caroline, wiesz, kto pracuje dla Rosjan? Piękna Niemka o słowiańskich rysach czy zimny Lars z Kopenhagi?

Caroline opuściła głowę, pochylając się nad pustą już butelką, i odpowiedziała:

– Marcin, to ona. – Zamilkła na chwilę. – Lars jest oficerem FE, duńskiego wywiadu wojskowego. Niestety, od paru lat pozostają ze sobą w nieformalnym związku. Mają nawet dziecko.

– O kurwa! Jeszcze powiedz mi, że ten Lars realizował jakieś działania na kierunku wschodnim!

– Tak. Z wykorzystaniem jego legendy jako eksperta dzieł sztuki. Uczestniczył w naszych operacjach wywiadowczych na terenie Rosji, między innymi w Moskwie i Petersburgu. Dzisiaj w nocy dostałam informację, że w Berlinie

nasi wraz z Duńczykami zrobili bardzo dokładne przeszukanie ich mieszkania. Są już wstępne wyniki wskazujące na jej działalność szpiegowską.

– No to, kochana, nie zazdroszczę wam: oficer natowskiego wywiadu, po symbolicznym ślubie na tropikalnych wyspach z rosyjską nielegalą, pracujący na kierunku rosyjskim... – Marcin teatralnie złapał się dwiema dłońmi za głowę. – Dno, szambo i metr mułu. Rozumiem, że wzięliście się już za sprzątanie? – spojrzął na zegarek.

– Tak. I my, i Duńczycy...

– Chodźmy. Za piętnaście minut mamy prom na Praslin, czyli za pół godziny będziemy na miejscu.

Wstali, uregulowali rachunek i skierowali się do portu. Po chwili Caroline zatrzymała się i jak wczoraj Marcin ją, tak teraz ona chwyciła go za ramię.

– Marcin... I jeszcze w kontekście tego, co cię nieustająco martwi, czyli Klimowa... – zawiesiła głos. – Kiedy my tu jesteśmy, a ta pierdolona Doreen pojechała rano sama na wycieczkę, czytaj: na spotkanie z jej łącznikiem, przy czym zakładamy, że to Klimow, nasi ludzie z upoważnienia Londynu i Kopenhagi rozmawiają z Larsem. A może nawet już są po rozmowie.

– Hmm... Czyli nasze wcześniejsze przypuszczenia były słuszne.

– Tak. Dzisiejsza sprawa i twoje nagrania tylko to potwierdziły – odpowiedziała Caroline.

– Rozumiem, że teraz przyjdzie czas na poważną rozmowę z towarzyszką Rothewald – powiedział i spojrzął na Caroline, ale ta się nie odezwała. – Nie musisz nic mówić, i tak to wiem. Jeśli uda wam się ją zwerbować, to w sumie sukces, a jak nie, to tylko połowiczny. A tak po ludzku, od serca, nie umiem sobie wyobrazić, co będzie dalej z biednym Larsem, ich dzieckiem i z samą Doreen.

Caroline, wciąż milcząc, parę razy kiwnęła powoli głową.

– A co do znaleziska w schowku... – Przerwał, bo z kieszeni plecaka dobiegł znany mu sygnał przychodzącego połączenia. – Przepraszam, to mój prywatny telefon. Pewnie Ewa się niepokoi.

Spojrzął na wyświetlacz. Zobaczył nieodebrane połączenia od Ewy. W tej samej chwili wyświetlił się przychodzący SMS. Marcin otworzył go i przeczytał:

Marcin. Właśnie dostałam informację ze szpitala, że twoja koleżanka Anita zmarła przed dwoma godzinami. Do końca był przy niej jej były mąż i córka. Bardzo mi przykro, kochanie. Wracaj jak najszybciej.

– Coś się stało, Marcin? Słyszysz mnie? Marcin, odpowiedz!

Marcin nic nie powiedział. Poblądł wyraźnie na twarzy. Dał Caroline smartfon z otwartą wiadomością. Stał nieruchomo, wpatrując się gdzieś w horyzont, z dobrze mu znaną wyspą Praslin. Oczy zrobiły mu się szkliste. Czuł, jakby wszystkie siły z niego uszły. Ale wiedział, że musi się wziąć w garść, że to jeszcze nie koniec.

Rozdział 32

Wyspa Praslin, Seszele – jesień 2017

Biało-niebieski, nieco wysłużony katamaran Cat Rose's dobił do betonowego nabrzeża przystani promowej wyspy Praslin. Po zejściu z pokładu Marcin i Caroline w milczeniu szli wąskim pirssem w kierunku parkingu. Kiedy dochodzili do pierwszych drzew i krzewów, Marcin powiedział nagle:

– Caroline, widzisz? Tam, z lewej strony, przy parkingu, przy plaży. Widzisz?! Nie zatrzymuj się, idź powoli.

– Widzę: jakiś starszy pan z torbą na ramieniu, w jasnym kapeluszu. – Spojrzała na kolegę, ale ten dalej wpatrywał się w niespiesznie zbliżającą się sylwetkę człowieka zatrzymującego się co chwila i popatrującego w kierunku oceanu.

– To Klimow! Skręć teraz w prawo, między samochody. Czekaj na mnie... w pensjonacie, zaraz za jachtklubem. Nazywa się jakoś Le Port...

– Marcin, nigdzie nie idę. – Nie pozwoliła mu dokończyć. – Będę w zasięgu... strzału. Pokręcę się między samochodami na parkingu. Daj, wezmę twój plecak.

Zarzuciła S.O.C. na plecy i spokojnie ruszyła między krzewami w prawo.

* * *

Marcin szedł coraz wolniej, aby Klimow dostrzegł go jak najpóźniej. Czuł, że to nie najlepszy moment na rozmowę z oficerem rosyjskiego wywiadu. Ale wiedział, że w jego profesji takich momentów się nie wybiera. Jeszcze niedawno zastanawiał się, gdzie on jest, co robi. „Caroline zakłada, że to właśnie on łącznikuje tutaj Doreen. To niewykluczone, biorąc pod uwagę jego zaangażowanie w sprawę” – myślał, aż znalazł się kilka metrów przed Klimowem. Wyminęła go jakaś para turystów z Francji i Kreol w żółtej koszulce dźwigający za nimi z samochodu wielkie walizki. W końcu Marcin zatrzymał się i stanął na drodze Klimowa.

– Znowu się spotykamy – zaczął Klimow, uchylając lekko biały kapelus z stylu panama z brązową opaską. Widok Marcina w ogóle go nie zdziwił albo po prostu nie dał tego po sobie poznać.

– Znowu. I można by rzec, raczej nieprzypadkowo. Bo nie jesteś tu na urlopie, Klimow, jak sądzę.

– A ty?

Marcin nic nie odpowiedział. Mimo że cały czas wzrok miał utkwiony w Rosjaninie, to tak jakby go nie widział. Przed oczami zasłoniętymi okularami przeciwsłonecznymi przelatywały błyskawicznie obrazy: medaliony Sinożebego i kawałek Bursztynowej Komnaty, hotel w Świnoujściu i zdjęcia współpracownika Klimowa z kamer CCTV oraz jego głowa ze śladem po kuli na podłodze *tajnika*, potem cmentarz w Lidzbarku, uśmiechnięta twarz pana Karola i grymas na niej, już martwej, gdy został otruty, lwowskie mieszkanie Chmarina wypełnione starymi meblami i znaleziony tam pamiętnik enkawudzisty, nocny widok z Pasterki na Wielki Szczeliniec i światła schroniska Szwajcarka, pokój w pensjonacie ze zdjęciami zdobytymi przez rosyjską agentkę, zastrzelony przez niego w ogrodzie botanicznym mężczyzna leżący w kałuży krwi rozmywanej przez tropikalny deszcz. Ale jeden obraz był zdecydowanie najmocniejszy: twarzy Anity. Roześmianej, skaczącej w falach i odrzucającej do tyłu mokre od oceanicznej wody włosy na plaży na La Digue. Marcin poczuł ucisk w żołądku. Zrobiło mu się niedobrze. Wiedział jednak, że musi się opanować. Szybko odpowiedział:

– A ja? A ja szukam ciebie, pułkownika rosyjskiego wywiadu. I szczerze mówiąc, pierwszy raz w życiu nie wiem, co mam zrobić.

– A myślałem, że szukasz skarbu Woronowa.

– Niestety. Jak widzisz, nic nie znalazłem. – Marcin rozłożył dłonie.

– Może faktycznie nic nie znalazłeś. Pewnie gdybyś to odnalazł, to musiałbyś teraz jechać co najmniej z takim wózkiem na zakupy, jakie są w marketach budowlanych. – Rosjanin zaśmiał się pod nosem.

– Aż tyle tego było?

Klimow jakby nie słyszał pytania. Włożył rękę do torby przewieszanej przez ramię. Marcin, widząc ten ruch, sięgnął pod koszulę, gdzie miał ukryty pistolet. Rosjanin wyjął z torby aparat fotograficzny.

– Masz, proszę. Oddaj koleżance. Jak ona się nazywa?

– Anita.

– O, właśnie, Anita. – Dał aparat Marcinowi. – Jak ona się czuje? Już lepiej?

– Anita... – urwał i wydawało mu się, że żołądek podszedł mu pod gardło. Przez moment nie mógł wydobyć słowa. Nabrał głęboko powietrza i dokończył: – Anita dwie godziny temu zmarła.

Klimow spojrzął na Marcina i pokiwał głową.

– Pewnie rak. Bardzo mi przykro – odpowiedział.

Przez chwilę obaj milczeli, ale wzrokiem błędzili to po zatoce, to po nadmorskich palmach.

– Mam do ciebie, Klimow, pytanie. – Marcin postanowił zagrać w otwarte karty.

– Zamieniam się w słuch.

– Powiedz mi, po co był ten Berlin, ten antykwariusz siedem lat temu...

– Artman – dokończył Klimow.

– Po cholerę to Świnoujście, ten Lidzbark, ta Pasterka? No, Pasterka to rozumiem, częściowo. Przecież to była ślepa uliczka w jakimś sensie.

– Tak. Ale o tym to przekonał się później. Świat handlarzy i przemysłowców dzieł sztuki, byłych oficerów wywiadu, ludzi żądnych pieniędzy i zdrajców ojczyzny jest dość zagmatwany. Nie wszystko było dla nas jasne. Nie wszystko jest jasne do tej pory. Na przykład co się stało z dwoma obywatelami Federacji Rosyjskiej, którzy zginęli w ogrodzie botanicznym w Victorii kilka dni temu. Może ty wiesz coś o tym?

– Klimow, przecież wiesz, że nas obserwowali... Powiem ci: mieliśmy się spotkać w takiej kawiarence w ogrodzie botanicznym z waszym byłym człowiekiem, byłym ochroniarzem Woronowa, którego nie dostaliście siedem lat temu, a którego my odnaleźliśmy – blefował Marcin.

– Hm... Mówisz o Michaile... – Klimow odchylił do tyłu kapelusz i odwrócił się w kierunku oceanu. – Ależ tu pięknie. Ten zapach bryzy, a za kilka godzin te promienie zmierzające za horyzont słońca...

– Tak. Pewnie myślał, że to po niego. Zaskoczył ich – blefował dalej Marcin.

– Czy ja dobrze rozumiem? To Misza trzymał łapę na tym, co Woronow ukradł *Matuszce Rossiji*? Cóż... Co do Woronowa, zawsze wiedziałem, odkąd poznałem go kilkadziesiąt lat temu, że był z niego twardziel. Ale że aż taki! Nie puścił pary z ust przed śmiercią. Aż mi się wierzyć nie chce.

– Według mnie Misza był ostrożny i nie wypuszczał na rynek niczego charakterystycznego. Czyli niczego, co wpadłoby wam w oko, w przeciwieństwie do Woronowa, który był łasy na pieniądze. Na jego miejscu zniszczyłbym to, czego wszyscy szukają, i ukryłbym się na jakiejś egzotycznej wyspie. Dużo ich tutaj – kontynuował Marcin.

– A wiesz może, gdzie jest nasz Misza? – zapytał z lekkim sarkazmem Klimow.

– Klimow, nie żartuj. Jakbym wiedział, tobym z tobą tutaj teraz nie rozmawiał. Chyba to oczywiste. – Rosjanin przytaknął. – W jednym masz rację.

– Tak? Zapewne nie w jednym, ale oświeć mnie, proszę.

– Towarzyszy zachłannych na pieniądze u was nie brakuje. Wiele razy zastanawiałem się, jak to się stało, że ten wasz generał... Osietrow, ten ze Smierszu, zapewne w komitywie z innymi czekistami wysłał to wszystko do Moskwy, ukrył gdzieś i nikt się tym nie interesował przez tyle lat.

– Nie wiem dokładnie, ale na przykładzie innych, podobnych spraw... burdel, po prostu jeden wielki burdel.

– Cóż za szczere wyznanie. Jestem pod wrażeniem.

– Powiem ci jeszcze coś. Wielu towarzyszy w partii, w resorcie czy w armii chciało wzbogacić się w czasie wojny i po jej zakończeniu. Potem przyszedł okres błędów i wypaczeń, zmiany na Kremlu. Niektórzy zostali po sfingowanych procesach zlikwidowani i zabrali ze sobą do grobu tajemnice miejsc ukrycia różnych rzeczy...

– Na przykład w magazynach moskiewskiego muzeum – wtrącił Marcin.

– Tak, tam też. A o wielu sprawach po prostu zapomniano. Po latach Woronow wykorzystał sytuację i zamieszanie z początku lat dziewięćdziesiątych. Miał informacje, do tego różne kontakty, również rodzinne, i wywiózł zapomniane skarby z Rosji, a wraz z nimi pewne dokumenty... – Rosjanin zawiesił głos, wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. – Czujesz to?

– Co zamierzasz robić dalej, Klimow? – zapytał Marcin.

– Dalej? Hmm... Jestem już zmęczony. Czas odpocząć. A tu jest *priekrasno*. Takie miejsce, żeby nic nie robić, siedzieć, kontemplować piękno przyrody. Po prostu o wszystkim zapomnieć. – Zamilkł na chwilę. – Wiesz, chyba tu zostanę

– Klimow, przepraszam, ale pierdolisz. – Rosjanin spojrział na Marcina zdziwiony. – Nie odpuściecie z Miszą. Te dokumenty są dla was zbyt cenne. Będziecie za nimi węszyć aż do skutku. Nie po to szukaliście czegoś w Berlinie i w Polsce. Nie po to rozglądaliście się za jakimkolwiek tropem. Nawet takim, który mógł wydawać się drogą nieprowadzącą do celu... Nie, Klimow, nie odpuściecie.

– Być może masz rację. Ale na takich pomocników jak ty czy ci z MI6 nie będzie już można liczyć. Szkoda – zaśmiał się lekko.

– O czym ty mówisz, Klimow? – Marcin zrobił pół kroku w kierunku Rosjanina. – Co ty... *s uma saszo!*

– Podobała się wam kartka z pozdrowieniami z Seszeli? Ta, którą znaleźliście u Artmana? – Marcin zastygł w bezruchu. – Tak, tak. Daliście się podpuścić. Bez was nie ruszyłyby dalsze poszukiwania. No, tylko ty, co przyznaję, byłeś dla nas zaskoczeniem.

Marcin w tym momencie przypomniał sobie słowa Tortaka o nierozszyfrowalnej informacji na mikrokropce znalezionej pod znacznikiem przedstawia-

jącym dwa żółto-brązowe ptaki siedzące na gałęzi. Wtedy w Krakowie, kiedy z Anitą rozmawiali z nim w restauracji hotelu Polonia, Tortak mówił, że taka mikrokropka bez treści coś oznacza. Że to może być właśnie klucz do sprawy. „Sam o tym nieraz myślałem. Teraz to już jest oczywiste, dlatego została ona tak spreparowana przez Rosjan. Miała w ten wyjątkowy sposób zwrócić naszą uwagę, a w zasadzie Brytyjczyków, Duńczyków, może Amerykanów” – skonkludował.

– Nie unosi się. Jak wiem, i ci z Londynu, i ci z Kopenhagi, i może ci z Waszyngtonu, i my stanęliśmy w pewnym momencie pod ścianą. Ale założyliśmy, całkiem słusznie, jak pokazało życie, że kiedy podrzucimy wam tropy i damy do zrozumienia, że też tymi tropami podążamy, to pójdzie za wami będzie właściwym rozwiązaniem.

– Pierdol się – mruknął Marcin pod nosem.

Klimow, jakby nie zwracając uwagi na słowa Polaka, odwrócił się do niego i powiedział:

– To powodzenia. *Wsiego choroszego, gospodin Łodyna*. – Kiwnął głową i elegancko uchylił kapelusz.

– *Wsiego choroszego... towarzyszc polkownik*. – Marcin odprowadził Klimowa wzrokiem, gdy ten skierował się w stronę przystani katamaranów.

* * *

W tłumie turystów na parkingu Marcin wyłapał wzrokiem Caroline. Dyskretnie kiwnął w jej stronę głową. Przeszedł kilkanaście metrów w kierunku brzegu. Oparł się ciężko o palmę i utkwił wzrok w majaczącej na horyzoncie La Digue. Wyjął telefon, wybrał numer i przyłożył aparat do ucha. Po kilkunastu sekundach usłyszał znajomy mu głos.

– Halo?

– To ja, Seba.

– Marcin? Skąd dzwonisz? Już myślałem, że to jakiś telefoniczny spam. Co to za kierunkowy? – rzucił Sebastian.

– Jestem z Ewą na Seszelach.

– Gdzie?! No tobie to się na tej emeryturze powodzi!

– Posłuchaj, Sebastian... – Słowa utknęły Marcinowi w gardle.

– Rozumiem, że sprawy... – Sebastian wydawał się wyraźnie zaniepokojony tonem głosu kolegi.

– Sebastian, przed chwilą Ewa dostała wiadomość ze szpitala: Anita nie żyje.

W słuchawce zapadła głucha cisza.

Epilog

Wielki, dostojny, regatowy La Curieuse kołysał się delikatnie na wodach zatoki Sainte Anne. Ewa postawiła na rufie trzy smukłe kieliszki i wypełnione lodem wiaderko z butelką szampana. Z wewnątrz jachtu dochodziły stłumione głosy Marcina i jego nowo poznanego kolegi Przemka. Pod ich nogami leżały niewielka skrzynka amunicyjna oraz drewniana i aluminiowa walizka.

– Nie dziwili się, jak niosłeś to przez La Digue? – zapytał Przemek.

– No co ty! Od razu poszedłem do sklepu z pamiątkami i różnym turystycznym badziewiem i nabyłem odpowiednie... pokrowce. Skrzynkę wrzuciłem do worka żeglarskiego, takiego kolorowego z żółwim, a te walizeczki wpakowałem do wielkich toreb plażowych – odpowiedział Marcin i wyjął łom z plecaka.

Zardzewiałe zamki pękły. Otworzył drewnianą walizkę.

– Krawędzie zabezpieczone smarem – powiedział Przemek. – A wiesz, co to jest? Ten sparciały materiał gumowy zapięty paskiem? – Wskazał na wnętrze walizki.

Marcin popatrzył na niego, kręcąc głową.

– Kiedyś z takiego materiału rybacy na kutrach mieli szyte płaszcze przeciwdeszczowe. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa, jak jeździliśmy z rodzicami do znajomego rybaka do Krynicy Morskiej po świeżo wędzone węgorze. Ten materiał, widać, ma już naprawdę sporo lat.

– Przemek, tego chyba nikt od wojny nie otwierał. Patrz, nawet smar wewnątrz jest nienaruszony. Ktoś się nieźle napracował, żeby to w ten sposób zabezpieczyć – odpowiedział Marcin i zaczął rozpinać paski oplatające gumowy pokrowiec.

Po chwili z pierwszego opakowania wyjął paczki owinięte natłuszczonym papierem. Delikatnie rozciął go składanym nożem. Wewnątrz było kilkanaście skoroszytów związanych sznurkiem i zalakowanych na wiązaniach.

– Niemieckie pieczęcie. Czekaj. – Marcin podniósł do góry jeden z nich. – SD, czyli Sicherheitsdienst. Zdaje się, że wiem, co to jest... Dobra. Teraz reszta.

Marcin odłożył z powrotem dokumenty do walizki i zamknął ją. Ponownie użył łomu, tym razem do otwarcia skrzynki. Wieko odskoczyło. W środku

w szmatach nasączonych naftą były różne przedmioty zawinięte w podobny papier jak w walizce. Marcin odpakował jeden.

– O kurwa, patrz, Przemek! To, zdaje się, kawałek Bursztynowej Komnaty. Jakie wzory, inkrusty – mówił podnieconym głosem. – To jest ten drugi, na to wychodzi – powiedział pod nosem.

– A co z pierwszym? – Przemek wziął go do dłoni i popatrzył przez niego na słońce wpadające przez bulaj.

– Tamten kawałek ruskie przejęły – wyjaśnił Marcin. – A to? Spójrz! Trzy słynne medaliony Sinożębego. Złote – stwierdził, rozwijając tłusty papier. – Duńczycy i Szwedzi dużo by za to dali. Co tu jeszcze mamy w tej skrzynce? Jakież cztery miniatury malowane na desce. A w tej tekturowej teczce? Stare rysunki czy ryciny...

Mężczyźni, mocno podekscytowani, przez dłuższy czas oglądali znalezisko.

– Marcin, co ty z tym zrobisz?

– W ubiegłym roku mieliśmy taką zagwozdkę z odzyskanym nielegalnie dziełem sztuki. Jest takie miejsce w Polsce, gdzie to schowamy. Może kiedyś w przyszłości coś z tym zrobimy. Zalegalizujemy to jakoś. Albo wymienimy się na przykład ze Szwedami za ambonę z katedry w Uppsali, którą nam buchnęli w czasie potopu.

– Byłoby za to chyba przynajmniej parę ambon. – Przemek uśmiechnął się. – A ta? Wygląda dość współcześnie. To chyba lata dziewięćdziesiąte mniej więcej. – Wskazał na podłogę na aluminiową walizkę, podniósł ją i zaczął dokładnie oglądać. – Ciężka. Patrz, Marcin. Cyrylica. Jakiś napis. *Sdielano w...*

– Już wiem, co to jest – przerwał mu Marcin. – Tego na wszelki wypadek nie otwierajmy.

– Dlaczego? – zapytał Przemek, wciąż oglądając ze wszystkich stron walizkę produkcji radzieckiej.

– Opowiem ci, jak to wszystko dokończyć. Obiecuję. Przy dobrym cygaraku z Nikaragui albo Hondurasu. Nawet dzisiaj wieczorem.

– I koniecznie przy butelce rumu z Mauritiusa z nutą pomarańczy – odpowiedział Przemek i odstawił walizkę na podłogę.

– Pewnie!

– Wiesz, Marcin, nie przypuszczałem kilka dni temu, kiedy do mnie zadzwoniłeś i powołałeś się na mojego ojca, że będę w czymś takim uczestniczył.

– Całe szczęście, że tutaj jesteś.

– Raczej zimna kalkulacja. Miejscowe władze lada chwila mają ogłosić decyzję co do przyszłorocznych regat, więc musiałem trochę potrenować na

tych wodach... A tak w ogóle, skąd znasz mojego ojca?

– To stara historia. O panu Bronisławie, czyli o twoim ojcu, dowiedziałem się od wspólnego znajomego, Stefana Chrobaka.

– Poważnie?! Znalście się?! Nieprawdopodobne! – Przemek oparł się mocno o siedzisko. – Jak byłem małym, to odbyłem z nim i jego rodziną rejs na Malediwy! Spędziliśmy wtedy niezapomnianą wigilię Bożego Narodzenia na otwartym oceanie. Ależ ten świat jest mały. Nieprawdopodobne – powtórzył Przemek.

– Tak. Ten świat jest bardzo mały, a życie takie kruche. Pan Bronisław powiedział mi, że tu jesteś. Dał mi numer telefonu do ciebie i mówił, żebym się na niego powołał. I tak ta historia zatoczyła wielki krąg.

W kabynie zapanowała cisza, którą przerwał donośny głos Ewy:

– Czy wy możecie w końcu wyjść z tej nory?! Lód w wiaderku już się rozpuszcza. No i musimy ruszać w rejs do Victorii. Po to w końcu wczoraj w nocy tłułam się tutaj ostatnim lotem o dwudziestej drugiej! Marcin, proszę cię.

– Już, już – odpowiedział.

– Zaraz ruszamy, Ewa. Mamy prawie pięć dni. Zdążymy na wasz powrotny samolot – powiedział Przemek.

– Ale ja się wcale nigdzie nie spieszę, tu jest cudownie. Chodzi o szampana i... No chodźcie już! – powiedziała z niecierpliwością w głosie.

– Przemek, mam prośbę do ciebie. Muszę coś odstawić na brzeg. Do przystani promowej. – Wskazał głową na walizki.

– Nie ma problemu. Weź ponton i podpłyn tam. To z pół mili. Umiesz tym sterować? – Marcin przytaknął. – To odcumowujemy i płyniesz.

– To za moment, bo Ewa nie da mi spokoju. A ja i tak muszę wcześniej zatelefonować.

– Jasne! – odpowiedział Przemek.

Mężczyźni wyszli z kabiny i skierowali się na rufę.

– No, w końcu przyszliście! – zaczęła Ewa. – W zasadzie dla ciebie Przemek to nic... istotnego. Ale chciałam coś ważnego Marcinowi powiedzieć.

Marcin wyglądał na lekko zaskoczonego.

– Ależ ona tajemnicza! – rzucił do Przemka

– Kochanie, jestem w pierwszym trymestrze.

– W czym?! – zdziwił się Marcin, a po chwili skojarzył. – O Boże, Ewa! To wspaniała wiadomość! Jest ta okazja do otwarcia szampana! Czekając z tym tyle czasu? – krzyknął z radości.

– Chciałam ci to powiedzieć w jakichś szczególnych okolicznościach... No wiesz. A tu jest tak pięknie, że to chyba dobry moment. – Uśmiechnęła się i spojrzała na obu roześmianych mężczyzn.

– Pewnie będzie drugi chłopak, jak to w mojej rodzinie – skomentował Marcin i wziął w dłonie zmrożoną butelkę szampana.

– Jak będzie miał na imię? – zapytał Przemek.

Spojrzeni na siebie.

– Może coś związanego z morzem, podróżami, z tym, co nas tutaj otacza? – rzuciła nieco egzaltowanym tonem Ewa.

– W takim razie... Święty Jakub, opiekun pielgrzymów, patroluje też rybakom – odpowiedział Przemek.

Korek od szampana głośno wystrzelił. Marcin rozlał musujący napój do kieliszków.

– Może być Jakub. Prawda, Ewa? – Marcin stuknął kieliszkiem o dwa pozostałe i opróżnił go do dna.

– Tak, Jakub, czyli Kuba, Kubuś – odpowiedziała. – A jak będzie dziewczynka? – zapytała jakby sama siebie.

* * *

Po przycumowaniu pontonu do kamienistego nabrzeża po drugiej stronie pirsu, gdzie przybijają katamarany, Marcin wyszedł na brzeg. Z daleka zobaczył Caroline stojącą przy dwóch białych vanach – toyotach hiace, z odsuniętymi z boku drzwiami, w towarzystwie kilku mężczyzn. Dla Marcina nie ulegało wątpliwości, że przynajmniej paru z nich pod jasnymi, sportowymi marynarkami ma krótką broń maszynową. Wziął dwie duże, plażowe torby i wszedł po kamieniach na falochron. Kiedy stanął na betonowym chodniku, wyjął smartfon i wybrał numer Caroline.

– Odwróć się za siebie i popatrz w kierunku kamienistego falochronu – powiedział, po czym się rozłączył.

Po kilku chwilach Caroline znalazła się koło niego. W odległości najwyżej dziesięciu metrów stanęło za nią trzech mężczyzn w ciemnych, ochronnych okularach.

– Przybyłeś z wody. Jestem zaskoczona – powiedziała z uśmiechem i uściśnęła mu dłoń. – Nie wiem, co powiedzieć. Ale odnieśliśmy sukces. Ty i ja... i nasze kraje. Choć twój niejako incognito – powiedziała Caroline i twarz jej posmutniała, przypomniała sobie o Anicie. – Marcin, podziękuj wszystkim, którym to zawdzięczamy. Jeśli będzie trzeba...

– Caroline, daj spokój, jesteśmy po prostu w kontakcie... W tych wielkich torbach, w środku – wskazał na nie głową – są dwie walizki, z dokumentami radzieckimi i niemieckimi. Mam warunek, jeśli chodzi o te niemieckie. Chciałbym je przejrzeć, postudiować. Możemy się na to umówić?

– Tak, możemy. Kiedy?

– Jeszcze w tym roku. Może książkę napiszę na ich podstawie...

– W porządku. W takim razie zapraszam ciebie, i oczywiście Ewę, do pewnego domu nad zatoką Salcombe North Sands w Devon. Myślę, że to dobre miejsce. Czyli do widzenia. – Podali sobie dłonie. – Daj znać, kiedy chcecie przyjechać. Będziecie naszymi gośćmi. Wyślę po was samochód na lotnisko.

– Jak to powiedziałaś niedawno? Dom pełen polskiej historii, wspomnień, przyjaźni i niesamowitego ciepła. O ten dom chodzi?

Caroline przytaknęła głową i zapytała:

– Czy w schowku Woronowa było coś jeszcze poza tymi dokumentami?

Marcin uśmiechnął się lekko i nic nie odpowiedział. Oddalił się o kilka kroków, machnął jej ręką na pożegnanie i zszedł po głazach do pontonu.

Przypisy końcowe

1. Sicherheitsdienst – Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS. [\[wróć\]](#)
2. Säkerhetspolisen – Policja Bezpieczeństwa (Szwecja). [\[wróć\]](#)
3. Moskiewski Państwowy Instytut Stosunków Międzynarodowych. [\[wróć\]](#)
4. National Security Agency – amerykańska wewnętrzna [agencja wywiadowcza](#) koordynująca m.in. zadania wywiadu elektronicznego. [\[wróć\]](#)
5. Bundesnachrichtendienst – Federalna Służba Wywiadowcza (RFN). [\[wróć\]](#)